DENNIS

LEHANE

MODLITWY O DESZCZ

Przełożył Jan Kabat

Tytuł oryginału
PRAYERS FOR RAIN

Dla moich przyjaciół

Johna Dempseya, Chrisa Mullena i Susan Hayes, którzy pozwolili mi skraść sobie najlepsze wersy i nie podali mnie za to do sądu.

A także dla Andre, za którym bardzo tęsknię.

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy martwych – jest całkowicie przypadkowe.

Podziękowania

Dziękuję dr. Keithowi Ablowowi za wyjaśnienie kwestii z zakresu psychiatrii; Tomowi Corcoranowi za mustanga shelby 1968; Chrisowi i Julie Gleason za odpowiedź na pytanie dotyczące literatury angielskiej, które musiałem im zadać, co napawa mnie wstydem; detektywowi Michaelowi Lawnowi z komendy policji w Watertown za wyjaśnienie procedur stosowanych podczas wypadku samochodowego; dr Laurze Need za wyjaśnienie kwestii kardiologicznych; Emily Sperling ze Stowarzyszenia Hodowców Żurawiny z Cape Cod; Paulowi i Maureen Welch za to, że poprowadzili mnie do Plymouth oraz MM za wyjaśnienie procedur pocztowych.

Dziękuję także Jessice Baumgarden, Eleanor Cox, Michaelowi Murphy, Sharyn Rosenblum i memu bratu Gerry'emu za wsparcie podczas nowojorskich podróży.

I na koniec, jak zawsze, chcę wyrazić najgłębszą wdzięczność Claire Wachtel, Ann Rittenberg i Sheili za lekturę tekstu, bezlitosną krytykę i wpajanie uczciwości.

Słyszałem, jak bardzo starzy ludzie mówili,
Że wszystko, co piękne, odpływa po chwili
Niczym wody.

W.B. Yates

Śnię, że mam syna. Liczy około pięciu lat, ale mówi i myśli jak piętnastolatek. Siedzi obok mnie, jest przypięty pasami, nogi sięgają mu ledwie krawędzi fotela. Samochód jest stary i duży, z kierownicą wielką jak obręcz koła rowerowego. Jest późny grudniowy poranek o barwie zmatowiałego chromu. Otacza nas wiejska okolica, gdzieś na południe od Massachusetts, ale na północ od Unii Masona-Dixona – może to Delaware albo południowa część New Jersey – w dali widać czerwono-białe silosy wyrastające z zaoranych pól, które przykrywa blada, gazetowa szarość zeszłotygodniowego śniegu. Wokół pustka – tylko pola, odlegle silosy, wiatrak zastygły w bezruchu i ciszy, wreszcie nieskończoność czarnych drutów telefonicznych, które lśnią od lodu. Ani śladu innych samochodów czy ludzi. Tylko mój syn, ja i twarda, szara droga, przecinająca łany zamarzniętej pszenicy.

Mój syn mówi:

– Patrick.

– Tak?

– To dobry dzień.

Spoglądam przez okno na nieruchomy szary poranek, obraz ciszy. Za najdalszym silosem unosi się z komina bury dym. Choć nie dostrzegam samego budynku, mogę wyobrazić sobie ciepło domowego ogniska. Czuję zapach jedzenia, które grzeje się w piecyku i widzę nad kuchnią odsłonięte czereśniowe belki stropu z drewna o barwie miodu. Na klamce od drzwi piecyka wisi fartuch. Wiem, że dobrze jest siedzieć w domu w ten cichy grudniowy poranek.

Patrzę na syna. Mówię:

– Tak, to dobry dzień.

Mój syn zaś odpowiada:

– Będziemy jechać cały dzień. Będziemy jechać całą noc. Będziemy jechać bez końca.

– Pewnie – odpowiadam.

Mój syn wygląda przez okno. Mówi:

– Tato.

– Tak?

– Nigdy się nie zatrzymamy.

Odwracam głowę, a on patrzy na mnie moimi oczami.

– Okej – odpowiadam. – Nigdy się nie zatrzymamy.

Syn kładzie mi dłoń na ręku.

– Jeśli przestaniemy jechać, skończy się nam powietrze.

– Tak.

– Jeśli skończy się nam powietrze, umrzemy.

– Umrzemy.

– Nie chcę umierać, tato.

Przesuwam dłonią po jego gładkich włosach.

– Ja też nie chcę.

– Więc nigdy nie przestaniemy jechać.

– Nie, chłopie. – Uśmiecham się do niego. Czuję zapach jego skóry, włosów, woń noworodka w ciele pięcioletniego chłopca. – Nigdy nie przestaniemy jechać.

– To dobrze.

Znów rozsiada się wygodnie, a potem zasypia z policzkiem przyciśniętym do wierzchu mojej dłoni.

Szara droga, którą widzę przed sobą, przecina zakurzone białe pola, a moja ręka na kierownicy wydaje się lekka i pewna. Szosa jest prosta, płaska i ciągnie się przez tysiące mil. Stary śnieg szeleści sucho, gdy wiatr porywa go z pól i ciska małymi kłębami w szczeliny asfaltu pod kołami mojego wozu.

Nigdy nie przestanę jechać. Nigdy nie wysiądę z samochodu. Nigdy nie skończy mi się benzyna. Nigdy nie zgłodnieję. W środku jest ciepło. Mam u swego boku syna. Jest bezpieczny. Mi również nic nie grozi. Nigdy nie przestanę jechać. Nie zmęczę się. Nigdy się nie zatrzymam.

Przede mną wstęga otwartej, nieskończonej drogi.

Syn odrywa głowę od mojej dłoni i pyta:

– Gdzie jest mama?

– Nie wiem – mówię.

– Ale to w porządku? – Patrzy na mnie z nadzieją.

– W porządku – zapewniam. – Jak najbardziej. Śpij spokojnie.

Mój syn znów zasypia. Jadę dalej.

I obaj znikamy, gdy się budzę.

1

Kiedy po raz pierwszy spotkałem Karen Nichols, zrobiła na mnie wrażenie kobiety, która prasuje sobie skarpetki. Miała blond włosy, była drobna i wysiadła akurat z zielonego garbusa rocznik 1998, gdy trzymając w dłoniach kubki porannej kawy, przechodziliśmy z Bubbą na drugą stronę alei, pod kościół świętego Bartłomieja. Nadszedł luty, ale zima jakby zapomniała się pojawić tego roku. Pomijając jedną burzę śnieżną i kilka dni minusowej temperatury, było niemal ciepło. Dzisiaj termometr wskazywał około dziewięciu stopni, i to o dziesiątej rano. Niech mówią o globalnym ociepleniu, co chcą, ale dopóki ratuje mnie ono przed odśnieżaniem, jestem całym sercem za.

Karen Nichols przysłoniła oczy daszkiem z dłoni, choć poranne słońce nie świeciło zbyt mocno, i uśmiechnęła się do mnie niepewnie.

– Pan Kenzie?

Posłałem jej swój zniewalający uśmiech i wyciągnąłem dłoń.

– Panna Nichols?

Roześmiała się z jakiegoś powodu.

– Tak. Proszę mi mówić Karen. Przyjechałam wcześniej.

Jej dłoń wsunęła się w moją; wydawała się tak gładka i pozbawiona jakichkolwiek nierówności, że równie dobrze mogła być okryta rękawiczką.

– Mów mi Patrick. A to pan Rogowski.

Bubba mruknął coś pod nosem i łyknął kawy.

Karen Nichols wysunęła swoją dłoń z mojej i cofnęła się nieznacznie, jakby w obawie, że będzie musiała podać rękę także Bubbie. I że jeśli to zrobi, to być może jej już nie odzyska.

Miała na sobie brązową zamszową kurtkę do półuda, pod spodem wycięty pod szyją grafitowy sweter w warkocze, do tego świeżo wyprasowane dżinsy i białe buty reeboka. Każda część jej garderoby świadczyła o tym, że wszelkie fałdki, plamki czy drobinki kurzu znajdują się daleko od niej.

Dotknęła delikatnymi palcami gładkiej szyi.

– Dwójka prawdziwych detektywów. Jestem pod wrażeniem.

Kąciki jej błękitnych oczu zmarszczyły się podobnie jak mały nosek. Roześmiała się

ponownie.

– To ja jestem detektywem – wyjaśniłem. – On tylko udaje.

Bubba mruknął coś znowu i kopnął mnie w tyłek.

– Leżeć – nakazałem. – Do nogi.

Bubba łyknął trochę kawy.

Karen Nichols sprawiała wrażenie osoby, która nie jest pewna, czy nie popełniła błędu, przychodząc tutaj. Postanowiłem wtedy, że nie zabiorę jej do swojego biura w wieży. Kiedy ludzie zastanawiali się, czy mnie zatrudnić, zapraszanie ich do wieży nie było mądrym posunięciem.

Dzieci miały wolne, ponieważ była sobota, zaś wilgotne powietrze pozbawione było przenikliwego chłodu, więc we trójkę poszliśmy na podwórko szkolne i stanęliśmy obok ławki. Usiadłem. Karen Nichols posłużyła się nieskazitelnie białą chusteczką, by zetrzeć kurz z drewnianej powierzchni, po czym też usiadła. Bubba zmarszczył brwi, widząc, że brak miejsca dla niego, spojrzał z ponurą miną na mnie, po czym usiadł na ziemi, skrzyżował nogi i popatrzył z dołu wyczekująco.

– Dobry piesek – pochwaliłem go.

Bubba posłał mi spojrzenie, które wyraźnie mówiło, że zapłacę za to, gdy tylko znajdziemy się z dala od kulturalnego towarzystwa.

– Panno Nichols – zwróciłem się do niej. – Od kogo pani o mnie usłyszała?

Oderwała wzrok od Bubby i przez chwilę spoglądała mi w oczy z wyrazem niekłamanego zmieszania. Jej blond włosy były krótko przycięte, jak u chłopca – przywodziły na myśl zdjęcia kobiet z Berlina lat dwudziestych, które kiedyś widziałem – i przylegały do głowy za sprawą żelu. Choć pewnie nie poruszyłyby się bez jej zgody, chyba że zostałyby podstawione pod strumień powietrza z silnika odrzutowego; spięła je nad lewym uchem, tuż pod przedziałkiem, małą czarną klamerką ozdobioną rysunkiem żuka.

Jej wielkie, niebieskie oczy nabrały ostrości i znów parsknęła tym swoim urywanym, nerwowym śmiechem.

– Od swojego chłopaka.

– A na imię ma... – odparłem, spodziewając się jakiegoś Tada, Ty czy Huntera.

– David Wetterau.

Nie odznaczałem się szczególnymi właściwościami psychicznymi...

– Obawiam się, że nigdy o nim nie słyszałem.

– Poznał kogoś, kto z panem kiedyś pracował. Kobietę.

Bubba uniósł głowę i spojrzał na mnie ze złością. Winił mnie za to, że Angie przestała

z nami współpracować, że się wyprowadziła z sąsiedztwa, że kupiła hondę, że ubierała się w rzeczy od Anne Klein i że w ogóle nie chciała się z nami zadawać.

– Angela Gennaro? – spytałem.

Uśmiechnęła się.

– Właśnie. Tak się nazywa.

Bubba znowu mruknął. Bałem się, że niedługo zacznie wyć do księżyca.

– Dlaczego chce pani wynająć prywatnego detektywa, panno Nichols?

– Karen – sprostowała i zwróciła się w moją stronę, zakładając jakiś niewidoczny kosmyk włosów za ucho.

– Karen. Po co ci detektyw?

Jej ściągnięte usta wykrzywił smutny, stłumiony uśmiech. Przez chwilę siedziała ze spuszczonym wzrokiem, patrząc na swoje kolana.

– Facet w siłowni, gdzie ćwiczę.

Przytaknąłem z wyczekiwaniem.

Przełknęła nerwowo. Chyba liczyła na to, że zorientuję się we wszystkim po tym jednym zdaniu. Byłem pewien, że zaraz opowie mi coś nieprzyjemnego i jeszcze bardziej pewien, że jak dotąd miała – w najlepszym razie – bardzo nieliczne doświadczenia z rzeczami nieprzyjemnymi.

– Przystawiał się, wychodził za mną aż na parking. Z początku mnie to tylko irytowało, rozumiesz. – Uniosła głowę, szukając mojego wzroku i zrozumienia. – Potem było gorzej. Zaczął wydzwaniać do domu. Starałam się za wszelką cenę unikać go w siłowni, ale dwa razy zauważyłam, że zaparkował pod moim domem. David w końcu się wkurzył i poszedł z nim pogadać. On wszystkiemu zaprzeczył, a potem zagroził Davidowi. – Zamrugała, wykręcając palce lewej dłoni. – David nie jest... postawny. Właściwie się wyraziłam?

Skinąłem głową.

– A więc Cody – tak się nazywa ten facet, Cody Falk – wyśmiał Davida i zadzwonił do mnie tej samej nocy.

Cody. Już go nienawidziłem. Z zasady.

– Zadzwonił i powiedział, że wie, jak bardzo tego chcę, że pewnie nikt mnie nigdy porządnie nie... nie...

– Zerżnął – dokończył Bubba.

Drgnęła nieznacznie, zerknęła na niego i szybko skierowała wzrok w moją stronę.

– Tak. Porządnie mnie nie... no, nigdy w życiu. I że doskonale wie, że tak naprawdę

chcę tego. Żeby to ze mną zrobił. Zostawiłam karteczkę za wycieraczką jego wozu. Wiem, że to było głupie, ale... zrobiłam to mimo wszystko.

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła zmięty kawałek fioletowego papieru listowego, na którym nakreśliła równiutkim pismem: „Panie Falk, proszę zostawić mnie w spokoju. Karen Nichols".

– Kiedy następnym razem poszłam do siłowni i wróciłam do samochodu – ciągnęła – wsadził mi to za wycieraczkę, tak jak ja jemu. Proszę odwrócić kartkę, panie Kenzie. Zobaczy pan, co napisał.

Wskazała papier w mojej dłoni. Odwróciłem go. Po drugiej stronie Cody Falk nakreślił pojedyncze słowo: „Nie".

Naprawdę zacząłem odczuwać awersję do tego palanta.

– A potem... wczoraj – powiedziała, a jej oczy wypełniły się łzami. Przełknęła kilka razy, jej biała, delikatna szyja poruszyła się nerwowo.

Dotknąłem jej dłoni, a ona zacisnęła palce na mojej ręce.

– Co zrobił? – spytałem.

Wciągnęła powietrze przez usta. Usłyszałem, jak jej płaczliwy i wilgotny oddech utkwił w głębi krtani.

– Zniszczył mi samochód.

Jak na komendę, obaj z Bubbą obróciliśmy głowy, by spojrzeć na olśniewająco zielonego garbusa, który stał obok bramy szkolnej. Wyglądał, jakby dopiero co zjechał z taśmy montażowej. Jego wnętrze pewnie miało jeszcze tę charakterystyczną woń nowości.

– Chodzi o ten samochód? – upewniłem się.

– Co? – Podążyła za moim wzrokiem. – Och, nie. To wóz Davida.

– Faceta? – spytał zdumiony Bubba. – Facet jeździ takim samochodem?

Potrząsnąłem głową, patrząc na niego wymownie. Bubba się skrzywił, potem spojrzał na swoje wysokie skórzane buty ze sznurowadłami i zaczął przy nich majstrować.

Karen pokręciła głową, jakby chciała się otrząsnąć.

– Jeżdżę corollą. Chciałam kupić camry, ale nie było nas stać. David dopiero rozkręca interes, oboje wciąż spłacamy pożyczki studenckie, więc kupiłam corollę. A teraz jest zniszczona. Oblał całą karoserię kwasem. Poprzebijał chłodnicę. Mechanik powiedział mi, że wlał nawet syrop do silnika.

– Zgłosiła to pani na policję?

Przytaknęła, jej drobnym ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Nie ma dowodu, że to on. Powiedział policji, że tamtego wieczoru był w kinie i że

ma świadków. On... – Jej twarz jakby zapadła się w sobie i poczerwieniała. – Nie mogą mu nic zrobić, a towarzystwo ubezpieczeniowe nie pokryje szkody.

Bubba uniósł głowę, nachylając się w moją stronę.

– Dlaczego? – spytałem.

– Bo nie otrzymali ostatniej raty. A ja... zapłaciłam. Powiedzieli, że wysłali upomnienie, ale nigdy go nie dostałam. I... i... – Zwiesiła głowę, a na jej kolana zaczęły kapać łzy.

Byłem pewien, że ma w domu kolekcję pluszowych zwierząt. Jej skasowana toyota na pewno miała na zderzaku naklejkę z uśmiechniętą buzią albo sloganem religijnym. Karen czytała powieści Johna Grishama, słuchała miękkiego rocka, uwielbiała wieczory panieńskie i nie oglądała żadnego filmu Spike'a Lee.

Nigdy nie podejrzewała, że coś takiego może jej się w życiu przytrafić.

– Panno Karen – zwróciłem się do niej łagodnie. – Gdzie pani ubezpieczyła samochód?

Uniosła głowę i otarła wierzchem dłoni zapłakane oczy.

– W State Mutual – odparła.

– A jak pani przesłała czek? Z jakiego urzędu pocztowego?

– Mieszkam w Newton Upper Falls – wyjaśniła. – Ale nie jestem pewna. Może mój chłopak go przesłał? – Popatrzyła na swoje nieskazitelnie białe adidasy, jakby odrobinę speszona. – Mieszka w Back Bay. Bywam tam bardzo często.

Powiedziała to tak, jakby chodziło o grzech, a ja zacząłem się zastanawiać, gdzie sieją takich ludzi jak ona, i jeśli istnieje gdzieś ziarno, to jak mógłbym je zdobyć, gdybym kiedyś zapragnął mieć córkę.

– Spóźniała się pani wcześniej z opłatami?

Potrząsnęła głową.

– Ani razu.

– Jak długo się pani u nich ubezpiecza?

– Od końca studiów. To już siedem lat.

– Gdzie mieszka Cody Falk?

Dotknęła twarzy opuszkami palców, by się upewnić, że łzy już obeschły. Nie miała makijażu, który mógłby się rozmazać. Była beznamiętnie piękna, jak kobieta w reklamie kremu do twarzy.

– Nie wiem. Ale przychodzi do siłowni co wieczór o siódmej.

– Która to siłownia?

– Mount Auburn Club w Watertown. – Zagryzła dolną wargę, potem spróbowała przywołać ten swój niepewny uśmiech. – Jest mi tak głupio.

– Panno Nichols, proszę nie mieć do siebie pretensji, że nie potrafi pani sobie radzić z ludźmi takimi jak Cody Falk – powiedziałem. – Rozumie pani? Nikt tego nie potrafi. To zły człowiek, a pani nie jest niczemu winna. To on jest winien.

– Tak? – spytała, zdobywając się tym razem na pełny uśmiech, lecz jej wzrok wciąż zdradzał strach i zmieszanie.

– Tak. To zły facet. Lubi, kiedy ludzie się go boją.

– To prawda – przytaknęła. – Widać to w jego oczach. Zobaczyłam to raz, na parkingu pod siłownią – im bardziej byłam zaniepokojona, tym bardziej go to cieszyło.

Bubba wydał z siebie stłumiony chichot.

– Chce pani wiedzieć, co to znaczy „zaniepokojony”? Niech pani poczeka, aż pogadamy z Codym Falkiem.

Karen Nichols spojrzała na Bubbę i przez krótką chwilę zdawała się szczerze żałować swojego prześladowcy.

Już z biura zadzwoniłem do swojego adwokata, Cheswicka Hartmana.

Karen Nichols odjechała volkswagenem swojego chłopaka. Powiedziałem, żeby od razu udała się do towarzystwa ubezpieczeniowego i podrzuciła im czek. Kiedy wyraziła obawę, że nie zechcą honorować roszczenia, zapewniłem, że zrobią to, nim zdąży tam dotrzeć. Zastanawiała się głośno, czy będzie w stanie uiścić moje honorarium, a ja powiedziałem, że jak będzie ją stać któregoś dnia, to w porządku. „Któregoś dnia?” – spytała. „Któregoś dnia” – odparłem. „Ale co z Codym?”. „Nigdy więcej pani o nim nie usłyszy”. Zatrzasnąłem za nią drzwiczki, a ona odjechała, machając mi na pożegnanie przy pierwszych światłach.

– Poszukaj hasła „milutka” w słowniku – powiedziałem, kiedy siedzieliśmy z Bubbą w moim biurze. – I sprawdź, czy obok zamieścili zdjęcie Karen Nichols.

Bubba zerknął na niewielki stos książek na parapecie.

– Skąd mam wiedzieć, która z nich to słownik?

Po dwóch sygnałach Cheswick odebrał telefon, a ja mu opowiedziałem o kłopotach Karen Nichols z odszkodowaniem.

– Żadnych zaległości?

– Ani razu.

– Nie widzę problemu. Powiedziałeś, że to corolla?

– Uhm.

– Ile kosztuje, dwadzieścia pięć tysięcy?

– Raczej czternaście. Cheswick zachichotał.

– Można tak tanio kupić samochód?

Cheswick, o ile mogłem się zorientować, był właścicielem bentleya, mercedesa V10 i dwóch range roverów. Kiedy nie chciał się wyróżniać, jeździł lexusem.

– Wypłacą odszkodowanie – oznajmił.

– Powiedzieli, że nie – odparłem, żeby go trochę zdenerwować.

– Tylko po to, żeby zadzierać ze mną? Jeśli pogadam z nimi i odłożę słuchawkę niezadowolony, to będą wiedzieć, że już są winni pięćdziesiąt tysięcy. Zapłacą – powtórzył. Kiedy skończyłem rozmawiać, Bubba spytał:

– No i co powiedział?

– Że zapłacą.

Pokiwał głową i mruknął:

– Tak jak Cody, chłopie. Tak jak Cody.

Bubba udał się na jakiś czas do swojego mieszkania w dawnym magazynie, żeby pozałatwiać jakieś sprawy, a ja zadzwoniłem do Devina Amronklina, policjanta z wydziału zabójstw, jednego z nielicznych gliniarzy w mieście, którzy chcą jeszcze ze mną rozmawiać.

– Wydział zabójstw – odezwał się jego głos w słuchawce.

– Mówisz tak, jakbyś w to wierzył, kotku.

– No, no. A któż to, jeśli nie persona non grata numero uno komendy policji w Bostonie? Czyżby przydybał cię ostatnio jakiś patrol i kazał zjechać na pobocze?

– Nie.

– To uważaj. Byłbyś zdziwiony, gdybyś się dowiedział, co niektórzy goście z komendy chcą znaleźć w twoim bagażniku.

Zamknąłem na chwilę oczy. Nie byłem specjalnie szczęśliwy, że akurat teraz znalazłem się na samym szczycie czarnej listy w komendzie policji.

– Ty też nie cieszysz się popularnością – zauważyłem. – Założyłeś kajdanki koledze po fachu.

– Nikt mnie nigdy nie lubił – przyznał Devin. – Ale większość z nich się mnie boi, więc mam to gdzieś. Za to z ciebie znany mięczak.

– Znany, hę?

– O co chodzi?

– Potrzebuję informacji o Codym Falku. Przeszłość kryminalna, wszystko, co dotyczy nękania osób postronnych.

– A co z tego będę miał?

– Dozgonną przyjaźń?

– Jedna z moich siostrzenic chce dostać na urodziny całą kolekcję laleczek Barbie – oznajmił.

– A ty nie zamierzasz wydawać na to forsy, tak?

– Wciąż płacę cholerne alimenty na dzieciaka, który nie ma nawet ochoty ze mną rozmawiać.

– Więc mam nabyć dla ciebie wspomnianą kolekcję?

– Dziesięć sztuk powinno wystarczyć.

– Dziesięć? – spytałem zdumiony. – Jesteś chyba...

– Falk pisane przez F?

– F jak fanaberie – odparłem i odłożyłem słuchawkę.

Devin oddzwonił po godzinie i powiedział, żebym przywiózł lalki do jego mieszkania nazajutrz wieczorem.

– Cody Falk, wiek trzydzieści trzy lata. Niekarany.

– Jednak...

– Jednak – ciągnął Devin – aresztowany za pogwałcenie nakazu sądowego. Chodziło o nagabywanie niejakiej Bronwyn Blythe. Oskarżenie oddalono. Aresztowany za napaść na Sarę Little. Oskarżenie oddalono, kiedy panna Little odmówiła składania zeznań i przeniosła się do innego stanu. Podejrzany w sprawie o gwałt na niejakiej Anne Bernstein, wezwany na przesłuchanie. Sprawa nigdy nie trafiła do sądu, ponieważ panna Bernstein nie zgodziła się złożyć zeznania pod przysięgą, poddać się badaniom na okoliczność gwałtu ani rozpoznać napastnika.

– Miły facet – zauważyłem.

– Rzeczywiście, kawał przyjemniaczka.

– Ma też za sobą przeszłość młodocianego przestępcy, ale do tego nie mamy dostępu.

– Oczywiście.

– Znowu kogoś nachodzi?

– Może – odparłem z wahaniem.

– Działaj ostrożnie – poradził Devin i odłożył słuchawkę.

2

Cody Falk jeździł perłowoszarym audi quatro; tego samego wieczoru, o 21.30, obserwowaliśmy, jak wyjeżdża z Mount Auburn Club. Włosy miał świeżo uczesane i wciąż mokre, z torby sportowej wystawała rączka rakiety tenisowej. Był ubrany w miękką, czarną kurtkę ze skóry, kremową kamizelkę z jedwabiu, białą, zapiętą pod szyją koszulę i spłowiałe dżinsy. Był bardzo opalony. Poruszał się jak ktoś, kto oczekuje, że wszyscy będą usuwać mu się z drogi.

– Naprawdę nienawidzę tego faceta – zwróciłem się do Bubby. – A nawet go nie znam.

– Nienawiść jest cool – zauważył Bubba. – Nic nie kosztuje.

Audi Cody'ego pisnęło dwa razy, kiedy nacisnął pilota przy kluczykach, żeby wyłączyć alarm i otworzyć bagażnik.

– Jakbyś mi pozwolił – ciągnął Bubba – już by wyleciał w powietrze.

Bubba chciał przytwierdzić kawał plastiku C-4 do bloku silnika i podłączyć ładunek do instalacji alarmowej samochodu. C-4 rozwaliłoby połowę Watertown, a Mount Auburn Club wylądowałby gdzieś nad Rhode Island. Bubba nie mógł pojąć, dlaczego to jest kiepski pomysł.

– Nie można zabić faceta tylko dlatego, że zdemolował kobiecie samochód.

– Tak? – zdziwił się Bubba. – A gdzie to jest napisane?

Musiałem przyznać, że mnie zażył.

– Poza tym wiesz, że jak tylko będzie miał okazję, to ją zgwałci – dodał.

Przytaknąłem.

– Nienawidzę gwałcicieli – wyznał Bubba.

– Ja też.

– Byłoby ekstra, gdyby nigdy więcej tego nie zrobił.

Odwróciłem się w jego stronę.

– Nie zabijemy go.

Bubba wzruszył tylko ramionami.

Cody Falk zamknął bagażnik i stał przez chwilę nieruchomo, unosząc silnie

zarysowaną brodę i patrząc na korty tenisowe, które sąsiadowały z parkingiem. Wydawało się, że pozuje do czegoś, może do portretu, i z tymi gęstymi, ciemnymi włosami, wyrazistymi rysami, imponująco wyrzeźbionym torsem, w miękkim eleganckim ubraniu mógłby bez trudu uchodzić za modela. Jakby był świadom, że jest obserwowany (chociaż nie przez nas) – wyglądał na faceta, który zawsze uważa, że ktoś mu się przygląda, z podziwem albo zazdrością. To był świat Cody'ego Falka; my byliśmy w nim tylko gośćmi.

Cody wyjechał z parkingu i skręcił w prawo, a my ruszyliśmy za nim przez Watertown i wokół obrzeży Cambridge. Skręcił w lewo na Concord Street i skierował się w stronę Belmont, jednego z bardziej eleganckich pośród eleganckich przedmieść Bostonu.

– Jak to jest, że są schody, a nie ma wchodów? Skoro schodzi się po schodach, to wchodzić powinno się po wchodach, nie? – rozważał Bubba, ziewając w pięść i wyglądając przez okno.

– Nie mam pojęcia.

– Powiedziałeś to samo ostatnim razem, kiedy cię o to spytałem.

– No i?

– Chciałbym tylko, żeby ktoś mi udzielił prawidłowej odpowiedzi. Ten problem mnie wkurza.

Zjechaliśmy z głównej drogi i skierowaliśmy się w ślad za Codym Falkiem w cienistą okolicę wysokich dębów i czekoladowej barwy posiadłości w stylu Tudorów. Niskie słońce pozostawiało po sobie rdzawą mgiełkę, która wypełniała zimowe ulice jesienną poświatą; wszędzie wyczuwało się atmosferę wyrafinowanego luzu, odziedziczonego bogactwa, bibliotek o witrażowych oknach, pełnych drewna tekowego i delikatnych obić.

– Dobrze, że wzięliśmy porshe – zauważył Bubba.

– Uważasz, że ford nie pasuje do tej okolicy?

Mój porshe to roadster z 63. Kupiłem budę przed dziesięcioma laty, a potem, przez następnych pięć, zdobywałem kolejne części i z mozołem restaurowałem ten wóz. Nie powiem, żebym go kochał, ale kiedy siedzę za kierownicą, czuję się naprawdę jak najbardziej niesamowity gość w Bostonie. Może nawet na świecie. Angie mawiała, że to znak, że muszę jeszcze dojrzeć. Miała pewnie rację, ale trudno się dziwić, bo sama do niedawna jeździła zwykłym kombi.

Cody Falk skręcił w niewielki podjazd obok ogromnego, otynkowanego domu w stylu kolonialnym. Zgasiłem światła i skręciłem za nim, kiedy drzwi garażu podjechały z cichym warkotem do góry. Choć audi miało podniesione szyby, słyszałem wyraźnie, jak łomoczą basy w jego głośnikach; siedzieliśmy Cody'emu na ogonie, pewni, że nas nie słyszy z

powodu muzyki. Zgasiłem silnik tuż przed garażem. Falk wysiadł z audi, a my z porshe, kiedy drzwi garażu zaczęły opadać. Cody otworzył od wewnątrz bagażnik, a ja i Bubba zdążyliśmy się wśliznąć do garażu.

Cofnął się gwałtownie, kiedy mnie ujrzał i wyciągnął przed siebie dłonie, jakby chcąc się zasłonić przed hordą napastników. Po chwili jego oczy zaczęły się zwężać. Nie jestem szczególnie postawnym facetem, a Cody sprawiał wrażenie wysportowanego, był poza tym wysoki i dobrze umięśniony. Jego strach przed kimś obcym w garażu ustąpił miejsca zimnej kalkulacji, kiedy mnie oceniał, dostrzegając przy okazji, że nie mam broni.

Wtedy Bubba zatrzasnął klapę bagażnika, która zasłaniała go przed wzrokiem Cody'ego. Falk aż sapnął. Bubba robi na ludziach duże wrażenie. Ma twarz obłąkanego dwulatka – jakby jego rysy złagodniały i przestały dojrzewać jednocześnie z mózgiem i sumieniem – i ciało, które przypomina wagon towarowy z kończynami.

– Kto do cholery...

Bubba wyjął rakietę tenisową z jego torby i obrócił ją lekko w dłoni.

– Jak to się dzieje, że są schody, a nie ma wchodów? – zwrócił się do Cody'ego.

Spojrzałem na Bubbę i przewróciłem oczami.

– Co? A skąd, kurwa, mam wiedzieć? – rzucił Cody.

Bubba wzruszył ramionami. A potem walnął rakietą w bagażnik audi, pozostawiając na samym środku wgniecenie długości jakichś dwudziestu centymetrów.

– Cody – powiedziałem, kiedy drzwi garażu zamknęły się za moimi plecami. – Nie odzywasz się ani słowem, dopóki nie zadam ci pytania. Jasne?

Patrzył na mnie w milczeniu.

– To było pytanie, Cody.

– Uhm, tak, jasne – odparł Falk i zerknął na Bubbę, jakby odrobinę kurcząc się w sobie.

Bubba ściągnął z rakiety pokrowiec i rzucił na podłogę.

– Błagam, nie wal więcej w samochód – poprosił Cody, Bubba podniósł uspokajająco dłoń. Skinął głową. Potem wziął płynnym ruchem zamach z backhandu i walnął w tylną szybę audi. Szkło wydało głośne puknięcie, nim rozsypało się po całym siedzeniu.

– Jezu!

– Co ci mówiłem, Cody?

– Ale on właśnie rozbił...

Bubba uniósł rakietę nad głowę jak tomahawk i walnął nią Cody'ego Falka w sam środek czoła, rzucając go na ścianę garażu. Falk osunął się bezwładnie. Z rany nad prawą

brwią tryskała krew. Wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Podniosłem go za włosy i cisnąłem nim o drzwi samochodu.

– Z czego się utrzymujesz, Cody?

– Ja... Co?

– Z czego się utrzymujesz?

– Jestem restauratorem.

– Czym? – spytał Bubba.

Zerknąłem na niego przez ramię.

– Jest właścicielem restauracji.

– Aha.

– Których? – spytałem Cody'ego.

– Boatyard w Nahant. Mam też Flagstaff w śródmieściu i część Tremont Street Grill, Fours w Brookline. Ja... ja...

– Pst! – uciszyłem go. – Jest ktoś w domu?

– Co? – gwałtownie rozejrzał się wokół. – Nie, nie. Jestem kawalerem.

Pociągnąłem go do góry za koszulę na piersi.

– Posłuchaj, Cody, lubisz dręczyć kobiety. Może nawet je gwałcić i dokładać im, kiedy nie chcą być posłuszne?

Oczy Cody'ego pociemniały, kiedy gruba kropla krwi zaczęła mu spływać w dół nosa.

– Nie, nie robię tego. Kto...

Trzepnąłem go wierzchem dłoni po skaleczonym czole i Cody zawył.

– Cicho, Cody, cicho. Jeśli jeszcze raz zaczepisz jakąś kobietę – jakąkolwiek – spalimy ci restaurację, a ty resztę życia spędzisz na wózku inwalidzkim. Rozumiesz?

Wzmianka o kobietach sprowokowała Cody'ego do głupiej reakcji. Może przyszło mu do głowy, że nie będzie już mógł ich zdobywać w sposób, jaki mu najbardziej odpowiadał. W każdym razie potrząsnął głową. Zacisnął szczęki. W jego oczach pojawiło się rozbawienie drapieżnika, jakby uznał, że oto poznał moją piętę achillesową: troskę o „słabszą płeć".

– No tak – oznajmił. – Nie wydaje mi się, żebym mógł posłuchać.

Odsunąłem się na bok, podczas gdy Bubba obszedł samochód, wyciągnął z kieszeni płaszcza dwudziestkędwójkę, przykręcił do lufy tłumik, wycelował w środek twarzy Cody'ego i pociągnął za spust.

Kurek uderzył w pustą komorę, ale Cody z początku sobie tego nie uświadomił. Zamknął oczy, wrzasnął „Nie!" i usiadł z impetem.

Stanęliśmy nad nim, kiedy otwierał oczy. Dotknął palcami nosa, zdumiony, że wciąż

jest na swoim miejscu.

– Co się stało? – spytałem Bubbę.

– Cholera wie. Załadowałem go.

– No to jeszcze raz.

– Jasne.

Cody wyrzucił przed siebie dłonie.

– Czekajcie!

Bubba wycelował lufę w pierś Cody'ego i znów pociągnął za spust.

Ponownie suchy trzask.

Cody osunął się bezwładnie na podłogę; powieki miał zaciśnięte, rysy wykręcone; jego twarz przypominała gumową maskę przerażenia. Spod powiek wytrysnęły mu łzy, a powiększająca się plama na lewej nogawce spodni wydzielała woń uryny.

– Cholera – mruknął Bubba. Uniósł broń do oczu, skrzywił się i znów skierował lufę do dołu, dokładnie w chwili, gdy Cody otworzył jedno oko.

Cody zamknął je natychmiast, gdy Bubba pociągnął za spust po raz trzeci i znów trafił na pustą komorę.

– Kupiłeś ten złom na wyprzedaży? – spytałem.

– Zamknij się. Będzie działać – zapewnił Bubba i jednym ruchem nadgarstka wysunął bębenek. Z jego wnętrza spoglądało na nas złote oko naboju, zakłócając nieprzerwany krąg pustych czarnych komór. – Widzisz? Jest jeden.

– Jeden – powtórzyłem.

– Wystarczy.

Cody zerwał się nagle z podłogi.

Uniosłem stopę, oparłem ją o jego pierś i pchnąłem faceta z powrotem na ścianę.

Bubba zatrzasnął bębenek i wycelował. Strzelił raz „na sucho" i Cody wrzasnął. Strzelił „na sucho" ponownie i Cody wydał z siebie dziwny odgłos, ni to śmiech, ni to płacz. Zasłonił dłońmi oczy, zaczął powtarzać: „Nie, nie, nie, nie, nie, nie", potem znów wydał z siebie ten niby śmiech, niby płacz.

– Za szóstym razem się uda – oznajmił Bubba.

Cody spojrzał na tłumik i walnął potylicą o podłogę. Usta miał otwarte, jak do krzyku, ale dobywało się z nich tylko ciche, piskliwe „na, na, na".

Kucnąłem przy nim i przyciągnąłem jego prawe ucho do swoich warg.

– Nienawidzę ludzi, którzy krzywdzą kobiety, Cody. Kurewsko nienawidzę. Zawsze sobie myślę – a gdyby to była moja siostra? Moja matka? Kapujesz?

Cody próbował wyrwać ucho z mojego uścisku, ale trzymałem go mocno. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, a policzki wydymały się spazmatycznie.

– Spójrz na mnie.

Cody z trudem odzyskał ostrość widzenia i spojrzał mi w twarz.

– Jeśli ubezpieczenie nie zapłaci jej za samochód, Cody, wrócimy tu z rachunkiem.

Panika w jego oczach odrobinę ustąpiła, pojawiło się w nich zrozumienie.

– Nigdy nie tknąłem wozu tej dziwki.

– Bubba.

Bubba wycelował Cody'emu w głowę.

– Nie! Zaraz, zaraz, zaraz... Ja... ja... Karen Nichols, tak?

Wstrzymałem Bubbę gestem dłoni.

– No dobra, jakby tego nie nazwać, może trochę ją prześladowałem. To była taka gra. Tylko gra. Ale nie ruszyłem jej samochodu. Nigdy...

Wpakowałem mu pięść w brzuch. Wypuścił gwałtownie powietrze z płuc, a jego usta na przemian zamykały się i otwierały, by złapać trochę tlenu.

– Okej, Cody, powiedzmy, że to gra. A to jest ostatnia runda. Wbij sobie do głowy jedno: niech się dowiem, że jakaś kobieta – jakakolwiek kobieta – jest śledzona. Albo że została zgwałcona. Albo że ktoś ją wkurzył w mieście, Cody, z góry założę, że to ty. I wtedy wrócimy.

– I sparaliżujemy ci ten twój cholerny tyłek – dorzucił Bubba.

Płuca Cody'ego eksplodowały atakiem kaszlu, kiedy udało mu się złapać oddech.

– Powiedz, że rozumiesz, Cody.

– Rozumiem – wydusił z siebie.

Spojrzałem na Bubbę. Wzruszył ramionami. Skinąłem głową.

Bubba odkręcił tłumik z lufy dwudziestkidwójki. Broń schował do jednej kieszeni płaszcza, tłumik do drugiej. Podszedł do ściany i podniósł rakietę tenisową. Potem odwrócił się i stanął nad Codym Falkiem.

– Powinieneś wiedzieć, że mówimy poważnie, Cody – oznajmiłem.

– Wiem, wiem! – wrzasnął Cody, tym razem piskliwie.

– Myślisz, że wie? – spytałem.

– Myślę, że wie – odparł Bubba.

Z ust Cody'ego wyrwało się gardłowe westchnienie ulgi; spojrzał Bubbie w twarz z wdzięcznością tak żenującą, że aż nieznośną.

Bubba uśmiechnął się i rąbnął Cody'ego rakietą tenisową prosto w krocze.

Cody wyprostował się gwałtownie, jakby poczuł ogień na plecach. Z jego ust dobyła się ogłuszająca czkawka, objął się w pasie i... wyrzygał na własne kolana.

– Pewności nigdy za wiele – skomentował Bubba i rzucił rakietę na maskę wozu.

Patrzyłem, jak Cody zmaga się z błyskawicami bólu, które przeszywały mu ciało, obejmując jelita, klatkę piersiową, płuca. Po twarzy spływał mu pot, niczym strugi letniego deszczu.

Bubba otworzył małe, drewniane drzwi, które prowadziły na zewnątrz.

Cody w końcu obrócił głowę w moją stronę, a grymas na jego twarzy przypominał uśmiech kościotrupa.

Obserwowałem jego oczy, by stwierdzić, czy strach przerodzi się we wściekłość, czy poniżenie i słabość mogą ulec przewadze urodzonego drapieżnika. Czekałem, aż ujrzę to spojrzenie, które na parkingu zobaczyła Karen Nichols, to samo, które i ja widziałem, nim Bubba po raz pierwszy pociągnął za spust.

Odczekałem jeszcze chwilę.

Ból zaczął przygasać i grymas na twarzy Cody'ego nieco zelżał; skóra przy linii włosów przestała się marszczyć, oddech odzyskał rytm zbliżony do regularnego. Ale strach pozostał. Był głęboko zakorzeniony, a ja wiedziałem, że minie kilka nocy, nim Falk zdoła przespać więcej niż godzinę czy dwie, że upłynie co najmniej miesiąc, nim będzie w stanie zamknąć za sobą drzwi garażu. Przez bardzo długi czas, przynajmniej raz w ciągu dnia, będzie patrzył przez ramię, szukając wzrokiem mnie i Bubby. Cody Falk, byłem niemal pewien, spędzi resztę życia w strachu.

Sięgnąłem do kieszeni płaszcza i wyjąłem kartkę, którą Karen Nichols zostawiła mu za wycieraczką wozu. Zgniotłem ją w kulkę.

– Cody – wyszeptałem.

W jego oczach pojawił się cień uwagi.

– Następnym razem po prostu zgaśnie światło. – Uniosłem mu brodę palcami. – Rozumiesz? Nie usłyszysz nas ani nie zobaczysz.

Wepchnąłem mu kulkę papieru w usta. Otworzył szeroko oczy, starając się nie zakrztusić. Podbiłem mu brodę i jego usta się zamknęły.

Wstałem i podszedłem do drzwi, nie odwracając się.

– I umrzesz, Cody. Umrzesz.

3

Upłynęło pół roku, nim znów pomyślałem o Karen Nichols.

W tydzień po rozprawie z Codym Falkiem otrzymałem od niej pocztą czek; w literze „o" swojego nazwiska narysowała uśmiechniętą buzię, brzeg czeku ozdobiła żółtymi kaczątkami i dołączyła do przesyłki kartkę: „Dzięki! Jest Pan absolutnie najlepszy!".

Zważywszy na to, co miało się wydarzyć, chciałbym móc powiedzieć, że nigdy już się do mnie nie odezwała, aż do tego ranka sześć miesięcy później, kiedy usłyszałem wiadomość w radio, ale prawdą jest, że zadzwoniła do mnie kilka tygodni po wysłaniu czeku. Połączyła się z moją automatyczną sekretarką. Wpadłem do biura godzinę po tym po okulary przeciwsłoneczne i odsłuchałem wiadomość. Biuro było w tym tygodniu zamknięte, ponieważ leciałem na Bermudy z Vanessą Moore, obrończynią, która nie przejawiała więcej zainteresowania poważnym związkiem niż ja. Ale lubiła plaże, koktajl daiquiri, szampana i drinki przed popołudniowym masażem. Wyglądała olśniewająco w eleganckim kostiumie, w bikini zaś mogła przyprawić o zawał serca i była jedyną znaną mi wówczas osobą, która odznaczała się przynajmniej taką samą płytkością ducha jak ja. Tak więc, przez miesiąc czy dwa, tworzyliśmy udaną parę.

Znalazłem okulary w dolnej szufladzie biurka, kiedy z taśmy odezwał się głos Karen Nichols. Potrzebowałem chwili, żeby go rozpoznać, nie dlatego, bym zapomniał jego brzmienie, ale dlatego, że w ogóle nie przypominał jej głosu. Wydawał się zachrypły, zmęczony i niepewny.

„Hej, panie Kenzie. Mówi Karen. Pomógł mi pan, hmm, z miesiąc temu, może sześć tygodni? Tak, a więc, hmm, proszę o telefon. Chodzi o to, że, hmm, mam do pana sprawę – chwila ciszy. – Okej, a więc proszę do mnie zadzwonić". I zostawiła numer.

Vanessa, która czekała w samochodzie, zatrąbiła zniecierpliwiona. Samolot odlatywał za godzinę, ruch na autostradzie był o tej porze okropny, poza tym Vanessa umiała robić wiadomą rzecz w sposób prawdopodobnie zakazany w większości zachodnich cywilizacji.

Sięgnąłem do sekretarki, żeby przewinąć taśmę, a Vanessa zatrąbiła znowu, głośniej i dłużej; palec mi się ześliznął i wylądował na przycisku kasowania. Wiem, jak Freud zinterpretowałby mój błąd i pewnie by się nie mylił. Miałem jednak gdzieś zapisany numer

Karen Nichols, zamierzałem zresztą wrócić po tygodniu i na pewno nie zapomniałbym do niej zadzwonić. Klienci muszą zrozumieć, że i ja mam prywatne życie.

Tak więc zająłem się tym swoim życiem, pozwoliłem Karen zająć się swoim i oczywiście zapomniałem do niej oddzwonić.

Kilka miesięcy później, kiedy usłyszałem o niej w radio, wracałem właśnie samochodem z Maine w towarzystwie Tony'ego Traverny, starego lawiranta, który wychodził za kaucją, a potem nie stawiał się w sądzie i który był powszechnie uważany za najlepszego kasiarza w Bostonie i najgłupszego człowieka we wszechświecie.

Tony T, jak głosiły anegdoty, nie potrafiłby przechytrzyć nawet puszki z zupą. Wsadź Tony'ego T do pomieszczenia wypełnionego końskim nawozem, a po dwudziestu czterech godzinach wciąż będzie w nim szukał konia. Tony T sądził, że pina colada to prezydent Chile i zastanawiał się kiedyś głośno, w jaki to dzień nadają niedzielny talk-show na żywo.

Ilekroć Tony wymykał się wymiarowi sprawiedliwości, jechał do Maine. Prowadził samochód, choć nie miał prawa jazdy. Nigdy go nie zdobył, ponieważ oblewał pisemną część egzaminu. Dziewięć razy. Umiał jednak prowadzić, poza tym dzięki jakiejś myślącej cząstce swego mózgu udowodnił, że nie opracowano jeszcze zamka samochodowego, którego nie umiałby rozgryźć. Podprowadzał więc komuś wóz i udawał się w trzygodzinną podróż do domku wędkarskiego swego zmarłego ojca w Maine. Po drodze kradł zwykle kilka skrzynek heinekena i kilka butelek bacardi, ponieważ prócz najmniejszego na świecie mózgu, Tony T miał najtwardszą na świecie wątrobę, po czym zaszywał się w chacie i oglądał kreskówki, dopóki ktoś go nie zgarnął.

Tony Taverna zgromadził przez lata znaczną gotówkę i nawet jeśli odliczyło się forsę, jaką wydał na gorzałę i dziwki, którym kazał się przebierać za indiańskie squaw i nazywać go Cynglem, trudno było wątpić, że gdzieś przechowuje jeszcze mnóstwo pieniędzy. Wystarczająco dużo, by zafundować sobie bilet lotniczy. Ale zamiast wywinąć się wymiarowi sprawiedliwości i dać nogę na Florydę, Alaskę czy gdzieś, gdzie trudno byłoby go znaleźć, Tony nieodmiennie jechał do Maine. Może dlatego, że – jak ktoś kiedyś powiedział – bał się latać. Albo też, jak zasugerował ktoś inny – Tony po prostu nie wiedział, że istnieją samoloty.

Odpowiedzialny za dostarczenie Tony'ego T do sądu był zwykle Mo Bags, były glina i praktykujący twardziel. Ruszyłby w pościg za Tonym osobiście, uzbrojony w pałkę, paralizatory, mosiężne kajdanki i nunczako, gdyby nie atak podagry, która wgryzała mu się w biodro niczym stado wściekłych mrówek, kiedy prowadził samochód dłużej niż przez dwadzieścia mil. Poza tym ja i Tony mieliśmy wspólną przeszłość. Mo wiedział, że znajdę

delikwenta bez trudu i że Tony mi nie zwieje. Tym razem kaucję za Tony'ego wpłaciła jego dziewczyna, Jill Dermont. Jill była ostatnią w długim szeregu kobiet, które rzuciły na Tony'ego okiem i poczuły przemożną chęć matkowania temu człowiekowi. Tak działo się przez większość życia Tony'ego, w każdym razie przez tę jego część, którą znałem. Tony wchodził do jakiejś knajpy (a zwykle nie robił nic innego), siadał przy barze, nawiązywał rozmowę z barmanem albo osobą zajmującą sąsiedni stołek i w pół godziny później większość niezamężnych kobiet w lokalu (i kilka mężatek) siedziało przy boku Tony'ego – stawiały mu drinki, słuchając jego leniwego i swobodnego potoku słów, i dochodziły do nieodpartego wniosku, że ten chłopiec potrzebuje ponad wszystko czułej opieki, miłości i być może kilku nocnych lekcji rozkoszy.

Tony odznaczał się miękkim głosem i drobną, szczerą twarzą, z rodzaju tych, co to wzbudzają zaufanie. Smutne migdałowe oczy były osadzone nad krzywym nosem i jeszcze bardziej krzywym uśmiechem, stałym grymasem warg, który zdawał się mówić: Tony też tego doświadczył, mój przyjacielu, więc dlaczego nie postawić mu kolejki i nie opowiedzieć swej historii jak staremu kumplowi?

Gdyby Tony chciał być kanciarzem, z taką twarzą poszłoby mu nieźle. Tony jednak nie był na to dość bystry, a może po prostu był zbyt miły. Lubił ludzi. Wydawało się, że wprawiają go w zakłopotanie, podobnie jak wszystko inne, ale szczerze ich lubił. Na nieszczęście lubił też sejfy. I to bardzo. Może nawet odrobinę bardziej niż ludzi. Odznaczał się tak doskonałym uchem, że był w stanie dosłyszeć piórko osiadające na księżycu, i palcami tak zwinnymi, że potrafił uporać się z kostką Rubika jedną ręką, nawet na nią nie patrząc. W ciągu dwudziestu ośmiu lat spędzonych na tej planecie Tony otworzył tyle sejfów, że ilekroć ktoś się włamywał do banku, robiąc dziurę w ścianie skarbca, gliniarze podjeżdżali do mieszkania Tony'ego, nim jeszcze zdążyli sobie zafundować pączki, a sędziowie sporządzali nakaz przeszukania tak szybko, jak większość z nas wypisuje czek.

Prawdziwym problemem Tony'ego, przynajmniej w sensie prawnym, nie były sejfy ani też głupota (choć ta mu nie pomagała); chodziło o picie. Z wszystkich wyroków, jakie odsiedział, tylko dwa nie były za prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu. Podobnie jak ostatni – jazda pod prąd po Northern Avenue o trzeciej nad ranem, stawianie oporu przy aresztowaniu (nie zatrzymał się), umyślne uszkodzenie cudzej własności (rozbił wóz) i ucieczka z miejsca wypadku (wspiął się na słup telefoniczny, ponieważ wykombinował sobie, że policjanci nie zauważą go na wysokości siedmiu metrów nad wrakiem samochodu w ciemną noc).

Kiedy wszedłem do domku wędkarskiego, z podłogi salonu spojrzał na mnie Tony.

Jego twarz wyrażała nieme pytanie: Dlaczego to tak długo trwało? Westchnął i wyłączył pilotem telewizor, po czym wstał niepewnie i poklepał się po udach, żeby pobudzić w nich krążenie.

– Cześć, Patrick. Mo cię przysłał?

Przytaknąłem.

Tony rozejrzał się, szukając wzrokiem butów, wreszcie znalazł je pod poduszką na podłodze.

– Piwo?

Powiodłem wzrokiem po chacie. Przez półtora dnia, które tu spędził, Tony zdołał zapełnić wszystkie parapety pustymi butelkami po heinekenie. Ich zielone szkło chwytało blask słońca odbijający się od powierzchni jeziora i załamywało go; wnętrze przenikały maleńkie promienie. Domek jarzył się szmaragdowym światłem niczym knajpa w dzień świętego Patryka.

– Nie, dzięki, Tony. Staram się nie pić przed śniadaniem.

– Kwestie religijne?

– Coś w tym rodzaju.

Podniósł jedną nogę, złapał się za kostkę i podciągnął ją do pasa, a potem, skacząc na drugiej nodze, próbował włożyć but.

– Chcesz mnie przyskrzynić?

– A chcesz zwiać?

Zdołał jakoś włożyć but i potknął się, stawiając stopę na podłodze.

– Nie, człowieku. Sam wiesz.

Skinąłem głową.

– Dobra, bez kajdanek.

Posłał mi pełen wdzięczności uśmiech, po czym uniósł bosą stopę i znów zaczął skakać w kółko, próbując włożyć drugi but.

Udało mu się i po chwili poczłapał w stronę łóżka, gdzie zwalił się, wyczerpany podskakiwaniem. Buty Tony'ego nie miały sznurowadeł, tylko rzepy. Krążyła plotka, że... och, mniejsza z tym. Można się domyślić. Tony zapiął rzepy i wstał.

Pozwoliłem mu zabrać ubranie na zmianę, game boya i kilka komiksów na drogę. Zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał z nadzieją na lodówkę.

– Masz coś przeciwko, żebym wziął sobie piwo na drogę?

Byłem przekonany, że jedno piwo nie może zaszkodzić facetowi, który szedł do więzienia.

– Jasne, że nie.

Tony otworzył lodówkę i wyjął karton dwunastu butelek.

– No wiesz – wyjaśnił, kiedy odjeżdżaliśmy spod domku – to na wypadek, gdyby był duży ruch albo coś.

Rzeczywiście, ruch był spory – w okolicy Lewiston, potem Portland i nadmorskich miejscowości Kennenbunkport i Ogunquit. Cichy letni poranek przechodził z wolna w biały żar dnia; drzewa, drogi i samochody połyskiwały blado, bezlitośnie i gniewnie w promieniach stojącego wysoko słońca.

Tony siedział na tylnej kanapie czarnego jeepa Cherokee z 1991. Kupiłem go na wiosnę, kiedy zatarł się silnik w moim fordzie crown victoria. Cherokee świetnie się nadawał na takie łowy, ponieważ miał zainstalowaną stalową kratę między siedzeniami i składane łóżko z tyłu. Tony zajmował miejsce po drugiej stronie kraty, przyciskając plecy do winylowej osłony na zapasowe koło. Wyciągnął nogi jak kot sadowiący się na skąpanym w słońcu parapecie i otworzył trzecie tego popołudnia piwo, po czym beknął drugim.

– Może byś tak przeprosił, człowieku.

Tony uchwycił w lusterku wstecznym moje spojrzenie.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że masz bzika na punkcie... hmm...

– Kultury osobistej?

– Właśnie.

– Jak pozwolę ci bekać w swoim wozie, Tony, to pomyślisz sobie, że możesz się też wysikać.

– Nie, człowieku. Choć po prawdzie przydałby mi się jakiś garnek czy coś w tym rodzaju.

– Zatrzymamy się przy następnym zjeździe z autostrady.

– W porządku jesteś, Patrick.

– Pewnie, super ze mnie facet.

I rzeczywiście, zatrzymaliśmy się kilka razy w Maine i raz w New Hampshire. Tak to jest, kiedy człowiek wpuszcza do samochodu wiejącego przed sądem alkoholika z dwunastoma butelkami piwa, ale, prawdę mówiąc, nie przejmowałem się tak bardzo. Odpowiadało mi towarzystwo Tony'ego, tak jak czasem lubi się po południu towarzystwo dwunastoletniego siostrzeńca, który nie jest może zbyt rozgarnięty, ale nieodparcie pogodny.

Gdzieś w New Hamsphire game boy przestał popiskiwać. Zerknąłem w lusterko wsteczne i zobaczyłem, że Tony zasnął; pochrapywał cicho, poruszając leciutko wargami, a

jedna stopa kołysała mu się tam i z powrotem jak ogon psa.

Właśnie wjechaliśmy do Massachusetts; wcisnąłem w moim radiu przycisk automatycznego strojenia, licząc na szczęście i chcąc złapać rozgłośnię bostońską, choć wciąż byłem poza zasięgiem, kiedy pośród trzasków i pisków głośnika wyłowiłem nazwisko Karen Nichols. Ciekłokrystaliczny ekran radioodbiornika migotał cyframi, które zatrzymały się na chwilę na częstotliwości 99,6. „...zidentyfikowana jako Karen Nichols z Newton, skoczyła najprawdopodobniej z...".

Tuner porzucił stację i przeskoczył na 100,7.

Wozem lekko zarzuciło, kiedy sięgnąłem do gałki ręcznego strojenia i nastawiłem odbiornik z powrotem na 99,6.

Tony zbudził się na tylnym siedzeniu.

– Co jest?

Dałem mu znak uniesionym palcem, żeby się uciszył.

„...twierdzi policja. Nie ustalono, w jaki sposób panna Nichols dostała się na taras widokowy Custom House. A teraz pogoda. Jak utrzymuje meteorolog, Gil Hutton, można się jeszcze spodziewać fali upałów...".

Tony przetarł oczy.

– Ale obłęd, no nie?

– Słyszałeś o tym?

Ziewnął.

– Widziałem dziś rano w wiadomościach. Babka skoczyła goła jak ją pan Bóg stworzył z Custom House. Zapomniała, że grawitacja zabija, człowieku. Wiesz o tym? Grawitacja zabija.

– Przymknij się, Tony.

Skulił się, jakbym go trzepnął, odwrócił się ode mnie i zaczął grzebać w kartonie z piwem, szukając następnej butelki.

W Newton mogła mieszkać jakaś inna Karen Nichols. I to niejedna. Były to pospolite amerykańskie imię i nazwisko. Równie nudne i częste jak Mike Smith albo Ann Adams.

Lecz jakiś zimny, pełznący ucisk w żołądku powiedział mi, że Karen Nichols, która skoczyła z tarasu widokowego Custom House, to ta sama osoba, którą poznałem pół roku wcześniej. Ta, która prasowała skarpetki i miała kolekcję pluszowych zwierząt.

Ta Karen nie sprawiała wrażenia kobiety, która skoczyłaby nago z budynku. Ale mimo wszystko wiedziałem. Wiedziałem.

– Tony?

Popatrzył na mnie wzrokiem zranionego chomika w ulewnym deszczu.

– Tak?

– Przepraszam, że na ciebie warknąłem.

– W porządku – zapewnił. Pociągnął z butelki, wciąż obserwując mnie nieufnie.

– Ta kobieta, która wyskoczyła... – powiedziałem, nie bardzo nawet wiedząc, dlaczego tłumaczę się przed kimś takim jak Tony. – Może ją znałem.

– O, w mordę, człowieku. Przykro mi. Czasem ludzie obrywają, rozumiesz?

Spojrzałem na autostradę, która miała odcień metalicznego błękitu pod bezlitosnym słońcem. Nawet przy włączonej klimatyzacji czułem na karku ukłucia gorąca.

Tony miał wilgotne oczy, a uśmiech, który wykrzywił mu policzki, był zbyt szeroki i otwarty.

– Czasem cię dopada, człowieku. Wiesz?

– Picie?

Potrząsnął głową.

– Nie. Taka historia, jak z tą twoją znajomą, co skoczyła. – Dźwignął się na kolana i przycisnął nos do dzielącej nas kraty. – Wiesz, kiedyś wybrałem się na przejażdżkę łodzią z jednym gościem. Nie umiem pływać, ale wlazłem na tę łódź. Złapał nas sztorm, przysięgam na Boga, a ta cholerna łajba, wiesz, przechyla się na lewo, potem na prawo, pieprzone fale wyglądają jak wielkie ściany i walą się na nas ze wszystkich stron. No tak, okej, robię w gacie ze strachu, bo jak wpadnę do wody, koniec ze mną. Ale też... nie wiem za bardzo, jak to powiedzieć, jestem jakby zadowolony, rozumiesz? Mówię sobie: No i dobrze. Żadnych więcej wątpliwości. Żadnego główkowania jak, kiedy i dlaczego umrę. Bo umrę. Teraz. Coś jakby ulga. Czułeś to kiedyś?

Zerknąłem przez ramię na jego twarz podzieloną na kwadraty stalową kratką, na skórę policzków, która przechodziła przez otwory na moją stronę, wypełniając je niczym miękkie białe ciasto.

– Raz – odparłem.

– Tak? – Otworzył szerzej oczy i odsunął się trochę od kraty. – Kiedy?

– Jeden facet mierzył mi ze strzelby prosto w twarz. Byłem pewien, że pociągnie za spust.

– I przez sekundę... – Tony podniósł palec – ...i przez sekundę pomyślałeś sobie: byłoby super. Zgadza się?

Uśmiechnąłem się do jego odbicia w lusterku wstecznym.

– Może. Coś w tym rodzaju. Sam już nie wiem.

Znów przykucnął.

– Tak się czułem na tej łodzi. Może ta twoja znajoma też się tak poczuła zeszłej nocy. Pomyślała sobie: Rany, nigdy nie latałam. Może by spróbować. Wiesz, o co mi chodzi?

– Niezupełnie. – Spojrzałem w lusterko. – Dlaczego wlazłeś na tę łódź, Tony?

Potarł zamyślony brodę.

– Bo nie umiałem pływać – odparł, wzruszając ramionami.

U kresu tej podróży droga wydawała się ciągnąć bez końca przed moimi oczami, mordęga ostatnich pięćdziesięciu kilometrów przypominała stalowe wahadło gdzieś w głębi czaszki.

– Daj spokój – powiedziałem. – Pytam poważnie.

Tony uniósł lekko brodę, jego twarz ściągnęła się w wyrazie skupienia.

– Chodzi o to, że człowiek nie wie – odparł. Odbiło mu się.

– To znaczy?

– Właśnie dlatego wlazłem na tę łódź, jak mi się wydaje. Bo się nie wie – tego wszystkiego w pieprzonym życiu, rozumiesz? Dopada cię. Dostajesz fioła. Musisz wiedzieć.

– Nawet jak nie umiesz latać?

Tony się uśmiechnął.

– Właśnie dlatego, że nie umiesz latać.

Poklepał dłonią barierę między nami. Ponownie beknął, potem przeprosił. Zwinął się w kłębek na podłodze i zaśpiewał bardzo cicho dżingiel z Flinstone'ów.

Nim dotarliśmy do Bostonu, znowu chrapał.

4

Kiedy wszedłem z Tonym Taverną do biura, Mo Bags podniósł wzrok znad klopsa i podróbki włoskiej kiełbasy i zawołał:

– Hej, pojebańcu! Co słychać?

Byłem pewien, że zwraca się do Tony'ego, choć w przypadku Mo trudno się było czasem zorientować.

Odstawił talerz, otarł tłuste palce i usta serwetką, po czym wyszedł zza biurka, kiedy sadzałem Tony'ego na krześle.

– Hej, Mo – przywitał się Tony.

– Nie pozwalaj sobie, śmieciu. Dawaj nadgarstek.

– Nie przesadzaj, Mo – wtrąciłem.

– Co? – spytał Mo, zatrzaskując jedno kółko kajdanek na lewym nadgarstku Tony'ego, a drugie na podłokietniku krzesła.

– Jak twoja podagra? – spytał Tony tonem szczerej troski.

– Lepiej niż ci się zdaje, baranie. O wiele lepiej.

– Miło słyszeć – wyznał Tony, bekając.

Mo spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek.

– Pijany?

– Nie wiem. – Dostrzegłem egzemplarz „Tribune" na skórzanej sofie Mo. – Tony, jesteś pijany?

– Skąd, człowieku. Hej, Mo, masz tu łazienkę, z której mógłbym skorzystać?

– Ten facet jest zalany – oświadczył Mo.

Wziąłem do ręki dodatek sportowy i pod spodem znalazłem pierwszą stronę gazety. Historia z Karen Nichols znajdowała się mniej więcej pośrodku, tuż nad zgięciem: „Kobieta skacze z wieżowca Custom House". Obok zamieszczono kolorowe zdjęcie budynku nocą.

– Facet jest zalany w trupa – powiedział Mo. – Kenzie?

Tony beknął znowu i zaczął śpiewać „Raindrops Keep Fallin' on My Head".

– Okej. Jest zalany – przyznałem. – Gdzie forsa?

– Pozwoliłeś mu pić? – zaświszczał Mo, jakby kawałek klopsa utkwił mu w przełyku.

Wziąłem do ręki gazetę i zacząłem czytać.

– Daj spokój, Mo – warknąłem ostrzegawczo.

Tony dosłyszał ton mojego głosu i przestał śpiewać. Mo jednak był zbyt wkurzony, żeby zauważyć cokolwiek.

– Nie rozumiem, Kenzie. Nie rozumiem takich facetów jak ty. Psujesz mi opinię.

– I tak już masz nie najlepszą – oznajmiłem. – Zapłać.

Artykuł zaczynał się od słów: „Najwidoczniej zrozpaczona Nichols skoczyła wczorajszej nocy z tarasu widokowego jednego z najbardziej cenionych zabytków miasta, zabijając się na miejscu".

Mo zwrócił się do Tony'ego:

– Słyszałeś? Wierzysz temu pieprzonemu gościowi?

– Pewnie.

– Zamknij się, pojebańcu. Nikt do ciebie nie gada.

– Muszę do łazienki.

– Co ja powiedziałem?

Mo odetchnął głęboko przez nozdrza, stanął za Tonym i postukał go lekko kłykciami w potylicę.

– Tony – powiedziałem. – Łazienka jest za kanapą. Tamte drzwi.

Mo wybuchnął śmiechem.

– Ma zabrać ze sobą krzesło czy jak?

Tony nagłym ruchem zsunął kajdanki z nadgarstka i poszedł do łazienki.

– Hej! – zawołał za nim Mo.

Tony się odwrócił.

– Muszę iść do kibla, człowieku.

„Kobieta zidentyfikowana jako Karen Nichols – czytałem – przed swym śmiertelnym skokiem zostawiła portfel i ubranie na tarasie widokowym...".

Poczułem, jak półfuntowy kawał szynki wali mnie w ramię; kiedy się odwróciłem, Mo cofał właśnie zaciśniętą pięść.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz, Kenzie?

Powróciłem do lektury, mówiąc:

– Pieniądze, Mo.

– Co jest, umawiasz się na randki z tym śmieciem? Kupujesz mu, kurwa, piwo, żeby miał ochotę na miłość?

Taras widokowy Custom House znajduje się na dwudziestym szóstym piętrze.

Spadając, człowiek widzi prawdopodobnie szczyt Beacon Hill, centrum władz lokalnych, wieżowce w dzielnicy finansowej, wreszcie Faneuil Hall i Quincy Marketplace. Wszystko w ciągu sekundy, może dwóch – melanż cegieł, szkła i żółtego światła, a potem uderzenie o bruk. Ciało odbije się jak piłka.

– Słyszysz mnie, Kenzie?

Mo znów zamierzył się do ciosu. Zrobiłem unik, rzuciłem gazetę i zacisnąłem prawą dłoń na jego krtani. Pchnąłem go na biurko i przycisnąłem mu plecy do blatu.

Tony wyszedł z łazienki i zauważył:

– O w mordę.

– Która szuflada? – spytałem Mo.

Wytrzeszczył oczy w niemym pytaniu.

– W której szufladzie są moje pieniądze, Mo?

Zwolniłem nieco ucisk na jego gardle.

– W środkowej.

– Lepiej, żeby to nie był czek.

– Nie, nie. Gotówka.

Puściłem go; leżał, oddychając chrapliwie, a ja obszedłem biurko, wysunąłem szufladę i znalazłem swoje pieniądze spięte gumką.

Tony zajął z powrotem miejsce na krześle i zakuł sobie nadgarstek.

Mo usiadł i opuścił stopy na podłogę. Potarł sobie gardło i zakrztusił się jak kot, który wypluwa kłębek włosów.

Wyszedłem zza biurka i podniosłem gazetę z podłogi.

Maleńkie oczka Mo pociemniały ze złości.

Wygładziłem stronice gazety, złożyłem starannie i wsunąłem sobie pod ramię.

– Mo – zwróciłem się do niego – masz spluwę w kaburze na prawej kostce u nogi i ołowianą pałkę w tylnej kieszeni.

Jego wzrok stwardniał jeszcze odrobinę.

– Sięgnij tylko po jedno albo drugie, a przekonasz się, jak kiepski mam dzisiaj nastrój.

Mo odkaszlnął. Oderwał spojrzenie od moich oczu. Rzucił chrapliwie:

– Jesteś skreślony w tym interesie.

– Jezu – odparłem. – Niestety, co?

– Poczekaj tylko. Słyszałem, że bez Gennaro potrzebujesz każdego grosza. W zimie będziesz żebrał o robotę. Dosłownie.

Popatrzyłem na Tony’ego.

– W porządku?

Wysunął kciuk do góry.

– Na Nashua Street znajdziesz pewnego ochroniarza, nazywa się Bill Kuzmich. Powiedz mu, że jesteś moim kumplem, zajmie się tobą.

– Super – oznajmił Tony – Myślisz, że podrzuci mi czasem skrzynkę piwa?

– Pewnie, Tony. Bez dwóch zdań.

Czytałem gazetę, siedząc w samochodzie przed biurem Mo Bagsa przy Ocean Street w Chinatown. Nie dowiedziałem się wiele więcej niż z wiadomości w radio, ale zamieścili zdjęcie Karen Nichols z jej prawa jazdy.

Była to ta sama Karen Nichols, która zatrudniła mnie pół roku wcześniej. Na fotografii wyglądała tak pogodnie i niewinnie jak tamtego dnia, kiedy ją poznałem; uśmiechała się do obiektywu, jakby fotograf powiedział jej właśnie, że ma ładną sukienkę i równie ładne buty.

Przyszła do Custom House po południu, weszła na taras widokowy, porozmawiała z pracownicą biura nieruchomości – chodziło o wynajęcie; jest to możliwe, od kiedy władze lokalne postanowiły zarobić trochę gotówki, sprzedając jeden z najbardziej znanych budynków miasta sieci Marriotta. Agentka, Mary Huges, zapamiętała, że Karen mówiła niezbyt konkretnie o swoim zatrudnieniu i że sprawiała wrażenie rozkojarzonej.

O piątej, kiedy zamykano taras widokowy dla wszystkich z wyjątkiem najemców, którzy znali kod otwierający drzwi, Karen gdzieś się schowała, a potem, o dziewiątej wieczorem, skoczyła.

Siedziała tam przez cztery godziny, dwadzieścia sześć pięter nad niebieskim chodnikiem, zastanawiając się, czy da radę to zrobić. Siedziała skulona gdzieś w kącie? – zadawałem sobie pytanie. Może chodziła w kółko, a może spoglądała z góry na miasto, na niebo, na światła? Ile z jej życia, z jego wzlotów i upadków z brutalnych i gwałtownych zwrotów przemknęło jej w tym czasie przez myśl? W którym momencie wszystko to skrystalizowało się w jeden punkt, a ona przerzuciła nogi przez balustradę i wstąpiła w czarną otchłań?

Położyłem gazetę na siedzeniu obok i zamknąłem oczy.

Ujrzałem, jak spada. Zamajaczyła niewyraźnie na tle nocnego nieba i runęła w dół; musiało jej się zdawać, że wapienna ściana w kolorze złamanej bieli pędzi za nią niczym wodospad.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na dwóch studentów medycyny, którzy zaciągali się łapczywie papierosami, spiesząc w swoich białych fartuchach po Ocean Street.

Zerknąłem na szyld biura – „Mo Bags. Kaucje” – i zacząłem się zastanawiać, dlaczego zgrywałem się u Mo na wielkiego twardziela. Przez całe życie próbowałem unikać takich głupot w stylu macho. Byłem pewien, że potrafię dać sobie radę podczas jakiejś brutalnej konfrontacji i to mi wystarczało. Jeśli ktoś dorastał tam, gdzie ja, to wiedział doskonale, że zawsze znajdzie się facet, który jest od ciebie bardziej szalony, twardszy, wredniejszy i szybszy. Który tylko czeka, żeby to udowodnić. Tylu znanych mi od dzieciństwa ludzi umarło, trafiło za kratki albo, w jednym przypadku, doznało paraliżu kończyn, ponieważ chciało pokazać światu, jacy to z nich twardziele. Ale świat, jak wiem z doświadczenia, przypomina Las Vegas: zdarza się, że człowiek wygrywa, ale kiedy zbyt często podchodzi się do stolika, zbyt często rzuca kośćmi, świat pokazuje, co potrafi – zabiera ci portfel albo przyszłość. Czasem jedno i drugie.

Śmierć Karen Nichols nie dawała mi spokoju, stąd to moje brutalne zachowanie. Ale sprawa nie była taka prosta; w ciągu minionego roku uświadamiałem sobie coraz częściej, że tracę serce do tej roboty. Byłem po prostu zmęczony. Jak długo można się uganiać za facetami, którzy nie płacili za hotele, oszukiwali firmy ubezpieczeniowe albo zabawiali się z kochankami? Jak długo można się uganiać za kobietami, które trenowały z argentyńskimi instruktorami tenisa także poza kortem? Byłem chyba zmęczony ludźmi – ich stereotypowymi występkami, równie stereotypowymi pragnieniami i zachciankami, ich drzemiącymi w głębi duszy żądzami. Żałosną głupotą cholernego gatunku ludzkiego. Pozbawiony towarzystwa Angie, która patrzyła na wszystko z dystansu, podobnie jak ja, pozbawiony jej ironicznych uwag, traciłem do tej roboty serce.

Z gazety leżącej na siedzeniu obok spoglądał na mnie optymistyczny, jak u królowej balu maturalnego, uśmiech Karen Nichols – białe zęby, uosobienie zdrowia, błoga niewiedza.

Przyszła do mnie po pomoc. Wydawało mi się, że jej pomogłem, może rzeczywiście tak było. Lecz w ciągu pół roku tak bardzo się oddaliła od tej osoby, jaką poznałem, że ciało, które runęło poprzedniej nocy ze szczytu Custom House, mogło skrywać kogoś zupełnie obcego.

No i to najgorsze – zadzwoniła do mnie. W sześć tygodni po rozprawie z Codym Falkiem. Cztery miesiące przed śmiercią. Gdzieś w trakcie tej fatalnej reinkarnacji.

A ja nie oddzwoniłem.

Byłem zajęty.

Ona tonęła, a ja byłem zajęty.

Znów popatrzyłem na jej twarz, opierając się pokusie, by odwrócić wzrok od nadziei, która malowała się w jej oczach.

– Okej – powiedziałem głośno. – Okej, Karen. Zobaczę, co da się ustalić. Zobaczę, co da się zrobić.

Jakaś Chinka, która przechodziła akurat obok mojego jeepa, zauważyła, że gadam do siebie. Spojrzała na mnie zdziwiona. Pomachałem jej. Potrząsnęła głową i poszła dalej. Wciąż kręciła głową, kiedy uruchamiałem silnik i wyjeżdżałem z zatoczki na parkingu. Stuknięty, pomyślała pewnie. Cała ta pieprzona planeta, którą zamieszkujemy, wszyscy jesteśmy cholernie stuknięci.

5

Nasze przypuszczenia dotyczące kogoś, kogo widzimy po raz pierwszy w życiu, są często prawidłowe. Ten facet obok ciebie przy barze, ten w niebieskiej koszuli, ma brudne paznokcie i cuchnie smarem, jest więc prawdopodobnie mechanikiem samochodowym. Trudno wydedukować coś więcej, a jednak robimy to każdego dnia. Nasz mechanik, jak byśmy się zapewne domyślili, pije budweisera, ogląda football w telewizji, lubi filmy, gdzie ciągle coś wybucha. Zajmuje mieszkanie, które wydziela taki sam zapach jak jego ubranie.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nasze przypuszczenia są trafne.

I równie duże, że nie są.

Kiedy poznałem Karen Nichols, założyłem, że dorastała na przedmieściach, pochodziła z nieźle sytuowanej rodziny z klasy średniej, a lata dojrzewania spędziła w bezpiecznym kokonie – z dala od konfliktów, brudu i ludzi, którzy nie byli biali. Założyłem dalej (wszystko to w jednej chwili, krótkiej jak uścisk dłoni), że jej ojciec to lekarz albo właściciel niewielkiego, dobrze prosperującego interesu, na przykład niewielkiej sieci sklepów z kijami golfowymi. Matka siedziała w domu, dopóki dzieci nie poszły do szkoły, a potem zaczęła pracować na pół etatu w księgarni albo jako sekretarka w kancelarii adwokackiej.

Prawda wyglądała tak, że kiedy Karen Nichols miała sześć lat, jej ojciec, porucznik piechoty morskiej, który stacjonował w Fort Devens, został zastrzelony przez innego porucznika. Działo się to w kuchni rodzinnego domu Karen. Zabójca nazywał się Reginald Crowe, dla Karen wujek Reggie, choć nie był jej krewnym. Najlepszy przyjaciel jej ojca i sąsiad, strzelił mu dwa razy w pierś z czterdziestkipiątki, kiedy obaj siedzieli przy sobotnim piwie.

Karen, która bawiła się z dziećmi Crowe'a, usłyszała strzały i wpadła do domu, gdzie zastała wujka Reggie nad leżącym ojcem. Na widok Karen, wujek Reggie przyłożył sobie broń do serca i strzelił.

Zachowało się zdjęcie obu ciał, które jakiś przedsiębiorczy reporter „Tribune" wyszperał w archiwum Fort Devens i opublikował w swojej gazecie dwa dni po śmiertelnym skoku Karen.

Nagłówek nad historią zamieszczoną na trzeciej stronie głosił: „Grzechy przeszłości samobójczyni nawiedzają teraźniejszość”. Rzecz stanowiła główny temat rozmów ludzi w pracy – przez jakieś pół godziny.

Nigdy bym się nie domyślił, że Karen była w wieku sześciu lat świadkiem takiego koszmaru. Dom na przedmieściach pojawił się w jej życiu kilka lat później, kiedy to jej matka wyszła ponownie za mąż, tym razem za kardiologa z Weston. Od tej chwili Karen Nichols dorastała w spokoju i komforcie psychicznym.

I choć byłem przekonany, że powodem, dla którego śmierć Karen stała się pożywką dla prasy, był w większym stopniu sam budynek, z którego skoczyła, niż jakakolwiek ciekawość co do motywów jej samobójczego kroku, uważam też, że jej osoba stała się, przez krótką chwilę, ponurym przypomnieniem, jak świat czy los potrafi zniweczyć czyjeś marzenia i sny – ponieważ w ciągu sześciu miesięcy, które upłynęły od chwili, kiedy po raz ostatni widziałem Karen Nichols, jej życie zaczęło staczać się po równi pochyłej. Bardziej pochyłej niż zbocze stromej góry.

W miesiąc po rozwiązaniu problemu, jaki stanowił dla Karen Cody Falk, jej chłopak, David Wetterau, potknął się, przechodząc nieuważnie w godzinach szczytu przez Congress Street. Nie byłoby to nic groźnego – upadek na kolana i dziura w nogawce spodni – ale kiedy był na jezdni, jakiś cadillac, starając się ominąć niespodziewaną przeszkodę, zahaczył o jego czoło brzegiem tylnego zderzaka. Od tej pory Wetterau pozostawał w śpiączce.

W ciągu następnych miesięcy Karen Nichols pogrążała się coraz bardziej, tracąc pracę, samochód, wreszcie mieszkanie. Nawet policja nie potrafiła ustalić, gdzie mieszkała przez ostatnie dwa miesiące. Psychiatrzy, pojawiający się w wiadomościach, wyjaśniali, że wypadek Davida Wetterau w połączeniu ze wspomnieniem tragicznej śmierci ojca dokonał jakiegoś wyłomu w psychice Karen, oderwał od codziennych spraw i zakłócił proces myślowy, co ostatecznie przyczyniło się do jej śmierci.

Wychowano mnie w wierze katolickiej, więc znam dobrze historię Hioba, ale ta pechowa seria w ostatnich miesiącach życia Karen nie dawała mi spokoju. Wiem, że zdarzają się dobre i złe passy. Wiem, że te złe trwają nieraz długo, tragedia za tragedią, aż w końcu wszystkie wybuchają jednocześnie, niczym fajerwerki w Dniu Niepodległości. Wiem, że czasem złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom. Pomyślałem sobie, że jeśli zaczęło się od Cody’ego Falka, to może z jego strony wcale się nie skończyło. Owszem, wystraszyliśmy go porządnie, ale ludzie są głupi, zwłaszcza ci o charakterze drapieżników. Może przezwyciężył strach i postanowił zaatakować Karen od tyłu, po cichu, zniszczyć jej kruchy świat w rewanżu za to, że poszczuła na niego Bubbę i mnie.

Cody, doszedłem do wniosku, wymagał kolejnej wizyty.

Wpierw jednak chciałem porozmawiać z policjantami, którzy prowadzili śledztwo w sprawie śmierci Karen, sprawdzić, czy mogę się dowiedzieć od nich czegoś, co by mi pozwoliło przygotować się odpowiednio do spotkania z Codym.

– Detektywi Thomas i Stapleton – poinformował mnie Devin. – Pogadam z nimi, żeby się z tobą spotkali. Ale to może potrwać parę dni.

– Chciałbym się z nimi skontaktować szybciej.

– A ja chciałbym pójść pod prysznic z Cameron Diaz. Niestety, jedno i drugie jest wykluczone.

Czekałem więc. Czekałem długo. W końcu zacząłem wydzwaniać do ludzi, zwalczając chęć, by pojechać do Cody'ego Falka i wydusić z niego odpowiedzi, jeszcze zanim poznałem właściwe pytania.

Wreszcie straciłem cierpliwość, więc wynotowałem ostatni znany adres Karen ze swojej dokumentacji, wyczytałem w prasie, że była zatrudniona w dziale cateringu hotelu Four Seasons i wyszedłem z biura.

Dawna współlokatorka Karen Nichols nazywała się Dara Goldklang. Podczas rozmowy prowadzonej w mieszkaniu, które dzieliła z Karen przez dwa lata, Dara ćwiczyła na ruchomej bieżni. Zdawało się, że robi ostatnie okrążenie. Miała na sobie biały sportowy stanik i czarne elastyczne szorty; co chwila zerkała na mnie przez ramię.

– Dopóki David nie uległ wypadkowi – wyjaśniła – Karen prawie tu nie siedziała. Zawsze była u niego. Wpadała tylko, żeby zabrać pocztę, zrobić jakieś pranie i przenosiła się na tydzień do Davida. Miała fioła na punkcie tego faceta. Żyła dla niego.

– Jaka była? Widziałem ją tylko raz.

– Karen była słodka – odparła, po czym niemal natychmiast spytała: – Czy mój tyłek nie wydaje się panu za duży?

– Nie.

– Nawet pan nie spojrzał. – Wydymała policzki, stąpając po bieżni. – No dalej. Niech pan popatrzy. Mój chłopak mówi, że za bardzo mi urósł.

Odwróciłem głowę. Miała tyłek wielkości rajskiego jabłuszka. Jeśli jej chłopak uważał, że jest zbyt duży, to zacząłem się zastanawiać, czy widział mniejszy u jakiejś dwunastolatki.

– Pani chłopak się myli – zapewniłem i usiadłem na czymś w rodzaju pufa wypełnionego plastikowymi kulkami, osadzonego w szklanej misie z podstawą. To był chyba

najbrzydszy mebel, jaki w życiu widziałem. I zdecydowanie najbrzydszy, na jakim siedziałem.

– Mówi, że powinnam ujędrnić łydki.

Popatrzyłem na jej mięśnie poniżej kolan. Wyglądały jak płaskie kamienie sterczące pod skórą.

– I powiększyć sobie biust – prychnęła. Odwróciła się w moją stronę, więc dostrzegłem dwie wypukłości pod sportowym stanikiem. Odznaczały się rozmiarem, kształtem i twardością dwóch przepisowych piłek do bejsbola.

– Czym się zajmuje pani chłopak? – spytałem. – Wychowaniem fizycznym?

Wybuchnęła śmiechem, a jej język wysunął się za dolną wargę.

– Jezu, skąd. Jest spekulantem giełdowym na State Street. Ma beznadziejne ciało, wygląda, jakby pod mięśniami brzucha chował posążek Buddy. Cienkie ramiona, obwisły tyłek.

– A jednak chce, żeby pani wyglądała idealnie?

Przytaknęła.

– Czysta hipokryzja – zauważyłem.

Podniosła obie dłonie.

– No tak, ale ja zarabiam jako szefowa restauracji dwadzieścia dwa, dwadzieścia pięć tysięcy rocznie, a on jeździ ferrari. Płytka jestem, co? – Wzruszyła ramionami. – Podobają mi się meble w jego mieszkaniu. Ma własnościowe. Lubię jeść w Cafe Louis i Aujourd'hui. I podoba mi się zegarek, który mi kupił.

Uniosła nadgarstek, żebym mógł zobaczyć. Elegancki, ze stali nierdzewnej, kosztował może z tysiąc albo i więcej. Wszystko po to, żeby mieć na sobie odpowiedni sprzęt, kiedy się ćwiczy.

– Bardzo ładny – pochwaliłem.

– Czym pan jeździ?

– Fordem escortem – skłamałem.

– Widzi pan? – Pokiwała na mnie palcem ponad ramieniem. – Jest pan bystry i w ogóle, a jak się pan ubiera? Czym pan jeździ? – Potrząsnęła głową. – O, nie. Nie mogłabym sypiać z takim facetem jak pan.

– Jakoś nie zauważyłem, żebym o to prosił.

Odwróciła głowę w moją stronę i spojrzała na mnie. Czoło miała zroszone potem. Roześmiała się.

Zawtórowałem jej.

Jeszcze trochę, a zaczęlibyśmy się tarzać po podłodze z radości.

– No dobrze – powiedziałem. – Dlaczego Karen musiała się wyprowadzić?

Odwróciła się, spojrzała przez okno.

– To smutne, prawda? Karen, jak mówiłam, była słodka. Była też, jak by to powiedzieć, naiwna. Jeśli wie pan, o co mi chodzi. Nie miała praktycznych wyznaczników rzeczywistości.

– Praktyczne wyznaczniki rzeczywistości – powtórzyłem z namysłem.

Skinęła głową.

– Tak to nazywa mój terapeuta... wie pan, to wszystko, na czym się opieramy, nie tylko ludzie, ale pryncypały i...

– Pryncypały? – spytałem.

– Hę?

– Pryncypały – powtórzyłem. – Chodzi chyba o pryncypia... zasady, artykuły wiary.

– No właśnie. Przecież mówię. Pryncypia i te wszystkie mądrości, wie pan, ideały i filozofie, które pozwalają nam przeżyć dzień. Karen brakowało czegoś takiego. Miała tylko Davida. Był jej życiem.

– Więc kiedy uległ wypadkowi...

Przytaknęła.

– Ej, niech pan mnie źle nie zrozumie, wiem, jakie to było dla niej trudne. – Na jej plecach pojawiła się warstwa potu; ich skóra lśniła w popołudniowym słońcu. – Szczerze dziewczynie współczułam. Było mi jej żal. Ale po miesiącu... Sam pan wie, jak to jest, życie płynie dalej.

– Jedno z pryncypiów?

Spojrzała na mnie przez ramię, chcąc sprawdzić, czy się z niej nie nabijam. W moim wzroku malowała się pewność i zrozumienie.

Skinęła głową.

– Ale Karen spała od rana do wieczora, nie zmieniała ubrania. Czasem było ją czuć. Po prostu, jak by to powiedzieć, rozpadała się na kawałki. Rozumie pan? Było to smutne, łamało mi serce, ale, tak jak mówiłam, trzeba się kiedyś pozbierać.

Pryncypium numer dwa, jak się zorientowałem.

– Próbowałam ją nawet umawiać.

– Z chłopakami? – spytałem.

– Tak. – Roześmiała się. – Chodzi o to, że okej, David był w porządku. Ale David to teraz roślina. Krótko mówiąc, do widzenia! Szalej do woli, chata wolna. Na Davidzie świat

się nie kończy. To nie Romeo i Julia. Życie jest, jakie jest. Twarde. Mówię więc do niej, Karen, wyjdź z domu, spotykaj się z jakimiś facetami. Dobry seks może rozjaśniłby jej w głowie, sama nie wiem.

Spojrzała na mnie przez ramię, naciskając kilkakrotnie jakiś guzik na konsoli; gumowa bieżnia pod jej stopami zwalniała stopniowo, aż osiągnęła tempo odpowiednie dla geriatrycznego klienta w centrum handlowym. Jej kroki stały się dłuższe, wolniejsze i lżejsze.

– Nie miałam racji? – spytała, patrząc w okno.

Pozostawiłem to bez odpowiedzi.

– A więc Karen była przygnębiona, spała całymi dniami. Nie chodziła też do pracy?

Dara Goldklang przytaknęła.

– Dlatego się wpakowała w długi. Opuszczała zmiany. Jak już szła do pracy, to wyglądała jak wymięta, wie pan, o czym mówię – rozdwojone końcówki włosów, bez makijażu, oczka w rajstopach.

– Istny horror – zauważyłem.

– Uprzedzałam ją. Słowo daję.

Bieżnia zatrzymała się i Dara Goldklang zeszła na podłogę, otarła twarz i szyję ręcznikiem, napiła się trochę wody z plastikowej butelki. Potem oderwała ją od ust, ale wargi wciąż miała wysunięte i spojrzała mi w oczy.

Może próbowała jakoś przeboleć mój styl ubierania się i ten samochód, którym, jak jej się wydawało, jeździłem. Może szukała okazji, chciała rozjaśnić sobie w głowie, stosując metodę, do jakiej wydawała się przyzwyczajona.

– Więc straciła pracę i zaczęło jej brakować pieniędzy – powiedziałem.

Odchyliła do tyłu głowę, otworzyła usta, wlała w siebie odrobinę wody, nie dotykając wargami butelki. Przełknęła kilka razy, potem opuściła brodę i musnęła usta koniuszkiem ręcznika.

– Już wcześniej była bez forsy. Coś się tam pochrzaniło z ubezpieczeniem zdrowotnym Davida.

– To znaczy?

Wzruszyła ramionami.

– Karen próbowała płacić jakieś rachunki ze szpitala. Były niebotyczne. Rujnowały ją. Powiedziałam, wie pan, jak się przez dwa miesiące nie płaci czynszu, to jeszcze ujdzie. Nie podoba mi się to, ale rozumiem. No, ale jak nie zapłaciła i za trzeci miesiąc, to powiedziałam, wie pan, że musi odejść, skoro nie daje rady. To znaczy, rozumie pan, byłyśmy przyjaciółkami i w ogóle – dobrymi przyjaciółkami – ale takie jest życie.

– Życie – powtórzyłem. – Jasne.

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki, kiedy mi przytaknęła.

– Chodzi o życie, zgadza się? Jest jak pociąg. Cały czas pędzi, a człowiek musi przed nim zasuwać, bez dwóch zdań. Zatrzymasz się dla złapania oddechu? Rozjedzie cię. Więc prędzej czy później trzeba dać sobie spokój z innymi i zająć się sobą.

– Słuszne pryncypium – oznajmiłem.

Uśmiechnęła się. Podeszła do brzydkiego fotela, na którym siedziałem i wyciągnęła do mnie ręce.

– Pomóc?

– Nie, dam sobie radę. Krzesło jest w porządku. Jakoś wstanę.

Roześmiała się, a jej język znów wysunął się poza dolną wargę, jak u psa, który chce się napić.

– Nie mówiłam o krześle.

Wstałem, a ona się odsunęła.

– Wiem, Dara.

Położyła sobie dłoń na krzyżu, jakby wspierając się na nim i znów pociągnęła z butelki.

– No to w czym właściwie problem?

– Mam zasady – wyjaśniłem, ruszając w stronę drzwi.

– W przypadku nieznajomych?

– W przypadku ludzi – odparłem i wyszedłem.

6

Wnętrze Pickupa – tak nazywała się niedawno powstała firma Davida Wetterau przy South Street, zajmująca się dostawami sprzętu filmowego – przypominało magazyn wypełniony po brzegi kamerami filmowymi, obiektywami, reflektorami, filtrami, statywami, wózkami i szynami do tychże wózków. Wzdłuż wschodniej ściany, w odstępach około dwudziestu stóp, przytwierdzono do podłogi małe stoliki; pracowali przy nich młodzi ludzie nad sprzętem, a po drugiej stronie, pod zachodnią ścianą, jakiś młody facet i młoda dziewczyna pchali po szynach ogromny wózek w kształcie żurawia. Siedziała na nim kobieta i obracała kołem, zamontowanym pośrodku, jak w kabinach tych wielkich ciężarówek.

Pracownicy albo stażyści, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, tworzyli zbiorowisko ludzi w workowatych szortach, zmiętych T-shirtach, płóciennych tenisówkach albo podniszczonych martensach bez skarpet, z wielkimi czuprynami lub głowami wygolonymi na zero, z kolczykami w różnych miejscach. Od razu poczułem do nich sympatię, pewnie dlatego, że przypominali mi ludzi, z którymi studiowałem. Spokojni, nieszkodliwi, mieli gorączkę artystycznej pasji w oczach, gadatliwe usposobienie po alkoholu i encyklopedyczną wiedzę na temat najlepszych w mieście sklepów z używanymi płytami, używanymi książkami, używanymi ubraniami – krótko mówiąc na temat każdego sprzedawcy towarów z drugiej ręki.

Firma przy South Street została założona przez Davida Wetterau i Raya Dupuisa. Ten drugi zaliczał się do pracowników wygolonych, a od pozostałych różnił się tylko tym, że był od nich o parę lat starszy i miał jedwabny T-shirt. Oparł ciężkie buty o porysowane biurko, które kiedyś ustawiono pośrodku tego chaosu, rozparł się wygodnie w rozklekotanym fotelu biurowym i rozłożył ramiona, jakby chciał objąć całe to szaleństwo wokół siebie.

– Moje królestwo – oświadczył z ironicznym uśmiechem.

– Dużo roboty?

Przesunął palcami po ciemnych worach pod oczami.

– Uhm, owszem.

Dwaj faceci przemierzali biegiem wnętrze magazynu. Sunęli jeden obok drugiego równym krokiem i wydawało się, że gnają co sił w nogach. Ten po lewej dźwigał coś, co

wyglądało jak połączenie kamery i metalowego detektora. Miał to przytwierdzone do piersi, a talię opinał mu ciężki pas z wypchanymi kieszeniami, jak żołnierskie szelki z amunicją i zaopatrzeniem.

– Wysuń się do przodu! Do przodu! – zawołał.

Ten drugi przyspieszył zgodnie z poleceniem.

– Dobra! Stań i zawracaj! Stań i zawracaj!

Chłopak przyhamował gwałtownie, potem obrócił się na pięcie i pobiegł w przeciwną stronę, kamerzysta zaś ruszył za nim.

Po chwili się zatrzymał, wyrzucił ręce w górę i wrzasnął:

– Aaron! To ma być ostrość?

Facet w łachmanach, z ciemną czupryną opadającą na ramiona podniósł wzrok znad wielkiego pilota, którego trzymał w dłoni.

– Ustawiam ją, Eric. Słowo daję. To te światła, człowieku.

– Gówno prawda! – wrzasnął Eric. – Światła są w porządku.

Ray Dupuis uśmiechnął się i odwrócił od Erica, który zdawał się kipieć ze złości.

– Obsługują steadicam – wyjaśnił Dupuis. – Są jak kopacze w footballu. Specjaliści wysokiej klasy. Niezwykle wrażliwe osobowości.

– Ten sprzęt na jego piersi to steadicam? – spytałem.

Skinął głową.

– Zawsze mi się wydawało, że jest na kółkach.

– Nie.

– Więc to początkowe ujęcie z „Full Metal Jacket" kręcił jeden facet, obchodząc baraki z kamerą przytwierdzoną do piersi?

– Pewnie. Tak samo jak w „Chłopcach z Ferajny". Myśli pan, że daliby radę przetaczać sprzęt na kółkach po tych schodach?

– Nigdy bym nie pomyślał.

Wskazał głową chłopaka z pilotem w ręku.

– Ten nastawia ostrość. Próbuje to robić pilotem.

Ponownie skierowałem wzrok na młodych ludzi, którzy szykowali się do kręcenia i dostrajali wszystko, co wymagało dostrojenia.

Nie przyszło mi do głowy nic innego prócz słowa: „Niesamowite".

– Więc jest pan zapalonym kinomanem, panie Kenzie?

Przytaknąłem.

– Ale przyznam się, że oglądam głównie stare filmy – wyjaśniłem.

Uniósł brwi.

– Więc wie pan, skąd się wzięła nasza nazwa?

– Oczywiście – odparłem. – Obraz Sama Fullera, rok 1953. „Pickup on the West". Okropny film, świetny tytuł.

Uśmiechnął się.

– Dokładnie to samo powiedział David. – Wskazał na Erica, który znów ruszył biegiem ze swoją kamerą. – Miał odebrać sprzęt tego dnia, kiedy oberwał.

– Steadicam?

Skinął głową.

– Dlatego nie rozumiem.

– Czego?

– Tego wypadku. David nie powinien się tam znaleźć.

– Na rogu Congress i Purchase?

– Tak.

– A gdzie powinien być?

– W Natick.

– Natick – powtórzyłem. – Miejsce urodzin Douga Flutie i dziewczyn z wielkimi włosami?

Przytaknął.

– Jest tam to słynne centrum handlowe. Natick Mail.

– Oczywiście. Ale Natick leży dwadzieścia mil stąd.

– Zgadza się. I tam właśnie był do odebrania ten steadicam. – Wskazał głową kamerę. – Wszystko, co tu mamy – a kosztowało to fortunę – wygląda przy tym sprzęcie jak taniocha. Jeden facet w Natick sprzedawał go okazyjnie. Za bezcen. David wypadł stąd jak szalony. Ale nigdy nie dotarł na miejsce. Po chwili był już z powrotem w śródmieściu, na tym cholernym skrzyżowaniu.

Machnął dłonią w stronę dzielnicy finansowej, która znajdowała się kilka przecznic dalej, na północ.

– Powiedział pan to policji?

Przytaknął.

– Zjawili się u mnie kilka dni później, powiedzieli, że nie ma żadnych wątpliwości. To był wypadek. Rozmawiałem długo z jednym detektywem i nabrałem przekonania, że mają rację. David potknął się w biały dzień na oczach ze czterdziestu świadków. Więc trudno podejrzewać, że nie był to zwykły wypadek, chciałbym tylko wiedzieć jedno – dlaczego, do

diabła, nie dotarł do Natwick, tylko wrócił do miasta. Powiedziałem o tym detektywowi, a on na to, że miał tylko ustalić, czy to był wypadek, czy nie i że pod tym względem wykonał robotę. Reszta „jest nieistotna". Tak się wyraził.

– A co pan sądzi?

Pogładził się po ogolonej głowie.

– Nie wiem. David to był wspaniały facet. Nie twierdzę, że był doskonały. Miał swoje wady, zgoda, ale...

– Jakie na przykład?

– No, brakowało mu zmysłu praktycznego i kręcił na boku, kiedy Karen nie było akurat w pobliżu.

– Zdradzał ją?

– Nie. – Potrząsnął stanowczo głową. – Nie, raczej chciał robić dobre wrażenie. Lubił zainteresowanie ładnych kobiet, wiedział, że im się podoba. Owszem, było to dziecinne i może w pewnym momencie takie igranie z ogniem by go sparzyło, ale szczerze kochał Karen i był zdecydowany dochować jej wierności.

– Ciałem, jeśli nie myślą – uzupełniłem.

– Właśnie. – Uśmiechnął się, potem westchnął. – Widzi pan, założyłem tę firmę za forsę taty, nie? Zaciągnąłem pożyczki. Bez mojego nazwiska nie ruszylibyśmy z miejsca. Mam zamiłowanie do tej roboty i nie jestem głupi, ale David miał talent. To on ukształtował wizerunek tej firmy, stanowił jej duszę. Ludzie robili z nami interesy, bo David nawiązywał kontakty, docierał do niezależnych wytwórni filmowych, przemysłowców, ludzi od reklamy. To on przekonał Warner Brothers, że to u nas powinni zamówić wózek do kamery, kiedy w zeszłym roku kręcili ten film z Costnerem, a jak już przekonali się do tego wózka, wracali do nas, żeby wymieniać kamery 35 mm, reflektory, filtry, wysięgniki do mikrofonów. – Parsknął śmiechem. – Zawsze coś popsuli. Potem zaczęli kopiować nakręcony materiał na naszych kopiarkach, kiedy ich siadły, i wykorzystywać nasze avidy. I to David załatwił nam tę forsę. Nie ja. David miał urok i energię, ale i coś więcej – można było mu wierzyć. Jego słowo było jak mur i nigdy nikogo nie orżnął na interesie. David stworzył tę firmę. A bez niego? – Rozejrzał się wokół, wzruszając nieznacznie ramionami i uśmiechając się smutno na widok tego młodzieńczego zapału, energii i sprzętu. – Pójdziemy pewnie na dno w ciągu półtora roku.

– Kto na tym zyska?

Zastanawiał się przez chwilę, wybijając dłońmi rytm na gołych kolanach.

– Kilka konkurencyjnych firm, ale nie w jakiś znaczący sposób. Nie odstawialiśmy

ogromnego biznesu, więc nie przypuszczam, żeby zostało po nas wiele do zagarnięcia, jeśli znikniemy.

– Mieliście kontrakt z Warner Brothers.

– To prawda. Ale ci z Eight Millimeter obsługiwali film Branagha, który kręcił tutaj dla Fox Searchlight, a Martini Shot załapał się na film Mameta. Chcę powiedzieć, że każdy dostawał swój kawałek tortu, ani za duży, ani za mały. Zapewniam, że nikt nie zarobi milionów ani nawet setek tysięcy dolarów dlatego, że na scenie zabrakło Davida. – Założył dłonie za głowę, patrząc na stalowe belki pod stropem i odsłoniętą instalację grzewczą. – Choć byłoby nieźle. Jak mawiał David, może i się nie wzbogacimy, ale dobrze byłoby zarobić.

– Co z ubezpieczeniem?

Nachylił się w moją stronę, nie odrywając dłoni od głowy, i spojrzał mi w oczy. Łokcie przyciskał do policzków.

– To znaczy?

– Słyszałem, że Karen Nichols się rujnowała, próbując spłacić jego rachunki za szpital.

– I dlatego sądzi pan, że...?

– Że nie był ubezpieczony.

Ray Dupuis przyglądał mi się uważnie, powieki miał przymknięte, ciało nieruchome. Czekałem, ale kiedy tak patrzył na mnie przez minutę, wyciągnąłem uspokajającym gestem ręce.

– Posłuchaj, Ray, nie zamierzam nikogo tu przyskrzynić. Musisz bawić się w kreatywną księgowość, żeby utrzymać się na powierzchni? W porządku. Albo...

– To David – powiedział cicho.

– Co?

Ray zdjął nogi z biurka i opuścił ręce.

– David wysłał... – Twarz mu się wykrzywiła, jakby przeżuwał kwaśne tabletki; patrzył przez chwilę gdzieś w przestrzeń. Kiedy znów się odezwał, jego głos był niemal szeptem: – Człowiek uczy się nie mieć zaufania. Szczególnie w tym biznesie, gdzie każdy jest czarujący, każdy jest twoim przyjacielem, każdy cię kocha, dopóki nie pokażesz mu rachunku. David... przysięgam na Boga, zawsze wierzyłem, że jest inny. Ufałem mu.

– Ale?

– Ale... – Parsknął przy tym słowie, popatrzył na belki stropowe z pełnym rezygnacji uśmiechem. – Mniej więcej sześć tygodni przed wypadkiem David unieważnił polisę ubezpieczeniową. Nie na sprzęt, tylko na pracowników, włącznie ze sobą. Zbliżał się termin

raty kwartalnej i zamiast zapłacić, unieważnił ubezpieczenie. Jestem pewien, że ryzykował – wie pan, pożyczka od Paula, żeby zapłacić Peterowi, zainwestować pieniądze gdzieś indziej, może w steadicam.

– Tak go przypiliło?

– O, tak. Z finansami u mnie kiepsko, a tata chwilowo zamknął kuferek. Klienci są nam winni pieniądze i jak zapłacą, wyjdziemy na prostą, ale przez kilka ostatnich miesięcy było cienko. Rozumiem, dlaczego David to zrobił. Nie pojmuję tylko, dlaczego mi o tym nie powiedział i dlaczego forsa, którą zaoszczędził, nigdy nie opuściła konta firmy.

– Wciąż jest na koncie?

Przytaknął.

– Była, kiedy miał wypadek. Pokryłem z tych pieniędzy ubezpieczenie, zapłaciłem dwadzieścia procent za steadicam, na resztę zaciągnąłem pożyczkę.

– Ale jesteś pewien, że to David skontaktował się z firmą ubezpieczeniową?

Przez następnych kilka minut Ray nie mógł się zdecydować, czy wykopać mnie z biura, czy powiedzieć wszystko do końca. Wreszcie zdecydował się na to drugie, a ja byłem zadowolony, bo nie wiem, czy przeżyłbym wstyd, gdyby wywalili mnie na ulicę faceci, którzy częściej oglądali „Gwiezdne wojny", niż uprawiali seks.

Popatrzył wokół, by się upewnić, że nikt w magazynie nie zwraca na nas uwagi, a potem niewielkim kluczykiem otworzył dolną szufladę biurka. Grzebał jakiś czas w jej zawartości, wreszcie wyciągnął pojedynczą kartkę papieru i podał mi ją nad blatem.

Była to kopia listu Davida Wetterau do ich firmy ubezpieczeniowej. Jego treść sprowadzała się do tego, że Wetterau, szef finansowy firmy Pickup przy South Street, pragnie anulować ubezpieczenie zdrowotne pracowników, nie wyłączając siebie. U dołu widniał jego podpis.

Ray Dupuis wyjaśnił:

– Przysłali mi to z firmy ubezpieczeniowej, kiedy zwróciłem się do nich z prośbą o pokrycie kosztów leczenia Davida. Odmówili wypłacenia choćby centa. Wysupłałem, co mogłem, Karen też się dokładała, dopóki jeszcze mogła, a rachunki rosły. David nie miał rodziny, przypuszczam więc, że ostatecznie zapłaci za leczenie państwo, ale baliśmy się z Karen, że chłopak wyląduje w jakimś gównianym szpitalu. Staraliśmy się przez jakiś czas zapewnić mu pierwszorzędną opiekę, ale w końcu przekroczyło to możliwości dwóch osób.

– Znałeś dobrze Karen?

Przytaknął kilkakrotnie.

– Co o niej sądzisz?

– Dziewczyna, którą bohater zdobywa pod koniec filmu. Rozumie pan? Nie ta gorąca, seksowna babka, co to przysparza mnóstwa kłopotów, ale dobra dziewczyna. Taka, która nie przyśle ci listu pożegnalnego, kiedy jesteś na wojnie. Która zawsze jest gdzieś w pobliżu, trzeba tylko uważnie patrzeć i ją dostrzec. Jak Barbara Bel Geddes z „Zawrotu głowy", gdyby Jimmy Stewart był dość mądry, żeby widzieć cokolwiek poza jej okularami.

– Tak.

– W przypadku Karen wydawało się to trochę nierealne.

– Dlaczego? – nie rozumiałem.

– No cóż, nie spotyka się takich kobiet, chyba że w kinie.

– Twierdzisz, że tylko udawała niewinną?

– Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że nigdy nie byłem pewien, czy sama wie, kim jest. Czy przypadkiem nie próbuje tak bardzo stać się ideałem, że zagubiła swoją osobowość.

– A potem? Kiedy David uległ wypadkowi?

Wzruszył ramionami.

– Trzymała się przez jakiś czas, a potem się załamała, stary. Słowo daję, przykro było na to patrzeć. Przychodziła tutaj, a ja chciałem ją poprosić o prawo jazdy, żeby się upewnić, że mam do czynienia z tą samą osobą. Na ogół była pijana i to w trupa. Jedna wielka ruina. Tak jak... Wie pan, co się dzieje z człowiekiem, który traktuje życie jak film, a film się kończy?

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

– To tak jak z tymi dziećmi, co grają w filmach – powiedział. – Grają, dopóki mogą, ale walczą cały czas z dojrzewaniem i przegrywają. Pewnego dnia się budzą i nie są już dzieciakami ani gwiazdami filmowymi, nie ma już dla nich ról i toną.

– No a co z Karen?

Przez chwilę miał łzy w oczach, potem odetchnął głośno przez usta.

– Boże, złamała mi serce. Nam wszystkim. Żyła dla Davida. Każdy, kto widział ich choćby przez dwie sekundy, wiedział o tym. A gdy David uległ temu wypadkowi, umarła. Wystarczyły cztery miesiące, żeby jej ciało poszło w jego ślady.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, potem oddałem mu list do firmy ubezpieczeniowej. Wziął go ostrożnie do ręki i zaczął mu się przyglądać. W końcu uśmiechnął się gorzko.

– Nie ma P – oznajmił i potrząsnął głową.

– Co to znaczy?

Odwrócił kartkę, żebym mógł go zobaczyć.

– David miał na drugie Philip. Kiedy otwieraliśmy firmę, zaczął się nagle podpisywać z dużym P pośrodku. Tylko na dokumentach firmowych i czekach. Mówiłem, że to P znaczy „pretensjonalny". Nabijałem się z niego.

Spojrzałem na podpis.

– Ale tu nie ma P.

Przytaknął, a potem wrzucił list do szuflady.

– Chyba tego dnia nie czuł się dość pretensjonalnie.

– Ray

– Tak?

– Mógłbym dostać kopię tego listu i jakiś dokument z jego podpisem i P w środku?

Wzruszył ramionami.

– Jasne.

Znalazł jakąś notatkę służbową, którą sporządził David, podpisując się łącznie z długim, zakręconym P.

Podeszliśmy do brudnej kserokopiarki xerox. Wsunął list pod pokrywę.

– Co pan o tym myśli? – spytał.

– Jeszcze nie wiem.

Wyciągnął kopię z podajnika i wręczył mi.

– To tylko P, panie Kenzie, nic więcej.

Potem zrobił kopię notatki.

Przytaknąłem.

– Masz coś z własnym podpisem?

– Oczywiście.

Zaprowadził mnie z powrotem do biurka i wręczył notatkę, którą sporządził własnoręcznie i podpisał.

– Wiesz, na czym polega trik z fałszerstwem? – spytałem, biorąc od niego kartkę i odwracając ją do góry nogami.

– Charakter pisma?

Potrząsnąłem głową.

– Gestalt – psychologia postaci. Konfiguracja percepcji.

– Konfiguracja percepcji... – powtórzył.

– Widzisz podpis jako kształt, nie jako zbiór pojedynczych liter.

Posługując się piórem, dokładnie pod jego odwróconym do góry nogami podpisem, skopiowałem kształt widniejący nad czubkiem stalówki. Potem odwróciłem kartkę i

pokazałem mu swoje dzieło.

Spojrzał, otworzył usta i uniósł brwi.

– Nieźle. Rany.

– A to moja pierwsza próba, Ray. Pomyśl, co by było, gdybym poćwiczył.

7

Zadzwoniłem ponownie do Devina, budząc go swoim telefonem.

– Powiodło ci się z panną Diaz?

– Nie wyszło. Wiesz, jakie są dziewczyny.

– Nie mogę się doczekać telefonu od detektywów Thomas i Stapletona.

– Stapleton ma złotą odznakę detektywa. Nie gada z byle kim.

– Aha.

– Nawet jakbyś zobaczył na własne oczy Jamesa Hoffę, Stapleton nie zareagowałby na twój telefon.

– A Thomas?

– Jest bardziej sensowna. I dziś pracuje sama.

– Mam szczęście.

– Owszem, Irlandczyku. Co mogę powiedzieć? Zaczekaj chwilę. Dowiem się, gdzie jest.

Czekałem dwie czy trzy minuty, wreszcie się odezwał.

– Znowu jesteś mi coś winien. Nie muszę nawet o tym wspominać, prawda?

– Wiadomo – przyznałem.

– Jak zawsze. – Devin westchnął. – Detektyw Thomas jest akurat w Back Bay. Ma trupa. Śmierć z głupoty. Aleja na tyłach budynków między Newbury i Commercial Avenue.

– Przy której przecznicy?

– Dartmouth i Exeter. Nie baw się z nią w żadne gierki. To twarda sztuka, człowieku. Pogryzie cię i wypluje, nie mrugnąwszy nawet okiem.

Detektyw Joella Thomas wynurzyła się z alejki przy końcu Dartmouth Street i przeszła schylona pod taśmą policyjną, która odgradzała scenę przestępstwa, ściągając z dłoni lateksowe rękawiczki. Wyprostowała się i strzepnęła z hebanowej skóry resztki talku. Zawołała do jakiegoś faceta, który siedział na zderzaku furgonetki ekipy kryminalistycznej:

– Jest twój, Larry.

Larry nie podniósł nawet wzroku znad dodatku sportowego.

– Wciąż nie żyje?

– Coraz bardziej.

Joella ściągnęła drugą rękawiczkę, zauważyła, że stoję obok niej, ale nie oderwała wzroku od Larry'ego.

– Powiedział coś? – spytał Larry, przewracając stronicę gazety. Joella Thomas przesunęła w ustach dropsa.

– Wspomniany nieboszczyk?

– Tak.

– Że się naćpał.

– Dobra wiadomość. Szybko pójdzie. Powiem żonie. – Larry złożył gazetę i rzucił za siebie do wnętrza furgonetki. – Pieprzyć Soxow. Wie pani, o czym mówię?

Joella Thomas wzruszyła ramionami.

– Jestem kibicem hokeja.

– Pieprzyć Bruinsów – oświadczył Larry, odwracając się i grzebiąc w furgonetce.

Joella Thomas już miała odejść, ale jakby przypomniała sobie o mojej obecności. Zwróciła powoli głowę w moją stronę i popatrzyła na mnie przez lekko przyciemniane, złociste szkła okularów przeciwsłonecznych.

– Co jest?

– Detektyw Thomas? – wyciągnąłem do niej rękę.

Uścisnęła mi krótko dłoń i wyprostowała ramiona.

– Patrick Kenzie. Devin Amronklin pewnie wspomniał o mnie.

Przekrzywiła głowę, a ja usłyszałem, jak drops w jej ustach zagrzechotał o któryś z tylnych zębów.

– Nie mógł pan przyjechać na posterunek, panie Kenzie?

– Pomyślałem sobie, że tak będzie szybciej.

Wsunęła dłonie w kieszenie marynarki i odchyliła się na obcasach.

– Unika pan posterunków, odkąd załatwił pan gliniarza, co, panie Kenzie?

– Nie lubię być blisko więzienia.

– Uhm – mruknęła, odsuwając się, kiedy Larry i jeszcze dwaj ludzie z ekipy kryminalistycznej przeszli między nami.

– Pani detektyw – zwróciłem się do niej. – Naprawdę mi przykro, że moje śledztwo doprowadziło do aresztowania pani kolegi...

– Ple, ple, ple. – Joella Thomas pomachała mi przed nosem swoją długą ręką. – Niech go pan nie żałuje. Pochodził ze starej szkoły. Ze starej sitwy. – Odwróciła się w stronę

krawężnika. – Wyglądam jak ze starej szkoły?

– Nic podobnego.

Joella Thomas była szczupła i bardzo wysoka. Nosiła oliwkowy dwurzędowy kostium, pod spodem czarny T-shirt. Na piersi miała złotą odznakę zawieszoną na czarnej nylonowej tasiemce; pasowała do trzech złotych kolczyków w lewym uchu. Prawe było równie nagie i gładkie jak jej ogolona głowa.

Kiedy staliśmy na chodniku, narastający upał i poranna rosa unosiły się nad jezdnią w postaci rzadkiej mgiełki. Był wczesny niedzielny poranek i yuppie dopiero nastawiali ekspresy do kawy, a psiarze nie zdążyli jeszcze wyprowadzić na spacer swych ulubieńców.

Joella odwinęła folię z rolki dropsów i wyjęła jednego.

– Miętuska?

Podsunęła mi rolkę, a ja wziąłem dropsa.

– Dzięki.

Wsunęła opakowanie do kieszeni żakietu. Skierowała spojrzenie w głąb alejki, potem popatrzyła w górę, w stronę dachu.

Podążyłem za jej wzrokiem.

– Samobójca?

Pokręciła głową.

– Nieszczęśliwy wypadek. Poszedł na dach w czasie przyjęcia, żeby dać sobie w żyłę. Usiadł, wpakował igłę w rękę i popatrzył na gwiazdy. – Zaczęła naśladować kogoś, kto odchylił się za bardzo do tyłu. – Pewnie zobaczył kometę.

– O, rany – powiedziałem.

Joella Thomas oderwała kawałek babeczki i zanurzyła w ogromnym kubku herbaty, a potem wsunęła do ust.

– A więc chce się pan dowiedzieć czegoś o Karen Nichols.

– Tak.

Przeżuła kawałek w ustach, potem łyknęła herbaty.

– Myśli pan, że ktoś ją zepchnął?

– A zepchnął?

– Nie.

Usiadła wygodnie na swoim krześle i zaczęła się przyglądać starszemu człowiekowi na zewnątrz, który rzucał okruchy chleba gołębiom. Jego twarz była ściągnięta i drobna, nos zakrzywiony, co bardzo upodabniało go do ptaków, które karmił. Siedzieliśmy w Jorge's Cafe

de Jose, przecznicę od miejsca wypadku. Jorge serwował dziewięć rodzajów babeczek, pączki w piętnastu odmianach, porcje tofu i, jak się wydawało, monopolizował rynek otrąb.

– To było samobójstwo – powiedziała Joella Thomas i wzruszyła ramionami. – Czysta sprawa, śmierć od grawitacji. Żadnych oznak walki, śladów po czyichś butach w pobliżu miejsca, z którego skoczyła. Trudno o bardziej oczywisty przypadek.

– I jej samobójstwo miało sens?

– Pod jakim względem?

– Była załamana po wypadku chłopaka i tak dalej.

– Można tak założyć.

– I to wszystko?

– Ach, wiem, do czego pan zmierza. – Pokiwała, a potem pokręciła głową. – Samobójstwa? Rzadko mają sens. Coś panu powiem, ludzie, którzy je popełniają, nie zostawiają na ogół listu pożegnalnego. Robi to może z dziesięć procent. Reszta po prostu kończy ze sobą i nikt nie może zrozumieć dlaczego.

– Coś musi ich jednak łączyć.

– Samobójców? – Znów łyk herbaty, znów przeczący ruch głowy. – Wszyscy, oczywiście, są przygnębieni. Ale kto nie jest? Budzi się pan codziennie i myśli sobie, rany, jak fajnie być żywym?

Parsknąłem śmiechem i potrząsnąłem głową.

– Jasne – oznajmiła. – Też się tak nie budzę. A pańska przeszłość?

– Hę?

– Pańska przeszłość. – Machnęła na mnie łyżeczką, potem zamieszała herbatę. – Uporał się pan na dobre ze wszystkim, co przytrafiło się panu w przeszłości, czy też jest parę rzeczy – rzeczy, o których pan nie mówi – a które nie dają panu spokoju? Które sprawiają, że się pan krzywi, myśląc o nich dwadzieścia lat później?

Zacząłem się zastanawiać nad jej pytaniem. Raz, kiedy byłem jeszcze dzieckiem – miałem sześć czy siedem lat – dostałem od ojca pasem. Potem wszedłem do sypialni, którą dzieliłem z siostrą, zobaczyłem, że klęczy nad lalkami i walnąłem ją z całej siły w tył głowy. Wyraz jej twarzy – szoku, strachu, ale także nagłej, pełnej znużenia rezygnacji – wbił mi się w pamięć niczym gwóźdź. Nawet teraz, ponad dwadzieścia pięć lat później, jej dziecinna twarz pojawiła się nagle przede mną w kawiarni w Back Bay i poczułem falę wstydu tak głębokiego, że niemal ugiąłem się pod jego bezlitosnym ciężarem. A przecież chodziło w tym wypadku tylko o jedno wspomnienie. Lista była długa, nazbierało się przez całe życie błędów, fałszywych decyzji, nieprzemyślanych odruchów.

– Widzę to na pańskiej twarzy – zauważyła Joella Thomas. – Tkwią w panu kawałki przeszłości, z którymi nigdy się pan nie pogodzi.

– A pani?

Przytaknęła.

– O, tak. – Odchyliła się na krześle, spojrzała na wentylator pod sufitem, odetchnęła głośno. I powtórzyła: – O, tak. Rzecz w tym, że dotyczy to każdego. Wszyscy niesiemy swoją przeszłość, chrzanimy teraźniejszość i miewamy dni, kiedy się nam zdaje, że nie ma sensu brnąć w przyszłość. Samobójstwa to po prostu ludzie, którzy je popełniają. Mówią: „Jeszcze dłużej? Do diabła z tym. Czas wysiąść z autobusu". I w większości wypadków nikt nie wie, co ich do tego skłoniło. Miałam do czynienia z samobójstwami, które nie miały absolutnie żadnego sensu. Jak ta młoda kobieta w Brighton zeszłego roku. Według zgodnej opinii otoczenia kochała męża, dzieci, psa. Miała wspaniałą pracę. Była blisko związana z rodzicami. Nie musiała się troszczyć o pieniądze. Jest druhną na ślubie najlepszej przyjaciółki. Po weselu jedzie do domu, wiesza się w łazience, nawet nie zdejmując tej okropnej szyfonowej sukienki. Co ją tak dobiło? Coś na weselu? Kochała się w panu młodym? A może w pannie młodej? Albo przypomniała sobie własny ślub, te wszystkie nadzieje, jakie wtedy żywiła, i widząc, jak jej przyjaciele przysięgają sobie miłość, zrozumiała, że jej własne małżeństwo jest chłodne, że nie ma nic wspólnego z tamtymi marzeniami? A może po prostu zmęczyło ją przeżywanie tego cholernie długiego życia? – Joella nieznacznie wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Nikt nie wie. Mogę pana zapewnić, że żaden z jej znajomych – żaden – niczego się nie spodziewał.

Kawa mi wystygła, ale mimo wszystko się napiłem.

– Panie Kenzie – powiedziała Joella Thomas. – Karen Nichols popełniła samobójstwo. Nie ulega to wątpliwości. Traci pan czas, próbując się dowiedzieć dlaczego – co to da?

– Nigdy jej pani nie spotkała – zauważyłem. – To nie było normalne.

– Nic nie jest normalne – odparła Joella Thomas.

– Dowiedziała się pani, gdzie mieszkała przez dwa ostatnie miesiące?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Właściciel mieszkania to zgłosi, kiedy będzie chciał je komuś wynająć.

– A do tego czasu?

– A do tego czasu to ona nie żyje. Nie będzie miała pretensji o zwłokę.

Przewróciłem oczami, a ona zrobiła to samo. Potem się nachyliła, wlepiając we mnie spojrzenie tych swoich niesamowitych źrenic.

– Pozwoli pan, że o coś spytam?

– Pewnie – odparłem.

– Z całym szacunkiem, bo wygląda pan na przyzwoitego faceta.

– Niech pani strzela.

– Widział pan Karen Nichols... raz, nie mylę się?

– Tak, raz.

– I wierzy mi pan, kiedy mówię, że się zabiła, sama, bez niczyjej pomocy?

– Wierzę.

– W takim razie, panie Kenzie, dlaczego do cholery obchodzi pana, co się wydarzyło, zanim skończyła ze sobą?

Rozsiadłem się wygodnie.

– Ma pani czasem wrażenie, że coś pani schrzaniła i musi to naprawić?

– Pewnie.

– Karen Nichols zostawiła mi wiadomość na sekretarce cztery miesiące temu – wyjaśniłem. – Poprosiła, żebym oddzwonił. Nie zrobiłem tego.

– No i?

– No i powód, dla którego nie zadzwoniłem, nie był specjalnie ważny.

Zsunęła odrobinę okulary na grzbiet nosa i spojrzała na mnie ponad krawędzią szkieł.

– I wydaje się panu, że jest pan taki świetny... właściwie zrozumiałam? Że gdyby pan oddzwonił, to by dzisiaj żyła?

– Nie. Uważam, że jestem jej coś winien za to, że ją bez powodu zlekceważyłem.

Przyglądała mi się z lekko rozchylonymi ustami.

– Myśli pani, że jestem stuknięty.

– Myślę, że jest pan stuknięty. Była dorosła. Wiedziała...

– Jej narzeczonego potrącił samochód. To był wypadek?

Skinęła głową.

– Sprawdziłam. Kiedy się potknął, w pobliżu stało czterdziestu sześciu świadków, i wszyscy potwierdzili, że tak właśnie było – potknął się. Przecznicę dalej, przy skrzyżowaniu Atlantic i Congress, stał radiowóz. Policjanci ruszyli, jak tylko usłyszeli odgłos uderzenia i dotarli na miejsce jakieś dwadzieścia sekund później. Facet w samochodzie, który potrącił Davida Wetterau, był turystą. Nazywa się Steven Kearns. Był tak zdruzgotany, że do tej pory przysyła Davidowi kwiaty do szpitala. Codziennie.

– No dobra – powiedziałem. – Dlaczego Karen się załamała? Straciła pracę, mieszkanie?

– Oznaki depresji – wyjaśniła Joella Thomas. – Człowiek tak bardzo zamyka się w

swoim przygnębieniu, że zapomina o obowiązkach wobec świata.

Jakieś dwie kobiety w średnim wieku, w identycznych okularach słonecznych od Versacego, które jednakowo podciągnęły sobie na czubek głowy, przystanęły obok naszego stolika z tacami w rękach, szukając wzrokiem wolnych miejsc. Jedna z nich zerknęła na mój prawie pusty kubek kawy, na okruchy po babeczce Joelli i westchnęła głośno.

– Niezłe westchnienie – zauważyła Joella. – Długa praktyka?

Kobieta udała, że nie słyszy. Spojrzała na przyjaciółkę, która też westchnęła.

– Zaraźliwe – skomentowałem.

Jedna z kobiet zwróciła się do drugiej:

– Uważam, że niektórzy ludzie zachowują się niewłaściwe, a ty?

Joella uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– „Niewłaściwie" – powiedziała. – Mają ochotę nazwać mnie czarnuchem, więc mówią „niewłaściwie". Pasuje do nich.

Odwróciła głowę w stronę kobiet, które uparcie odwracały od nas wzrok.

– No nie? – spytała.

Kobiety znów wydały z siebie westchnienia.

– Uhm – mruknęła Joella, jakby na potwierdzenie czegoś. Podniosła się – Pójdziemy?

Popatrzyłem na resztki jej ciastka i herbatę, na swoją kawę.

– Niech pan to zostawi. Siostry się tym zajmą – powiedziała, a dostrzegając spojrzenie tej pierwszej, spytała: – Nie mam racji, złotko?

Kobieta skierowała wzrok w stronę lady.

– Tak – oznajmiła Joella Thomas z szerokim uśmiechem. – Zgadza się. „Siła kobiet", panie Kenzie, to wspaniała rzecz.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, kobiety wciąż stały obok stolika z tacami w dłoniach, czekając najwyraźniej, aż obsługa po nas uprzątnie i dalej ćwiczyły te swoje westchnienia.

Przeszliśmy się kawałek; poranny wietrzyk pachniał jaśminem, ulice zaczęły się zapełniać ludźmi, którzy trzymali w dłoniach pliki niedzielnych gazet, białe opakowania z kawą i pączkami, kubki soku.

– Dlaczego właściwie pana wynajęła? – spytała Joella.

– Ktoś za nią łaził.

– Załatwił pan z nim sprawę?

– Uhm.

– Myśli pan, że dotarło do niego?

– Tak mi się wtedy wydawało. – Przystanąłem, ona też się zatrzymała. – Pani

detektyw, czy Karen Nichols w ciągu kilku miesięcy przed śmiercią została zgwałcona albo napadnięta?

Joella Thomas przyglądała się badawczo mojej twarzy – być może szukała oznak demencji albo obsesji człowieka oddanego jakiejś autodestrukcyjnej misji.

– A jeśli tak, to znów się pan zabierze za tego jej prześladowcę?

– Nie.

– Naprawdę? A co pan zrobi?

– Przekażę swoje informacje przedstawicielowi prawa.

Uśmiechnęła się szeroko, błyskając przy tym najbielszymi zębami, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Akurat.

– Słowo daję.

Przytaknęła jakby samej sobie.

– Odpowiedź brzmi „nie". Nie została zgwałcona ani napadnięta, o ile mi wiadomo.

– Okej.

– Ale to nie wszystko, panie Kenzie.

– Tak?

– Jeśli to, co panu teraz powiem, przedostanie się do prasy, zniszczę pana.

– Rozumiem.

– Nie żartuję. Załatwię pana na całego.

– Przyjąłem do wiadomości.

Wsunęła dłonie w kieszenie marynarki i oparła się smukłymi plecami o słup latarni.

– Nie uważa mnie pan za przyjacielskiego gliniarza, co to skarży się każdemu prywatnemu detektywowi w mieście na tego policjanta, którego załatwił pan w zeszłym roku?

Czekałem.

– Nie lubił kobiet w mundurach, a już na pewno tych czarnoskórych. Jak któraś mu się stawiała, rozpowiadał, że jest lesbijką. Kiedy go pan załatwił, zaczęły się w komendzie przetasowania, a mnie przenieśli do wydziału zabójstw.

– Tu jest pani miejsce.

– Zasłużyłam na nie. A więc umówmy się, że to taki mały rewanż z mojej strony. Okej?

– Okej.

– Pańska nieżyjąca znajoma została dwukrotnie zatrzymana w Springfield za nagabywanie mężczyzn w celach nierządu.

– Puszczała się?

Joella Thomas skinęła głową.

– Owszem. Była prostytutką, panie Kenzie.

8

Matka i ojczym Karen Nichols, Carrie i Christopher Dawe, mieszkali w Weston. Ich obszerny dom stanowił replikę Monticello, kolonialnej siedziby Thomassa Jeffersona, i stał przy ulicy zabudowanej podobnie imponującymi domami z trawnikami wielkości Vancouver, które połyskiwały rosą z posykujących cicho spryskiwaczy. Wybrałem się do nich swoim porsche, które najpierw umyłem i nawoskowałem, ubrałem się w niezobowiązujący letni strój z rodzaju tych, jakie preferuje młodzież z serialu „Beverly Hills 90210" – lekką kaszmirową kamizelkę, nowiutki biały T-shirt, spodnie khaki od Ralpha Laurena i brązowe pantofle. Mając na sobie to ubranko, po trzech czy czterech sekundach dostałbym pewnie w łeb na Dorchester Avenue, ale tutaj wydawało się bardzo na miejscu. Gdybym tylko miał na nosie okulary słoneczne za pięćset dolarów i nie był Irlandczykiem, ktoś pewnie zaprosiłby mnie na golfa. Ale takie jest Weston – stało się najdroższym przedmieściem drogiego miasta za cenę utrzymania pewnych standardów.

Kiedy zbliżałem się kamienną ścieżką do drzwi frontowych domu państwa Dawe, otworzyli je na oścież i stanęli w progu, objęci ramionami jak Robert Young i Jane Wyatt na starej czarno-białej fotografii.

– Pan Kenzie? – spytał dr Dawe.

– Tak, proszę pana. Miło mi pana poznać.

Dotarłem do nich i dwa razy oddałem mocny uścisk dłoni.

– Jak się panu jechało? – spytała pani Dawe. – Mam nadzieję, że wybrał pan autostradę?

– Zgadza się, proszę pani. Jechało się doskonale. Praktycznie nie było ruchu.

– Wspaniale – oświadczył dr Dawe. – Proszę wejść, panie Kenzie, proszę wejść.

Był ubrany w spłowiały T-shirt i zmięte spodnie khaki. Jego ciemne włosy i kozią bródkę znaczyły wyraźne pasemka siwizny, uśmiech zaś miał ujmujący. Nie pasował do mojego wyobrażenia kapryśnego lekarza naczelnego z pokaźnym pakietem akcji i kompleksem Pana Boga. Bardziej przypominał kogoś, kto powinien czytać głośno poezję na Inman Square, popijając herbatę i cytując Ferlinghettiego.

Jego żona miała na sobie koszulę w czarno-szarą kratę i czarne elastyczne spodnie; jej

lśniące włosy były w kolorze żurawiny. Musiała mieć pięćdziesiątkę, tak mi się przynajmniej wydawało, biorąc pod uwagę to, co wiedziałem o Karen Nichols, ale wyglądała o dziesięć lat młodziej. No i w tym swobodnym stroju przypominała dziewczynę z college'u podczas swego pierwszego przyjęcia z nocowaniem, jakie urządzają koleżanki z koła studenckiego, kiedy to popija się wino z butelki i siedzi po turecku na podłodze.

Przeprowadzili mnie przez marmurowy hol, skąpany w bursztynowym świetle, obok białych schodów, które biegły ku górze zgrabnym łukiem, niczym łabędź wykrzywiający długą szyję, i zaprosili do przytulnego podwójnego gabinetu z drewnianymi belkami na stropie i stonowanymi wschodnimi dywanami na podłodze, pełnego staroświeckiej miękkości, którą oferowały skórzane krzesła z podłokietnikami a także sofa i fotele. Pokój był duży, choć początkowo nie robił takiego wrażenia – pomalowany na ciemny łososiowy kolor, zapełniony był książkami i płytami kompaktowymi. Triumfalnie kiczowate kanoe, postawione pionowo, pełniło rolę szafki na bibeloty, książki w miękkich oprawach z pomarszczonymi grzbietami i płyty winylowe, głównie z lat sześćdziesiątych – Dylan i Joan Baez obok Donovana i Byrds, Peter, Paul & Mary obok Blind Faith. Przestrzeń na ścianach, półkach i blatach zajmowały wędki, kapelusze i szczegółowe do bólu modele szkunerów. Za kanapą stał wyblakły wiejski stół, nad nim zaś dostrzegłem oryginały – tak przypuszczałem – Pollocka i Basquiata, a także litografię Warhola. Dwa pierwsze nie stanowiły dla mnie problemu, choć nigdy nie zamieniłbym na żaden z nich plakatu Marvina Marsjanina, który wisiał w mojej sypialni. Na szczęście siedziałem w takim miejscu, że nie musiałem patrzeć na Warhola. Uważam, że Warhol tak się ma do sztuki, jak Rush do muzyki rockowej, co oznacza z grubsza, że jest do niczego.

Biurko doktora Dawe zajmowało zachodni narożnik, nadstawka zawalona była pismami medycznymi, różnymi tekstami, modelami statków i mikrokasetami, które tworzyły wysoki stos wokół małego magnetofonu. Biurko Carrie Dawe zajmowało wschodni narożnik; było czyste i minimalistyczne, jeśli nie liczyć notatnika w skórzanej oprawie ze srebrnym piórem na wierzchu i kremowego pliku pokrytych pismem maszynowym kartek po prawej stronie. Dopiero teraz sobie uświadomiłem, że oba meble wykonano ręcznie, z północnokalifornijskiej sekwoi albo dalekowschodniego teku – trudno się było zorientować przy tym miękkim, rozproszonym świetle. Drewno – jak robi się to przy budowie chat z bali – zostało ręcznie obrobione i złożone w miejscu, gdzie leżakowało i rozszerzało się przez kilka lat, aż poszczególne kawałki przylgnęły do siebie dokładniej, niż mogły to zapewnić metalowe złącza. Dopiero wtedy wystawiono je na sprzedaż. Byłem gotów się założyć, że na prywatnej aukcji. Wyblakły wiejski stół, przy bliższej inspekcji, okazał się nie jakąś

podróbką, tylko meblem prawdziwie rustykalnym i francuskim.

Można powiedzieć, że pokój był przytulny – urządzony ze smakiem i z wypchanym portfelem.

Zająłem miejsce na jednym końcu sofy, a Carrie Dawe na drugim, siadając ze skrzyżowanymi nogami, jak się tego spodziewałem, po czym zaczęła wygładzać odruchowo frędzle afgana na oparciu i przyglądać mi się łagodnymi, zielonymi oczami.

Doktor Dawe usiadł na jednym z krzeseł z podłokietnikami i przysunął się do małego stolika, który nas rozdzielał.

– A więc, panie Kenzie, jest pan prywatnym detektywem, jak wspomniała mi żona.

– Tak, proszę pana.

– Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek jakiegoś spotkał, – Pogładził się po bródce. – Kochanie?

Carrie Dawe potrząsnęła głową i wycelowała we mnie zakrzywiony palec wskazujący.

– Pan jest pierwszy.

– O rany – odrzekłem z podziwem. – Coś takiego.

Doktor Dawe zatarł dłonie i wychylił się do przodu.

– Pańska ulubiona sprawa?

Uśmiechnąłem się.

– Tyle ich było...

– Doprawdy? Śmiało, niech pan opowiada.

– Szczerze mówiąc, sir, chętnie bym zaspokoił pańską ciekawość, ale nie mam za dużo czasu. Gdyby nie sprawiło to kłopotu, chciałbym zadać kilka pytań dotyczących Karen.

Przesunął dłonią po blacie stolika.

– Proszę bardzo, panie Kenzie. Proszę bardzo.

– Jak pan poznał moją córkę? – spytała cicho Carrie Dawe.

Odwróciłem głowę, napotkałem spojrzenie jej zielonych oczu i dostrzegłem jakby cień smutku w jej błyszczących źrenicach. Po chwili zniknął.

– Wynajęła mnie pół roku temu.

– Z jakiego powodu? – spytała.

– Była prześladowana przez pewnego mężczyznę.

– I powstrzymał go pan?

– Tak, proszę pani. Powstrzymałem.

– No cóż, dziękuję, panie Kenzie. Jestem pewna, że pomogło to Karen.

– Pani Dawe – zwróciłem się do niej. – Czy Karen miała jakichś wrogów?

Posłała mi pełen zdumienia uśmiech.

– Nie, panie Kenzie. Karen nie należała do dziewcząt, które mają wrogów. Była na to zbyt niewinną istotą.

Niewinną, pomyślałem. Istotą, pomyślałem.

Carrie Dawe przechyliła głowę w stronę męża, a on przejął od niej pałeczkę.

– Panie Kenzie, według policji Karen popełniła samobójstwo.

– Tak.

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego miałby pan wątpić w słuszność tego przekonania?

Potrząsnąłem głową.

– Żaden.

– Uhm – przytaknął sam sobie i zdawało się, że na chwilę odpłynął gdzieś myślami; jego spojrzenie przesunęło się po mojej twarzy, potem obiegło pokój. W końcu znów spojrzał mi w oczy. Uśmiechnął się i klepnął w kolano, jakby dochodząc do jakiegoś ostatecznego wniosku. – Myślę, że warto by się napić herbaty. Jak pan sądzi?

W gabinecie musiał być zainstalowany intercom albo też służba czekała tuż za drzwiami, bo ledwie wypowiedział te słowa, a do pokoju weszła niewysoka kobieta z tacą, na której niosła trzy mosiężne serwisy do herbaty. Była po trzydziestce i miała na sobie prosty strój – podkoszulek i szorty. Krótkie włosy o barwie zmatowiałego brązu sterczały jej na głowie niczym sztuczna murawa. Odznaczała się bladą i zaniedbaną cerą, policzki i broda były upstrzone trądzikiem, szyja plamista, skóra na ramionach sucha i złuszczona.

Wbijała wzrok w podłogę, stawiając tacę na stoliku.

– Dziękuję, Siobhan – powiedziała pani Dawe.

– Tak, proszę pani. Coś jeszcze?

Miała akcent jeszcze cięższy niż moja matka, poszczególne słowa były aż zniekształcone. Taką wymowę spotyka się tylko na dalekiej północy Irlandii, gdzie stoją rafinerie, a sadza unosi się niczym chmura.

Państwo Dawe nie odpowiedzieli. Z wielką uwagą zdejmowali po kolei elementy swoich herbacianych zestawów, pojemniczek ze śmietanką na samej górze, niżej z cukrem, a na dole z naparem, po czym zmieszali to wszystko w filiżankach tak delikatnych, że bałbym się kichnąć, nawet gdybym się znajdował dziesięć mil dalej.

Siobhan czekała cierpliwie, rzucając na mnie ukradkiem spojrzenia spod przymkniętych powiek, a po jej bladej szyi piął się rumieniec.

Doktor Dawe skończył nalewać sobie herbatę i zamieszał łyżeczką w filiżance. Uniósł

ją do ust, zauważył, że nie tknąłem swojego serwisu, potem dostrzegł po mojej lewej stronie służącą.

– Siobhan – zwrócił się do niej z uśmiechem. – Dobry Boże, dziewczyno, możesz odejść. Prawdę powiedziawszy, wyglądasz na zmęczoną. Dlaczego nie weźmiesz sobie wolnego popołudnia?

– Tak, doktorze. Dziękuję panu.

– To my dziękujemy – sprostował. – Herbata jest wspaniała.

Wyszła z pokoju lekko przygarbiona i gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, doktor Dawe oznajmił:

– Wspaniały dzieciak. Po prostu wspaniały. Jest u nas od chwili, gdy czternaście lat temu zeszła ze statku. Tak... – powiedział miękko. – A więc, panie Kenzie, zastanawialiśmy się, dlaczego bada pan sprawę śmierci mojej pasierbicy, skoro wszystko jest jasne?

Zmarszczył nos nad swoją filiżanką i pociągnął łyk herbaty.

– No cóż, proszę pana – odparłem, zdejmując z wierzchu mojej piramidy pojemnik ze śmietanką. – Bardziej mnie interesuje jej życie, prawdę mówiąc, ostatnie pół roku przed śmiercią.

– Dlaczego? – spytała pani Dawe.

Nalałem sobie do filiżanki trochę parującej herbaty, dodałem odrobinę cukru i śmietanki. W tej chwili moja matka na pewno przewróciła się w grobie – śmietanka była do kawy, mleko do herbaty.

– Nie zrobiła na mnie wrażenia samobójczyni – oznajmiłem.

– A czyż nie dotyczy to nas wszystkich? – spytała enigmatycznie Carrie Dawe.

Popatrzyłem na nią.

– Madame?

– W odpowiednich... czy raczej w „nieodpowiednich" okolicznościach, czyż wszyscy nie jesteśmy zdolni do samobójstwa? Tu tragedia, tam tragedia...

Pani Dawe przyglądała mi się znad filiżanki, a ja łyknąłem ze swojej, nim się odezwałem. Doktor Dawe miał rację, herbata była doskonała, mimo śmietanki, a może dzięki niej. Wybacz, mamo.

– Jestem pewien, że ma pani rację – przyznałem. – Ale upadek Karen wydaje mi się, jak by to powiedzieć, drastyczny.

– I opiera pan swoją opinię na intymnej znajomości? – spytał doktor.

– Słucham?

Wysunął w moją stronę filiżankę.

– Czy łączyły pana z moją pasierbicą stosunki intymne?

Obdarzyłem go, jak mi się zdawało, pełnym zmieszania spojrzeniem spod przymkniętych powiek, on zaś triumfalnie uniósł i opuścił brwi.

– Śmiało, panie Kenzie, nie chcemy źle mówić o zmarłych, ale wiemy, że aktywność seksualna Karen w ostatnich miesiącach była dość wysoka, by się tak wyrazić.

– Skąd pan wie?

– Karen zachowywała się ordynarnie – wyjaśniła pani Dawe. – Mówiła o tym z zaskakującą szczerością. Piła, zażywała narkotyki. Byłoby to jeszcze smutniejsze, gdyby nie wydawało się takie banalne. Raz nawet zrobiła propozycję mojemu mężowi.

Spojrzałem ponownie na doktora Dawe, a on przytaknął i odstawił filiżankę na stolik.

– O, tak. Ilekroć Karen wpadała, rozgrywały się tu sceny z Tennessee Williamsa.

– Nie mogę powiedzieć, bym dostrzegł w niej coś takiego – oznajmiłem. – No, ale z drugiej strony poznałem ją przed wypadkiem Davida.

– I jakie pan odniósł wrażenie? – zainteresowała się pani Dawe.

– Była miła i serdeczna. Owszem, może odrobinę za niewinna jak na ten świat, ale mimo wszystko niewinna, pani Dawe. Nie dostrzegłem w niej kogoś, kto mógłby skoczyć nago z ostatniego piętra Custom House.

Carrie Dawe wysunęła wargi i przytaknęła. Jej spojrzenie prześliznęło się obok mojej osoby, obok jej męża, ku jakiemuś punktowi wysoko na ścianie. Wzięła łyk herbaty, głośny jak kroki obutych stóp na jesiennych liściach.

– On pana przysłał? – spytała w końcu.

– Co? Kto?

Odwróciła głowę i wlepiła we mnie swoje zimne zielone oczy.

– Nie mamy pieniędzy, panie Kenzie. Wspomni mu pan o tym, dobrze?

Odpowiedziałem bardzo wolno:

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

Parsknęła śmiechem tak cichym, że zabrzmiał jak dzwoneczki na wietrze.

– Jestem pewna, że pan wie.

Lecz doktor Dawe wtrącił:

– Może i nie. Może i nie.

Popatrzyła na niego, a potem oboje spojrzeli na mnie i nagle uświadomiłem sobie obecność w ich oczach jakiegoś ugrzecznionego obłędu, pod wpływem którego naszła mnie chęć, by wyskoczyć ze skóry, wyrzucić swój szkielet przez okno i zwiać ulicami Weston, klekocąc przy tym ogłuszająco.

– Jeśli nie zjawił się pan tutaj, by wyciągnąć od nas pieniądze, panie Kenzie, to po co w takim razie? – spytał doktor.

Odwróciłem się w jego stronę, a światło padające na jego twarz przypominało raczej niezdrowy blask.

– Nie jestem przekonany, czy wszystko, co przytrafiło się państwa córce w ostatnich miesiącach jej życia, było przypadkowe.

Nachylił się, udając śmiertelną powagę.

– Przeczucie? Coś ci instynkt podpowiada, Starsky? – W jego oczach znów pojawił się ten maniakalny błysk. Doktor wyprostował się na krześle. – Daję ci czterdzieści osiem godzin na rozwiązanie tej sprawy, a jak ci się nie uda, to jeszcze tej zimy będziesz szlifował bruk jako zwykły posterunkowy. – Klasnął w dłonie. – No i jak mi wyszło?

– Staram się po prostu dowiedzieć, dlaczego państwa córka umarła.

– Umarła – odezwała się pani Dawe – ponieważ była słaba.

– To znaczy, proszę pani?

Uśmiechnęła się do mnie ciepło.

– To żadna tajemnica, panie Kenzie. Karen była słaba. Jak tylko coś jej nie wychodziło, od razu się załamywała. Moja córka, którą wydałam na świat, była słaba. Należało jej bezustannie dodawać odwagi. Przez dwadzieścia lat wymagała opieki psychiatrycznej. Potrzebowała kogoś, kto trzymałby ją za rękę i mówił, że wszystko będzie w porządku. Że świat nie jest taki zły. – Wyciągnęła dłonie, jakby chcąc powiedzieć: „Que sera, sera". – No cóż, świat jest zły. I Karen się tego dowiedziała. To ją zniszczyło.

– Badania dowodzą – wtrącił Christopher Dawe, nachylając się ku żonie – że samobójstwo to ze swej natury akt pasywno-agresywny. Słyszał pan o tym, panie Kenzie?

– Owszem.

– Że jego celem nie jest zadanie bólu sobie, lecz tym, którzy pozostają na ziemi. – Nalał sobie do filiżanki trochę herbaty. – Niech pan na mnie spojrzy, panie Kenzie.

Spojrzałem.

– Jestem intelektualistą. Odniosłem na tym polu niemałe sukcesy. – Jego ciemne oczy błysnęły dumą. – Jednakże, jako człowiek intelektu, odznaczam się być może pewnym niezrozumieniem potrzeb emocjonalnych, jakie przejawiają inni. Niewykluczone, że powinienem okazać pod tym względem większą pomoc Karen.

– Spisałeś się doskonale, Christopher – zapewniła go żona. Zbył ją gestem dłoni i wlepił we mnie spojrzenie.

– Wiem, że Karen nigdy się nie pozbierała po śmierci swego naturalnego ojca i patrząc

na to wszystko z perspektywy czasu, być może powinienem bardziej zapewnić ją o swojej miłości. Ale jesteśmy ułomnymi istotami, panie Kenzie. Każdy z nas. Pan, ja, Karen. A życie to przede wszystkim żal. A więc mogę pana zapewnić, że ja i moja żona będziemy żałować przez najbliższe lata tego wszystkiego, czego nie uczyniliśmy dla naszej córki. Lecz ten żal nie jest przeznaczony dla innych. Ten żal jest naszą sprawą, proszę pana. Podobnie jak utrata Karen. I bez względu na to, jaki jest cel pańskiej dziwnej misji, nie waham się panu oznajmić, że jest ona żałosna.

– Mogę zadać panu pytanie, panie Kenzie? – spytała pani Dawe.

Spojrzałem na nią.

– Oczywiście.

Odstawiła filiżankę na spodek.

– Czy to nekrofilia?

– Słucham?

– To zainteresowanie moją córką? – wyjaśniła, po czym wyciągnęła dłoń i otarła palce o krawędź stolika.

– Och, nie, proszę pani.

– Jest pan pewien?

– Jak najbardziej.

– To co w takim razie?

– Jeśli mam być szczery, proszę pani, to nie bardzo wiem.

– Proszę powiedzieć, panie Kenzie. Musi się pan czymś kierować.

Wygładziła spodnie na udach.

Poczułem się nagle nieswojo, odniosłem wrażenie, że pokój kurczy się wokół mnie. Zdawało mi się, że jestem bezsilny. Zwięzłe podsumowanie powodów, z jakich chciałem naprawić krzywdy, których ofiara nie mogła w żaden sposób skorzystać z moich wysiłków, jawiło się jako coś niemożliwego. Jak wyjaśnić w kilku zdaniach odruchy, które dyktują nam postępowanie i często określają nasze życie?

– Czekam, panie Kenzie.

Uniosłem bezradnie rękę, jakby wobec absurdalności tego, co zamierzałem powiedzieć.

– Wydała mi się osobą, która postępuje według wszelkich wymaganych reguł.

– I cóż to za reguły? – spytał doktor Dawe.

– Reguły społeczeństwa, jak sądzę. Miała pracę, otworzyła z narzeczonym wspólne konto, oszczędzała z myślą o przyszłości. Ubierała się i mówiła tak, jak nakazuje Madison

Avenue. Kupiła corollę, chociaż wolałaby camry.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziała matka Karen.

– Postępowała według zasad – wyjaśniłem. – A mimo to została zmiażdżona. Chcę tylko wiedzieć, czy doszło do tego przypadkiem.

– Mhm – mruknęła Carrie Dawe. – Dużo pan obecnie zarabia, walcząc z wiatrakami, panie Kenzie?

Uśmiechnąłem się.

– Takie jest życie.

Wlepiła wzrok w serwis do herbaty.

– Pochowano ją w zamkniętej trumnie.

– Proszę?

– Karen – wyjaśniła zwięźle. – Została pochowana w zamkniętej trumnie, bo tego, co z niej pozostało, nie można było wystawić na widok publiczny. – Spojrzała na mnie, a jej oczy błysnęły łzami w gęstniejącej szarości pokoju. – Już sam sposób dokonania samobójstwa świadczył o agresji, jak pan widzi, o chęci zadania nam bólu. Odebrała swym przyjaciołom i bliskim szansę, by ujrzeć ją po raz ostatni, opłakać, jak nakazuje obyczaj.

Nie miałem absolutnie pojęcia, co jej odpowiedzieć, więc siedziałem cicho.

Carrie Dawe skinęła znużona dłonią.

– Kiedy Karen straciła Davida a potem pracę i wreszcie mieszkanie, przyszła do nas. Po pieniądze. Chciała tu zostać. Nie ulegało wątpliwości, że brała już narkotyki. Odmówiłam – nie Christopher, panie Kenzie, tylko ja – finansowania jej egocentryzmu i nałogu. Nadal płaciliśmy za psychiatrę, ale zdecydowałam, że tak czy inaczej musi się nauczyć, jak dawać sobie radę. Teraz, z perspektywy czasu widzę, że być może był to błąd. Ale w identycznych okolicznościach postąpiłabym chyba tak samo. – Nachyliła się w moją stronę, zachęcając gestem, bym zrobił to samo. – Czy nie wydała się panu okrutna?

– Nie bardzo – wyznałem.

Doktor znów klasnął w dłonie. Zabrzmiało to jak strzał z wiatrówki.

– To było wspaniałe! Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak dobrze się bawiłem. – Wstał, wyciągnął rękę. – Ale wszystko, co dobre, szybko się kończy. Panie Kenzie, dziękujemy panu za świetną rozrywkę i mamy nadzieję, że niebawem odwiedzi nas pan ze swym wędrownym zespołem.

Otworzył drzwi i stanął wyczekująco.

Jego żona nie ruszyła się ze swego miejsca. Nalała sobie jeszcze herbaty. Mieszając ją z cukrem, odezwała się:

– Proszę na siebie uważać, panie Kenzie.

– Do widzenia, pani Dawe.

– Do widzenia, panie Kenzie – pożegnała mnie przeciągłym, śpiewnym głosem, dolewając sobie przy okazji śmietanki.

Doktor Dawe odprowadził mnie do holu, gdzie dopiero teraz zauważyłem zdjęcia. Kiedy wchodziłem do domu, znajdowały się po mojej lewej ręce, ale mając po obu bokach pana i panią Dawe, którzy wprowadzili mnie pospiesznie do gabinetu i zaskoczyli swoją serdecznością i wigorem, po prostu ich nie dostrzegłem.

Było ich co najmniej dwadzieścia i na wszystkich widniała jakaś ciemnowłosa dziewczynka. Niektóre przedstawiały ją w wieku niemowlęcym, inne jako kilkuletnie dziecko. Prawie każde z nich uwieczniało też młodszego doktora i Carrie – trzymali małą, całowali, śmiali się razem z nią. Na żadnym dziecko nie miało więcej niż cztery lata.

Klika zdjęć przedstawiało też Karen, bardzo młodą, z aparatem na zębach, ale nieodmiennie uśmiechniętą – blond włosy, idealna karnacja i aura nieskażonej doskonałości, typowa dla wyższych klas, która teraz, z perspektywy czasu, zdawała się odznaczać jakąś przejmującą rozpaczą. Gdzieniegdzie widać było wysokiego, szczupłego mężczyznę w młodym wieku. Włosy mu się przerzedzały, a zakola sięgały coraz wyżej na kolejnych fotografiach, wraz z dorastaniem dziecka, więc trudno było odgadnąć, ile ma lat. W każdym razie był po dwudziestce. Brat doktora, przyszło mi do głowy. Mieli ten sam kształt twarzy, jakby ściśniętego serca, i bystre, niespokojne spojrzenie, zawsze rozbiegane, rzadko nieruchome, więc patrząc na młodego człowieka na zdjęciach odnosiło się wrażenie, że obiektyw utrwalał jego wizerunek zawsze wtedy, gdy próbował odwrócić wzrok.

Przyglądałem się zdjęciom.

– Ma pan jeszcze jedną córkę, doktorze?

Stanął obok mnie i ujął mnie lekko za łokieć.

– Wie pan, jak dojechać z powrotem do autostrady, panie Kenzie?

– Ile ma teraz lat? – spytałem.

– Wspaniały kaszmir – zauważył doktor. – Od Neimana?

Skierował mnie do drzwi.

– Od Saksa – wyjaśniłem. – Kim jest ten młody człowiek? Brat? Syn?

– Saks – powtórzył, przytakując z zadowoleniem. – Mogłem się domyślić.

– Kto pana szantażuje, doktorze?

Jego radosne oczy poruszyły się niespokojnie.

– Niech pan jedzie ostrożnie, panie Kenzie. Mnóstwo szaleńców na drogach.

Mnóstwo pieprzonych szaleńców w tym domu, pomyślałem, kiedy delikatnie wypchnął mnie za drzwi.

9

Doktor Christopher Dawe stał na progu i odprowadzał mnie wzrokiem, kiedy szedłem do samochodu zaparkowanego za ciemnozielonym jaguarem. Nie wiem, co chciał przez to osiągnąć; może się bał, że jeśli nie będzie trzymał warty przy drzwiach, to wtargnę z powrotem do jego domu i splądruję łazienkę, zabierając małe kulki perfumowanego mydła? Usadowiłem się w porsche i poczułem, jak pod siedzeniem zachrzęścił mi papier. Sięgnąłem pod siebie, wyciągnąłem kartkę i położyłem na fotelu pasażera, wyjeżdżając tyłem na ulicę. Minąłem dom, kiedy doktor Dawe zamykał drzwi, podjechałem do następnej przecznicy ze znakiem stopu i rzuciłem okiem na karteczkę: „Kłamią. Szkoła średnia w Weston, jak najszybciej".

Pismo było zwarte, pospieszne, kobiece. Minąłem kolejne skrzyżowanie, wyciągnąłem mapę wschodniego Massachusetts spod siedzenia pasażera i wertowałem ją, aż znalazłem stronę z Weston. Szkoła średnia znajdowała się w sąsiednim kwadracie, mniej więcej osiem przecznic na wschód i dwie na północ.

Ruszyłem w tamtym kierunku przez nakrapiane słońcem ulice i znalazłem Siobhan, która czekała pod drzewem, na rogu kortu tenisowego, sąsiadującego z parkingiem. Ze spuszczoną głową podeszła do samochodu i usiadła na miejscu pasażera.

– Proszę skręcić w lewo – nakazała. – I to szybko, dobrze?

– Dokąd jedziemy? – spytałem.

– Daleko stąd. To miasto ma oczy, panie Kenzie.

Tak więc opuściliśmy Weston. Siobhan cały czas trzymała głowę nisko spuszczoną i obgryzała paznokcie. Od czasu do czasu podnosiła wzrok, żeby mi powiedzieć, że mam skręcić to w lewo, to w prawo, a potem znów się pochylała. Kiedy zaczynałem zadawać jej pytania, potrząsała głową, jakby ktoś mógł nas jakimś cudem podsłuchać w kabriolecie, jadącym z prędkością czterdziestu mil na godzinę po niemal pustych ulicach. Po kilku wskazówkach z jej strony skręciłem na parking za Saint's Regina College. Była to żeńska, prywatna szkoła katolicka, gdzie średnio zamożni, bogobojni ludzie umieszczali swoje córki w nadziei, że tam zapomną one jakimś cudem o seksie. Odnosiło to, oczywiście, odwrotny skutek; kiedy byłem studentem, odbyliśmy tam z kumplami kilka pielgrzymek w piątkowe

wieczory i wróciliśmy lekko pokiereszowani i nieco oszołomieni brutalnością dobrych katolickich dziewcząt i ich skrywanych apetytów.

Kiedy zaparkowałem, Siobhan wysiadła z samochodu. Zgasiłem silnik i ruszyłem za nią ścieżką, która prowadziła na czworokątny dziedziniec akademika. Szliśmy przez chwilę w milczeniu, podążając przez cichy i pusty campus niczym ocaleni po wybuchu bomby neutronowej; trawa i drzewa były wysuszone i pożółkłe. Szerokie budynki barwy czekolady i niskie wapienne mury wydawały się w jakiś sposób udręczone, jakby tęskniły za głosami, które niegdyś odbijały się od ich ścian. Miałem wrażenie, że słabną z każdą chwilą, bliskie roztopienia w tym upale.

– To źli ludzie.

– Państwo Dawe?

Przytaknęła.

– On myśli, że jest bogiem. Naprawdę.

– A czy nie myśli tak większość lekarzy?

Uśmiechnęła się.

– Chyba tak.

Doszliśmy do niewielkiego kamiennego mostku nad maleńkim stawem, który przybrał o tej porze roku srebrną barwę. Siobhan stanęła w połowie mostku i oparła łokcie na balustradzie. Przyłączyłem się do niej i oboje spojrzeliśmy w wodę; z jej metalicznej powierzchni spoglądały na nas nasze odbicia.

– Zły – powtórzyła Siobhan. – Uwielbia tortury – psychiczne tortury. Uwielbia pokazywać ludziom, jaki on jest inteligentny, a jacy oni głupi.

– A jak było z Karen?

Siobhan wychyliła szczupły tors poza balustradę mostu. Zaczęła obserwować swe odbicie w dole, jakby nie wiedząc, skąd się tam wzięło i do kogo należy.

– Och! – Wymówiła to niczym przekleństwo i potrząsnęła głową. – Traktował ją jak domowego zwierzaka. Nazywał swoją „głupiutką maleńką cebulką". – Wysunęła wargi i odetchnęła głośno. – Swoją „słodką, głupiutką, maleńką cebulką".

– Dobrze znałaś Karen?

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie. Od chwili, kiedy tu przyjechałam trzynaście lat temu. Była bardzo miłą osobą niemal do samego końca.

– A potem?

– Potem – powtórzyła beznamiętnie, wpatrzona w stado krzyżówek, które dreptały w

dół zbocza na przeciwległym brzegu stawu. – Potem była chyba odrobinę szalona. I chciała umrzeć, panie Kenzie. Tak bardzo.

– Chciała umrzeć czy być ocalona?

Odwróciła ku mnie głowę.

– A czy to nie to samo? Pragnienie ocalenia? Na tym świecie, tak? To jak...

Na jej drobnej twarzy dostrzegłem gorycz i bladość. Potrząsnęła kilka razy głową.

– Jak co?

Popatrzyła na mnie, jakbym był dzieckiem, które pyta, dlaczego ogień płonie albo dlaczego zmieniają się pory roku.

– To jak modlitwa o deszcz, prawda, panie Kenzie? – Uniosła dłonie, pokazując czyste białe niebo. – Modlitwa o deszcz na środku pustyni.

Opuściliśmy mostek i ruszyliśmy przez szerokie boisko do piłki nożnej, potem przez niewielki zagajnik porastający łagodne zbocza, w stronę akademika. Siobhan uniosła głowę, patrząc na wysokie budynki.

– Zawsze się zastanawiałam, jak by to było, gdybym poszła na uniwersytet.

– Nie studiowałaś w swoim kraju?

Potrząsnęła głową.

– Nie było pieniędzy. Nie byłam też najbystrzejsza, jeśli wie pan, co chcę powiedzieć.

– Opowiedz mi o państwu Dawe – poprosiłem. – Wspomniałaś, że to źli ludzie. Nie antypatyczni, tylko źli.

Przytaknęła i usiadła na kamiennej ławce. Wyciągnęła z kieszeni zmiętą paczkę papierosów i wysunęła ją w moją stronę. Kiedy potrząsnąłem przecząco głową, wyjęła pogiętego papierosa, wyprostowała go między palcami i zapaliła. Nim się odezwała, ściągnęła z czubka języka jakiś zabłąkany skrawek tytoniu:

– Pewnego roku wydali przyjęcie bożonarodzeniowe. Była akurat burza śnieżna i przyszło niewielu gości, zostało więc mnóstwo resztek. Wyniosłam je na śmietnik. O trzeciej nad ranem doktor Dawe wszedł do mojej sypialni, trzymając w ręku skórę indyka. Cisnął ją na moje łóżko. Wydarł się na mnie, że wyrzucam jedzenie. Zaczął wrzeszczeć, że dorastał w biednej rodzinie i że resztkami, które wyniosłam, żywiliby się przez tydzień. – Zaciągnęła się papierosem i znów usunęła drobinkę tytoniu z języka. – Kazał mi to zjeść.

– Co?

Przytaknęła.

– Usiadł na brzegu łóżka i zaczął mnie karmić, kawałek po kawałku, aż do rana.

– To...

– Niezgodne z prawem, oczywiście. Próbował pan kiedyś znaleźć pracę jako pomoc domowa, panie Kenzie?

Wytrzymałem jej spojrzenie.

– Jesteś tu nielegalnie, prawda, Siobhan?

Popatrzyła mi w oczy tym swoim beznamiętnym, posępnym wzrokiem, który mówił, że jeśli kiedykolwiek żywiła jakieś złudzenia, to już dawno je straciła podczas długich wędrówek.

– Myślę, że powinien pan ograniczyć pytania do kwestii, które pana interesują, panie Kenzie.

Uniosłem dłoń i przytaknąłem.

– A więc zjadłaś jedzenie ze śmietnika.

– Och, umył je – odparła z sarkazmem, który utkwił jej nagle w krtani. – Dał to jasno do zrozumienia. Umył je, nim przyszedł na górę i mnie nakarmił. – Uśmiechnęła się promiennie, aż napięła się jej szorstka, pokryta trądzikiem skóra. – Oto pański dobry doktor, panie Kenzie.

– Te jego prześladowania... – powiedziałem w końcu. – Czy kiedykolwiek przybrały formę przemocy fizycznej?

– Och, nie – zapewniła. – Nie w moim przypadku. I nie w przypadku Karen, jak sądzę. On pogardza kobietami, panie Kenzie. Wątpię, czy uważa nas za równe sobie. – Zastanawiała się przez chwilę, potem potrząsnęła stanowczo głową. – Nie. Spędziłam mnóstwo czasu z Karen przed jej śmiercią. Mówiąc szczerze, nie wylewałyśmy za kołnierz. Powiedziała mi o tym. Nie przepadała za ojczymem.

– Opowiedz mi o niej.

Założyła nogę na nogę, zaciągnęła się papierosem.

– Była wrakiem, panie Kenzie. Błagała, żeby przyjęli ją z powrotem na parę tygodni, rozumie pan. Błagała. Na kolanach, przed własną matką. A matka powiedziała: „Och, nie możemy, moja droga. Musisz się nauczyć...” jak się wyraziła? „...polegać na sobie”. O, właśnie. „Musisz się nauczyć polegać na sobie, moja droga”. Karen krzyczała coś okropnego, klęcząc u jej stóp, a matka kazała mi podać herbatę. Karen spotykała się ze mną, żeby pić, potem zaczęła podrywać obcych mężczyzn.

– Gdzie się wtedy zatrzymywała?

– W motelu – odparła Siobhan, a słowo to zabrzmiało żałośnie. – Nie wiem, jak się nazywał. Powiedziała, że jest na... prowincji. Tak to określiła.

Przytaknąłem.

– Tylko tyle mi powiedziała. Prowincja, motel. Myślę, że... – urwała. Potem popatrzyła na swoje kolano, rzuciła papierosa daleko od ławki.

– Co?

– Ni stąd, ni zowąd przez ostatnie dwa miesiące miała forsę. Gotówkę. Nie pytałam, skąd ją wzięła, ale...

– Podejrzewałaś...

– Prostytucja – dokończyła. – Nagle zaczęła bez skrępowania mówić o seksie. To było do niej zupełnie niepodobne.

– Tego właśnie nie rozumiem – przyznałem. – Sześć miesięcy temu była całkowicie inną osobą. Rozumiesz...

– Sama słodycz i niewinność, tak?

Przytaknąłem.

– Człowiek by nie uwierzył, że w tej głowie może kryć się choćby jedna brudna myśl.

– Otóż to.

– Zawsze się tak zachowywała. Tak niewinnie. To był chyba jej sposób, żeby radzić sobie jakoś z tym pieprzonym wariactwem w tym pieprzonym domu. Chociaż nie sądzę, żeby to było u niej wrodzone. Wydaje mi się, że pragnęła taka być.

– A ta kapliczka ze zdjęciami w holu? – spytałem. – Jest na nich jakiś młody facet, wygląda jak młodszy brat doktora, no i ta mała dziewczynka.

Westchnęła.

– Naomi. Jedyne dziecko, jakie mieli razem.

– Zmarła?

Siobhan przytaknęła.

– Dawno temu. Miałaby teraz czternaście lat, może piętnaście. Umarła tuż przed czwartymi urodzinami.

– Jak?

– Za domem jest niewielki staw. Była zima, a ona wbiegła za piłką prosto na lód. – Wzruszyła ramionami. – Załamał się.

– Kto jej pilnował?

– Wesley.

Ujrzałem w wyobraźni małe dziecko na zamarzniętej tafli, stało tam przez chwilę, sięgając po piłkę, a potem...

Poczułem lekki dreszcz.

– Wesley – powtórzyłem. – To młodszy brat doktora?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Syn. Doktor Dawe był wdowcem, kiedy poznał Carrie; wdowcem z jednym dzieckiem. Ona była wdową z jednym dzieckiem. Pobrali się, mieli własne, a potem umarło.

– A Wesley...?

– Nie miał nic wspólnego ze śmiercią Naomi – rzuciła z nutką gniewu w głosie. – Ale go obwiniali, bo miał jej pilnować. Spuścił ją na chwilę z oka, zgoda, a ona wbiegła na zamarznięty staw. Doktor winił swojego syna, bo nie mógł winić Boga, rozumie pan?

– Nie wiesz przypadkiem, jak mógłbym się skontaktować z Wesleyem?

Zapaliła kolejnego zmiętoszonego papierosa, potrząsając głową.

– Odszedł z rodziny dawno temu. Doktor nie pozwala wymawiać w domu jego imienia.

– Karen się z nim widywała?

Znów przeczący ruch głową.

– Odszedł... z dziesięć lat temu, jak mi się wydaje. Nikt chyba nie wie, co się z nim stało. – Zaciągnęła się lekko papierosem. – Co pan chce dalej robić?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Ale czekaj, coś sobie przypomniałem, Siobhan. Wspomnieli, że Karen chodziła do psychiatry. Znasz nazwisko tego lekarza?

Już miała zaprzeczyć ruchem głowy.

– Daj spokój – powiedziałem. – Musiałaś je słyszeć w ciągu tych wszystkich lat.

Otworzyła usta, potem potrząsnęła głową.

– Przykro mi, ale naprawdę sobie nie przypominam.

Wstałem z ławki.

– W porządku, dowiem się jakoś.

Siobhan patrzyła mi długą chwilę w oczy, dym z jej papierosa unosił się między nami. Była taka rzeczowa, tak pozbawiona wszelkiej beztroski, że zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek się uśmiecha. Może raz na kilka miesięcy. Albo na kilka lat.

– Czego pan szuka, panie Kenzie?

– Powodu, dla którego zginęła – odparłem.

– Zginęła, bo pochodziła z cholernej rodziny, która przypomina jakiś pieprzony horror. Zginęła, ponieważ David miał wypadek. Zginęła, bo nie umiała sobie z tym poradzić.

Uśmiechnąłem się bezradnie.

– Bez przerwy to słyszę.

– Więc dlaczego, jeśli wolno spytać, to panu nie wystarczy?

– Może w końcu wystarczy. – Wzruszyłem ramionami. – Na razie szukam, Siobhan. Staram się coś znaleźć, żebym mógł wreszcie powiedzieć: „Okej. Już rozumiem. Może w podobnej sytuacji zrobiłbym to samo”.

– Ach – rzuciła. – Taki z pana katolik. Zawsze szuka powodów.

Parsknąłem śmiechem.

– Jestem niepraktykujący, Siobhan. Permanentnie.

Przewróciła oczami, odchyliła się, a potem zaciągała się przez chwilę dymem.

Słońce sunęło za gęstymi białymi chmurami i Siobhan w końcu spytała:

– Szuka pan powodu, tak? To niech pan zacznie od człowieka, który ją zgwałcił.

– Słucham?

– Została zgwałcona, panie Kenzie. Sześć miesięcy przed śmiercią.

– Powiedziała ci?

Siobhan przytaknęła.

– Podała jego nazwisko?

Potrząsnęła głową.

– Ktoś jej obiecał, że facet się odczepi. Ale on to zrobił. Tylko tyle powiedziała.

– Pieprzony Cody Falk – szepnąłem.

– Kto to jest?

– Duch – odparłem. – Tyle że jeszcze o tym nie wie.

10

Następnego dnia Cody Falk wstał o szóstej trzydzieści i wyszedł na tylny taras swego domu w ręczniku kąpielowym, którym przepasał biodra, popijając poranną kawę. Znów odniosłem wrażenie, że pozuje dla jakichś urojonych wielbicieli; broda lekko uniesiona, filiżanka wysoko w górze, oczy nieco zamglone. Wszystko to widziałem przez lornetkę. Spoglądał na swoje podwórze jak na lenno. Byłem pewien, że w jego głowie odzywa się w tej chwili głos lektora z reklamy Calvina Kleina.

Podniósł pięść do ust, by stłumić ziewnięcie, jakby reklamówka zaczęła go nudzić, a potem wszedł niespiesznie do domu, zasunął za sobą szklane drzwi i zablokował od wewnątrz.

Opuściłem swój punkt obserwacyjny i podjechałem do następnej przecznicy. Zaparkowałem dwa domy od Cody'ego i ruszyłem do jego drzwi. Trzy godziny wcześniej znalazłem zapasowe klucze przytwierdzone magnesem do spodu rynny i teraz, posługując się nimi, wszedłem do środka.

Dom pachniał mieszanką potpourri, jakie ludzie kupują zwykle w kwiaciarniach, poza tym wnętrze wyglądało tak, jakby Cody zamówił wszystko z jednego katalogu. Było rustykalne w stylu na wskroś meksykańskim. Po lewej stronie stał komplet jadalny z drzewa wiśniowego. Nadruk na poduszkach krzeseł stanowił imitację rdzennie amerykańskich wzorów i pasował do chodnika na podłodze. Dębowa komoda i kredens z azteckimi ozdobami służyły Cody'emu za podręczny barek, który był świetnie zaopatrzony, głównie w butelki opróżnione w dwóch trzecich. Ściany pomalowano na ciemnozłoty kolor. Był to pokój, jakim posłużyłby się dekorator wnętrz, by wzbudzić podziw klienta. Wyjedź z Bostonu, Cody, i przenieś się do Teksasu, a od razu nabierzesz o sobie lepszego mniemania.

Usłyszałem prysznic na górze i wyszedłem z jadalni.

W kuchni, wokół stołu o grubym drewnianym blacie ustawiono cztery stołki barowe z wysokimi oparciami. Szafki z jasnego dębu były wypełnione do połowy, głównie kielichami z grubego szkła i mniejszymi, do martini. Zauważyłem też trochę warzyw w puszkach i wschodnie mieszanki ryżowe. Sądząc po pliku różnych menu z luksusowych sklepów i restauracji oferujących dania na wynos, oceniłem, że Cody rzadko gotował w domu. W

zlewie znalazłem dwa starannie opłukane z resztek jedzenia talerze, filiżankę po kawie i trzy kieliszki.

Otworzyłem lodówkę. Cztery butelki piwa, karton kawy z mlekiem i pojemnik ryżu zapiekanego z wieprzowiną. Żadnych przypraw, dodatków czy warzyw. Nic, co by wskazywało, że kiedykolwiek znajdowało się tu coś więcej niż piwo, kawa z mlekiem i chińszczyzna z poprzedniego wieczoru.

Przeszedłem ponownie przez jadalnię i przedpokój i poczułem woń skóry w salonie, jeszcze nim zdążyłem przekroczyć jego próg. Znów południowo-zachodni motyw – ciemne dębowe krzesła z prostymi, twardymi oparciami, wyłożone skórą barwy żurawiny. Stolik do kawy na przysadzistych nogach. Wszystko pachniało jak świeżo wypolerowane i nowe. Stos magazynów i lśniących reklamówek wydawał się charakterystyczny dla właściciela – „GQ", „Men's Helath", „Details", oczywiście, i katalogi „Brookstone", „Sharper Image", „Pottery Barn". Drewniane podłogi lśniły czystością.

Można było zrobić zdjęcie dolnej części domu i zamieścić w jakimś magazynie. Wszystko do siebie idealnie pasowało, a jednocześnie nie mówiło absolutnie nic o właścicielu. Błyszczące drewno podłóg podkreślało tylko mroczny chłód tego miejsca. Wnętrze urządzono z myślą o tym, by je podziwiać, a nie cieszyć się nim.

Prysznic na górze ucichł.

Wyszedłem z salonu i szybko pokonałem schody, zdejmując po drodze rękawiczki. Kiedy dotarłem na piętro, wyjąłem z tylnej kieszeni spodni ołowianą pałkę, nasłuchując pod drzwiami łazienki. Cody Falk wyszedł z kabiny i zaczął się wycierać. Plan był prosty: Karen Nichols została zgwałcona, gwałcicielem był Cody Falk – należało się upewnić, że Cody Falk nigdy więcej nikogo nie zgwałci.

Osunąłem się na jedno kolano i zajrzałem przez dziurkę od klucza do łazienki. Cody był zgięty w pasie i wycierał kostki u nóg; głowę miał zwróconą dokładnie w stronę drzwi. Znajdował się w odległości mniej więcej trzech stóp.

Kiedy otworzyłem drzwi kopniakiem, walnęły go w głowę; zatoczył się do tyłu i runął na tyłek. Spojrzał na mnie z dołu, a wtedy uderzyłem go pałką. W chwilę później uświadomiłem sobie, że człowiek na podłodze to nie Cody Falk.

Był jasnowłosy, postawny, zbyt szeroki w ramionach i klatce piersiowej. Osunął się bezwładnie na włoski marmur, wygiął plecy w łuk, a potem zaświszczał chrapliwie niczym tuńczyk wyrzucony z wody na pokład łodzi.

Do łazienki prowadziło dwoje drzwi – te, przez które wszedłem i drugie, po mojej lewej stronie, w których właśnie stanął Cody Falk. Był ubrany i trzymał w ręku stalowy klucz

do kół. Uśmiechnął się, wymierzając mi cios w głowę.

Cofnąłem się o krok, a wtedy facet na podłodze zacisnął ręce na moich kostkach. Cios Cody'ego minął mój oczodół o cal, ale trafił mnie w ucho; w głowie odezwały mi się wszystkie dzwony świata.

Facet na podłodze miał krzepę. Choć osłabiony moim atakiem, szarpnął mnie mocno za nogi. Nastąpiłem mu na głowę i walnąłem Cody'ego w usta.

Nie było to specjalnie dotkliwe uderzenie. Traciłem równowagę, dzwoniło mi w uchu, poza tym nigdy nie był ze mnie wielki bokser. Mimo wszystko zaskoczyłem Cody'ego; w jego oczach zapłonęła iskierka zdumienia i żalu nad sobą. Co ważniejsze, odepchnąłem go od siebie.

Facet na podłodze wrzasnął, kiedy stanąłem mu na głowie po raz drugi. Wyrwałem nogę z jego uchwytu i zrobiłem krok w stronę Cody'ego. Cody dotknął warg i znowu uniósł klucz.

Facet na podłodze zdołał chwycić mnie za nogawkę spodni i szarpnąć; zachwiałem się.

Cody sapnął ze zdumienia, kiedy padając podstawiłem mu pod cios głowę niczym balon, który zerwał się z uwięzi.

Wraz z drugim uderzeniem wszystko w łazience przybrało barwę rozkwaszonej szarości, a moje ramię uderzyło o ścianę.

Facet na podłodze dźwignął się na kolana i wpakował mi głowę w krzyż, Cody zaś rozpromienił się, unosząc klucz wysoko jak maczugę.

Nie pamiętam trzeciego ciosu.

– Co właściwie powinniśmy zrobić, Leonard?

– To, co już mówiłem, panie Falk. Wezwać policję.

– To nie takie proste, Leonard.

Otworzyłem oczy i ujrzałem wszystko podwójnie. Dwóch Codych Falków – jeden zwarty, drugi przezroczysty i widmowy – przemierzało tam i z powrotem kuchnię. Bębniło palcami po blatach szafek i cały czas oblizywało rozcięcie na spuchniętej górnej wardze.

Siedziałem na podłodze, plecami do ściany, opierając stopy o podstawę grubego drewnianego blatu. Ręce miałem wykręcone do tyłu i skrępowane w nadgarstkach. Poruszyłem palcami. Jakiś szpagat. Może niezbyt odpowiedni do wiązania ludzi, ale w tym wypadku skuteczny.

Cody i Leonard nie patrzyli na mnie. Cody chodził tam i z powrotem wzdłuż ciągu kuchennego. Leonard siedział na stołku barowym i przyciskał do karku ręcznik wypełniony

kawałkami lodu. Zauważyłem, że ma na szyi kilka czerwonych znamion; wielka szczęka sterczała mu z małej twarzy niczym u Lincolna na górze Rushmore. Facet napchany sterydami, jak się domyśliłem, taki, co to rzeźbi mięśnie i walczy z gorączką steroidową, dopóki stawów nie zaatakuje mu martwica. Wszystko po to, by zrobić wrażenie na babkach, których nie zdołałby już przelecieć, kiedy czas zrobiłby swoje.

– Facet włamał się do pańskiego mieszkania, panie Falk. Zaatakował nas obu.

– Uhm – mruknął Cody i dotknął ostrożnie górnej wargi. Zerknął na mnie z góry, jego podwójna głowa poruszyła się szybko, a ja poczułem, jak skręca mi się żołądek.

Napotkałem jego spojrzenie, kiedy uśmiechnął się szeroko i pomachał mi ręką.

– Witam ponownie, panie Kenzie.

Zacisnąłem wargi, by stłumić w ustach smak wacików zanurzonych w elektrolicie. Znał moje nazwisko, co oznaczało prawdopodobnie, że ma mój portfel. Niedobrze.

Przykucnął obok, a wtedy ten przezroczysty Cody stopił się odrobinę z tym zwartym, więc teraz patrzyłem jakby na półtora Cody'ego zamiast dwóch.

– Jak się czujesz?

Odpowiedziałem grymasem.

– Niezbyt dobrze, co? Będziesz rzygał?

Przełknąłem, czując w ustach smak żółci.

– Spróbuję się powstrzymać – mruknąłem.

Wykręcił głowę w stronę stołu.

– Leonard rzygał. Ma też paskudny siniak u dołu pleców po tym upadku na podłogę. Jest trochę wkurzony, Patrick.

Leonard spojrzał na mnie ze złością.

– A Leonard to kto?

– Ochroniarz. – Cody klepnął mnie w policzek, niezbyt mocno, ale i niezbyt delikatnie. – Kiedy mnie odwiedziliście, ty i twój przyjaciel, pomyślałem sobie, że potrzebuję pewnej ochrony.

– A federacja wrestlingu organizowała wyprzedaż używanego sprzętu? – spytałem.

Leonard nachylił się nad blatem i mięśnie na jego bicepsach nieco się rozluźniły.

– Gadaj tak dalej, świnio, a...

Cody uspokoił go gestem dłoni.

– Więc gdzie jest twój przyjaciel, Pat? Ten wielki głupek, który uwielbia walić ludzi rakietą tenisową.

Próbowałem wykręcić głowę w stronę frontowej części domu, ale za bardzo mnie

bolała, poza tym od razu poczułem mdłości.

– Na zewnątrz, Cody.

Cody potrząsnął głową.

– Nie, nie. Poszliśmy na spacer, kiedy ty sobie spałeś. Nikogo tam nie ma.

– Jesteś pewien?

W jego oczach pojawił się cień wątpliwości, lecz szybko zniknął.

– Zdążyłby już tu wparować, o ile się nie mylę.

– A jak już wparuje, to co zrobisz, Cody?

Cody wyciągnął zza paska trzydziestkęósemkę i pomachał mi bronią przed nosem.

– Zastrzelę go, oczywiście.

– Pewnie – odparłem. – To go tylko wkurzy.

Cody parsknął śmiechem, potem wsunął mi lufę w lewe nozdrze.

– Od kiedy mnie poniżyłeś, Pat, marzyłem o czymś takim. Stawał mi na samą myśl, żeby ci dołożyć, jeśli mam być szczery. Co ty na to?

– Myślę, że twoje strefy erogenne wymagają przeinstalowania.

Odciągnął kciukiem kurek i mocniej wepchnął mi lufę w nozdrze.

– I co, zabijesz mnie teraz, Cody? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Będę z tobą szczery. Myślałem, że zabiłem cię tam, na górze. Nigdy wcześniej nikogo nie znokautowałem. Nawet nie próbowałem.

– Głupim szczęście sprzyja. Gratulacje.

Uśmiechnął się i ponownie trzasnął mnie w policzek. Zamrugałem i gdy otworzyłem oczy, powrócili obaj Falkowie, ten przezroczysty po prawej, ten realny po lewej.

– Panie Falk – odezwał się Leonard.

– Mhm? – mruknął w odpowiedzi Cody, wpatrując się w moją skroń.

– Trzeba się zdecydować. Albo wzywamy policję, albo gdzieś go zabieramy i robimy z nim porządek.

Cody przytaknął, potem nachylił się, żeby bliżej się przyjrzeć mojej głowie z boku.

– Porządnie krwawisz.

– Na skroni?

Potrząsnął głową.

– Bardziej z ucha.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie jakby daleki, piskliwy szum w głowie.

– Z zewnątrz czy wewnątrz?

– I tu, i tu.

– Fakt, walnąłeś mnie kilka razy.

Wydawał się zadowolony.

– Dzięki. Chciałem się upewnić, że zrobiłem to właściwie.

Wysunął broń z mojego nosa i usiadł przede mną na podłodze, mierząc mi w twarz.

Kiedy tak siedział i patrzył, w jego umyśle zaczęła kiełkować jakaś idea, w oczach zaś pojawiła się lodowata determinacja, która wessała wszelkie ciepło z otoczenia.

Wiedziałem, co powie, jeszcze nim otworzył usta.

– A gdybyśmy tak naprawdę go zabili? – rzucił pytanie Leonardowi.

Leonard otworzył szeroko oczy i położył przed sobą ręcznik z lodem.

– No...

– Spodziewałbyś się premii, oczywiście – oznajmił Cody.

– No tak, jasne, panie Falk, ale powinniśmy to dokładnie przemyśleć.

– Po co? – Cody mrugnął do mnie znad trzydziestkiósemki. – Mamy jego portfel i kluczyki. To jego porsche stoi pod domem Lowensteinów. Wprowadzimy wóz do garażu, wsadzimy gościa do bagażnika i gdzieś wywieziemy. – Nachylił się i przesunął lufą po moich wargach. – I zastrzelimy... nie, zadźgamy go na śmierć.

Szeroko otwarte oczy Leonarda napotkały mój wzrok.

– Widzisz, Leonard – zwróciłem się do niego – Będziesz musiał mnie załatwić. Jak na filmach.

Cody wyciągnął dłoń i znowu trzepnął mnie w policzek. Zaczęło mnie to irytować.

– Trudno kogoś zabić – zauważył z pewnym wysiłkiem Leonard. – Ot, tak sobie, panie Falk.

– Niby dlaczego?

– To, hmm... no...

– To nie takie proste – zwróciłem się do Cody'ego. – Zawsze się o czymś zapomni.

– Na przykład? – spytał Cody, który zaczął wykazywać niejakie zainteresowanie.

– Na przykład o ludziach, którzy wiedzą, że tu jestem. Albo którzy by się domyślili, że tu jestem. Którzy by zaczęli cię szukać.

Cody parsknął śmiechem.

– No dobra, przekonajmy się, czy dobrze pamiętam – „Spalić restaurację i skopać pieprzony tyłek"? Czy tak?

– Na początek.

Cody zastanawiał się nad tym przez chwilę. Odchylił nieco głowę, przymknął powieki

i zaczął mi się przyglądać z rosnącym podnieceniem. Wydawał się lekko oszołomiony, jak dwunastolatek, który po raz pierwszy ogląda taniec erotyczny.

– Naprawdę mi się to podoba – oznajmił.

– Wielki Cody – powiedziałem. – Cieszę się razem z tobą.

Uniósł powieki i nachylił się do mnie. Poczułem w jego oddechu gorzką mieszaninę kawy i pasty do zębów.

– Już słyszę, jak wrzeszczysz. – Jego wąski język przesunął się w stronę rozcięcia na wardze. – Leżysz na plecach, wyginasz się, a ja dźgam cię nożem w pierś. – Wykonał w powietrzu gest zaciśniętą dłonią. – Wyciągam nóż i dźgam cię drugi raz. – Oczy mu błysnęły. – A potem trzeci. I czwarty. Drzesz się jak opętany, z piersi tryska ci krew, a ja cię dźgam.

Przeciął dłonią powietrze jeszcze kilka razy, wykrzywiając usta w szpetnym grymasie.

– Nie ma mowy... – zaczął Leonard, potem mu widocznie zaschło w gardle, bo urwał. Przełknął kilka razy. – Panie Falk? Nie ma mowy, żebyśmy wywieźli go stąd przed nocą, jeśli chcemy to zrobić. A do zmroku jeszcze kupa czasu.

Cody nie spuszczał ze mnie wzroku, przyglądając mi się tak, jak człowiek przygląda się mrówce, która próbuje na pikniku zwiać z okruchem ciasta.

– Wyniesiemy go przez garaż, wsadzimy do bagażnika.

– I co potem? – spytał Leonard. Musnął mnie wzrokiem i skierował spojrzenie na Cody'ego. – Będziemy go wozić cały dzień? W porsche z 63.? Panie Falk? Nie możemy tego zrobić w biały dzień. Nie da rady.

Cody przypominał małego chłopca, który dowiedział się w wieczór gwiazdkowy, że nie wolno mu rozpakować prezentów aż do rana. Odwrócił głowę i spojrzał na ochroniarza.

– Pękasz, Leonard?

– Nie, panie Cody. Staram się tylko pomóc.

Cody spojrzał na zegar wiszący nad moją głową. Potem skierował wzrok na podwórze. Popatrzył na mnie. Wreszcie walnął kilka razy otwartą dłonią o podłogę i wrzasnął:

– Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Uklęknął i uderzył z wściekłością w drzwi szafki. Potem rzucił się do przodu jak zwierzę i zaczął z wolna przysuwać twarz do mojej twarzy, aż nasze nosy zetknęły się ze sobą.

– Umrzesz – powiedział. – Rozumiesz, palancie?

Nie odpowiedziałem.

Cody wparł swoje czoło w moje.

– Spytałem, czy rozumiesz?

Posłałem mu beznamiętne, chłodne spojrzenie.

Po raź drugi naparł na mnie czołem.

Zacisnąłem zęby pod wpływem ostrych ukłuć bólu, które przeszyły mi czaszkę, i nadal milczałem.

Cody trzepnął mnie w twarz i dźwignął się z kolan.

– A gdybyśmy zabili go tutaj? Od razu?

Leonard uniósł swoje wielkie dłonie.

– Dowody, panie Falk. Dowody. Załóżmy, że jedna osoba wiedziała albo podejrzewała, że ma tu przyjść, a potem facet umiera. Zjawi się ekipa kryminalistyczna. Znajdą ślady tam, gdzie nigdy by się ich pan nie spodziewał. W szczelinach w progu samochodowym, których nie widzi pan gołym okiem, będą tkwiły fragmenty jego czaszki.

Cody nachylił się w stronę stołu. Przesunął dłonią kilka razy po ustach i odetchnął ciężko przez nos. W końcu powiedział:

– A więc przetrzymamy go tutaj do zmroku. Tak mi radzisz?

Leonard przytaknął.

– Zgadza się, proszę pana.

– A potem? Gdzie go zabierzemy?

Leonard wzruszył ramionami.

– Znam jedno wysypisko śmieci w Medford. Nadaje się.

– Wysypisko? – zainteresował się uradowany Cody. – Nie chodzi o jakiś gówniany śmietnik tylko o prawdziwe wysypisko?

– Prawdziwe wysypisko.

Cody rozważał to przez dłuższą chwilę. Okrążył kilkakrotnie stół. Odkręcił kran nad zlewem, ale zamiast zwilżyć dłoń i przesunąć nią po twarzy, nachylił się tylko i powąchał wodę. Przeciągnął się, aż napięły mu się mięśnie w dolnej partii pleców. Spojrzał na mnie kilka razy, zagryzając policzek od wewnętrznej strony.

– Dobra – oznajmił w końcu. – Zgoda. – Uśmiechnął się do Leonarda. – Ale to będzie super, no nie?

– To znaczy, proszę pana?

Falk klasnął mocno w dłonie, potem zacisnął je w pięści i wzniósł nad głową.

– O tym mówię! Leonard, mamy szansę dokonać czegoś monumentalnego. Monumentalnego, kurwa!

– Tak, proszę pana. A tymczasem? – spytał Leonard, opiekając się o stół. Wyglądał jak człowiek, któremu na łopatkach usadowiła się ciężarówka z naczepą.

Cody machnął ręką.

– A tymczasem mam to w dupie. Może pooglądać sobie z nami pornosy w salonie. Ugotuję jajka i będę go karmił łyżeczką. Ostatni posiłek skazańca i tak dalej.

Leonard nie miał najwyraźniej zielonego pojęcia, o czym bredzi Cody, ale przytaknął i odparł:

– Tak, proszę pana, doskonały pomysł.

Cody znowu osunął się przede mną na kolana.

– Lubisz jajka, Pat?

Napotkałem spojrzenie jego roześmianych oczu.

– Zgwałciłeś ją?

Przekrzywił głowę w lewo, przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń.

– Kogo?

– Wiesz kogo, Cody.

– A jak myślisz?

– Myślę, że z punktu widzenia logiki jesteś najbardziej podejrzany, bo w przeciwnym razie by mnie tu nie było.

– Pisała do mnie listy – powiedział.

– Co?

Skinął głową.

– Tego akurat nie wiedziałeś. Pisała do mnie, pytając, dlaczego nie odbieram jej sygnałów. A co, nie byłem dość męski?

– Bzdura.

Zachichotał i klepnął się po udzie.

– Nie, nie. To było naprawdę wspaniałe.

– Listy – powiedziałem. – Dlaczego Karen Nichols miałaby do ciebie pisać, Cody?

– Bo chciała tego, Pat. Aż się do tego paliła. Była spragniona kutasa jak one wszystkie.

Potrząsnąłem głową.

– Nie wierzysz mi? – spytał. – Hę? Zaczekaj, pokażę ci. Wyprostował się i podał broń Leonardowi, który spytał:

– Co mam...

– Zastrzel go, jak się ruszy.

– Jest związany.

– Płacę ci, więc kurwa nie dyskutuj.

Cody wyszedł z kuchni i po chwili jego kroki załomotały na schodach.

Leonard położył broń na szafce i westchnął.

– Leonard – odezwałem się.

– Nie gadaj do mnie, palancie.

– Jemu się to podoba coraz bardziej. Nie zamierza...

– Powiedziałem...

– ...ochłonąć do wieczora, jeśli na to liczysz.

– Powiedziałem, żebyś zamknął mordę.

– Zabić kogoś, myśli sobie, ale to fajne. Nowe doznanie.

– Zamknij się – warknął Leonard i przyłożył dłonie do oczu.

– A jak już to zrobi, Leonard, to co – myślisz, że jest tak mądry, że nie wpadnie?

– Mnóstwo ludzi nie wpada.

– Pewnie – przyznałem. – Ale tu chodzi o kompletnego kretyna. Spieprzy wszystko. Zabierze do domu jakieś trofeum, pochwali się przyjacielowi albo nieznajomemu w barze. I co wtedy, Leonard? Myślisz, że nie pęknie, jak się zjawi prokurator?

– Mówię ci, żebyś przymknął...

– Pęknie jak balon, Leonard. Wyda cię, jakby smarował tost masłem.

Leonard wziął do ręki rewolwer i wycelował we mnie.

– Zamknij się albo sam cię załatwię. Od razu.

– Okej – powiedziałem. – Jeszcze jedno, Leonard. Jeszcze...

– Przestań gadać do mnie po imieniu!

Opuścił broń, znowu przyłożył dłonie od oczu.

– ...jeszcze jedno i już siedzę cicho. Mam bardzo, bardzo złych przyjaciół. Módl się, żeby najpierw dorwały cię gliny.

Uniósł głowę, oderwał dłonie od oczu.

– Myślisz, że się boję twoich przyjaciół?

– Myślę, że zaczynasz się bać. I to jest niegłupie, Leonard. Siedziałeś kiedykolwiek?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Bzdura. Przypuszczam, że jesteś nawet w gangu, może w dwóch. North Shore, mówiąc ściśle.

– Odpieprz się – powiedział. – Myślisz, że mnie wystraszysz tą gadką? Mam czarny pas, pojebańcu. Siódmy stopień...

– Możesz sobie być bękartem samego Bruce'a Lee albo Jackie Chana, Leonard, a Bubba Rogowski i jego gang zjedzą cię jak szczury mieloną wołowinę.

Leonard wziął ponownie broń do ręki, kiedy usłyszał nazwisko Bubby. Nie wymierzył

we mnie. Po prostu trzymał rewolwer w dłoni.

Z góry dobiegł łomot kroków Cody'ego, który biegał po sypialni.

Leonard wypuścił powietrze przez gumowate wargi.

– Bubba Rogowski – wyszeptał, potem odchrząknął. – Nie. Nigdy o nim nie słyszałem.

– Jasne, Leonard. Jasne.

Leonard popatrzył na broń w swoim ręku. Potem spojrzał mi w twarz.

– Słowo daję, nie...

– Pamiętasz, jak załatwili Billycluba Mortona, Leonard? przypomnij sobie. Należał do North Shore.

Leonard skinął głową, a jego lewy policzek zadrgał nerwowo.

– Wiesz, kto załatwił Billycluba, prawda? To jedna z jego bardziej znanych robót. Słyszałem, że czaszka Billycluba wyglądała jak pomidor rozpieprzony ładunkiem dynamitu. Powiadali, że trzeba go było identyfikować po uzębieniu. Słyszałem...

– Okej – powiedział Leonard. – Okej, okej. Kurwa!

Z góry dobiegł odgłos wysuwanej szuflady i głośny okrzyk Cody'ego: „Eureka!".

Zwalczyłem pokusę, by rzucić pełne paniki spojrzenie przez ramię albo na sufit. Mój głos pozostał spokojny i cichy.

– Odejdź, Leonard – poprosiłem. – Weź broń i odejdź. Szybko.

– Ja...

– Leonard – syknąłem. – Albo gliny, albo Bubba Rogowski. Ktoś cię za to dorwie. Wiesz o tym. Cody to gówniarz. Koniec zabawy. Albo jesteś w tym do końca, albo odchodzisz.

– Nie chcę cię zabijać, człowieku – wyznał. – Ja tylko...

– Więc odejdź – doradziłem cicho. – Czas się kończy. Teraz albo nigdy.

Leonard wstał. Położył spoconą dłoń na blacie stołu i wziął kilka głębokich oddechów.

Wparłem się plecami w ścianę i dźwignąłem się do pionu. Kiedy tylko stanąłem, zakręciło mi się w głowie, a nos i usta ogarnęło odrętwienie.

– Zabierz broń – rzuciłem. – Spadaj.

Leonard spojrzał na mnie; jego twarz stanowiła maskę tępoty, strachu i zagubienia.

– Mhm... – potwierdziłem jego krystalizujący się zamiar.

Przesunął dłonią po ustach.

Wytrzymałem jego spojrzenie.

I wtedy Leonard pokiwał głową.

Stłumiłem westchnienie ulgi, które, wielkie niczym góra, chciało wyrwać mi się z

piersi.

Minął mnie i wyszedł przez oszklone drzwi, prowadzące na tylny taras. Nie obejrzał się za siebie. Kiedy znalazł się na zewnątrz, przyspieszył kroku, pochylił głowę i ruszył biegiem przez ogród, a potem wypadł przez boczną furtkę na ulicę.

„O jednego mniej", pomyślałem, potrząsając głową i wydymając policzki, by odzyskać ostrość widzenia.

Usłyszałem kroki Cody'ego, zbliżające się do schodów.

Pozostał jeszcze drugi...

11

Zrobiłem kilka przysiadów, żeby przywrócić krążenie w nogach i zaczerpnąć w płuca tyle tlenu, ile tylko mogłem.

Usłyszałem, że Cody jest już u szczytu schodów i zbiega na dół.

Przesunąłem się ostrożnie wzdłuż ściany ku narożnikowi kuchni.

Kiedy Cody dotarł na dół, znów zawołał: „Eureka!". Wyłonił się z korytarza i potknął o moją stopę. Z jego dłoni wyleciały kartki w pastelowych kolorach, kiedy runął na stołek barowy i walnął się biodrem i ramieniem o podłogę.

Wątpię, czy kiedykolwiek kopałem kogoś równie mocno jak teraz Cody'ego. Kopałem go w żebra i krocze, w brzuch, krocze, i głowę. Deptałem mu po zgięciu nóg, ramionach i kostkach. Jedna z nich wydała głośny trzask, pękając. Cody wbił twarz w podłogę i wrzasnął.

– Gdzie trzymasz noże? – spytałem.

– Moja kostka! Moja pieprzona kostka, ty...

Walnąłem go obcasem w skroń i znowu wrzasnął.

– Gdzie, Cody? Mam załatwić ci drugą kostkę?

Pomyślałem o broni wymierzonej w moją twarz, przypomniałem sobie spojrzenie jego oczu, kiedy postanowił mi odebrać życie i wymierzyłem mu jeszcze jednego kopniaka w żebra.

– Szuflada. Stół – wystękał.

Obszedłem blat na środku kuchni i stojąc plecami do szuflady, wysunąłem ją ostrożnie. Skaleczyłem się w palec na pierwszym napotkanym ostrzu, przesunąłem dłonią w stronę rękojeści noża i wyjąłem go.

Cody dźwignął się na kolana.

Obszedłem stół i stanąłem nad Falkiem, przesuwając ostrzem po więzach za plecami.

– Nie wstawaj, Cody.

Cody położył się na boku i podciągnął kolana pod brodę. Sięgnął ręką do kostki, syknął przez zęby i przekręcił się na plecy.

Przesuwałem nożem tam i z powrotem po szpagacie, czując, jak ostrze przecina go powoli, a nadgarstki oddalają się od siebie. Ciąłem dalej i obserwowałem Cody'ego, który

skręcał się na podłodze. Więzy na moich dłoniach puściły, nagle uwalniając nadgarstki.

Położyłem nóż na szafce i przez pełną minutę zataczałem rękami małe koła, by przywrócić w nich krążenie.

Patrzyłem na Cody'ego, który uniósł wysoko kostkę i złapał się za kolano, jęcząc głośno. Poczułem znużenie, które tak często mnie ostatnio nawiedzało – gorycz wywołaną tym, co zrobiłem i jaki się stałem, gorycz, która zagnieździła się w mojej krwi niczym zbłąkane komórki.

Wydawało się, że kiedyś, w młodości, miałem jeszcze nadzieję stać się kimś innym. Czyż nie? Co to za życie – użerałem się z ludźmi pokroju Leonarda i Cody'ego Falka, włamywałem się do domów, naruszając prawo, masakrowałem kostki istot ludzkich. Co z tego, że byli to osobnicy budzący wstręt?

Cody oddychał chrapliwie. Pierwszy szok już minął, a jego miejsce zajął ból.

Przestąpiłem go i podniosłem kolorowe kartki, które wypadły mu z ręki. Było ich dziesięć, wszystkie zaadresowane do Cody'ego i nagryzmolone po dziewczęcemu.

I wszystkie, bez wyjątku, podpisane przez Karen Nichols.

Cody,

Kiedy jesteś na siłowni, zdajesz się kochać swoje ciało równie mocno jak ja. Patrzę na Ciebie, kiedy ćwiczysz, patrzę na pot, który perli się na Twoim ciele i myślę o tym, żeby przesuwać językiem po Twoich udach. Zastanawiam się, kiedy spełnisz swoje obietnice. Czyżbyś wtedy, na parkingu, nie dostrzegł tego w moich oczach? Nikt Cię nigdy nie prowokował, Cody? Niektóre kobiety nie potrzebują zalotów, chcą, żeby brać je siłą. Żeby je łamać i niewolić. Chcę, żebyś się w nie wdarł, Cody, a nie wsuwał delikatnie. Nie bądź grzeczny, dupku. Chcesz tego? Chodź i weź sobie.

Jesteś do tego zdolny, Cody?

A może to tylko gadanie?

Czekam,

Karen Nichols

Pozostałe były utrzymane z grubsza w tym samym stylu – prowokacyjnym, proszącym; wyraźnie zachęcały Cody'ego do brutalnego działania.

Wśród listów znalazłem także karteczkę, którą Karen Zostawiła za wycieraczką wozu Cody'ego, tę samą, którą zwinąłem w kulkę i wepchnąłem mu w usta. Cody wygładził ją i

zachował na pamiątkę.

Teraz spojrzał na mnie z podłogi. Miał na ustach krew i złamany ząb, może nawet dwa. Wyraźnie się poruszyły, kiedy przemówił.

– Widzisz? Prosiła o to. Dosłownie.

Złożyłem dziewięć kartek i wsunąłem do kieszeni marynarki. Dziesiątą, razem ze świstkiem, który wepchnąłem mu w usta, wciąż trzymałem w ręku. Skinąłem głową.

– Kiedy ostatni raz uprawiałeś z Karen...hmm... seks?

– W zeszłym miesiącu. Podała mi swój nowy adres. W jednym z tych listów.

Odchrząknąłem.

– No i jak, Cody... było dobrze?

Przewrócił oczami.

– Ostro. Na całego. Dawno się tak dobrze nie bawiłem.

Chciałem przynieść ze schowka w wozie rewolwer i wpakować w niego cały bębenek. Chciałem zobaczyć, jak odrywają mu się kawałki ciała od kości.

Oparłem się na chwilę o ścianę, zamknąłem oczy.

– Protestowała? Broniła się?

– Oczywiście – przyznał. – To była gra. Trzymała się reguł, dopóki nie wyszedłem. Nawet płakała. Była zakręcona, totalnie oddana grze. Tak jak lubię.

Otworzyłem oczy, ale nie odrywałem wzroku od szafki i lodówki po przeciwnej stronie kuchni. Nie byłem w stanie przez jakiś czas patrzeć na Cody'ego. Po prostu nie mogłem.

– Zachowałeś sobie tę karteczkę, którą zostawiła ci za wycieraczką, Cody.

Trzymałem ją w opuszczonej dłoni, przy nodze. Kątem oka dostrzegłem, że uśmiechnął się zakrwawionymi ustami i poruszył głową, co miało oznaczać, że przytaknął.

– Oczywiście. To był początek gry. Pierwszy kontakt.

– Zauważyłeś jakąś różnicę między tą karteczką a listami?

Teraz spojrzałem na niego. Zmusiłem się.

– Nie – odparł. – A powinienem?

Kucnąłem przy nim, a on przekręcił w moją stronę głowę, by spojrzeć mi w twarz.

– Owszem, Cody, powinieneś.

– Dlaczego?

W lewej dłoni trzymałem list, w prawej karteczkę. Pokazałem mu.

– Bo nie zgadza się charakter pisma. Nie jest nawet podobny.

Próbował odsunąć się ode mnie, oczy wyłaziły mu na wierzch z przerażenia. Drgnął

gwałtownie, jakbym go już uderzył.

Kiedy wstałem, znów się przekręcił na podłodze, a potem położył płasko pod zlewem.

Nie ruszyłem się z miejsca, tylko patrzyłem, jak próbuje dosłownie wryć się w drewnianą szafkę. Potem wziąłem nóż z szerokim ostrzem i poszedłem do salonu. Znalazłem lampę z odpowiednio długim sznurem, przeciąłem go, wróciłem z nim do kuchni i związałem Cody'emu ręce na plecach.

– Co chcesz zrobić? – spytał.

Nie odpowiedziałem. Szarpnąłem go za ramiona i przywiązałem jeden koniec sznura do stalowej nogi lodówki. Była dość cienka, ale mocniejsza od czterech Codych, nawet jeśliby zaliczyli dzień gwałtu i ćwiczeń na siłowni.

– Gdzie mój portfel, kluczyki do wozu i reszta?

Wskazał głową szafkę nad kuchenką. Otworzyłem ją i znalazłem w środku swoje rzeczy.

Kiedy chowałem je do kieszeni, Cody oznajmił:

– Chcesz mnie torturować.

Potrząsnąłem głową.

– Już cię nie tknę, Cody.

Przywarł tyłem głowy do lodówki i zamknął oczy.

– Ale wykonam jeden telefon.

Cody otworzył oko.

– Widzisz, znam jednego faceta...

Cody przekręcił głowę, spojrzał na mnie.

– Powiem ci o nim, jak wrócę.

– Co? – spytał Cody. – Nie, powiedz teraz. Co to za facet?

Zostawiłem go w kuchni i ruszyłem w stronę rozsuwanych drzwi prowadzących na taras. Wyszedłem z podwórza przez wysoką drewnianą bramę, potem boczną ścieżką obszedłem dom. Podniosłem ze schodów poranne wydanie „Tribune", stałem przez chwilę i nasłuchiwałem odgłosów z sąsiedztwa. Cisza. Żywej duszy w pobliżu. Wciąż sprzyjało mi szczęście, więc postanowiłem wykorzystać je do końca. Ruszyłem w stronę porsche, wskoczyłem szybko do środka i zaparkowałem na podjeździe Cody'ego, przed garażem. Z prawej strony osłaniał mnie przed wścibskimi spojrzeniami dom Cody'ego a z lewej rząd grubych dębów i topoli, które wyznaczały granicę jego działki.

Wszedłem do garażu przez opuszczane drzwi, tak samo jak ostatnim razem z Bubbą i stojąc w chłodnym mroku obok audi Cody'ego, wystukałem na komórce pewien numer.

– McGuire – odezwał się męski głos z drugiej strony.

– Big Rich przy telefonie?

– Tu Big Rich.

Głos był teraz ostrożny.

– Hej, Big Rich, mówi Patrick Kenzie. Szukam Sully'ego.

– Cześć, Patrick! Jak leci?

– Po staremu.

– Słyszę, bracie. Dobra, poczekaj chwilę, Sully jest na zapleczu.

Stałem przez chwilę z telefonem przy uchu; po jakimś czasie Martin Sullivan podniósł słuchawkę w pokoju na tyłach knajpy McGuire'a.

– Sully.

– Cześć, Sul.

– Patrick. Jak się masz?

– Mam dla ciebie klienta.

– Bez jaj? Nie wciskasz kitu?

Nuta swobody w jego głosie ulotniła się bez śladu.

– Absolutnie – zapewniłem.

– I ktoś próbował mu przemówić do rozsądku?

– Uhm. Nawrócenie wydaje się mało prawdopodobne.

– Rzadko się zdarza – przyznał Sully. – Ta choroba jest jak wirus Ebola, człowieku.

– Tak.

– Czeka?

– Owszem. Nigdzie się nie wybiera.

– Wezmę coś do pisania.

Podałem mu adres.

– Posłuchaj, Sul, są tu pewne okoliczności łagodzące. Wątpliwe, ale zawsze.

– Więc?

– Więc nie ma mowy o trwałych uszkodzeniach. Tylko poważnych.

– W porządku.

– Dzięki, stary.

– Nie ma sprawy. Będziesz tam?

– Zniknę, zanim się zjawisz – odparłem.

– Dzięki za cynk, bracie. Jestem ci dłużny.

– Nic nikomu nie jesteś dłużny, chłopie.

– Pokój z tobą.

Odłożył słuchawkę.

Wziąłem z półki rolkę taśmy izolacyjnej i wszedłem do domu przez wewnętrzne drzwi. Znalazłem się w pomieszczeniu rekreacyjnym, pustym, jeśli nie liczyć stairmastera na środku i kilku sztang na podłodze. Ruszyłem dalej i otworzyłem drzwi do kuchni, po czym zrobiłem dwa kroki i znów stanąłem nad Codym Falkiem.

– Co to za facet? – spytał z miejsca. – Powiedziałeś, że znasz jednego faceta. O kim mówiłeś?

– To bardzo ważne, Cody – uprzedziłem.

– Jaki facet?

– Przestań o nim gadać. Jeszcze do tego wrócimy. A teraz posłuchaj, Cody.

Spojrzał na mnie – uprzejmy, nieszkodliwy, uczynny – a w jego oczach tkwił strach niczym szaleństwo.

– Chcę usłyszeć szczerą odpowiedź. Nie będę cię w tym wypadku winił. Chcę tylko wiedzieć. To ty czy nie ty zniszczyłeś samochód Karen Nichols?

Na jego twarzy pojawiło się to samo zaskoczenie, które dostrzegłem tamtego wieczoru, kiedy odwiedziliśmy go z Bubbą.

– Nie – odparł stanowczo. – To... to nie w moim stylu. Po co miałbym rozpieprzać komuś nowy samochód?

Przytaknąłem. Mówił prawdę.

Ten sam cichy dzwonek odezwał się w mojej głowie tamtego wieczoru w garażu, ale wtedy byłem zbyt wściekły na Cody'ego za jego numery, żeby cokolwiek usłyszeć.

– Nie zrobiłeś tego, prawda? – upewniłem się.

Potrząsnął głową.

– Nie. – Spojrzał na swoją kostkę. – Mogę dostać trochę lodu?

– A nie chcesz posłuchać o tym facecie?

Przełknął, poruszając przy tym jabłkiem Adama.

– Kto to jest?

– Miły gość na ogół. Normalny facet, pracuje, ma prywatne życie. Ale dziesięć lat temu jacyś dwaj skurwiele włamali się do jego domu i zgwałcili mu żonę i córkę, kiedy go nie było. Nigdy ich nie złapano. Żona doszła do siebie, co się czasem udaje silnym kobietom po spotkaniu z takimi dupkami jak ty. Z córką było inaczej, Cody. Zamknęła się w sobie i odpłynęła. I teraz, dziesięć lat później, przebywa w zakładzie dla psychicznie chorych. Nie mówi. Patrzy tylko w przestrzeń. Ma w tej chwili dwadzieścia trzy lata, a wygląda na

czterdzieści. – Kucnąłem przed Codym. – Wracając do naszego faceta. Od tamtej pory, ilekroć słyszy o jakimś gwałcicielu, zbiera, jakby to powiedzieć, swoją grupę, tak to chyba można nazwać, i razem... Słyszałeś kiedykolwiek o tym gościu z D Street – znaleźli go kilka lat temu, krwawił ze wszystkich otworów ciała, a obciętego fiuta miał w ustach?

Cody uderzył tyłem głowy o lodówkę i zakrztusił się.

– Widzę, że znasz tę historię – zauważyłem. – To nie miejska legenda, to fakt, Cody. Zrobił to mój kumpel ze swoimi ludźmi.

– Proszę – powiedział Cody. Jego głos był szeptem.

– „Proszę”? – Uniosłem brwi. – Dobre. Spróbuj to powiedzieć, jak będziesz gadał z tym facetem i jego przyjaciółmi.

– Proszę – powtórzył. – Nie rób tego.

– Przećwicz to sobie – doradziłem. – Już prawie chwyciłeś.

– Nie – jęknął Cody.

Rozwinąłem ze trzydzieści centymetrów taśmy z rolki i oderwałem zębami.

– Myślę, że w przypadku Karen masz coś na swoje usprawiedliwienie. Dostawałeś te listy, a że jesteś głupi... – urwałem, wzruszając ramionami.

– Proszę – powiedział. – Proszę, proszę, proszę.

– Ale było mnóstwo innych kobiet, prawda, Cody? Takich, które nigdy o to nie prosiły. Które nigdy nie wniosły oskarżenia.

Cody próbował opuścić powieki, bym nie dojrzał prawdy w jego oczach.

– Zaczekaj – wyszeptał. – Mam pieniądze.

– Przeznaczysz je na terapeutę. Będziesz go potrzebował, jak mój kumpel i jego przyjaciele pogadają z tobą.

Zakleiłem mu usta, a on wybałuszył oczy.

Próbował wrzasnąć, ale jego głos skutecznie tłumiła taśma. Zabrzmiał bezradnie.

– Bon voyage, Cody. – Ruszyłem w stronę oszklonych drzwi. – Bon voyage.

12

Ksiądz celebrujący o dwunastej w południe mszę u świętego Dominika od Najświętszego Serca zachowywał się tak, jakby miał bilety na mecz Soxów o pierwszej. Wraz z wybiciem dwunastej ojciec McKendrick przemierzył główną nawę w towarzystwie dwóch ministrantów, którzy musieli zdrowo wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć. Przemknął przez powitanie wiernych, wyznanie grzechów i kolektę, jakby Biblia, z której czytał, paliła mu się w rękach. Przeleciał przez List Św. Pawła do Rzymian, jakby jego autor wypił za dużo kawy. Kiedy miał już za sobą Ewangelię według świętego Łukasza i skinął na wiernych, by usiedli, było siedem po dwunastej i większość obecnych w kościele miała już dosyć.

Ksiądz chwycił się ambony obiema dłońmi i spojrzał na rzędy ławek z chłodem w oczach, który graniczył z pogardą.

– Św. Paweł napisał: „Odrzućmy więc uczynki ciemności, a przyobleczmy się w zbroję światła”[1]. Jak wam się wydaje, cóż to znaczy – odrzucić uczynki ciemności, przywdziać zbroję światła?

Kiedy jeszcze chodziłem do kościoła regularnie, tę część mszy lubiłem najmniej. Ksiądz zwykle starał się wyjaśnić głęboko symboliczny język sprzed ponad dwóch tysięcy lat, a potem nawiązać do muru berlińskiego, wojny wietnamskiej, precedensowej sprawy sądowej o aborcję, szans miejscowej drużyny hokejowej na zdobycie pucharu Stanleya. Wykańczał słuchaczy rozległością swych horyzontów.

– No cóż, znaczy dokładnie to, o czym mówi – oznajmił ojciec McKendrick, jakby zwracał się do sali pełnej pierwszoklasistów. – To znaczy, wstań z łóżka. Porzuć ciemność swego zepsucia, małostkowych sporów, nienawiści do sąsiadów i nieufności wobec współmałżonka, przyzwolenia, by dzieci twe wychowywała i niszczyła telewizja. Wyjdź na zewnątrz, powiada Paweł, na świeże powietrze! Na światłość dnia! Bóg to księżyc i gwiazdy, i bez wątpienia słońce. Poczujcie ciepło słońca. Przekażcie je dalej. Czyńcie dobre rzeczy. Dajcie więcej niż zwykle na ofiarę. Poczujcie, jak Pan przez was przemawia. Przekażcie ubrania, które wam się podobają – podkreślił to słowo – do przytułków. Poczujcie w sobie

[1] List do Rzymian 13, 12, Biblia Tysiąclecia, wyd. trzecie.

Pana. On jest bowiem zbroją światła. Idźcie i czyńcie, co słuszne. – Uderzył dla większego efektu w ambonę. – Czyńcie to, co jest światłem. Pojmujecie?

Rozejrzałem się po ławkach. Kilka osób przytaknęło. Jakoś nie odniosłem wrażenia, by ktokolwiek miał pojęcie, o czym ojciec McKendrick mówi.

– A więc doskonale – oznajmił. – Dobrze. Powstańcie wszyscy.

Wstaliśmy. Zerknąłem na zegarek. Dokładnie dwie minuty.

Najkrótsze kazanie, jakie w życiu słyszałem. Ojciec McKendrick zdecydowanie miał bilet na dzisiejszy mecz Soxów.

Wierni wyglądali na nieco oszołomionych, ale poza tym byli zadowoleni. Jeśli katolicy kochają coś bardziej niż Boga, to właśnie krótkie nabożeństwa. Niech sobie będzie muzyka organowa, chór, kadzidło i śpiewnik. Ale daj nam księdza, który jednym okiem zerka na Biblię, a drugim na zegarek, a wypełnimy kościół jak sklep, gdzie można wylosować darmowego indyka na tydzień przed Świętem Dziękczynienia.

Kiedy kościelni ruszyli między ławkami z wiklinowymi koszykami w dłoniach, ojciec McKendrick przemknął jak burza przez ofiarowanie i podniesienie, z wyrazem twarzy, który powiedział dwóm jedenastoletnim ministrantom, że to nie rozgrywki młodzików, to mecz reprezentacji, więc przyspieszcie grę, chłopcy, i idźcie na całego.

Jakieś trzy i pół minuty później, tuż po galopadzie przez Ojcze Nasz, wielebny McKendrick polecił nam przekazać, sobie znak pokoju. Nie wyglądał z tego powodu na uszczęśliwionego, ale zasady to zasady, jak mi się wydaje. Uścisnąłem dłonie męża i żony, którzy siedzieli obok mnie, a także trzech starszych mężczyzn w ławce z tyłu i dwóch starszych kobiet przede mną.

Uchwyciłem przy okazji spojrzenie Angie. Siedziała przede mną, dziewięć rzędów od ołtarza i gdy odwróciła się, by uścisnąć dłoń pulchnego nastolatka za jej plecami, dostrzegła moją postać. Po jej twarzy przemknął jakby cień zdziwienia, odrobina radości i urazy, a po chwili Angie pochyliła się nieznacznie, dając do zrozumienia, że mnie poznała. Nie widziałem jej od pół roku, ale po męsku oparłem się pokusie, by pomachać do niej, wydając radosny okrzyk. Byliśmy, bądź co bądź, w kościele, gdzie głośne oznaki uczucia wzbudzają dezaprobatę. Co więcej, byliśmy w kościele ojca McKendricka i miałem wrażenie, że gdybym się wydarł, to posłałby mnie do piekła.

Upłynęło jeszcze siedem minut i byliśmy na zewnątrz. Gdyby zależało to od ojca McKendricka, uwinęlibyśmy się w ciągu czterech, ale kilku starszych parafian guzdrało się w czasie komunii. Ojciec McKendrick patrzył, jak drepcą ku niemu ze swoimi balkonikami, a wyraz jego twarzy mówił: Bóg może ma mnóstwo czasu, ale ja nie.

Stojąc na chodniku przed kościołem, obserwowałem Angie, która wyszła ze świątyni i stanęła u szczytu schodów, by porozmawiać ze starszym dżentelmenem w bawełnianym, prążkowanym garniturze. Uścisnęła mu drżącą dłoń obiema rękami, nachyliła się, kiedy coś do niej powiedział, wreszcie się uśmiechnęła, kiedy umilkł. Przyłapałem tego pulchnego trzynastolatka, jak wygląda zza ramienia matki, by zajrzeć w dekolt Angie, kiedy się nachylała do faceta w garniturze. Chłopak poczuł na sobie mój wzrok i odwrócił się, by na mnie spojrzeć, a jego pokryta trądzikiem twarz oblała się rumieńcem dobrej, starej katolickiej winy. Pogroziłem mu surowo palcem i szczeniak przeżegnał się pospiesznie, po czym wlepił wzrok w swoje buty. Wiedziałem, że następnej niedzieli będzie się spowiadał z grzechu nieczystości. Będąc w tym wieku, miał ich na sumieniu pewnie z tysiąc.

Odmówisz sześćset razy Zdrowaś Mario, synu.

Tak, ojcze.

Oślepniesz, jak będziesz to robił, synu.

Tak, ojcze.

Angie przeciskała się przez tłum wiernych zalegający stopnie kościoła. Odsunęła palcami grzywkę sprzed oczu, choć wystarczyło po prostu unieść wyżej głowę. Była jednak pochylona, kiedy do mnie podchodziła, być może lękając się, że wyraz jej twarzy mnie uszczęśliwi albo złamie mi serce.

Obcięła włosy. Na krótko. Wszystkie te bujne sploty głębokiego brązu, znaczone rudawymi pasemkami późną wiosną i latem, grube jak sznury pukle, które spływały jej na plecy i rozsypywały się na poduszce, jej i mojej, i które wymagały godzinnego czesania, jeśli szykowała się na wieczór – zniknęły; zastąpiła je krótka czupryna, opadającą na policzki i kończąca się na karku.

Bubba zapłakałby, gdyby wiedział. No, może by nie zapłakał. Raczej zastrzelił kogoś. Jej fryzjera na początek.

– Ani słowa o moich włosach – oznajmiła, unosząc głowę.

– Jakich włosach?

– Dzięki.

– Nie, nie, mówię poważnie – jakich włosach?

Jej karmelowe oczy przypominały ciemne rozlewiska wody.

– Co tu robisz?

– Słyszałem, że można pospać w czasie kazania.

Przestąpiła z nogi na nogę.

– Aha.

– Mogę do ciebie wpaść? – spytałem.

Zacisnęła wargi.

– Ustaliliśmy po ostatniej wizycie, że telefon wystarczy. Nie pamiętasz?

W jej oczach mignął cień krzywdy, zakłopotania i urażonej dumy.

Ostatnia wizyta wypadła zimą. Spotkaliśmy się na kawę. Zjedliśmy lunch. Przeszliśmy do drinków. Jak to starzy znajomi. Potem znaleźliśmy się nagle na dywanie salonu w jej nowym mieszkaniu; nasze głosy przybrały nagle chrapliwy ton, ubrania wylądowały w jadalni. Był to gniewny, pełen smutku, gwałtowny, porywający, pusty seks. A potem, z powrotem w jadalni, kiedy zbieraliśmy z podłogi swoje rzeczy, czując, jak zimowy chłód wsysa żar naszych ciał, Angie oznajmiła:

– Mam kogoś.

– Kogoś?

Znalazłem swoją bluzę pod krzesłem i wciągnąłem ją przez głowę.

– Kogoś innego – wyjaśniła. – Nie możemy tego robić. To musi się skończyć.

– Więc wróć do mnie. Do diabła z kimś innym.

Naga od pasa w górę i wkurzona z tego powodu, popatrzyła na mnie, rozplątując ramiączka stanika, który znalazła na stole w jadalni. Jako facet miałem mniejszy problem – mogłem się ubrać znacznie szybciej; wystarczyło znaleźć bokserki, spodnie i bluzę i już byłem gotów do wyjścia.

Angie, zmagając się ze stanikiem, sprawiała wrażenie opuszczonej.

– Nie wychodzi nam, Patrick.

– Pewnie, że wychodzi.

Stanik znalazł się na swoim miejscu, kiedy z ciężkim uczuciem ostateczności zapięła go na plecach i zaczęła penetrować krzesła w poszukiwaniu swetra.

– Nie wychodzi. Chcemy, ale nie wychodzi. Te wszystkie drobnostki? Świetnie sobie radzimy. Ale sprawy zasadnicze? Do niczego.

– No a ty i Ktoś? – spytałem, wkładając buty. – Klawo pod każdym względem?

– Może i tak, Patrick. Może i tak.

Podniosłem z podłogi marynarkę.

– Jeśli z Kimś jest tak simpatico, to co robiliśmy przed chwilą w salonie?

– To był tylko sen – wyjaśniła.

Zerknąłem na dywan.

– Miły sen.

– Może – przyznała bezbarwnym głosem. – Ale to już koniec.

Było późne styczniowe popołudnie, kiedy od niej wyszedłem.

Miasto wydawało się odarte z wszelkich barw. Pośliznąłem się na lodzie i przytrzymałem pnia jakiegoś czarnego drzewa, żeby nie upaść. Stałem tak przez dłuższą chwilę z dłonią na chropowatej korze. Stałem i czekałem, aż wypełni mnie poczucie jakiegoś sensu.

W końcu ruszyłem dalej. Zrobiło się ciemniej i zimniej, a ja nie miałem rękawiczek. Nie miałem rękawiczek, a wiatr się wzmagał.

– Słyszałaś o Karen Nichols – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem, kiedy szliśmy razem pod szumiącymi drzewami w Bay Village.

– A kto nie słyszał?

Popołudnie było chmurne, muskane wilgotnym wietrzykiem, który pieścił skórę i wnikał w pory ciała niczym mydło, pachnąc rzęsistym, gwałtownym deszczem.

Angie zerknęła na grubą masę gazy i bandaży, która spowijała moje ucho.

– Co się stało, tak na marginesie?

– Ktoś mi przyłożył kluczem francuskim. Żadnego pęknięcia, po prostu porządny siniak.

– Krwotok wewnętrzny?

– Trochę. – Wzruszyłem ramionami. – Przepłukali to na ostrym dyżurze.

– Założę się, że był niezły ubaw.

– Po pachy.

– Sporo obrywasz, Patrick.

Przewróciłem zirytowany oczami i postarałem się odejść od tematu mojej sprawności fizycznej lub jej braku:

– Muszę dowiedzieć się więcej o Davidzie Wetterau.

– Dlaczego?

– Skierowałaś do mnie Karen Nichols za jego pośrednictwem. Zgadza się?

– Tak.

– Jak go poznałaś?

– Otwierał interes. Razem ze wspólnikiem zwrócił się do Sallisa & Salka z prośbą o sprawdzenie przyszłych pracowników.

Sallis & Salk, gdzie obecnie pracowała Angie, był ogromną, stosującą najnowocześniejsze techniki firmą ochroniarską, która zajmowała się wszystkim, od ochrony głów państwa po instalowanie systemów alarmowych i monitorowanie. Większość

pracowników stanowili byli policjanci lub agenci FBI; wszyscy bez wyjątku prezentowali się znakomicie w ciemnych garniturach.

Angie przystanęła.

– A twoja sprawa, Patrick?

– Z technicznego punktu widzenia nie istnieje.

– Z technicznego – powtórzyła, potrząsając głową.

– Angie – powiedziałem. – Mam powody przypuszczać, że pech, który prześladował Karen przez ostatnie miesiące jej życia, nie był przypadkowy.

Oparła się o żelazną poręcz ogrodzenia przed jakąś kamienicą z piaskowca. Przesunęła dłonią po krótkich włosach; wydawało się, że na chwilę osłabła z upału. Zgodnie z pradawnym obyczajem, który wpoili jej rodzice, Angie zawsze ubierała się do kościoła odświętnie. Tego dnia miała na sobie kremowe plisowane spodnie z lnu, białą jedwabną bluzkę bez rękawów i niebieską jedwabną marynarkę, którą zdjęła, gdy tylko ruszyliśmy na spacer.

Nawet po tej masakrze, jakiej dokonała na swoich włosach (no dobra, może nie była to masakra; wyglądało to w rzeczywistości całkiem atrakcyjnie, jeśli ktoś nie widział jej wcześniej), nadal była porywająca.

Spojrzała na mnie zdziwiona, a jej usta przybrały doskonale owalny kształt niewypowiedzianego pytania.

– Pewnie mi powiesz, że zwariowałem – zauważyłem.

Pokręciła z wolna głową.

– Jesteś dobrym detektywem. Nie zmyśliłbyś sobie tego.

– Dzięki – odparłem cicho. Fakt, że przynajmniej jedna osoba nie podaje w wątpliwość sensu mojego śledztwa, sprawił mi większą ulgę, niżbym się spodziewał.

Znów ruszyliśmy przed siebie. Bay Village znajduje się w South End i bywa nazywana pogardliwie Gay Village przez homofobów i zapalonych obrońców wartości rodzinnych, a to dlatego, że w okolicy spotyka się pary tej samej płci. Angie przeprowadziła się tutaj zeszłej jesieni, w kilka tygodni po opuszczeniu mojego mieszkania. Ta część Bostonu leżała o trzy mile od mojego Dorchester, ale równie dobrze mogła znajdować się po drugiej stronie Plutona. Bay Village – kilka kwartałów wypełnionych kamienicami o półkolistych czekoladowych fasadach i wyłożonych czerwonym brukiem, jest wciśnięte między Columbus Avenue i Mass Pike. Podczas gdy pozostała część South End staje się coraz bardziej modna – galerie, kawiarnie i bary pienią się jak chwasty, a mieszkańcy, którzy ocalili teren przed miejską degradacją w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, są wypierani przez

zamiejscowych, pragnących kupić tanio i sprzedać po miesiącu drożej – Bay Village wydaje się ostatnim bastionem minionej epoki, kiedy to wszyscy sąsiedzi znali się nawzajem. Jakby na potwierdzenie powszechnej opinii, większość napotykanych przez nas ludzi stanowiły gejowskie albo lesbijskie pary, na ogół z psami. Wszyscy oni machali do Angie, wymieniali słowa powitania i uwagi o pogodzie, czasem jakąś plotkę z sąsiedztwa. Pomyślałem sobie, że ludzi łączą tu prawdziwe więzy, o wiele silniejsze niż gdziekolwiek indziej, również w mojej dzielnicy. Ci ludzie znali się nawzajem i chyba przejawiali troskę w stosunku do siebie. Jeden z facetów napomknął, że przegonił dwóch chłopaków, których zauważył zeszłego wieczoru przy samochodzie Angie i zasugerował, by założyła sobie autoalarm. Może się nie znam, ale wydało mi się to uosobieniem systemu wartości rodzinnych i zacząłem się zastanawiać, jak ci wszyscy dobrzy chrześcijanie, tak zagnieżdżeni w sterylności swych przedmieść, mogą się uważać za wzór owych cnót, skoro nie znają nawet nazwisk ludzi mieszkających cztery domy dalej.

Powiedziałem Angie wszystko, czego się zdołałem dowiedzieć o ostatnich miesiącach życia Karen Nichols – o jej pogłębiającym się uzależnieniu od alkoholu i narkotyków, o sfałszowanych listach, pisanych rzekomo jej ręką i wysyłanych do Cody'ego Falka, o mojej pewności, że to nie on zniszczył jej samochód, o gwałcie i aresztowaniu za namawianie do nierządu.

„Jezu" – powiedziała, kiedy doszedłem do gwałtu, ale reszty wysłuchała w milczeniu, kiedy kluczyliśmy uliczkami South End, a potem przeszliśmy przez Huntington Avenue, by ruszyć przez rozległy teren kościoła scjentystów z połyskliwą sadzawką i kopulastymi budynkami.

Kiedy umilkłem, Angie spytała:

– Więc dlaczego tak cię interesuje David Wetterau?

– To jakby pierwsza zerwana nić. Od tego momentu zaczął się upadek Karen.

– I myślisz, że ktoś go pchnął pod samochód?

Wzruszyłem ramionami.

– W normalnej sytuacji, przy czterdziestu sześciu świadkach, miałbym wątpliwości, ale zakładając, że tego właśnie dnia teoretycznie nie miał prawa przebywać w okolicy tamtego skrzyżowania i gdy jeszcze pojawiły się te listy, które ktoś wysyłał Cody'emu, jestem przekonany, że zrobiono wszystko, by zniszczyć Karen Nichols.

– I doprowadzić ją do samobójstwa?

– Niekoniecznie, choć nie wykluczam tego. Podejrzewam raczej, że ktoś był zdecydowany rujnować w coraz większym stopniu jej życie.

Skinęła głową; usiedliśmy na brzegu sadzawki i Angie zaczęła bezwiednie przesuwać palcami po wodzie.

– Wetterau i Ray Dupuis założyli swoją wypożyczalnię sprzętu filmowego, a Sallis & Salk sprawdzili wszystkich pracowników i stażystów. Okazali się czyści.

– A Wetterau?

– To znaczy?

– Został sprawdzony?

Spojrzała na swoje odbicie w szklanej wodzie.

– Zatrudnił nas.

– Ale nie był zamożny. Jeździł garbusem, a Karen mi powiedziała, że kupili corollę, bo nie mogli pozwolić sobie na camry. Czy Ray Dupuis poprosił o sprawdzenie swojego wspólnika?

Obserwowała przez chwilę maleńkie fale, które wzbudzała ruchem palców.

– Tak – potwierdziła, nie odrywając wzroku od wody. – Wetterau został sprawdzony. I był czysty jak łza.

– Czy macie w firmie kogoś od grafologii?

– Pewnie. Przynajmniej dwóch specjalistów. Dlaczego pytasz?

Wręczyłem jej dwie próbki podpisu Davida – jedną z P i drugą bez tej litery.

– Mogłabyś mi wyświadczyć przysługę i sprawdzić, czy oba podpisy wyszły spod tej samej ręki?

Wzięła ode mnie kartki.

– Chyba tak.

Odwróciła się, podciągnęła kolana, oparła na nich brodę i zaczęła mi się przyglądać.

– Co? – spytałem.

– Nic. Patrzę.

– Widzisz coś dobrego?

Znów obróciła głowę w stronę kościoła: gest lekceważenia, który mówił, że flirt nie wchodzi dziś w rachubę.

Kopnąłem kamienne obramowanie jeziorka i starałem się powstrzymać potrzebę opowiedzenia o tym, co czułem przez kilka ostatnich miesięcy. W końcu jednak dałem za wygraną.

– Angie – odezwałem się. – To zaczyna mnie męczyć.

Posłała mi pytające spojrzenie.

– Karen Nichols?

– Wszystko. Praca i... To już przestaje...

– Bawić? – dokończyła z niepewnym uśmiechem.

Też się uśmiechnąłem.

– Tak. Właśnie.

Spuściła wzrok.

– Kto powiedział, że życie ma bawić?

– A kto powiedział, że nie?

Na jej ustach znów pojawił się nieznaczny uśmiech.

– Owszem. Fakt. Myślisz, żeby z tym skończyć?

Wzruszyłem ramionami. Byłem jeszcze stosunkowo młody, ale z czasem to się będzie zmieniać...

– Nagle przypominasz sobie te wszystkie złamane kości?

– Te wszystkie złamane życia – odparłem.

Wyprostowała kolana i palce jej dłoni znów zanurzyły się w wodzie.

– Co zrobisz?

Wstałem, chcąc rozruszać obolałe miejsca na plecach, pamiątkę po rannej wizycie u Cody'ego Falka.

– Nie wiem. Jestem po prostu... zmęczony.

– A Karen Nichols?

Znów na nią popatrzyłem. Kiedy tak siedziała na brzegu gładkiej sadzawki, opalona na miodowo letnim słońcem, spoglądając ciemnymi oczami, dużymi i jak zawsze niepokojąco inteligentnymi, każda jej cząstka łamała mi serce.

– Chcę przemówić w jej imieniu – odparłem. – Chcę udowodnić komuś – może temu, kto próbował ją zniszczyć, a może sobie samemu – że jej życie miało wartość. Brzmi sensownie?

Podniosła na mnie wzrok, a jej twarz była delikatna i otwarta.

– Tak. Brzmi sensownie, Patrick. – Otrząsnęła dłoń z wody. – Zawrę z tobą umowę.

– Wal.

– Jeśli zdołasz udowodnić, że wypadek Davida Wetterau zasługuje na uwagę, włączę się do sprawy. Pro bono.

– A co z twoją robotą?

Westchnęła.

– Nie mam pojęcia. Zaczyna mnie męczyć... te wszystkie gówniane sprawy, które mi przydzielają, jakoś nie odpowiadają moim możliwościom. To... – Wyjęła dłoń z wody, potem

znów ją zanurzyła. – Mniejsza z tym. Posłuchaj, nie przemęczam się tam zbytnio. Mogę ci pomóc – wziąć wolny dzień od czasu do czasu, jeśli będzie trzeba – może to być...

– Zabawne?

Uśmiechnęła się.

– Tak.

– Więc jeśli udowodnię, że wypadek Wetterau śmierdzi, wchodzisz w sprawę. Taka jest umowa?

– Nie wchodzę w sprawę. Pomogę ci tu i tam, jeśli będę mogła.

Wstała.

– Brzmi nieźle.

Wyciągnąłem do niej rękę. Uścisnęła ją. Dotyk jej dłoni uczynił wyrwę w mojej piersi. Byłem jej spragniony. Roztopiłbym się z miejsca, gdyby mnie o to poprosiła.

Cofnęła dłoń, wsunęła ją do kieszeni, jakby ją parzyła.

– Ja... – zacząłem.

Miałem wrażenie, że odsuwa się od tego, co dostrzegła w mojej twarzy.

– Nie mów nic.

Wzruszyłem ramionami.

– Okej. Jednak powiem.

– Cicho. – Przyłożyła palec do ust, uśmiechając się, ale jej oczy zalśniły leciutko. – Cicho – powtórzyła.

13

Holy Martens Inn przycupnęło pięćdziesiąt jardów od zarośniętego pożółkłą trawą pobocza trasy 147 w Mishawauk – maleńki punkcik na mapie w pobliżu Springfield. Skupisko jednopiętrowych domków z pustaków miało kształt litery T i zajmowało całą długość brunatnego pola, kończyło się zaś przy stawie tak wielkim i czarnym, że mogły się w nim kryć szczątki dinozaurów. Osiedle przypominało część bazy wojskowej czy schrony przeciwlotnicze z lat pięćdziesiątych i nie miało w sobie nic, co by zachęcało zmęczonego podróżnika do ponownych odwiedzin. Podjeżdżając pod biuro, dostrzegłem po lewej stronie basen. Był pusty i odgrodzony siatką zwieńczoną drutem kolczastym. Zalegały w nim zielone i brązowe butelki po piwie, zardzewiałe krzesła ogrodowe, opakowania po fast foodach, trzykołowy wózek sklepowy. Obłażąca z farby tabliczka na ogrodzeniu głosiła: „akwen niestrzeżony, kąpiel na własne ryzyko". Może go osuszono, bo ludzie cały czas wrzucali do niego butelki? Może ludzie wrzucali do niego butelki, bo go osuszono? Może ratownik zabrał ze sobą wodę, kiedy odchodził? Może powinienem był dać sobie spokój z rozważaniami, które nie dotyczyły mojej osoby.

Biuro śmierdziało wilgotną sierścią, wiórami, lizolem i gazetami upaćkanymi drobinkami odchodów i kroplami uryny. A to dlatego, że za kontuarem recepcjonistki stało co najmniej siedem klatek, a w każdej z nich siedziały gryzonie. W większości świnki morskie, ale też kilka chomików, które dreptały w swych diabelskich młynach, poruszając zawzięcie łapkami. Unosiły ku górze pyszczki, zdumione, że nie mogą dosięgnąć szczytu.

Tylko nie szczury, pomyślałem. Błagam, tylko nie szczury.

Kobieta za kontuarem była bardzo szczupłą, tlenioną blondynką. Wydawało się, że jej ciało to wyłącznie chrząstki, jakby zasoby tłuszczu uciekły wraz z ratownikiem, zabierając ze sobą piersi i tyłek. Skórę miała tak opaloną i stwardniałą, że przypominała sękate drewno. Mogła mieć od dwudziestu ośmiu do trzydziestu ośmiu lat i sprawiała wrażenie osoby niezwykle doświadczonej jeszcze przed ukończeniem dwudziestu pięciu.

Powitała mnie radosnym i szerokim uśmiechem, który miał w sobie nutkę wyzwania.

– Hej! To pan jest tym gościem, który dzwonił?

– Dzwonił? – zdziwiłem się. – W jakiej sprawie?

Papieros w jej wargach podskoczył gwałtownie.

– Mieszkania.

– Nie – odparłem. – Jestem prywatnym detektywem.

Roześmiała się z papierosem tkwiącym w zębach.

– Bez kitu?

– Bez kitu.

Wyjęła z ust papierosa, strzepnęła popiół na podłogę za plecami i nachyliła się nad kontuarem.

– Jak Magnum?

– Jak Magnum – przyznałem, starając się unieść brwi w stylu Toma Sellecka.

– Oglądam ten serial w powtórkach – wyznała. – Rany, ale był z niego przystojniak. Wie pan? – Zmrużyła znacząco oko i zniżyła głos. – Dlaczego mężczyźni nie noszą już wąsów?

– Bo wtedy ludzie automatycznie zakładają, że to homoseksualiści albo prymitywy z Południa – podsunąłem.

Przytaknęła.

– Tak to jest. Cholera, naprawdę szkoda.

– Święte słowa.

– Nie ma to jak mężczyzna z porządnymi wąsami.

– Zgadzam się.

– Czym mogę więc służyć?

Pokazałem jej zdjęcie z prawa jazdy Karen Nichols, które wyciąłem z gazety.

– Zna ją pani?

Wpatrywała się długo w fotografię, potem potrząsnęła głową

– Ale to nie jest ta babka, która skoczyła z budynku w mieście?

Przytaknąłem.

– Słyszałem, że mogła tu mieszkać przez jakiś czas.

– Nie. – Zniżyła głos. – Wygląda, hmm, trochę za porządnie jak na to miejsce. Rozumie pan?

– Jacy ludzie się tu zatrzymują? – spytałem, jakbym tego jeszcze nie wiedział.

– Och, mili goście – zapewniła. – Wspaniali. Sól ziemi, rozumie pan? Ale może wyglądają trochę twardziej niż tacy jak pan. Mnóstwo facetów z gangów motocyklowych.

Blisko, pomyślałem.

– Kierowcy ciężarówek – dodała.

Jeszcze bliżej.

– Ludzie, którzy szukają miejsca, jak by to powiedzieć, żeby zebrać myśli, zrobić sobie bilans – wyjaśniła.

Czytaj: ćpuny i zwolnieni warunkowo.

Jej jasne oczy pociemniały.

– No dobra, kotku, przejdźmy do sprawy. O co chodzi?

Jaka twarda dziewczyna. Magnum byłby pod wrażeniem.

– Czy przebywała tu ostatnio jakaś młoda kobieta, która nie płaciła czynszu? – spytałem. – Przez tydzień albo dłużej, powiedzmy?

Spojrzała na wykaz lokatorów. Oparła się łokciem o kontuar i w jej oczach znów pojawił się żartobliwy błysk.

– Może.

– Może?

Oparłem się łokciem o kontuar obok niej. Uśmiechnęła się, przysunęła rękę nieco bliżej.

– Tak, może.

– Mogłaby mi pani coś o niej powiedzieć?

– Pewnie – odparła. Znów się uśmiechnęła. Miała wspaniały uśmiech; jak u dziecka, które nie zdążyło się jeszcze przeobrazić w zniszczoną przez papierosy i słońce kobietę. – Mój stary powie panu więcej.

Nie byłem pewien czy „stary" to jej ojciec, czy też mąż. W tej okolicy mogło to oznaczać jedno albo drugie. Cholera, w tej okolicy mogło to oznaczać i jedno, i drugie.

Nie zdjąłem łokcia z kontuaru, narażając się na ryzyko na takim zadupiu.

– Co na przykład?

– Na przykład, dlaczego najpierw się nie przedstawimy? Jak się pan nazywa?

– Patrick Kenzie – odparłem. – Dla przyjaciół Magnum.

– Bzdura. – Parsknęła śmiechem. – Nigdy w życiu.

– Założę się, że ma pani rację.

Otworzyła dłoń i wyciągnęła ją w moją stronę. Zrobiłem to samo i uścisnęliśmy sobie ręce, nie odrywając łokci od kontuaru, jak zapaśnicy.

– Na imię mi Holly – powiedziała.

– Holly Martens? – spytałem. – Jak ten facet z tego starego filmu?

– Kto?

– „Trzeci człowiek" – wyjaśniłem.

Wzruszyła ramionami.

– Mój stary? Jak przejął tę dziurę, nazywała się Molly Martenson's Lie Down. Miała ładny neon na dachu, fajnie świeci w nocy. Więc mój stary, Warren, ma kumpla, Joego, a Joe zna się na tym. Więc Joe wywalił M, zamienił na H, a potem odciął prąd od on's. Nie jest może zbyt równo, ale i tak wygląda nieźle.

– A co z Lie Down?

– Nie było tego na neonie.

– Holly! – zawołał ktoś z zaplecza. – Cholerny myszoskoczek nasrał na moje papiery.

– Nie trzymam myszoskoczków! – odkrzyknęła.

– No to ta karłowata świnia. Co ci mówiłem? Żebyś ich nie wypuszczała z klatek.

– Hoduję świnki morskie – wyjaśniła cicho, jakby ujawniała drogą sercu tajemnicę.

– Zauważyłem. I chomiki.

Przytaknęła.

– Miałam kilka fretek, ale zdechły.

– Cholera – skomentowałem.

– Lubisz fretki?

– Ani trochę – odparłem z uśmiechem.

– Musisz się trochę wyluzować. Fretki są fajne. – Cmoknęła językiem. – Cholernie fajne.

Zza jej pleców dobiegły trzaski i piski, zbyt głośne, by mógł je wydawać diabelski młyn chomika, i po chwili do biura wtoczył się Warren na chromowanym wózku inwalidzkim.

Facet nie miał nóg poniżej kolan, ale reszta była dość masywna. Pierś szeroką jak kadłub małej łodzi opinała mu czarna koszulka bez rękawów, a pod skórą na przedramionach i bicepsach prężyły się gniewnie węzły mięśni. Tlenione blond włosy, jak u Holly, były wygolone na skroniach, ale zaczesane wysoko na czole. Zwisały mu aż na łopatki. Szczęki wielkości spodków poruszały się rytmicznie, a dłonie, obciągnięte czarnymi skórzanymi rękawiczkami bez palców, wyglądały tak, jakby mogły złamać dębowy pal ogrodzenia jak kawałek sklejki.

Nie spojrzał na mnie, podjeżdżając do Holly.

– Kochanie? – spytał.

Odwróciła głowę i spojrzała w jego wyrazistą twarz z zaskakującą i bezbrzeżną miłością, która zdawała się wypełniać pomieszczenie niczym czwarta osoba.

– Co, dziecinko?

– Nie wiesz, gdzie wsadziłem te pigułki?

Warren podjechał do kontuaru i zajrzał do dolnych szuflad.

– Te białe?

Wciąż nie zaszczycał mnie spojrzeniem.

– Nie. Te żółte, kochanie. Te, które mam brać o trzeciej.

Przekrzywiła głowę, jakby próbując sobie przypomnieć. Po chwili na jej twarzy pojawił się olśniewający uśmiech. Klasnęła w dłonie i Warren też się uśmiechnął, wyraźnie nią oczarowany.

– Oczywiście, że wiem, dziecinko! – Sięgnęła pod kontuar i wyjęła bursztynową buteleczkę z pigułkami. – Orientuj się.

Rzuciła mu buteleczkę, a on złapał ją w powietrzu, nawet na nią nie patrząc, ze wzrokiem wciąż wlepionym w Holly.

Wsunął do ust dwie i połknął. Potem spytał, nie odrywając od Holly oczu:

– Czego szukasz. Magnum?

– Pozostałości po nieżyjącej kobiecie.

Wyciągnął rękę i ujął dłoń żony. Przesunął palcami po jej wierzchniej stronie i spojrzał na skórę, jakby pragnął zapamiętać każdy z piegów.

– Dlaczego?

– Umarła.

– Już to powiedziałeś.

Obrócił dłoń kobiety i zaczął wodzić palcem po liniach w jej wnętrzu. Holly głaskała drugą ręką włosy na czubku jego głowy.

– Umarła – powiedziałem. – I wszyscy mają to gdzieś.

– Ale nie ty, hę? Bo jesteś superfacet, tak?

Teraz gładził jej nadgarstek.

– Staram się.

– Ta kobieta... niska, blond włosy i naćpana od siódmej rano?

– Była niska i miała blond włosy. O reszcie nie wiem.

– Chodź tu, kochanie.

Przyciągnął Holly delikatnie, sadzając ją sobie na kolanach, a potem odsunął kosmyki włosów z jej karku. Holly zagryzła dolną wargę i spojrzała mu w oczy. Zadrgał jej podbródek.

Warren odwrócił głowę, tak że pierś Holly przylegała mu teraz do ucha i po raz pierwszy spojrzał wprost na mnie. Widząc jego twarz en face, byłem zaskoczony jego

młodym wyglądem. Pod trzydziestkę, po dziecięcemu niebieskie oczy, policzki gładkie jak u chłopca, słoneczna świeżość surfera.

– Czytałeś, co Denby napisał o „Trzecim człowieku”? – spytał mnie Warren.

Denby... chodziło mu o Davida Denby – uświadomiłem sobie – długoletniego krytyka filmowego magazynu „New York”. Nazwisko, którego bym się raczej nie spodziewał w ustach Warrena, zwłaszcza gdy jego żona wyznała, że nie ma pojęcia, o jakim filmie mówię.

– Chyba nie.

– Napisał, że żaden dorosły człowiek w powojennym świecie nie ma prawa być tak niewinny jak Holly Martens.

– Hej! – zawołała jego żona z oburzeniem.

Dotknął palcem czubka jej nosa.

– Facet z filmu, nie ty, kotku.

– Aha. No to w porządku.

Znów na mnie spojrzał.

– Zgadzasz się z tym, panie detektywie?

Skinąłem głową.

– Zawsze mi się wydawało, że to Calloway jest głównym bohaterem filmu.

Strzelił palcami.

– Trevor Howard. Mi też. – Podniósł wzrok na żonę, a ona ukryła twarz w jego włosach, wdychając ich zapach. – Pozostałości po tej kobiecie... nie będziesz tam szukał niczego wartościowego, co?

– Masz na myśli biżuterię?

– Biżuterię, aparaty, wszystko, co można zastawić.

– Nie – zapewniłem. – Szukam powodów, dla których umarła.

– Ta kobieta, o którą ci chodzi, mieszkała w 15 B – wyjaśnił Warren. – Mała blondynka, nazywała się Karen Wetterau.

– To ona.

– Chodź. – Skinął, żebym przeszedł na drugą stronę kontuaru przez małą drewnianą furtkę. – Rzucimy okiem.

Stanąłem obok wózka, a Holly przekręciła się, nie odrywając policzka od jego głowy i popatrzyła na mnie sennymi oczami.

– Dlaczego jesteście tacy mili? – spytałem.

Warren wzruszył ramionami.

– Jeśli chodzi o Karen Wetterau? Bo nikt nigdy nie był miły dla niej.

14

Ruszyliśmy w stronę stodoły, która znajdowała się na tyłach, w odległości około stu jardów od motelu, za opuszczonym sadem porośniętym pokrzywionymi albo połamanymi drzewami i niewielkim placykiem, czarnym od oleju samochodowego. Warren Martens toczył swój wózek przez zbutwiałe gałęzie i mierzwę niezgrabionych liści z kilku sezonów, śmietnisko butelek, porzuconych części samochodowych i skruszałych fundamentów budynku, który zawalił się mniej więcej w czasach Lincolna. A odnosiło się wrażenie, że facet pędzi tym swoim wózkiem po gładkim asfalcie.

Holly została w biurze, na wypadek gdyby ktoś się pojawił, co nie było wykluczone, zważywszy że u Ritza mieli komplet. Warren wjechał na drewniany podest prowadzący do zapadniętej stodoły, gdzie przechowywał wyposażenie porzuconych pokoi. Wyprzedził mnie już w sadzie, popychając kółka, aż w końcu szprychy zaczęły furkotać wśród szeleszczących liści. Na skórzanym oparciu wózka naszyty był orzeł Harleya-Davidsona, a po jego obu stronach naklejki z napisami: Jeźdźcy są wszędzie, Raz na jakiś czas, Tydzień w Laconii, New Hampshire, Miłość się zdarza.

– Twój ulubiony aktor? – zawołał przez ramię, podczas gdy jego barki pracowały rytmicznie, popychając wózek po szeleszczących liściach.

– Z tych obecnych czy dawnych?

– Z obecnych.

– Denzel – odparłem. – A twój?

– Powiedziałbym, że Kevin Spacey.

– Jest dobry.

– Jestem jego fanem od czasu „Wiseguy”. Pamiętasz ten serial?

– Mel Profitt – odparłem. – I jego kazirodcza siostra, Susan.

– Zgadza się. – Wygiął do tyłu dłoń, a ja przybiłem mu piątkę. – Okej – rzucił. Był teraz podekscytowany, bo tu, pośród martwych drzew, znalazł bratnią duszę. – Ulubiona aktorka współczesna. Tylko nie Michelle Pfeiffer.

– Dlaczego?

– Zbyt dominujący czynnik dziewczęcy. Może zakłócić obiektywizm wyboru.

– Ach, tak – odparłem. – Niech będzie Joan Allen. A twoja?

– Sigourney. Z bronią automatyczną albo bez. – Zerknął na mnie, gdy się z nim zrównałem. – Aktor z dawnych czasów?

– Lancaster – powiedziałem. – Bez konkurencji.

– Mitchum – oznajmił. – Bez konkurencji. Aktorka?

– Ava Gardner.

– Gene Tierney – wyznał.

– Możemy się nie zgadzać co do szczegółów, Warren, ale powiedziałbym, że obaj odznaczamy się nieskazitelnym smakiem.

– Pewnie – parsknął śmiechem, odchylił się i obserwował, jak nad jego głową przesuwają się konary drzew. – To prawda, co mówią o dobrych filmach.

– A co mówią?

Wciąż siedział z odchyloną głową i popychał swój wózek do przodu, jakby znał każdy centymetr tych nieużytków.

– Że cię przenoszą. Wiesz, co się dzieje, kiedy oglądam dobry film? Ja nie zapominam, że nie mam nóg. Ja mam nogi. Należą do Mitchuma, bo jestem Mitchumem, a to są dłonie, które przesuwają się po nagich ramionach Jane Greer. Dobre filmy, chłopie, dają ci nowe życie. Inną przyszłość. Na jakiś czas.

– Na dwie godziny – sprecyzowałem.

– Tak. – Znów parsknął śmiechem, ale tym razem z niejakim smutkiem. I powtórzył, znacznie ciszej: – Tak.

Poczułem przez chwilę, jak przetacza się po nas ciężar jego życia – podupadły motel, powykrzywiane drzewa, fantomowe kończyny w wieku trzydziestu lat i te chomiki, które biegały w biurze po swoich kołach, skrzypiących jak cholera.

– To nie był wypadek na motocyklu – wyjaśnił, jakby odpowiadając na pytanie, które, o czym dobrze wiedział, chciałem mu w końcu zadać. – Jak ludzie mnie widzą, to myślą, że położyłem maszynę na zakręcie. – Spojrzał na mnie przez ramię i potrząsnął głową. – Zabawiałem się tutaj pewnej nocy, kiedy jeszcze ta dziura nazywała się Molly Martenson's Lie Down. Z babką, która nie była moją żoną. Nagle zjawia się Holly, wkurzona jak cholera – zabiję cię, pojebańcu – i rzuca we mnie obrączką, a potem wypada jak burza. Gonię za nią. Nie było wtedy ogrodzenia wokół basenu, ale nie było i wody. Pośliznąłem się. Spadłem w najgłębszym miejscu. – Wzruszył ramionami. – Przełamałem się na pół. – Zatoczył ręką szeroki łuk. – Dostałem to wszystko jako odszkodowanie.

Zatrzymał się przy stodole i zdjął kłódkę przy wrotach. Stodoła była niegdyś

czerwona, ale z powodu słońca i zaniedbania nabrała łososiowej barwy o ziemistym odcieniu, przechyliła się też, zapadając w ciemną ziemię, jakby lada chwila miała oprzeć się na boku i zasnąć.

Zastanawiałem się, jak uraz kręgosłupa mógł doprowadzić do amputacji obu nóg poniżej kolan, ale doszedłem do wniosku, że sam by mi powiedział, gdyby miał ochotę. Najwyraźniej nie miał.

– Zabawne – wyznał. – Holly kocha mnie teraz dwa razy mocniej. Może dlatego, że nie mogę wychodzić i zaliczać kobitek. Jak myślisz?

– Może – przyznałem.

Uśmiechnął się.

– Tak mi się kiedyś wydawało. Ale wiesz, w czym rzecz? Wiesz, o co naprawdę chodzi?

– Nie.

– Holly jest jedną z tych osób, które żyją tylko wtedy, kiedy ktoś ich potrzebuje. Te jej świnki chociażby. Cholerne bydlaki pozdychałyby już dawno, gdyby pozostawić je bez opieki.

Popatrzył na mnie, przytaknął sam sobie i otworzył wrota stodoły. Wszedłem za nim do środka.

Wnętrze przypominało jeden wielki pchli targ, pełen stolików do kawy na trzech nogach, poobtłukiwanych kloszy od lamp, popękanych luster, telewizorów, których kineskopy stłukła czyjaś pięść albo stopa. Wzdłuż tylnej ściany wisiały na sznurach elektryczne płytki do podgrzewania potraw, tuż obok obrazów trzeciorzędnych artystów przedstawiających puste pola, klaunów i kwiaty w wazonie. Wszystko pokrywała skorupa brudu, zaschniętego soku pomarańczowego albo kawy.

Frontową część stodoły wypełniał zbiór porzuconych walizek, książek, butów i sztucznej biżuterii, która wysypywała się z tekturowego pudła. Po lewej stronie zauważyłem żółtą taśmę, którą Holly albo Warren odgrodzili fragment pomieszczenia, gdzie ułożono starannie przeróżne dobra: nowiutki mikser, filiżanki, szklanki i porcelanę, nadal w firmowych opakowaniach. Także duży cynowy talerz z wygrawerowanym napisem: Lou & Dina, teraz i na zawsze, 4 kwietnia 1997. Warren zauważył, że się przyglądam.

– Tak. Nowożeńcy. Przyjechali tu na noc poślubną, rozpakowali prezenty, a potem, około trzeciej nad ranem, pożarli się o coś. Odjechała samochodem, a do zderzaka wciąż były przyczepione puszki. Wybiegł za nią na drogę, nagi do pasa. Tyle ich widziałem. Holly nie pozwoliła mi sprzedać tej rupieciarni. Powiedziała, że wrócą. Mówię jej: „Kotku, to już dwa

lata”. A ona: „Wrócą”. I tyle.

– I tyle – powtórzyłem, nieco zdumiony tymi prezentami, cynowym talerzem, półnagim panem młodym, który pognał w mrok za żoną o trzeciej nad ranem, puszkami grzechoczącymi na drodze.

Warren obrócił wózek w prawo.

– Tu są jej rzeczy. Karen Wetterau. Nie ma tego za wiele.

Podszedłem do tekturowego pudła po bananach i uniosłem wieko.

– Kiedy ją ostatni raz widziałeś?

– Tydzień temu. Zaraz potem usłyszałem, że skoczyła z Custom House.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

– Wiedziałeś.

– Pewnie, że wiedziałem.

– Holly?

Potrząsnął głową.

– Nie kłamała. Należy do kobiet, które wszystko widzą w pozytywnym świetle. Jak nie, to znaczy, że sprawy nie było. Jakoś nie umie sobie skojarzyć faktów. Zobaczyłem zdjęcie w gazecie, trwało to kilka minut, ale poskładałem wszystko do kupy. Wyglądała inaczej, ale ją poznałem.

– Jaka była?

– Smutna. Najsmutniejsza osoba na świecie, dawno takiej nie spotkałem. Umierała z tego smutku. Już nie popijam, ale przesiedziałem z nią kilka nocy, kiedy ciągnęła z butelki. Nie minęło wiele czasu, jak zaczęła do mnie startować. Raz, kiedy ją odesłałem z kwitkiem, wkurzyła się, zaczęła sugerować, że sprzęt mi już nie działa. Mówię: „Karen, straciłem mnóstwo w tym wypadku, ale akurat nie to”. Do diabła, pod tym względem jestem jak osiemnastolatek; żołnierz staje na baczność, gdy tylko poczuje wiaterek. Tak czy owak powiadam: „Posłuchaj, bez obrazy, ale kocham żonę”. A ona się śmieje i mówi: „Nikt nie kocha. Nikt nie kocha”. I powiem ci coś jeszcze, chłopie, ona w to wierzyła.

– Nikt nie kocha – powtórzyłem.

– Nikt nie kocha – przytaknął.

Podrapał się w czubek głowy i rozejrzał po stodole. Wziąłem do ręki oprawione zdjęcie, leżące na wierzchu pudła. Szkło było stłuczone, ostre kawałki tkwiły w ramce. Przedstawiało ojca Karen; miał na sobie mundur galowy i trzymał córkę za rękę. Oboje mrużyli oczy przed słońcem.

– Karen... wpadła chyba w czarną dziurę – powiedział Warren. – Wtedy cały świat to

czarna dziura. Była otoczona przez ludzi, którzy uważali, że miłość to brednia, więc miłość to była brednia.

Kolejne zdjęcie, szkło też stłuczone. Karen w towarzystwie przystojnego, ciemnowłosego faceta. Davida Wetterau, jak się domyśliłem. Oboje opaleni, w pastelowych strojach, na pokładzie statku wycieczkowego, oczy trochę szkliste od drinków, które trzymali w dłoniach. Szerokie uśmiechy na twarzach. Świat był w porządku.

– Powiedziała mi, że jest zaręczona z facetem, którego potrącił samochód.

Przytaknąłem. Jeszcze jedno zdjęcie z Davidem – więcej odłamków szkła na mojej dłoni, kiedy je podniosłem. Jeszcze jeden zestaw uśmiechów, tym razem podczas jakiegoś przyjęcia; urodzinowe serpentyny za ich głowami, na ścianie czyjegoś salonu.

– Wiedziałeś, że się puszczała? – spytałem, kładąc fotografię na ziemi obok dwóch pozostałych.

– Domyślałem się – przyznał. – Ciągle przychodzili do niej różni faceci, potem znikali. Tylko dwaj pojawili się jeszcze raz.

– Rozmawiałeś z nią o tym? – zainteresowałem się, biorąc do ręki plik zawiadomień dotyczących korespondencji na jej stary adres w Newton, a także zdjęcie z polaroidu, na którym była z Davidem Wetterau.

– Zaprzeczyła. Potem zaproponowała, że da mi za pięćdziesiąt dolców. – Wzruszył ramionami, zerknął na oprawione zdjęcia. – Powinienem ją wykopać, ale wiesz, chłopie, jak to jest. I tak już wydawała się skopana.

Znalazłem korespondencję zwrotną – wszystkie rachunki, bez wyjątku opatrzone pieczątką: „Zwrot z powodu braku opłaty pocztowej". Odłożyłem je na bok, wyjąłem dwa T-shirty, parę butów, jakieś białe spodnie, skarpetki i zegarek, który nie chodził.

– Powiedziałeś, że faceci nigdy nie wracali. A ci, którzy pojawili się ponownie?

– Było ich tylko dwóch. Jednego widywałem często. Mały rudowłosy gnojek mniej więcej w moim wieku. Zapłacił za pokój.

– Gotówką?

– Tak.

– A ten drugi?

– Prezentował się lepiej. Blondyn, miał może ze trzydzieści pięć lat. Przyjeżdżał w nocy.

Pod ubraniami znalazłem białe kartonowe pudełko długości około dziesięciu centymetrów. Rozwiązałem różową wstążkę i otworzyłem je.

Warren, zaglądając mi przez ramię, zauważył:

– Cholera. Holly nic mi o tym nie powiedziała.

Zaproszenia ślubne. Może ze dwieście, wykaligrafowane na bladoróżowym papierze z delikatną fakturą: Dr Christopher Dawe wraz z małżonką zapraszają serdecznie na ślub swej córki, panny Karen Ann Nichols, z panem Davidem Wetterau, 10 września 1999 roku.

– W przyszłym miesiącu – zauważyłem.

– Cholera – powtórzył Warren. – Trochę za wcześnie na zaproszenia, nie wydaje ci się? Musiała je zamówić osiem, dziewięć miesięcy przed ślubem.

– Moja siostra zamówiła swoje jedenaście miesięcy wcześniej. Przezorna dziewczyna. – Wzruszyłem ramionami. – Taka była Karen, kiedy ją poznałem.

– Bez kitu?

– Bez kitu, Warren.

Wsadziłem zaproszenia z powrotem do pudełka i przewiązałem starannie wstążką. Sześć czy siedem miesięcy wcześniej siedziała zapewne przy stole, chłonąc zapach różowego papieru i przesuwając palcami po wypukłych literach. Szczęśliwa.

Pod broszurką z krzyżówkami znalazłem jeszcze jeden zestaw fotografii. Były nieoprawione i znajdowały się w zwykłej, białej kopercie ze stemplem pocztowym Bostonu, z datą 15 maja tego roku. Nie było nadawcy. Wysłano ją na adres dawnego mieszkania Karen w Newton. Zdjęcia Davida Wetterau. Tyle że kobieta, która mu towarzyszyła, to nie była Karen Nichols. Brunetka, ubrana na czarno, w okularach słonecznych, szczupła jak modelka, cień rezerwy na twarzy. Na zdjęciach siedziała razem z Davidem przed jakąś kawiarnią. Na jednym z nich trzymali się za ręce. Na innym całowali.

Warren rzucił na nie okiem, kiedy przeglądałem je po kolei.

– Och, kiepsko.

Pokiwałem głową. Drzewa wokół kawiarni były pozbawione liści. Romans musiał mieć miejsce z grubsza w lutym, w czasie tej ciepłej niby-zimy, tuż po tym, jak z Bubbą odwiedziliśmy Cody'ego Falka i tuż przed tym, jak samochód strzaskał Davidowi Wetterau czaszkę.

– Myślisz, że to Karen je zrobiła? – spytał Warren.

– Nie. Te zdjęcia wykonał zawodowiec – teleobiektywem, z dachu, doskonałe uchwycenie postaci. – Przejrzałem je powoli, by mógł się zorientować, o co mi chodzi. – Spójrz. Zbliżenie splecionych dłoni.

– Więc myślisz, że zrobił je ktoś wynajęty.

– Tak.

– Ktoś taki jak ty?

Przytaknąłem.

– Ktoś taki jak ja, Warren.

Znów spojrzał na zdjęcia w mojej dłoni.

– Właściwie nie robi nic złego z tą dziewczyną.

– Prawda – przyznałem. – Ale sam powiedz, Warren, jak byś się czuł, gdybyś dostał takie zdjęcia Holly z nieznajomym facetem?

Twarz mu pociemniała; milczał przez chwilę.

– Tak – przyznał w końcu. – Masz rację.

– Pytanie tylko, po co ktoś miałby dawać te zdjęcia Karen?

– Żeby zrobić jej wodę z mózgu?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie można wykluczyć.

Pudło było prawie puste. Znalazłem jeszcze jej paszport i świadectwo urodzenia, pod spodem fiolkę prozacu. Ledwie rzuciłem na nią okiem. Trudno się było dziwić, że zażywa coś takiego po wypadku Davida, ale potem zauważyłem etykietę z datą: 10/23/98. Brała środek antydepresyjny od dawna, jeszcze nim ją poznałem.

Trzymając buteleczkę w dłoni, odczytałem nazwisko lekarza: D. Bourne.

– Mogę to zabrać?

Warren skinął głową.

– Pewnie.

Wsunąłem buteleczkę do kieszeni. Na dnie pudła została tylko biała kartka papieru. Odwróciłem ją i wyjąłem.

Był to fragment notatek z sesji psychiatrycznej, noszący nagłówek z nazwiskiem Dr Diane Bourne i datą 6 kwietnia 1994 roku. Dotyczył pacjentki Karen Nichols i stwierdzał między innymi:

...stłumiona natura pacjentki wyraźnie się uwidacznia. Żyje ona, jak należy przypuszczać, w stanie ciągłego odrzucania – odrzucania skutków śmierci ojca, pełnych udręki relacji z matką i ojczymem, własnych skłonności seksualnych, które, w opinii terapeuty, są biseksualne i noszą akcenty kazirodcze. Pacjentka wykazuje klasyczne wzorce zachowania pasywno-agresywnego i rezygnuje całkowicie z wszelkich prób osiągnięcia samoświadomości. Pacjentka wykazuje niebezpiecznie niskie poczucie własnej wartości, zakłócenia tożsamości seksualnej i, w opinii terapeuty, wyznaje potencjalnie groźną, fantastyczną wizję funkcjonowania świata. Jeśli dalsze sesje nie przyniosą rezultatu, należy zasugerować dobrowolne poddanie się leczeniu w specjalistycznym szpitalu

psychiatrycznym...

D. Bourne

– Co to jest? – spytał Warren.

– Notatki psychiatry Karen z sesji terapeutycznych.

– Po co to tutaj ze sobą przywlokła?

Spojrzałem z góry na jego zdziwioną twarz.

– To pytanie za sto punktów, nie uważasz?

Za zgodą Warrena zatrzymałem notatki psychiatry i zdjęcia Davida Wetterau z drugą kobietą, potem zebrałem pozostałe zdjęcia, ubrania, zepsuty zegarek, paszport i zaproszenia ślubne i wsadziłem je z powrotem do pudła. Rzuciłem jeszcze raz okiem na te wszystkie rzeczy, które dowodziły istnienia Karen Nichols, ścisnąłem nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym i zamknąłem na chwilę oczy.

– Ludzie mogą człowiekowi zabić ćwieka, co? – zauważył Warren.

– Owszem.

Ruszyłem do wyjścia.

– Chłopie, musisz być na okrągło zmęczony – dodał.

Kiedy zamykał od zewnątrz wrota stodoły, przypomniałem coś sobie:

– Ci dwaj faceci, którzy kręcili się koło Karen...

– Tak?

– Trzymali się razem?

– Czasem. A czasem nie.

– Możesz mi o nich coś powiedzieć?

– Ten rudowłosy facet, jak już mówiłem, to był gnojek. Kawał gnidy. Taki, co to myśli, że jest mądrzejszy od wszystkich. Wyciągnął plik stówek, kiedy płacił za jej pokój, jakby to były banknoty dolarowe. Kapujesz? Karen się do niego wdzięczyła, a on patrzył na nią jak na kawał mięsa, mrugając do mnie i Holly. Prawdziwy palant.

– Wzrost, waga, tego typu rzeczy?

– Mierzył jakieś sto sześćdziesiąt, może sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Piegi na całej twarzy, kretyńska fryzura. Ubrany pretensjonalnie – jedwabne koszule, czarne dżinsy, błyszczące buty.

– A ten drugi?

– Przylizany. Jeździł czarnym mustangiem GT-500 z 68 roku. Kabriolet. Ile ich wyprodukowali, ze czterysta sztuk?

– Coś koło tego, owszem.

– Ubrany w młodzieżowym stylu dzianego chłopaka – dżinsy z dziurami, sweter w serek, pod spodem biały T-shirt. Ciemne okulary za dwieście dolców. Nigdy nie wszedł do biura, ani razu nie słyszałem, jak gadał, ale miałem wrażenie, że to on jest szefem.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Miał coś w sobie. Ten drugi palant i Karen zawsze łazili za nim, robili szybko, co im kazał. Nie wiem, widziałem go może z pięć razy, zawsze z daleka, jakoś mi działał na nerwy. Jakbym nie był dość dobry, żeby na niego patrzeć, czy coś w tym rodzaju.

Ruszył swoim wózkiem przez czarne pole, a ja podążyłem w ślad za nim. Dzień wokół nas zamierał i stawał się wilgotniejszy. Zamiast skierować się w stronę rampy na tyłach biura, Warren podjechał do drewnianego stolika ogrodowego. Z desek, niczym szczecina, sterczały małe drzazgi. Warren zatrzymał się obok stołu, a ja usiadłem na blacie, przekonany, że dżinsy ochronią mi tyłek.

Nie patrzył na mnie. Głowę miał spuszczoną, wzrok wbity w kępki trawy tkwiące w sękatym drewnie.

– Raz dałem za wygraną – oznajmił.

– Dałeś za wygraną?

– Karen. Gadała o jakichś ciemnych bogach i miejscach, gdzie mogła człowieka zabrać i... – Spojrzał przez ramię na recepcję motelu i na sylwetkę żony, która przesuwała się za zasłoną. – Nie rozumiem... dlaczego facet, który ma najlepszą w świecie żonę... dlaczego...?

– Pieprzy się na boku? – dokończyłem.

Napotkał mój wzrok; jego oczy były teraz małe, pełne wstydu.

– No.

– Nie wiem – powiedziałem łagodnie. – Ty mi powiedz.

Bębnił palcami w podłokietniki fotela, patrząc obok mnie, na połamane gałęzie i czarną ziemię.

– To ciemność, wiesz? Okazja, żeby zniknąć w jakimś naprawdę złym miejscu, robiąc coś, co jest cholernie przyjemne. Czasem nie masz ochoty leżeć na kobiecie, która patrzy na ciebie z tą swoją miłością w oczach. Chcesz leżeć na kobiecie, która patrzy ci w twarz i zna cię. Zna cię, ale tego złego, tego wrednego. – Spojrzał na mnie. – I lubi, kiedy taki jesteś. Chce cię takiego.

– Więc ty i Karen...

– Pieprzyliśmy się całą noc, chłopie. Jak zwierzęta. I było dobrze. Miała fioła.

Żadnych zahamowań.

– A potem?

Znów spojrzał w inną stronę, wziął głęboki oddech i wypuścił powoli powietrze z płuc.

– Potem powiedziała: „Widzisz?”.

– Widzisz? – powtórzyłem.

Przytaknął.

– „Widzisz? Nikt nie kocha”.

Sterczeliśmy jeszcze przez chwilę przy stoliku ogrodowym, nie odzywając się. Cykady hałasowały w wierzchołkach rachitycznych drzew, a szopy przemykały wśród jeżyn na drugim końcu polany. Stodoła zapadła się jakby o kolejny centymetr i na tym ponurym zadupiu rozległ się szept Karen:

„Widzisz? Nikt nie kocha.

Nikt nie kocha”.

15

Zabrałem ze sobą robotę do baru, gdzie znalazła mnie Angie. Bar należał do Bubby, była to knajpa przy linii Dorchester-Southie i nazywała się Live Bootleg. Choć Bubby nie było w kraju – wyjechał do Irlandii Północnej, rzekomo po broń, którą tam składowali – wciąż piłem na koszt lokalu.

Byłoby dobrze, gdybym miał nastrój do chlania, ale nic z tego. Siedziałem nad jednym piwem już od godziny – ledwie je tknąłem – kiedy Shakes Dooley, nominalny właściciel baru, podał mi nową szklankę.

– To zbrodnia – oznajmił, wylewając stare piwo do zlewu – żeby taki równy i zdrowy gość marnował najczystszego lagera.

Mruknąłem tylko coś pod nosem i wróciłem do swoich notatek.

Czasem łatwiej mi się skoncentrować w niewielkim skupisku ludzi. Kiedy jestem sam, w domu albo w biurze, mam wrażenie, że noc przepływa gdzieś obok, że zaliczam kolejny dzień. A gdy siedzę w jakimś barze w późne niedzielne popołudnie i słyszę głuchy, odległy trzask kijów bejsbolowych w telewizorze, mocny łomot bil wpadających do łuzy, jałowe rozmowy mężczyzn i kobiet grających w bingo albo w karty, by zapomnieć o poniedziałku z jego klaksonami, szczekaniem szefów i kieratem obowiązków – wszystkie te dźwięki zlewają się w cichy, uporczywy szum, a mój umysł uwalnia się od tego, co zbędne, z wyjątkiem leżących przede mną notatek, między podkładką pod szklankę i miseczką z orzeszkami.

Z całego gąszczu rzeczy, jakich się dowiedziałem o Karen Nichols, ułożyłem sobie suchy, chronologiczny szkic na czystej kartce żółtego papieru A4. Kiedy już się z tym uporałem, obok faktów nagryzmoliłem jeszcze kilka przypadkowych spostrzeżeń. W którymś momencie Red Sox przegrali, więc tłum się nieco przerzedził, choć na dobrą sprawę wcześniej też nie był zbyt wielki. Z szafy grającej dobiegał śpiew Toma Waitsa, a jakieś dwa głosy w sali bilardowej ogarnęła gorączka i ożywienie.

K. Nichols (ur. 11/16/70, zm. 8/4/99) Śmierć ojca 1976.

Ślub matki z dr. Christopherem Dawe, 79, przeprowadzka do Weston.

Ukończenie szkoły średniej Mount Alvernia, 88.

Ukończenie Johnson & Wales, zarządzanie, 92.

Zatrud. w hotelu Four Seasons, Boston, dział cateringu, 96.

Zaręczona z D. Wetterau, 98.

Nagabywana przez C. Falka. Zniszczony samochód.

Pierwszy kontakt ze mną: luty 99.

Wypadek D. Wetterau, 15 marca 99 (zadzwonić do Devina albo Oscara, może da się rzucić okiem na raport policyjny).

Odmowa wypłaty odszkodowania z powodu nieuiszczenia raty.

Dostaje zdjęcia D. Wetterau z inną kobietą, maj 99.

Wyrzucona z pracy, z powodu opieszałości, wielokr. absencji, 18 maja 99.

Wyprowadza się z mieszkania, 30 maja 99.

Przenosi się do Holly Martens Inn, 15 czerwca 99. (Brakuje dwóch tygodni. Gdzie wtedy przebywała?). Widywana z rudowłosym palantem i dzianym blondynem w HM Inn, czerwiec – sierpień 99.

C. Falk otrzymuje dziewięć listów podpisanych K. Nichols, marzec – lipiec 99.

Karen otrzymuje prywatne notatki psychiatry, data nieznana.

Zgwałcona przez C. Falka, lipiec 99.

Aresztowana za namawianie do nierządu, lipiec 99, dworzec autobusowy, Springfield.

Samobójstwo, 4 sierpnia 99.

Komentarz: sfałszowane listy przesłane C. Falkowi sugerują udział osoby trzeciej w pechowym ciągu K. Nichols. Fakt, że Falk nie zniszczył jej samochodu, sugeruje to samo. Osobą trzecią może być rudowłosy palant, dziany blondyn albo obaj. (Albo żaden). Posiadanie notatek psychiatry sugeruje, że osobą trzecią mógł być ktoś zatrudniony przez niego. Idąc dalej – możliwość gromadzenia przez pracownika gabinetu psychiatr. poufnych inf. dot. osób prywatnych daje trzeciej osobie szansę infiltracji życia Karen Nichols. Motyw jednak wydaje się niejasny. Dalej, założenia...

– Motyw czego? – spytała Angie.

Przykryłem dłonią kartkę, zerknąłem na nią przez ramię.

– Mama ci nigdy nie mówiła...?

– Że to niegrzecznie zaglądać komuś przez ramię? Owszem. – Rzuciła torebkę na wolny stołek po lewej stronie i usiadła obok mnie. – Jak idzie?

Westchnąłem.

– Gdyby tylko martwi umieli mówić.

– Nie byliby wtedy martwi.

– Zdumiewający jest twój intelekt – zauważyłem. Klepnęła mnie karcąco w ramię i położyła na kontuarze papierosy i zapalniczkę.

– Angela! – Shakes Dooley zbliżył się rozkołysanym krokiem z drugiego końca baru, ujął jej dłoń i nachylił się, by pocałować ją w policzek. – Kopę lat!

– Jak się masz, Shakes. Tylko ani słowa o włosach, okej?

– Jakich włosach? – spytał Shakes.

– Ciągle to powtarzam – wtrąciłem.

Angie znów mnie trzepnęła.

– Mogę dostać czystej wódki, Shakes?

Shakes energicznie uścisnął jej dłoń.

– Wreszcie porządny gość!

– Plajtujesz przez tego faceta tutaj? – spytała Angie, zapalając papierosa.

– Pije ostatnio tyle co zakonnica. Ludzie zaczynają już gadać.

Shakes nalał do kieliszka porządną porcję finlandii i postawił przed Angie.

– A więc – odezwałem się, gdy Shakes zostawił nas samych – przypełzłaś do mnie, co?

Parsknęła chrapliwym od dymu śmiechem i łyknęła wódki.

– Podniecaj się dalej. Tym przyjemniej będzie cię potem dręczyć.

– No dobra. Przejdźmy do rzeczy. Co cię tu sprowadza, Sycylijko?

Wzniosła oczy ku górze, znów pociągając z kieliszka.

– Dowiedziałam się dziwnych rzeczy, jeśli chodzi o Davida Wetterau. – Uniosła dwa palce. – Dwóch, dokładnie. Z pierwszą nie było problemu. Chodzi o ten list, który napisał do firmy ubezpieczeniowej. Mój facet twierdzi, że jest ewidentnie sfałszowany.

Obróciłem się w jej stronę.

– Już to załatwiłaś?

Sięgnęła po paczkę papierosów i wyjęła jednego.

– W niedzielę – odparła.

Zapaliła papierosa, unosząc przy tym brwi.

– I zdążyłaś coś ustalić – zauważyłem.

Zakrzywiła palce, dmuchnęła na nie, potem przetarła jakiś wyimaginowany medal na swej piersi.

– Tak jak mówiłam. Dwie rzeczy.

– Okej – powiedziałem. – Jesteś niesamowita.

Odgięła dłonią ucho i nachyliła się w moją stronę.

– Jesteś super. Jesteś bombowa. Jesteś ekstra. Jesteś niesamowita.

– To ostatnie już było.

Nachyliła się jeszcze bardziej, wciąż z dłonią za uchem.

Odchrząknąłem.

– Jesteś, bez cienia wątpliwości, najbystrzejszym, najbardziej pomysłowym, najbardziej spostrzegawczym prywatnym detektywem w całym Bostonie.

Jej usta rozciągnęły się w szerokim, lekko skrzywionym uśmiechu, który zawsze zwalał mnie z nóg.

– Takie to było trudne? – spytała.

– Powinno mi samo spłynąć z ust. Nie wiem, co mi jest.

– Chyba wyszedłeś z wprawy, jeśli chodzi o całowanie tyłka.

Odchyliłem się, wpatrując się przeciągle w łuk jej biodra, w pośladki wsparte na stołku.

– Jak już mówimy o tyłku – dodałem, – pozwól zauważyć, że twój wciąż prezentuje się doskonale.

Pomachała mi papierosem przed twarzą.

– Znów twardo w spodniach, zboczeńcu.

Położyłem dłonie na kontuarze.

– Tak, madame.

– A teraz osobliwość numer dwa. – Położyła przed sobą notatnik i otworzyła, obracając się na stołku, tak że nasze kolana niemal się zetknęły. – Tuż przed piątą, w dniu wypadku, David Wetterau dzwoni do Grega Dunne'a, tego faceta od kamery, i wymiguje się od spotkania. Mówi, że jego matka jest chora.

– A była?

Angie przytaknęła.

– Na raka. Pięć lat temu. Zmarła w 1994.

– Więc kłamał...

Przerwała mi gestem dłoni.

– To jeszcze nie wszystko. – Zgasiła papierosa w popielniczce, pozostawiając kilka rozżarzonych cząsteczek tytoniu. Nachyliła się i jej kolano dotknęło mojego. – O czwartej czterdzieści ktoś dzwonił do Davida na komórkę. Rozmowa trwała cztery minuty, połączenie było z budki na High Street.

– Przecznicę od rogu Congress i Purchase.

– Przecznicę dalej i przecznicę w bok, mówiąc ściślej. Nasz człowiek od telefonów komórkowych powiedział mi, gdzie znajdował się Wetterau, kiedy zadzwonili do niego.

– Zamieniam się w słuch.

– Jechał wzdłuż Pike, w kierunku wschodnim, w stronę Natick.

– A więc o czwartej czterdzieści jeszcze chciał odebrać kamerę.

– A o piątej dwadzieścia jest na środku skrzyżowania u zbiegu Congress i Purchase.

– By za moment oberwać w głowę.

– Zgadza się. Zostawia samochód na parkingu podziemnym przy South Street, rusza wzdłuż Atlantic w stronę Congress, przechodzi przez Purchase i nagle się potyka.

– Rozmawiałaś z gliniarzami?

– Wiesz, jakie policjanci mają o nas zdanie. O mnie w szczególności.

Skinąłem głową.

– Może następnym razem pomyślisz dwa razy, zanim któregoś postrzelisz – zasugerowałem.

– Bardzo śmieszne – zauważyła. – Na szczęście moja firma jest w doskonałych stosunkach z komendą bostońską.

– Więc załatwiłaś, żeby ktoś zadzwonił na komendę.

– Nie. To ja zadzwoniłam. Do Devina.

– Ty zadzwoniłaś do Devina.

– Uhm. Poprosiłam go, a on oddzwonił po jakichś dziesięciu minutach.

– Po dziesięciu minutach.

– Może piętnastu. W każdym razie mam zeznania świadków. Wszystkich, w liczbie czterdziestu sześciu. – Poklepała miękką, skórzaną teczkę na stołku po jej lewej stronie. – Ta-da!

– Jeszcze kieliszeczek, kochani? – spytał Shakes Dooley, opróżniając popielniczkę Angie i ścierając mokry ślad pod jej kieliszkiem.

– Pewnie – odparła Angie.

– A dla panienki? – zwrócił się do mnie.

– Na razie nic, Shakes. Dzięki.

Usłyszałem, jak mówi pod nosem: „Co za mięczak”, oddalając się, żeby nalać Angie kolejną finlandię.

– No dobra, wyjaśnijmy sprawę – zwróciłem się do Angie. – Dzwonisz do Devina i po kwadransie masz coś, co ja próbowałem zdobyć przez cztery dni.

– Mniej więcej.

Shakes postawił przed nią drinka.

– Proszę bardzo, laleczko.

– Laleczko – powtórzyłem, kiedy się oddalił. – Kto u licha mówi jeszcze „laleczko”?

– W jego ustach brzmi to jakoś normalnie – zauważyła Angie, popijając z kieliszka. – No i co?

– Jezu, ale jestem wkurzony na Devina.

– Dlaczego? Ciągle prosisz go o jakieś przysługi. A ja nie dzwoniłam do faceta od roku.

– Prawda.

– Poza tym jestem ładniejsza od ciebie.

– Dyskusyjne.

Prychnęła.

– Popytaj ludzi, kolego.

Łyknąłem piwa. Było ciepłe. Popularne wśród Europejczyków, owszem, ale to samo można powiedzieć o kaszance i Stevenie Seagalu.

Kiedy Shakes znów się zbliżył, zamówiłem jeszcze jedno.

– Proszę bardzo. Przy następnym odbiorę ci kluczyki do samochodu.

Postawił przede mną oszronioną szklankę becka, posłał Angie znaczące spojrzenie i oddalił się.

– Nie cieszę się tu ostatnio szczególnym szacunkiem.

– Pewnie dlatego, że umawiasz się z prawniczkami, które uważają, że ciuchy rekompensują braki w rozumie.

Obróciłem się na stołku.

– Och, znasz ją?

– Nie. Ale słyszałam, że zna ją połowa facetów z jej wydziału.

– Miau, miau.

Posłała mi uśmiech politowania i zapaliła kolejnego papierosa.

– Koty muszą mieć pazury, żeby sobie radzić. A jak słyszę, ona ma tylko ładną teczuszkę, wspaniałe włosy i cycki, za które wciąż spłaca miesięczne raty. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Okej, wieśniaku?

– A jak się czuje Ktoś? – spytałem.

Jej uśmiech przygasł. Sięgnęła do torebki.

– Wróćmy do Davida Wetterau i Karen...

– Słyszałem, że ma na imię Trey – przerwałem jej w połowie zdania. – Umawiasz się z

facetem o imieniu Trey, Angie.

– Skąd...

– Jesteśmy detektywami, prawda? Ty też się dowiedziałaś, że kręcę z Vanessą.

– Vanessą – powtórzyła, jakby miała usta pełne cebuli.

– Trey – odparowałem.

– Zamknij się.

Zaczęła grzebać w torebce. Łyknąłem trochę piwa.

– Podajesz w wątpliwość moje umiejętności zawodowe i sypiasz z facetem, który ma na imię Trey.

– Już z nim nie sypiam.

– A ja nie sypiam już z Vanessą.

– Gratulacje.

– Nawzajem.

Przez minutę panowało między nami milczenie. Angie wyciągnęła z torebki kilka stronic papieru z faksu i wygładzała je na kontuarze. Łyknąłem piwa, pobawiłem się tekturową podkładką, wreszcie poczułem, jak twarz krzywi mi się w uśmiechu. Zerknąłem na Angie. Jej też drgały kąciki ust.

– Nie patrz na mnie – powiedziała.

– Dlaczego?

– Mówię ci...

Przegrała tę wewnętrzną walkę, zamknęła oczy i na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Jakieś pół sekundy później pojawił się też na mojej.

– Nie wiem, dlaczego się uśmiecham – wyznała.

– Ja też nie.

– Kutas.

– Dziwka.

Roześmiała się i obróciła w moją stronę z drinkiem w dłoni.

– Tęsknisz za mną?

Jakby nie wiedziała.

– Ani trochę – zapewniłem.

Przenieśliśmy się do długiego stołu w głębi sali, zamawiając w kuchni kilka firmowych kanapek. Przy posiłku wprowadziłem Angie w szczegóły – pierwsze spotkanie z Karen

Nichols, dwie wizyty u Cody'ego Falka, rozmowa z Joellą Thomas, rodzicami Karen, Siobhan, wreszcie Holly i Warrenem Martensami.

– Motyw – oznajmiła Angie. – Cały czas pojawia się kwestia motywu.

– Wiem.

– Kto tak naprawdę zniszczył jej samochód i dlaczego?

– Właśnie.

– Kto napisał listy do Cody'ego Falka i dlaczego?

– Dlaczego ktoś tak bardzo pragnął spieprzyć jej życie i doprowadził do tego, że skoczyła z budynku?

– I czy ten ktoś posunął się tak daleko, by zaaranżować wypadek Davida Wetterau?

– Dostęp do pewnych materiałów też jest istotny – zauważyłem.

Przełknęła kęs kanapki i otarła kącik ust serwetką.

– Co masz na myśli?

– Kto przesłał Karen zdjęcia Davida i tej drugiej kobiety? Kto je zrobił?

– Wyglądają mi na robotę profesjonalisty.

– Mi też. – Wsunąłem sobie do ust zimną frytkę. – I kto dał Karen notatki psychiatry? To jest pytanie.

Angie przytaknęła.

– I dlaczego? – dodała. – Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Siedzieliśmy do późna w nocy. Przejrzeliśmy wszystkie czterdzieści sześć zeznań, złożonych przez świadków wypadku Davida Wetterau. Połowa z nich w ogóle nic nie widziała, podczas gdy pozostali, w liczbie około dwudziestu, potwierdzili ostateczną wersję policji – Wetterau trafił stopą w dziurę w asfalcie, stracił równowagę i został potrącony przez samochód, którego kierowca zrobił wszystko, by uniknąć wypadku.

Angie sporządziła nawet schematyczny szkic całej sceny, zaznaczając, gdzie stał każdy z czterdziestu sześciu świadków kolizji. Przypominało to rozstawienie graczy drużyny footballowej po gwizdku sędziego. Większość z nich – dwadzieścia sześć osób – znajdowała się na południowo-zachodnim rogu Purchase i Congress. W przeważającej części byli to maklerzy giełdowi, kierujący się w stronę South Station po dniu spędzonym w dzielnicy finansowej; stali na skrzyżowaniu, czekając na zmianę świateł. Trzynaście osób stało na północno-zachodnim rogu, dokładnie naprzeciwko Davida Wetterau, kiedy ten nieuważnie przechodził przez jezdnię. Dwoje świadków stało na północno-wschodnim rogu, a trzeci prowadził samochód jadący za Stevenem Kearnsem, kierowcą wozu, który zahaczył zderzakiem o głowę Davida Wetterau. Z pięciu pozostałych świadków dwóch zeszło z

chodnika na południowo-wschodnim rogu, gdy zapaliło się żółte światło, a trzech znajdowało się na przejściu, tak jak Wetterau – dwaj zmierzali w kierunku zachodnim, jeden w kierunku wschodnim.

Najbliższym świadkiem był ów mężczyzna zmierzający na wschód. Nazywał się Miles Brewster i minął właśnie Davida Wetterau, gdy ten wpadł nogą w dziurę w jezdni. Wóz już przejeżdżał przez skrzyżowanie i gdy Wetterau upadł, Steven Kearns natychmiast próbował skręcić, a piesi na przejściu rozbiegli się.

– Z wyjątkiem Brewstera – zauważyłem.

– Hę? – Angie podniosła wzrok znad zdjęć Davida z inną kobietą.

– Dlaczego ten cały Brewster nie wpadł w panikę jak reszta przechodniów?

Przysunęła się z krzesłem i spojrzała na szkic.

– Jest tutaj – powiedziałem, kładąc palec na ludziku, którego oznaczyła numerem 7. – Minął właśnie Davida Wetterau, więc jest obrócony plecami do samochodu.

– Zgadza się.

– Słyszy pisk opon. Odwraca się, widzi nadjeżdżający wóz, a jednak... – odszukałem jego zeznanie i zacząłem czytać. – Jest, cytuję, „w odległości trzydziestu centymetrów od faceta, wyciąga ku niemu rękę, i stoi jakby sparaliżowany", kiedy Wetterau zostaje uderzony.

Angie wzięła ode mnie zeznanie i zaczęła czytać.

– Owszem, ale każdy w takiej sytuacji znieruchomiałby z przerażenia.

– Ale on nie jest znieruchomiały, on wyciąga rękę. – Przysunąłem się z krzesłem do stołu i wskazałem numer 7 na szkicu. – To wszystko rozgrywało się za jego plecami, Angie. Musiał się odwrócić, zobaczyć, co się dzieje. Ramionami poruszył, a nogami nie? Stoi, według własnych słów, trzydzieści centymetrów, może sześćdziesiąt, od kół samochodu i tylnego zderzaka, kiedy wozem zarzuca.

Wpatrywała się w szkic, pocierając twarz.

– Weszliśmy w posiadanie tych zeznań nielegalnie. Nie możemy przesłuchać Brewstera. Wydałoby się, że znamy jego pierwotne zeznania.

Westchnąłem.

– To rzeczywiście utrudnia sprawę.

– Owszem.

– Ale facetowi trzeba się ponownie przyjrzeć, zgadzasz się?

– Bez dwóch zdań.

Wyprostowała się na krześle, uniosła obie dłonie do głowy, żeby odsunąć sprzed twarzy włosy, których tam nie było. Przyłapała się na tym i pokazała mi w ironicznym geście

środkowy palec, kiedy uśmiechnąłem się szeroko na widok jej pomyłki.

– Okej – rzuciła, stukając długopisem w bloczek. – Od czego zaczniemy?

– Po pierwsze pogadamy z psychiatrą Karen.

Skinęła głową.

– Niezły był ten przeciek z jej gabinetu.

– Po drugie pogadamy z Brewsterem. Masz jego adres?

Wyciągnęła kawałek kartki spod pliku papierów.

– Miles Brewster – powiedziała. – Landsdowne Street dwanaście.

Podniosła wzrok, otwierając usta ze zdziwienia.

– Rany – mruknąłem. – Coś tu śmierdzi.

– Landsdowne dwanaście – odparła. – To przecież...

– Stadion na terenie Fenway Park.

Jęknęła.

– Mieszka na stadionie? Jakim cudem gliniarz tego nie zauważył?

Wzruszyłem ramionami.

– Młody policjant spisuje zeznania na miejscu wypadku. Czterdziestu sześciu świadków. Jest zmęczony. Cokolwiek.

– Cholera.

– Ale Brewster jest od tej chwili podejrzany.

Angie odłożyła kartkę na stół.

– To nie był wypadek – powiedziała.

– Na to wygląda.

– Twoja teoria?

– Brewster idzie w kierunku wschodnim, Wetterau w zachodnim. Brewster podstawia mu nogę, kiedy się mijają. Bęc.

Skinęła głową, a zmęczenie na jej twarzy ustąpiło miejsca podnieceniu.

– Brewster, jak twierdził, wyciągnął rękę, żeby podnieść Davida.

– A w rzeczywistości przytrzymał go przy jezdni – oznajmiłem.

Angie zapaliła papierosa i zerknęła przez chmurę dymu na swój szkic.

– Natrafiliśmy na coś bardzo paskudnego, kolego po fachu.

Przytaknąłem.

– Wyjątkowo paskudnego.

16

Gabinet doktor Diane Bourne mieścił się na pierwszym piętrze kamienicy przy Fairfield Street, między galerią specjalizującą się we wschodnioafrykańskich glinianych naczyniach kuchennych z połowy trzynastego wieku a firmą, która przytwierdzała nalepki na zderzaki samochodowe do płótna, a następnie mocowała je na magnesach, by można je było umieścić na drzwiach lodówki.

Gabinet był urządzony w stylu Laury Ashley z lekką domieszką hiszpańskiej inkwizycji. Przepastne fotele i kanapy w kwiecisty deseń kusiły miękkością całkowicie zdominowaną przez barwy – krwawe czerwienie i smolisty heban. Dywany były w zbliżonych kolorach, a na ścianach wisiały malowidła Boscha i Blake'a. Zawsze mi się wydawało, że gabinet psychiatry powinien zachęcać: „Proszę, powiedz mi o swoich problemach", nie zaś przestrzegać: „Błagam, tylko nie wrzeszcz".

Diane Bourne miała ponad trzydzieści lat i była tak smukła, że z trudem się powstrzymałem, by nie zamówić jedzenia z jakiejś knajpy i nie nakarmić jej siłą. Ubrana w suknię „futerał" bez rękawów, sięgającą od szyi do kolan, stała pośród tego mrocznego wnętrza niczym duch przemykający nad wrzosowiskiem. Jej włosy i skóra wydawały się tak blade, że trudno było ocenić, gdzie zaczyna się jedno, a kończy drugie; nawet oczy odznaczały się przezroczystą szarością lodu. Obcisła sukienka, zamiast podkreślać jej kościstość, zdawała się uwypuklać nieliczne miękkie części jej sylwetki, fragmenty ciała, zaoblone odrobinę na łydkach, biodrach i ramionach. Ogólny efekt, kiedy zajmowała miejsce za biurkiem z przyćmionego szkła, przywodził na myśl silnik – zgrabny, wyregulowany, podkręcający obroty na czerwonym świetle.

Gdy tylko usiedliśmy naprzeciwko, doktor Diane Bourne przesunęła mały metronom w lewą stronę, tak aby nic nie zasłaniało jej naszego widoku, i zapaliła papierosa.

Obdarzyła Angie słabym, niepewnym uśmiechem.

– Co mogę dla was zrobić?

– Badamy sprawę śmierci Karen Nichols – wyjaśniła Angie.

– Tak – powiedziała i wciągnęła białą chmurkę dymu do płuc. – Pan Kenzie wspomniał o tym przez telefon. – Strzepnęła odrobinę popiołu do kryształowej popielniczki. –

Był dość... – jej oczy o barwie szarej mgły napotkały mój wzrok – ...wymijający, jeśli chodzi o udzielenie informacji.

– Wymijający... – powtórzyłem.

Znów zaciągnęła się lekko papierosem i skrzyżowała długie nogi.

– Podoba się panu to określenie?

– O, tak – zapewniłem, poruszając kilkakrotnie brwiami.

Posłała mi przelotny uśmiech i zwróciła się ponownie do Angie.

– Jak już, mam nadzieję, wyjaśniłam panu Kenzie, nie zamierzam omawiać jakichkolwiek spraw związanych z terapią panny Nichols.

– Coś takiego – mruknęła Angie i strzeliła palcami.

Diane Bourne obróciła się w moją stronę.

– Pan Kenzie jednakże oświecił mnie podczas...

– Oświecił? – spytała Angie.

– Oświecił podczas rozmowy telefonicznej, że posiada informacje, które mogłyby – czy tak, panie Kenzie? – nasunąć pytania związane z naruszeniem etyki zawodowej w przypadku Karen Nichols.

Na jej uniesioną brew zareagowałem uniesieniem obydwu swoich.

– Nie wydaje mi się, żebym był aż tak...

– Elokwentny?

– Wielomówny – wyjaśniłem. – Ale o to z grubsza chodziło, doktor Bourne. O etykę zawodową.

Doktor Bourne przesunęła popielniczkę odrobinę w lewo, dzięki czemu ujrzeliśmy mały magnetofon.

– Jest moim obowiązkiem poinformować państwa, że rozmowa ta jest nagrywana.

– Doskonale – oznajmiłem. – Pozwoli pani, że spytam – skąd pani wzięła ten styl? Z jakiegoś pisma? Nigdy nie widziałem tak szykownej osoby. – Popatrzyłem na Angie. – A ty?

– Nie ochłonęłam jeszcze po tym „oświeceniu” – wyznała.

– To było dobre – przytaknąłem. – Oskarżali mnie już o różne rzeczy, ale coś takiego... Jezu.

Diane Bourne usunęła nadmiar popiołu z papierosa o krawędź kryształowej popielniczki.

– Niezły teatr odstawiacie.

Angie walnęła mnie w ramię, a ja usiłowałem wymierzyć jej cios w tył głowy, ale uchyliła się w ostatniej chwili. Potem oboje uśmiechnęliśmy się do Diane Bourne.

Znów zaciągnęła się lekko papierosem.

– Coś jak Butch Cassidy i Sundance Kid bez podtekstów homoseksualnych – zauważyła.

– Zazwyczaj udajemy Nicka i Norę, Z serii „Thin Man" – zwróciłem się do Angie.

– Albo Chico i Groucho Marxów – przypomniała mi Angie.

– Jednak z podtekstem homoseksualnym. W stylu Sundance'a i Butcha.

– Prawdziwy komplement – zauważyła Angie.

Odwróciłem się od niej i oparłem łokcie na biurku doktor Burne, a potem ominąłem wzrokiem metronom i spojrzałem w jej blade, bardzo blade oczy.

– Dlaczego jeden z pani pacjentów miał w swym posiadaniu notatki z sesji terapeutycznych, pani doktor?

Nie odezwała się. Siedziała nieruchomo, leciutko przygarbiona, jakby gotowa na niespodziewany powiew chłodnego powietrza.

Odchyliłem się na krześle.

– Może mi pani to wyjaśnić?

Przekrzywiła głowę w lewo.

– Zechciałby pan powtórzyć pytanie?

Zrobiła to Angie. Ja ograniczyłem się do języka migowego.

– Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzacie – wyznała, strzepując do kryształowej popielniczki kolejną porcję popiołu.

– Czy ma pani w zwyczaju robić notatki podczas sesji z pacjentem? – spytała Angie.

– Tak. To normalne w przypadku większości...

– I czy ma pani w zwyczaju przesyłać je pacjentom, których dotyczą?

– Oczywiście, że nie.

– Więc w jaki sposób pani notatki sporządzone podczas sesji z Karen Nichols, z datą 6 kwietnia 1994 roku, znalazły się w jej posiadaniu? – spytała Angie.

– Nie mam pojęcia – odparła dr Bourne tonem ledwie skrywanego zniecierpliwienia, jakim przemawia poważna kobieta do dziecka. – Przypuszczalnie sama je zabrała podczas jednej z wizyt.

– Trzyma pani dokumentację pod kluczem? – spytałem.

– Tak.

– Więc jak Karen mogła się do niej włamać?

Jej wyrazista twarz jakby się nieco zapadła, a wargi rozchyliły.

– Nie mogła – odparła w końcu.

– Co by sugerowało – wtrąciła Angie, – że to pani albo ktoś zatrudniony w tym gabinecie przekazał poufne i potencjalnie szkodliwe informacje niezrównoważonej, jak można podejrzewać, pacjentce.

Doktor Bourne zamknęła usta, a jej szczęki zacisnęły się wyraźnie.

– Raczej wykluczone, panno Gennaro. Ale przypominam sobie, że mieliśmy tu włamanie jakiś czas...

– Słucham? – Angie nachyliła się zdumiona. – Przypomina pani sobie włamanie?

– Tak.

– Jest więc raport policyjny.

– Co?

– Raport policyjny z włamania – powtórzyłem.

– Nie. Nie zginęło nic wartościowego.

– Tylko poufne materiały – oświadczyłem.

– Nie. Ani razu nie powiedziałam.

Angie jej przerwała:

– Pozostali pani pacjenci mieliby prawo oczekiwać, jak mi się wydaje, że powiadomiono by ich, gdyby...

– Panno Gennaro, nie wydaje mi się...

– ...gdyby poufne dokumenty dotyczące najbardziej osobistych aspektów ich życia znalazły się w rękach osoby trzeciej. – Angie popatrzyła na mnie. – Zgodzisz się ze mną?

– Moglibyśmy ich powiadomić – oznajmiłem. – W ramach obowiązku obywatelskiego.

Wypalony papieros doktor Bourne zamienił się w skręcony wałeczek białego popiołu w kryształowej popielniczce. Patrzyłem, jak opada.

– Logistycznie byłoby to dość trudne – zauważyła Angie.

– Nie – zaprzeczyłem. – Poczekamy w samochodzie. Jak tylko pojawi się pod domem ktoś bogaty, ktoś, kto wygląda na trochę stukniętego, założymy, że to klient doktor Bourne i...

– Nie zrobicie tego.

– ...podejdziemy i powiemy mu o włamaniu.

– W interesie dobra publicznego – dokończyła Angie. – Ludzie mają prawo wiedzieć. Rany, specjalizujemy się w tym.

Przytaknąłem.

– Święte słowa.

Diane Bourne zapaliła następnego papierosa i zaczęła się nam przyglądać przez

chmurę dymu; oczy miała pozbawione wyrazu i była jakby skonsternowana.

– Czego chcecie? – spytała, a ja dosłyszałem leciutką wibrację w jej strunach głosowych, nieznaczne tykanie podobne do dźwięku, jaki wydaje metronom.

– Na początek – wyjaśniłem – chcemy wiedzieć, jak te notatki wyfrunęły z pani gabinetu.

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

Angie zapaliła swojego papierosa.

– Więc niech pani nabierze trochę pojęcia, madame.

Diane Bourne zdjęła jedną nogę z drugiej i ułożyła je ukosem, równolegle do siebie, bez najmniejszego wysiłku, jak to potrafią zrobić kobiety, a do czego nie jest zdolny żaden mężczyzna. Trzymała papierosa przy skroni i wpatrywała się w obraz Blake'a na wschodniej ścianie, malowidło, które było równie uspokajające jak katastrofa lotnicza.

– Zatrudniałam przez jakiś czas sekretarkę, kilka miesięcy temu. Mam wrażenie – ale żadnego dowodu, podkreślam – że grzebała w dokumentacji. Pracowała u mnie tylko przez tydzień, więc nie zastanawiałam się nad tym specjalnie, kiedy odeszła.

– Nazwisko?

– Nie pamiętam.

– Ale ma pani gdzieś zapisane.

– Oczywiście. Powiem Milesowi, żeby je odszukał, kiedy będziecie wychodzić. – Po chwili się uśmiechnęła. – Och, zapomniałam, nie ma go dzisiaj. Zapiszę sobie, żeby wam je przesłał.

Angie siedziała pół metra ode mnie, ale poczułem, jak przyspiesza jej puls, a krew się rozgrzewa. Tak jak moja.

Wskazałem kciukiem recepcję.

– A Miles to...

Diane Bourne nagle zaczęła jakby żałować, że w ogóle wymieniła jego imię.

– To, hm, ktoś, kto pracuje dla mnie czasem na pół etatu. Jako sekretarz.

– Pół etatu – powiedziałem. – Ma więc jeszcze inną pracę?

Skinęła głową.

– Gdzie?

– Dlaczego pan pyta?

– Z ciekawości – odparłem. – Nawyk zawodowy. Proszę mnie oświecić.

Westchnęła.

– Pracuje w Evanton Hospital w Wellesley.

– To szpital psychiatryczny?

– Tak.

– Czym się tam zajmuje? – spytała Angie.

– Jest pracownikiem archiwum.

– I od jak dawna jest u pani?

Znów leciutkie przekrzywienie głowy.

– Dlaczego pan pyta?

– Staram się dowiedzieć, kto miał dostęp do pani dokumentacji, pani doktor.

Nachyliła się, strzepując trochę popiołu do popielniczki.

– Zatrudniam Milesa Lovella od trzech i pół roku, panie Kenzie, a uprzedzając pańskie kolejne pytanie, powiem, że nie, nie miał żadnych powodów, by usunąć moje notatki z teczki Karen Nichols i wysłać je na jej adres.

Lovell, pomyślałem. Nie Brewster. Posługuje się fałszywym nazwiskiem, ale dla wygody pozostawia imię. Niezłe posunięcie w przypadku jakiegoś Johna. Nieco głupie, jeśli imię jest mniej pospolite.

– Okej – uśmiechnąłem się. Uosobienie zadowolonego detektywa. Koniec pytań o starego Milesa Lovella. To w moim przekonaniu równiacha.

– Jest najbardziej godnym zaufania asystentem, jakiego miałam.

– Nie wątpię.

– No dobrze. Odpowiedziałam już na wszystkie pytania?

Mój uśmiech się pogłębił.

– Jeszcze daleko do końca.

– Niech nam pani opowie o Karen Nichols – poprosiła Angie.

– Niewiele jest do opowiadania...

Pół godziny później wciąż mówiła, wymieniając po kolei elementy składające się na psychikę Karen – czyniła to z konsekwencją i zaangażowaniem uczuciowym swego metronomu.

Karen, według doktor Diane Bourne, była klasycznym przykładem maniakalno-depresyjnym. Przez lata zażywała sole litu, depakote i tegretol, a także prozac, który znalazłem w stodole Warrena. To, czy jej stan był uwarunkowany genetycznie, przestało mieć znaczenie, kiedy zginął ojciec, a jego zabójca zastrzelił się na oczach Karen. W sposób niemal podręcznikowy, jak utrzymywała doktor Bourne, Karen, daleka od odgrywania dziecka czy nastolatki, prezentowała nienaturalnie właściwe zachowanie, wchodząc w rolę doskonałej córki, siostry i w końcu czyjejś dziewczyny.

– Wzorowała się, jak wiele dziewcząt, na telewizyjnych idolach – ciągnęła Diane Bourne. – Rzecz typowa w jej przypadku. Stanowiła część jej patologii – żyć, o ile to tylko możliwe, w tej minionej i wyidealizowanej Ameryce. Ubóstwiała więc Mary Richards graną przez Mary Tyler Moore, te wszystkie matki z sitcomów z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – Barbarę Billingsley, Donnę Reed, ponownie Mary Tyler Reed jako żonę Dicka Van Dyke'a. Czytała Jane Austen, nie dostrzegając w ogóle zjadliwej ironii jej książek. Widziała w nich jedynie opowieść o tym, jakie to wspaniałe życie może mieć dobra dziewczyna, jeśli tylko będzie postępować właściwie i zdecyduje się wyjść odpowiednio za mąż. Jak Emma albo Elinor Dashwood. Stało się to dla niej celem, więc David Wetterau, albo jeśli wolicie Darcy czy też Rob Petrie, stanowił klucz do jej szczęścia.

– A kiedy David zamienił się w roślinę...

– Wszystkie te jej demony, tłumione przez dwadzieścia lat, wydostały się nagle na powierzchnię. Od dawna podejrzewałam, że gdyby to wzorcowe życie Karen doznało poważnego pęknięcia, jej upadek zamanifestowałby się seksualnie.

– Dlaczego pani tak właśnie podejrzewała? – spytała Angie.

– Proszę zrozumieć, że to erotyczny związek jej ojca z żoną porucznika Crowe'a wywołał z jego strony akt agresji i doprowadził do śmierci ojca Karen.

– A więc ojciec Karen miał romans z żoną swego najlepszego przyjaciela.

Przytaknęła.

– To był powód tej strzelaniny. Wystarczy dorzucić kompleks Elektry, który u sześcioletniej dziewczynki z pewnością kiełkował, jeśli nie rozkwitł już w pełni, poczucie winy z powodu śmierci ojca, sprzeczne uczucia natury seksualnej wobec brata, a otrzymacie podręcznikowy przykład...

– Miała kontakty seksualne z bratem? – spytałem.

Diane Bourne potrząsnęła głową.

– Nie. Zdecydowanie nie. Ale, jak to się dzieje w przypadku wielu kobiet, które mają starszego brata przyrodniego, zdradzała we wczesnej młodości pierwsze symptomy przebudzenia seksualnego wywołane obecnością Wesleya. Męski ideał w świecie Karen, jak widzicie, miał cechy postaci dominującej. Jej rodzony ojciec był wojskowym, wojownikiem. Ojczym też lubił dominować. Wesley Dawe ulegał gwałtownym, psychotycznym atakom i do chwili swego zniknięcia zażywał środki antypsychotyczne.

– Leczyła pani Wesleya?

Skinęła głową.

– Proszę nam o nim opowiedzieć.

Zasznurowała wargi i potrząsnęła głową.

– Raczej nie.

Angie popatrzyła na mnie.

– Idziemy do samochodu?

Przytaknąłem.

– Trzeba będzie skombinować termos z kawą, ale potem można siedzieć i czekać.

Wstaliśmy.

– Proszę usiąść. Panno Gennaro, panie Kenzie. – Diane Bourne wskazała nasze krzesła. – Jezu, nie dacie człowiekowi odetchnąć.

– Dlatego zarabiamy kupę forsy – zauważyła Angie.

Doktor Bourne odchyliła się w swoim fotelu, rozsunęła ciężkie zasłony za plecami i spojrzała przez okno na wyblakłe cegły budynku po drugiej stronie Fairfield. Błyszczący dach wysokiej ciężarówki odbił oślepiający blask słońca i rzucił jej prosto w oczy. Zasłoniła okno i zamrugała w przyćmionym świetle gabinetu.

– Wesley Dawe był zagubionym, gniewnym młodym człowiekiem, gdy go widziałam po raz ostatni – oznajmiła, trąc powieki.

– Kiedy to było?

– Dziewięć lat temu.

– Ile miał wtedy lat?

– Dwadzieścia trzy. Jego nienawiść do ojca była absolutna. Nienawiść do samego siebie tylko odrobinę mniejsza. Kiedy zaatakował w tamtym czasie doktora Dawe, zaleciłam przymusowe leczenie psychiatryczne dla dobra rodziny i jego samego.

– Jak zaatakował?

– Dźgnął swego ojca, panie Kenzie. Nożem kuchennym. Och, spaprał robotę, to było dla niego typowe. Celował w szyję, jak mi się zdaje, ale doktor Dawe zdążył unieść ramię i Wesley uciekł z domu.

– A kiedy go schwytano, pani...

– Nigdy go nie schwytano. Zniknął tamtego wieczoru. Dokładnie w dniu, gdy Karen zdała do ostatniej klasy szkoły średniej.

– I jak to wpłynęło na Karen? – spytała Angie.

– Wtedy? W ogóle nie wpłynęło. – Oczy Diane Bourne uchwyciły błysk światła przenikający przez szczelinę między zasłonami i płaska szarość jej tęczówek przybrała na chwilę barwę lśniącego alabastru. – Karen Nichols uciekała się zazwyczaj do zaprzeczenia. Opanowała je do perfekcji. Stanowiło jej tarczę i broń. Powiedziała wtedy, o ile pamiętam,

coś w rodzaju: „Och, Wesley, zawsze musi się zgrywać", a potem zaczęła ze szczegółami opowiadać o swojej promocji.

– W stylu Mary Richards – podsunęła Angie.

– Bardzo trafna uwaga, panno Gennaro. Dokładnie tak jak Mary Richards. Akcentowanie jedynie strony pozytywnej. Nawet ze szkodą dla własnej psychiki.

– Wróćmy do Wesleya – zaproponowałem.

– Wesley Dawe – powiedziała, wyraźnie zmęczona naszymi pytaniami – miał iloraz inteligencji geniusza i słabą, udręczoną psychikę. To potencjalnie zabójcza kombinacja. Może gdyby pozwolono mu dojrzewać spokojnie do trzydziestki i otoczono go właściwą opieką, jego inteligencja zdominowałaby psychikę i wówczas mógłby prowadzić tak zwane normalne życie. Ale kiedy ojciec obarczył go winą za śmierć siostrzyczki, załamał się i wkrótce potem zniknął. Prawdziwa tragedia. To był taki genialny chłopak.

– Wydaje się, jakby go pani podziwiała – zauważyła Angie.

Diane Bourne wyprostowała się na krześle i odchyliła głowę, patrząc w sufit.

– Wesley wygrał krajowy turniej szachowy, kiedy miał dziewięć lat. Pomyślcie tylko. W tym wieku przewyższał w konkretnej dziedzinie wszystkie amerykańskie dzieci poniżej piętnastego roku życia. Kiedy skończył dziesięć lat, doznał pierwszego załamania nerwowego. Nigdy więcej nie zagrał w szachy. – Znów odchyliła głowę w naszą stronę, spojrzała tymi swoimi oczami o bladych źrenicach. – Nigdy. Koniec, kropka.

Wstała, a lśniąca biel jej sukienki górowała przez chwilę nad nami.

– Pozwolicie, że sprawdzę, czy uda mi się znaleźć nazwisko tej sekretarki.

Zaprowadziła nas z powrotem do recepcji, gdzie stała szafka na dokumenty i niewielkie biurko. Otworzyła szafkę małym kluczem i zaczęła przeglądać jej zawartość, w końcu znalazła jakąś karteczkę.

– Pauline Stavaris. Mieszka... mogę dyktować?

– Notuję – zapewniłem.

– Mieszka na Medford Street 35.

– W Medford?

– Everett.

– Numer telefonu?

Podała mi.

– To chyba wszystko – oznajmiła.

– Oczywiście – przyznała Angie. – Było nam bardzo miło.

Diane Bourne odprowadziła nas przez gabinet do przedpokoju. Uścisnęła nam dłonie.

– Karen nie życzyłaby sobie tego wszystkiego – oznajmiła na koniec.

Odsunąłem się od niej.

– Naprawdę?

Zatoczyła dłonią łuk.

– Całego tego zamieszania, które wokół niej robicie. Kalania jej reputacji. Bardzo dbała o to, jak jest postrzegana.

– A jak, według pani, była postrzegana, kiedy policjanci znaleźli ją po tym skoku z dwudziestego szóstego piętra? Proszę powiedzieć, pani doktor.

Uśmiechnęła się, ściągając usta.

– Do widzenia, panie Kenzie, do widzenia, panno Gennaro. Ufam, że już nigdy więcej was nie zobaczę.

– Proszę ufać do woli – powiedziała Angie.

– Ale nie byłbym taki pewny – dorzuciłem.

17

Zadzwoniłem z samochodu do Bubby.

– Co robisz?

– Właśnie przyleciałem z Irlandii – odparł.

– Dobrze się bawiłeś?

– Banda wściekłych karłów. I nie pytaj, jakim językiem gadają, bo to za cholerę nie przypomina angielskiego.

Wysiliłem się na najczystszy północnoirlandzki akcent:

– Twój gościu wzion cię za cyngla, hę?

– Co?

– Na litość boską, Rogowski, watę macie w uszach, czy jak?

– Cholera! Wyłącz się z tym – powiedział Bubba.

Angie położyła mi dłoń na ramieniu.

– Przestań męczyć biednego faceta.

– Angie jest ze mną – oznajmiłem.

– Bez kitu? Gdzie?

– W Back Bay. Potrzebujemy dostarczyciela.

– Bomba? – zainteresował się. Sprawiał wrażenie podekscytowanego, jakby właśnie miał kilka ładunków pod ręką i chciał się ich pozbyć.

– Nie, nie. Tylko magnetofon.

– Aha.

Był wyraźnie rozczarowany.

– Nie pękaj – poprosiłem. – Pamiętaj, że Angie jest ze mną. Pójdziemy się potem napić.

– Shakes Dolley mówi, że zapomniałeś, jak się to robi – mruknął.

– No to naucz mnie, bracie. Naucz mnie.

– Więc pojedziemy za doktor Bourne do jej domu – powiedziała Angie – a potem umieścimy tam jakoś magnetofon?

– Tak.

– Głupi plan.

– Masz lepszy?

– Nie w tej chwili.

– Myślisz, że jest zamieszana? – spytałem.

– Przyznaję, że budzi podejrzenia.

– Więc trzymamy się mojego planu, dopóki nie trafi się lepszy.

– Trafi się. Opracuję go. Zaufaj mi. Na pewno się trafi.

O czwartej pod gabinet doktor Bourne podjechało czarne BMW. Kierowca siedział przez chwilę w środku i palił, potem wysiadł i stanął na ulicy, oparty o maskę wozu. Był niskim facetem w zielonej jedwabnej koszuli wpuszczonej w obcisłe czarne dżinsy.

– Ma rude włosy – zauważyłem.

– Co?

Wskazałem na faceta.

– I co z tego? – spytała Angie. – Mnóstwo ludzi ma takie włosy. Zwłaszcza w tym mieście.

Na schodach budynku ukazała się Diane Bourne. Rudy podniósł wzrok, wyraźnie ją poznał. Potrząsnęła nieznacznie głową. Facet wzruszył ramionami, jakby nie rozumiał. Zeszła ze schodów i minęła go, patrząc w chodnik. Kroczyła szybko i zdecydowanie.

Facet odprowadził ją wzrokiem, potem odwrócił się powoli i rozejrzał po ulicy, jakby wyczuwając, że jest obserwowany. Rzucił papierosa na chodnik i wsiadł do BMW.

Zadzwoniłem do Bubby, który czekał w swojej furgonetce przy Newbury.

– Zmiana planów – powiedziałem. – Siedzimy czarną beemę.

– Może być.

Rozłączył się. Mister kamienna twarz.

– Dlaczego jedziemy za tym facetem? – spytała Angie.

Przepuściłem dwa wozy, zanim ruszyłem spod krawężnika.

– Bo jest rudowłosy – wyjaśniłem. – Bo Bourne go zna, a zachowywała się tak, jakby go nie znała. Bo wygląda na leszcza.

– Leszcza?

– Leszcza – przytaknąłem.

– A co to znaczy?

– Nie wiem. Słyszałem to raz w jakimś serialu.

Ruszyliśmy za BMW na południe, ku granicom miasta, prosto w piekło godzin

szczytu. Czarna furgonetka Bubby siedziała nam na ogonie. Począwszy od Albany Street jechaliśmy z prędkością dziesięciu kilometrów na dekadę, wlokąc się przez Southie, Dorchester, Qiuncy i Braintree. Dystans trzydziestu kilometrów, a pokonaliśmy go zaledwie w godzinę i kwadrans! Witajcie w Bostonie; tu się żyje dla ruchu ulicznego.

Rudy zjechał w Hingham na trasę szybkiego ruchu i prowadził nas przez następne pół godziny – zderzak przy zderzaku – po powolnym jak żółw pasie szosy 228. Przejechaliśmy przez Hingham – wyłącznie białe domy w stylu kolonialnym, białe parkany i biali ludzie – a potem zaczęliśmy kluczyć pod przewodami wysokiego napięcia wśród elektrowni i mamucich zbiorników gazowych, nim czarna beema poprowadziła nas do Nantasket.

Nantasket Beach – niegdyś obskurna nadmorska mieścina, skąpana w jarmarcznej atmosferze brudnych neonów, która przyciągała gangi motocyklowe i kobiety z obwisłymi, odsłoniętymi brzuchami i strąkami brudnych włosów – nabrało niepostrzeżenie sterylnego, pocztówkowego uroku, kiedy zlikwidowali okalające je niegdyś wesołe miasteczko. Zniknęły tandetne karuzele i koszmarne drewniane klauny, w które rzucało się piłkami, by wygrać kilka anemicznych gupików w plastikowej torebce. Poskręcany jak szkielet dinozaura roller coaster, który w dniach swej świetności uważany był za najbardziej niebezpieczny w kraju, został rozebrany, a na jego miejscu wzniesiono osiedla z widokiem na nadmorską promenadę. Wszystko, co zachowało się z dawnych dni, to ocean i kilka pasaży handlowych, skąpanych w gęstym, pomarańczowym świetle.

Wiedziałem, że niebawem wyrosną tu kawiarnie, a niechlujne włosy zostaną zakazane. Koniec z jakąkolwiek rozrywką. Będzie można spokojnie mówić o postępie.

Przyszło mi do głowy, kiedy tak jechaliśmy wzdłuż wybrzeża obok nieistniejącego wesołego miasteczka, że gdybym kiedykolwiek miał dzieci i zabrał je do tych wszystkich miejsc, które kiedyś miały dla mnie znaczenie, to jako jedyną pamiątkę ze swej młodości mógłbym im pokazać budynki, które wyrosły na dawnych wspomnieniach.

BMW skręciło pospiesznie w lewo, gdy tylko dotarliśmy do końca promenady, potem w prawo i znów w lewo, by w końcu zaparkować na piaszczystym podjeździe małego białego domu w stylu kolonialnym, z zielonymi markizami i elementami wykończenia. Pojechaliśmy dalej i Angie spojrzała w lusterko boczne.

– Co on u licha robi?

– Kto?

Pokręciła głową, nie odrywając oczu od lusterka.

– Bubba.

Zerknąłem w lusterko wsteczne i zobaczyłem, że Bubba zjechał na bok jakieś

pięćdziesiąt metrów przed domem rudego. Potem wyskoczył z furgonetki i pobiegł między dwa domy, identyczne jak wszystkie tutaj, i zniknął gdzieś na tyłach.

– Nie było tego w planie – zauważyłem.

– Rudy wchodzi już do siebie – poinformowała Angie.

Zawróciłem i ruszyłem z powrotem, przejeżdżając obok domu w chwili, gdy facet zamykał za sobą drzwi. Po chwili minąłem furgonetkę Bubby. Przejechałem dwadzieścia metrów i zaparkowałem na poboczu przed jakimś placem budowy – kolejny szkielet na nagiej, brunatnej ziemi.

Wysiedliśmy z wozu i ruszyliśmy w stronę furgonetki.

– Nienawidzę, kiedy się tak zachowuje – powiedziała.

Przytaknąłem.

– Czasem zapominam, że facet ma swój własny rozum.

– Wiem, że ma swój własny rozum – odparła Angie. – Ale to, jak się nim posługuje, spędza mi sen z powiek.

Stanęliśmy przy tylnym zderzaku furgonetki, gdy Bubba wynurzył się spomiędzy domów, odsunął nas na bok i otworzył tylne, podwójne drzwi samochodu.

– Bubba, co zrobiłeś? – spytała Angie

– Cicho. Pracuję.

Rzucił w głąb furgonetki trzymany w dłoni sekator, chwycił leżącą na podłodze sportową torbę i zatrzasnął drzwi.

– Co ty...

Przyłożył palec do moich ust.

– Cicho. Zaufaj mi. Wszystko w porządku.

– Zamierzasz posłużyć się materiałami wybuchowymi o dużej sile rażenia? – spytała Angie.

– A chcesz? – odpowiedział pytaniem, sięgając ponownie do drzwi furgonetki.

– Nie, Bubba. W żadnym wypadku.

– Och! – Cofnął dłoń. – Nie mam czasu. Zaraz wracam.

Odsunął nas na bok i pobiegł przygarbiony po trawniku w stronę domu rudego. Bubba biegnący przez czyjś trawnik, nawet w tej pozycji, jest równie łatwy do przeoczenia jak sputnik. Waży nieco mniej niż fortepian, ale nieco więcej niż lodówka i odznacza się szaloną twarzą noworodka, która wynurza się spośród strąków kasztanowych włosów i jest osadzona na szyi o obwodzie równym talii nosorożca. Prawdę mówiąc porusza się też jak nosorożec, stąpając ciężko, przechylony w prawo, ale niezwykle szybko.

Patrzyliśmy z rozchylonymi ustami, jak przyklęka przy BMW, wsuwa do zamka wytrych i otwiera samochód – tak szybko jak ja, gdybym robił to kluczykiem.

Oboje z Angie sprężyliśmy się w oczekiwaniu na alarm, ale nic nie zakłóciło ciszy, kiedy Bubba sięgnął do wnętrza wozu, wyciągnął coś i wsunął do kieszeni swojego trencza.

– Co on, kurwa, wyprawia? – spytała Angie.

Bubba sięgnął za siebie i rozpiął zamek błyskawiczny torby, którą postawił obok kolan. Pogrzebał dłonią w środku, wreszcie znalazł to, czego szukał. Wyjął jakiś mały czarny przedmiot o prostokątnym kształcie i umieścił go w wozie.

– To bomba – oznajmiłem.

– Obiecał – przypomniała Angie.

– Tak – odparłem. – Ale to wariat. Pamiętasz?

Bubba, posługując się rękawem płaszcza, wytarł wszystkie miejsca, których dotknął wewnątrz i na zewnątrz wozu, potem zamknął delikatnie drzwi i pomknął przez trawnik, by się do nas przyłączyć.

– Jestem cholernie niesamowity – oznajmił.

– Zgadza się – przyznałem. – Co zrobiłeś?

– Mam jaja, chłopie. Bez dwóch zdań. Czasem sam siebie zadziwiam.

Otworzył tylne drzwi furgonetki i rzucił torbę na podłogę.

– Bubba – zwróciła się do niego Angie. – Co jest w torbie?

Bubbę niemal rozsadzało. Otworzył torbę i skinął na nas, żebyśmy zajrzeli do środka.

– Telefony komórkowe! – oznajmił z radością dziesięciolatka.

Zajrzałem do torby. Rzeczywiście. Dziesięć albo dwanaście – nokie, ericssony, motorole, w większości czarne, kilka szarych.

– Wspaniale – powiedziałem, patrząc w jego rozpromienioną twarz. – Ale właściwie dlaczego wspaniale, Bubba?

– Bo wasz pomysł nawalił, a ja wpadłem na inny.

– Mój nie był zły.

– Nawalił! – zapewnił uszczęśliwiony. – Skiepścił się, chłopie. Podrzuć gdzieś pluskwę i niech facet – najpierw miała być jakaś babka – zabierze to do domu.

– Tak, i co?

– A jak zostawi pluskwę na stole w jadalni i pójdzie do sypialni, żeby pogadać o tym, co chcesz akurat podsłuchać?

– Zakładaliśmy, że tak nie zrobi.

Podniósł kciuk do góry.

– Superpieprzone myślenie.

– No dobra – odezwała się Angie. – Na czym polega twój pomysł?

– Podmienić jego komórkę – wyjaśnił Bubba, wskazując wnętrze torby. – Wszystkie mają zainstalowane pluskwy. Trzeba było tylko dopasować jeden z moich – tu wyciągnął z kieszeni grafitową nokię z klapką – do jego.

– A ten jest jego?

Przytaknął.

Ja też przytaknąłem, krzywiąc usta w uśmiechu tak jak on, ale po chwili mina mi zrzedła.

– Bubba, bez obrazy, ale właściwie co z tego? Facet jest w swoim domu.

Bubba zakołysał się na piętach, poruszając kilkakrotnie brwiami.

– Tak?

– Tak – odparłem. – Więc... jakby to powiedzieć... po kiego wała ma posługiwać się komórką, skoro w domu ma pewnie niejeden aparat stacjonarny?

– Aparat stacjonarny – powtórzył z wolna Bubba, podczas gdy cień troski gasił uśmiech na jego twarzy. – Nie pomyślałem o tym. Może podnieść słuchawkę i zadzwonić gdzie tylko chce, hę?

– Tak, Bubba. Od tego jakby są te telefony. Pewnie już to robi.

– Cholera – zaklął. – No to szkoda, że poprzecinałem linie telefoniczne na tyłach domu, co?

Angie wybuchnęła śmiechem. Ujęła jego cherubinową twarz w obie dłonie i ucałowała go w nos.

Bubba oblał się rumieńcem i spojrzał na mnie; na jego twarzy znów zaczął wykwitać uśmiech.

– Słuchaj... – zacząłem.

– Tak?

– Przepraszam.

– Za...?

– Za to, że w ciebie zwątpiłem. Okej? Zadowolony?

– I za to, że się mądrzyłeś.

– I za to, że się mądrzyłem.

– I za to, że przemawiał pogardliwym tonem – dodała Angie.

Zerknąłem na nią ze złością.

– I za to, o czym powiedziała – oznajmił Bubba, wskazując Angie kciukiem.

Angie spojrzała przez ramię.

– Wraca.

Wskoczyliśmy do furgonetki, a Bubba zatrzasnął drzwi. Patrzyliśmy przez lustrzane szyby na rudego, który kopnął przednie koło wozu, otworzył drzwi i sięgnął nad fotelem, by wyjąć ze środkowej konsoli telefon komórkowy.

– Dlaczego nie dzwonił w czasie jazdy? – zainteresowała się Angie. – Jeśli musiał załatwić jakieś ważne rozmowy...

– Roaming – wyjaśnił Bubba. – Jak ktoś jest w ruchu, łatwiej namierzyć rozmowę – podsłuchać albo sklonować telefon. Cokolwiek.

– A jak jest statyczny? – spytałem.

Skrzywił się.

– To znaczy co, jak leży? A co to ma...

– Nie, nie, chodzi o coś innego – zapewniłem. – Jak się nie porusza.

– Aha. – Przewrócił znacząco oczami, patrząc na Angie. – Chłopak znów się popisuje wykształceniem. – Zerknął na mnie. – Okej, mistrzu świata, jeśli jest „statyczny", to o wiele trudniej wejść w jego rozmowę. Trzeba się przebijać przez linie naziemne, blaszane dachy, anteny zwykłe i satelitarne, mikrofale, całe to cholerstwo, jeśli wiesz, o czym mówię.

Rudy wszedł z powrotem do domu.

Bubba, posługując się jednym palcem, wystukał coś na klawiaturze laptopa, który miał pod ręką. Potem wyciągnął zabrudzony kawałek papieru z kieszeni. Swoim pismem drugoklasisty nagryzmolił typy telefonów komórkowych i numery seryjne, a następnie, obok, numery częstotliwości swoich urządzeń nagrywających. Wreszcie usiadł na podłodze.

– Nigdy tego nie próbowałem – wyznał. – Mam nadzieję, że zadziała.

Wzniosłem oczy ku górze i oparłem się o ścianę furgonetki.

– Nic nie słyszę – oznajmiłem po jakichś trzydziestu sekundach.

– Ojoj! – Bubba uniósł palec nad głową. – Głośność.

Nachylił się i wcisnął guzik na obudowie laptopa. Po chwili usłyszeliśmy głos Diane Bourne. – ...pijany jesteś, Miles? Pewnie, że to ważne. Pytali o wszystko. Uśmiechnąłem się do Angie. – A nie chciałaś jechać za rudym – powiedziałem. Zrobiła obrażoną minę i zwróciła się do Bubby:

– Raz na trzy lata nie zawodzi go przeczucie i od razu myśli, że jest cholernie dobry.

– O co pytali? – odezwał się Miles.

– Kim jesteś, gdzie pracujesz.

– Jak do mnie doszli?

Diane Bourne nie miała zamiaru tego wyjaśniać.

– Pytali o Karen, o Wesleya. Chcieli wiedzieć, jak te pieprzone notatki dostały się w ręce Karen, Miles.

– Dobra, dobra, wyluzuj się.

– Pieprzę twoje „wyluzuj się". Sam się wyluzuj. Jezu – rzuciła zdesperowana. – Obydwoje mają głowy na karku. Rozumiesz?

Bubba mnie trącił. – Mówi o was?

Przytaknąłem.

– Cholera – rzucił pogardliwie. – Głowy na karku. Pewnie.

– Tak – powiedział Miles Lovell. – Są łebscy. Wiemy to.

– Ale nie przewidzieliśmy, że wpadną na mój trop. Kurwa, załatw to, Miles. Zadzwoń do niego.

– Tylko...

– Załatw to! – warknęła wściekle. Potem odłożyła słuchawkę. Miles też odłożył słuchawkę i niemal natychmiast wystukał kolejny numer.

– Tak? – odezwał się po drugiej stronie jakiś mężczyzna.

– Dwaj detektywi dzisiaj węszyli – odparł Miles.

– Detektywi? Chodzi ci o policję?

– Nie. Prywatni. Wiedzą o tych notatkach z gabinetu.

– Ktoś je zapomniał zabrać?

– Ktoś był pijany. Co innego może powiedzieć?

– Pewnie.

– Boi się.

– Dobra pani doktor?

– Tak.

– Bardzo? – spytał spokojny głos.

– Zdecydowanie.

– Trzeba będzie z nią pogadać?

– Może. To słabe ogniwo.

– Słabe ogniwo. Uhm...

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Słyszałem na jednym końcu linii oddech Milesa, na drugim szum i trzaski.

– Jesteś tam? – upewnił się Miles.

– Zaczyna mnie to nudzić.

– Co?

– Działanie w takim stylu.

– Na twój styl może zabraknąć czasu. Posłuchaj...

– Nie przez telefon – przerwał głos.

– Dobra. A więc tam, gdzie zwykle.

– Tam, gdzie zwykle. Nie martw się tak bardzo.

– Nie martwię się. Chcę się tylko uporać z tym prędzej, niż zamierzasz.

– Pewnie.

– Mówię poważnie.

– Zorientowałem się – przyznał spokojny głos. Potem przerwano połączenie.

Miles wystukał z miejsca kolejny numer. Po czwartym sygnale odebrała jakaś kobieta. Głos miała niski i leniwy.

– Tak.

– To ja – oznajmił Miles.

– Uhm.

– Pamiętasz, jak mieliśmy coś zabrać z mieszkania Karen?

– Co?

– Notatki. Pamiętasz?

– Eeej, to była twoja robota.

– Jest wkurzony.

– Więc? Powtarzam, to była twoja robota.

– On myśli inaczej.

– Co chcesz powiedzieć?

– Mówię, że może zacząć kolejną krucjatę. Uważaj.

– Jezu – rzuciła kobieta. – Jaja sobie ze mnie robisz? Jezu, Miles!

– Uspokój się.

– Nie! Okej? Jezu! Ma nas w ręku, Miles. Ma nas w ręku.

– Ma wszystkich w ręku – powiedział Miles. – Po prostu...

– Co? Co po prostu, Miles? Hę?

– Nie wiem. Uważaj.

– Dzięki. Wielkie dzięki. Cholera!

Odłożyła słuchawkę. Miles też się wyłączył, a my siedzieliśmy w furgonetce i obserwowaliśmy dom, czekając, aż się pojawi i poprowadzi nas, gdziekolwiek zamierzał się udać.

– Ta kobieta miała głos Diane Bourne?

Angie potrząsnęła głową.

– Nie. Była zdecydowanie młodsza.

Przytaknąłem.

– Więc ten facet zrobił coś haniebnego? – spytał Bubba.

– Owszem. Tak mi się wydaje.

Bubba sięgnął pod płaszcz, wyciągnął dwudziestkędwójkę i przykręcił do lufy tłumik.

– Okej. Chodźmy.

– Po co?

Spojrzał na mnie.

– Wywalimy kopniakiem drzwi i zastrzelimy go.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Powiedziałeś, że zrobił coś haniebnego. Więc dobra, zastrzelmy go. Chodźcie. Będzie ubaw.

– Bubba – zwróciłem się do niego i położyłem mu dłoń na ręku, żeby opuścił broń. – Jeszcze nie wiemy, o co chodzi. Ten facet jest nam potrzebny. Musi nas zaprowadzić do kogoś, z kim jest w zmowie.

Bubba uniósł powieki i otworzył usta, wpatrując się w ścianę furgonetki jak dziecko, któremu właśnie pękł z hukiem balonik urodzinowy.

– Jezu – zwrócił się do Angie. – Po co mnie ze sobą ciągnie, jeśli nie mogę nikogo rozwalić?

Angie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Już dobrze, kolego, już dobrze. Cierpliwości. Trzeba tylko zaczekać.

Bubba potrząsnął głową.

– Wiesz, co przytrafia się facetom, którzy czekają?

– Co?

– Czekają jeszcze dłużej. – Zmarszczył brwi. – I nikogo nie trzeba zabijać.

Wyciągnął butelkę wódki spod płaszcza i potrząsnął głową.

– Czasem nie ma sprawiedliwości na świecie – oznajmił.

Biedny Bubba. Zawsze idzie na przyjęcie ubrany nie tak jak trzeba.

18

Miles Lovell wyszedł z domu krótko po zachodzie słońca, kiedy niebo nasyciło się pomidorową czerwienią, a bryza wiejąca w głąb lądu przyniosła ze sobą woń odpływu.

Pozwoliliśmy mu się oddalić o kilka przecznic, nim skręciliśmy w nadbrzeżną drogę i dogoniliśmy go niedaleko zbiorników gazowych na przemysłowym odcinku trasy 228. Ruch był teraz znacznie mniejszy i kierował się głównie ku plaży, nie w stronę przeciwną, trzymaliśmy się więc jakieś pół kilometra za nim, czekając, aż z nieba znikną resztki światła.

Jednak czerwień się tylko pogłębiła, a wokół niej zaczęły się kłębić smugi głębokiego błękitu. Angie jechała z Bubbą w furgonetce, a ja przed nimi w porsche, podczas gdy Lovell prowadził nas z powrotem przez Hingham, skręcając ponownie na trasę 3 i kierując się na południe.

Była to długa jazda. Po kilku skrzyżowaniach zjechał z trasy przy Plymouth Rock, a potem, półtora kilometra dalej, skierował się w stronę polnych dróg, coraz bardziej zakurzonych i dzikich. Mieliśmy nadzieję, że nie zgubimy go na którejś serpentynie czy mniejszym trakcie, obrośniętym gęstą roślinnością i niskimi drzewami.

Miałem spuszczone szyby i wyłączone radio, słyszałem więc od czasu do czasu chrzęst opon na koleinach drogi i muzykę jazzową, która płynęła z jego wozu przez szyberdach. Znajdowaliśmy się głęboko w lasach Myles Standish, o ile mogłem się zorientować – konary białych klonów i modrzewi wznosiły się nad nami pod czerwonym niebem. Wyczułem zapach żurawiny, jeszcze nim ją ujrzałem.

Był to słodki, ostry zapach, w którym wyczuwało się gorącą woń fermentujących owoców pozostawionych na słońcu. Wraz z nadejściem nocy, która chłodziła mokradła, napłynęły jasne opary, przeciskając się między drzewami. Przystanąłem na ostatniej polanie przed rozlewiskiem, obserwując tylne światła wozu Lovella. Po chwili zniknęły na końcu dróżki, która prowadziła do grząskiego brzegu.

Bubba zaparkował obok porsche i wszyscy troje wysiedliśmy, zamykając za sobą cicho drzwi samochodów, by nie zdradzić swej obecności. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, między cienkimi drzewami, rozległy się dwa metaliczne trzaski, jeden po drugim. To Lovell otworzył drzwi swego samochodu, a potem je zamknął. Dźwięk był donośny i wyraźny, biegł

po zamglonych mokradłach i przez rzadki zagajnik, jakby z niewielkiej odległości.

Ruszyliśmy wilgotną, ciemną dróżką, która prowadziła na mokradła. Przez gęstwinę cienkich pni dostrzegaliśmy chwilami morze żurawiny; napęczniałe owoce wychylały się z mgły i wilgoci, ocierając łagodnie o siebie.

W zaroślach odbijał się echem odgłos kroków, w zapadającej nocy krakały wrony, a szczyty drzew szeleściły w wilgotnych pocałunkach wiatru. Dotarliśmy do skraju zagajnika, gdzie stało BMW. Wyjrzałem ostrożnie zza pnia.

Przede mną ciągnęło się pofalowane mokradło żurawiny. Tuż nad jego powierzchnią, niczym zimny oddech, zwieszała się biała mgiełka, a ułożone na krzyż czarne deski dzieliły całe rozlewisko na cztery długie prostokąty. Miles Lowell szedł teraz po jednej z tych desek. U zbiegu kładek znajdowała się niewielka drewniana chata. Lovell otworzył ją, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Podczołgałem się wzdłuż linii drzew, wykorzystując wóz Lovella jako osłonę przed ewentualnym niepożądanym wzrokiem z przeciwległej strony mokradła i przyjrzałem się chacie. Była niewielka, na prawej ścianie znajdowało się okno, które wychodziło na kładkę wiodącą przez grzęzawisko na północ. W oknie wisiała muślinowa zasłonka i gdy spojrzałem w tamtym kierunku, szkło wypełniło się stłumioną pomarańczową barwą zapalonego we wnętrzu światła. Dostrzegłem przelotnie sylwetkę Lowella.

Prócz samochodu nie było tu żadnej osłony – tylko grząski brzeg i bagnisty grunt po prawej stronie, rozbrzmiewający cichym bzykaniem pszczół, komarów i świerszczy, budzących się nawzajem przed nocną zmianą. Podpełzłem z powrotem do linii drzew. Razem z Angie i Bubbą zbliżyliśmy się ostrożnie do ostatnich pni porastających brzeg mokradła. Mieliśmy teraz dobry widok na frontową i lewą ścianę chaty, a także na kładki, które sięgały przeciwległego brzegu i znikały w czarnej gęstwinie drzew.

– Cholera – zakląłem. – Szkoda, że nie wzięliśmy lornetki.

Bubba westchnął, wyjął spod płaszcza lornetkę i podał mi.

Bubba i jego trencz – czasem miałem wrażenie, że facet chowa pod nim cały dom towarowy.

– Jesteś jak Harpo Marx z tym płaszczem. Mówiłem ci to już kiedyś?

– Siedemset, może z osiemset razy.

– Oj!

Mój poziom inteligencji zdecydowanie się obniżał.

Skierowałem lornetkę na chatę, nastawiłem ostrość i nie zyskałem nic prócz doskonałego widoku drewna. Nie przypuszczałem, by po drugiej stronie znajdowało się okno,

a to, które wcześniej widziałem na prawej ścianie, było zasłonięte. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko czekać, aż tajemniczy człowiek zjawi się na spotkanie z Lovellem i mieć nadzieję, że komary ani pszczoły nie przypuszczą na nas zmasowanego ataku. Choć prawdopodobnie Bubba chował pod płaszczem środek odstraszający, a może nawet taką specjalną lampę na owady.

Niebo nad nami wykrwawiło się już z czerwieni i zaczynało powoli przybierać kolor ciemnoniebieski, zielone żurawiny przejaśniały na nowym tle, kiedy mgła z białej przeszła w omszale szarą, drzewa zaś stały się czarne.

– Myślisz, że ten facet, z którym Miles miał się spotkać, mógł zjawić się tu wcześniej? – spytałem Angie po chwili.

Popatrzyła na chatę.

– Niewykluczone. Ale musiałby przyjść od drugiej strony. Tędy szedł tylko Lovell, a wozy zaparkowaliśmy od północy.

Przesunąłem lornetkę w stronę południowego krańca, gdzie kładki znikały wśród wysokich łodyg zwiędłej, pożółkłej roślinności, która porastała miazmatyczne grzęzawisko pełne komarów. Wydawało się mało prawdopodobne, by ktoś mógł nadejść od tamtej strony, chyba że nie bał się złapać malarii.

Bubba za moimi plecami parsknął znudzony i kopnął ziemię, łamiąc przy tym kilka gałązek.

Skierowałem lornetkę na wschodni kraniec mokradła. Brzeg wydawał się tam twardszy, drzewa były grubsze, suche i wysokie. Były tak grube, prawdę powiedziawszy, że bez względu na to, jak nastawiałem ostrość, nie widziałem na przestrzeni pięćdziesięciu metrów niczego prócz czarnych pni i zielonego mchu.

– Jeśli już tam jest, to przyszedł z drugiej strony – wskazałem. – Chyba go zauważymy, jak będzie wychodził. Masz aparat?

Angie przytaknęła i wyjęła z torby małego pentaxa z wbudowanym autofocusem i fleszem do nocnych zdjęć.

Uśmiechnąłem się.

– Jeden z moich prezentów gwiazdkowych.

– Dałeś mi go na Boże Narodzenie w 97. – Parsknęła śmiechem. – Jedyny prezent od ciebie, jaki mogę pokazać publicznie, nie czerwieniąc się ze wstydu.

Uchwyciłem jej spojrzenie, ona zaś patrzyła mi przez chwilę w oczy. Naszło mnie gwałtowne, niepowstrzymane pragnienie. Potem Angie opuściła powieki, a ja poczułem, jak twarz oblewa mi fala gorąca. Znów spojrzałem przez lornetkę.

– Zajmujecie się takim gównem codziennie? – spytał Bubba mniej więcej po dziesięciu minutach. Pociągnął z butelki i beknął.

– Och, czasem ścigamy kogoś samochodem – odparła Angie.

– Co za kurewsko nudne życie – zauważył Bubba. Zaczął się wiercić niespokojnie, potem od niechcenia walnął pięścią w drzewo.

Z chaty dobiegł przytłumiony łoskot, niższe deski zadrgały. Miles Lovell kopał pewnie w ściany, równie znudzony jak Bubba.

Wrona, być może ta sama, którą słyszeliśmy wcześniej, zakrakała, lecąc nisko nad mokradłem. Zatoczyła zgrabny łuk przed frontową ścianą chaty, musnęła dziobem wodę, po czym wzbiła się w górę i odfrunęła pomiędzy ciemne drzewa.

Bubba ziewnął.

– Zabieram się stąd – oświadczył.

– W porządku – zgodziła się Angie.

Wskazał otaczające nas drzewa.

– Wszystko to fajne i w ogóle, ale wieczorem dają w telewizji zapasy.

– Oczywiście – przytaknęła Angie.

– Odrażający Bob Brutal kontra Słodki Sammy Sztanga.

– Jezu, chciałabym to obejrzeć – westchnęła Angie. – Ale mam, niestety, robotę.

– Nie martw się, nagram wszystko – obiecał Bubba.

– Naprawdę? Rany, byłoby super. – Angie uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Ironia w jej głosie całkowicie umknęła uwadze Bubby. Od razu się ożywił i zatarł dłonie.

– Jasne. Posłuchajcie, mam całą kupę nagrań. Moglibyśmy kiedyś...

– Pst! – przerwała mu nagle Angie, przykładając palec do ust.

Zwróciłem głowę w stronę chaty i usłyszałem, jak zamykają się cicho drzwi. Podniosłem do oczu lornetkę i spojrzałem – z chaty, od drugiej strony, wyszedł jakiś człowiek i ruszył kładką w stronę skupiska masywnych drzew.

Widziałem tylko jego plecy. Miał blond włosy i ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Był szczupły i poruszał się z niewymuszoną zwinnością, trzymając jedną dłoń w kieszeni, drugą kołysząc leniwie u boku. Nosił jasnoszare spodnie i białą koszulę z rękawami, które podwinął do łokci. Głowę trzymał lekko przechyloną na bok, a jego cichy gwizd niósł się po mokradłach.

– Brzmi jak „Camp Town Ladies” – zauważył Bubba.

– Nie – powiedziała Angie. – To coś innego.

– No to powiedz, jak wiesz.

– Nie wiem. Ale na pewno nie tamto.

– Jasne – odparł ironicznie Bubba.

Mężczyzna dotarł niemal do połowy kładki, a ja czekałem, aż się odwróci i spojrzy w naszą stronę, bym mógł zobaczyć jego twarz. Po to tu przyjechaliśmy – sprawdzić, z kim Miles miał się spotkać. I jeśli blondyn zostawił samochód wśród drzew po drugiej stronie, zdążyłby zwiać, nawet gdybyśmy od razu zaczęli go gonić.

Podniosłem z ziemi kamień i rzuciłem w stronę mokradła. Spadł w gąszcz żurawin jakieś dwa metry od blondyna, po jego lewej ręce. Plusk był tak głośny, że usłyszeliśmy go z odległości trzydziestu metrów.

Mężczyzna jakby tego nie zauważył. Nie zwolnił kroku. Wciąż gwizdał.

– Mówię ci – odezwał się Bubba, też podnosząc z ziemi kamień. – To „Camp Town Ladies".

Cisnął swoim kamieniem, kilogramowym odłamkiem, który doleciał tylko do polowy mokradła, ale narobił dwa razy tyle hałasu co mój. Usłyszeliśmy donośny chlupot, jednak blondyn nie zareagował w żaden widoczny sposób.

Dotarł do końca kładki, a wtedy podjąłem decyzję. Gdyby wiedział, że ktoś go śledzi, mógłby zniknąć, ale i tak w końcu by zniknął, a ja musiałem zobaczyć jego twarz.

– Hej! – wrzasnąłem. Mój głos rozdarł mgłę i rozwibrował nieruchome powietrze nad mokradłem, płosząc ptaki, które wzbiły się z drzew.

Mężczyzna zatrzymał się na brzegu. Naprężył mięśnie pleców. Ramiona skręciły się leciutko w lewą stronę. Potem uniósł prawą rękę, trzymając ją pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, jak policjant zatrzymujący ruch albo człowiek, który macha komuś na pożegnanie.

Wiedział już wcześniej, że tu byliśmy. I dawał nam to do zrozumienia.

Opuścił rękę i zniknął wśród ciemnych drzew.

Wypadłem z zarośli na grząski brzeg, Angie i Bubba wyskoczyli tuż za mną. Miles Lovell na pewno słyszał moje wołanie, więc i tak byliśmy już zdekonspirowani. Naszą jedyną szansą było dorwać Lovella, nim zdąży uciec i wydusić z niego prawdę.

Kiedy nasze kroki załomotały na drewnianej kładce i poczułem w nozdrzach gorzką woń błota, Bubba powiedział:

– No dalej. Pomóż mi, chłopie. To było „Camp Town", no nie?

– To było „We're the boys of chorus" – oznajmiłem.

– Co?

Ruszyłem dalej, a chata jakby kołysała się na boki, kiedy podążaliśmy w jej kierunku;

mieliśmy wrażenie, że deski pod naszymi stopami załamią się lada chwila.

– Z „Królika Bugsa” – wyjaśniłem.

– No tak! – zawołał Bubba, a potem zaśpiewał pierwszą zwrotkę.

Słowa, dobywające się donośnie z ust Bubby i płynące nad nieruchomym i cichym mokradłem, pełzły po moim kręgosłupie niczym insekty.

Kiedy znalazłem się przy chacie, od razu sięgnąłem do klamki.

– Patrick! – zawołała ostrzegawczo Angie.

Odwróciłem się i znieruchomiałem pod jej gniewnym spojrzeniem. Nie mogłem uwierzyć, że byłem gotów to zrobić – podbiec do zamkniętych drzwi, za którymi krył się prawdopodobnie uzbrojony człowiek i otworzyć je, jakbym wchodził do własnego domu.

Angie stała z półotwartymi ustami, przekrzywiając głowę i patrząc ze złością, zaskoczona, jak przypuszczałem, moim chwilowym zaćmieniem.

Potrząsnąłem głową, dziwiąc się własnej głupocie, i odsunąłem się na bok. Angie wyciągnęła swoją trzydziestkęósemkę i stanęła po lewej stronie, celując w środek drzwi. Bubba zdążył już wyciągnąć swoją broń – strzelbę z odpiłowaną lufą i pistoletową kolbą – i zajął miejsce z prawej, mierząc z nonszalancją nauczyciela geografii, który pokazuje na starej szkolnej mapie Birmę.

– Uhm, jesteśmy gotowi, geniuszu – mruknął.

Wyciągnąłem swojego colta, stanąłem na lewo od framugi i zastukałem w drewno.

– Miles, otwieraj!

Cisza.

Zastukałem ponownie.

– Hej, Miles, tu Patrick Kenzie. Jestem prywatnym detektywem. Chcę tylko pogadać.

Z wnętrza dobiegł odgłos uderzenia o drewno, potem jakby grzechot narzędzi albo metalu w narożniku chaty.

Zapukałem po raz ostatni.

– Wchodzimy do środka, Miles. Okej?

Coś zastukało kilkakrotnie o podłogę.

Przywarłem plecami do ściany i sięgnąłem do klamki, spoglądając na Angie i Bubbę. Obydwoje przytaknęli. Od strony mokradła dobiegło rechotanie żaby. Wiatr zamarł a drzewa były nieruchome i ciemne.

Nacisnąłem klamkę i pchnąłem drzwi. Angie zawołała:

– Jezu Chryste!

– Rany – mruknął Bubba z nutą podziwu, jeśli nie grozy w głosie, i opuścił strzelbę.

Angie też opuściła rewolwer, a ja stanąłem na progu i zajrzałem do chaty. Upłynęła chwila, nim się zorientowałem, co widzę. Trudno było to przetrawić za jednym zamachem, zwłaszcza że nie miałem na to najmniejszej ochoty.

Miles Lovell siedział przywiązany do pompy zainstalowanej pośrodku chaty. Gruby przewód elektryczny wrzynał mu się w tors i był przytwierdzony do motoru za jego plecami.

Knebel w ustach pociemniał od krwi, która sączyła się z kącików warg i spływała na klatkę piersiową.

Ręce i nogi nie były skrępowane, a pięty uderzały o podłogę, kiedy Lovell próbował się uwolnić od stalowego bloku.

Jednak ręce zwieszały się bezwładnie wzdłuż ciała, a człowiek, który mu to uczynił, nie musiał się martwić, że Miles się uwolni, gdyż ten nie miał już dłoni.

Leżały na podłodze, na lewo od pompy, odcięte powyżej nadgarstków i ułożone starannie, wewnętrzną stroną do dołu. Blondyn założył na oba kikuty opaski uciskowe, a siekierę pozostawił wbitą w deski między odrąbanymi kończynami.

Podeszliśmy do Lovella, kiedy oczy uciekły mu w głąb czaszki i ukazały się białka, a rytmiczne stukanie piętami nie przywodziło już na myśl bólu, ale raczej szok. Wątpiłem, czy pożyje jeszcze długo, nawet z tymi opaskami, i stłumiłem przerażenie wywołane jego cierpieniem, by zadać mu pytanie czy dwa, nim uprzedzi mnie wstrząs albo śmierć.

Wyciągnąłem knebel z jego ust i natychmiast odskoczyłem, kiedy ciemna krew chlusnęła mu na pierś.

– O, nie! – powiedziała Angie. – Nie ma, kurwa, mowy. Chyba żartujesz.

Żołądek skręcił mi się w jedną stronę, potem w drugą, a mózg wypełniło miękkie i ciepłe brzęczenie.

– Rany – powtórzył Bubba i tym razem mógłbym przysiąc, że wyczułem w jego głosie niekłamaną grozę.

Miles, bez względu na szok czy śmierć, nie mógłby odpowiedzieć na moje pytania przez bardzo długi czas.

I nawet gdyby przeżył, nie miałem pewności, czy byłby z tego zadowolony:

Kiedy czekaliśmy ukryci wśród drzew, podczas gdy mgła unosiła się łagodnie nad mokradłem, a BMW stało sobie na brzegu, język Milesa Lovella podążył w ślad za jego dłońmi.

19

W trzy dni po tym, jak Miles Lovell został przyjęty na oddział intensywnej opieki medycznej, dr Diane Bourne weszła do swego domu jednorodzinnego w Admiral Hill, gdzie zastała Angie, Bubbę i mnie, gdy szykowaliśmy w jej kuchni bardzo wczesny obiad z okazji Święta Dziękczynienia.

Sprawowałem pieczę nad siedmiokilowym indykiem, ponieważ jako jedyny z naszej trójki lubiłem gotować. Angie przesiadywała w restauracjach, Bubba żywił się głównie jedzeniem na wynos, ale ja gotuję od dwunastego roku życia. Nie umiem przyrządzić nic wyrafinowanego – nie bez powodu przymiotnik „irlandzki" i wyrażenie „wykwintna kuchnia" rzadko się spotykają w jednym zdaniu – ale ptactwo, wołowina i potrawy z makaronu nie stanowią dla mnie problemu, potrafię też upichcić coś z większości ryb znanych rodzajowi ludzkiemu.

Tak więc umyłem, upiekłem, podlałem sosem i przyprawiłem indyka, następnie przygotowałem puree ziemniaczane z cebulką pokrojoną w kostkę, podczas gdy Angie zabrała się za nadzienie i fasolkę szparagową z czosnkiem według przepisu, który znalazła na wewnętrznej stronie puszki po zupie. Bubba nie miał w zasadzie żadnych obowiązków, ale przyniósł ze sobą mnóstwo piwa i kilka paczek chipsów dla mnie i Angie, dla siebie zaś butelkę wódki, a kiedy zobaczył błękitnego kota perskiego doktor Bourne, był na tyle miły, że go nie zabił.

Indyk piecze się dobrą chwilę, człowiek nie ma wtedy właściwie nic do roboty, więc razem z Angie skorzystaliśmy z okazji i zaczęliśmy przetrząsać dom Diane Bourne, znajdując przy okazji coś bardzo ciekawego.

Miles Lovell doznał szoku, nim zdążyliśmy wezwać karetkę. Został czym prędzej przewieziony do Jordan Hospital w Plymouth, gdzie ustabilizowano jego stan, a następnie przetransportowano drogą lotniczą do Mass General. Po dziewięciogodzinnych zabiegach został umieszczony na oddziale intensywnej opieki medycznej. Nie zdołali przyszyć mu dłoni; może próbowaliby uporać się z językiem, gdyby blondyn nie zabrał go ze sobą albo nie wrzucił w mokradło.

Coś mi mówiło, że blondyn zabrał trofeum ze sobą. Nie wiedziałem o nim wiele – nie

znałem jego nazwiska ani twarzy – ale powoli zaczynałem go wyczuwać. Mógłbym przysiąc, że to ten sam facet, którego Warren Martens widział w motelu i opisał jako szefa całej trójki. Wcześniej zniszczył Karen Nichols, a teraz Milesa Lovella. Wydawało się, że nudzi go proste, zwykłe zabijanie – wolał, by ofiary same pragnęły umrzeć.

Wróciliśmy na dół ze smakowitym kąskiem, znalezionym w sypialni Diane. W chwili gdy z indyka wyskoczył plastikowy termometr, pojawiła się nasza gospodyni.

– W samą porę – zauważyłem.

– Pewnie – przyznała Angie. – My odwalamy całą robotę, a ona spije śmietankę.

Diane Bourne wkroczyła do jadalni połączonej z kuchnią łukowatym przejściem, a Bubba powitał ją uniesieniem trzech palców dłoni, w której trzymał jednocześnie butelkę wódki absolut.

– Jak się masz, siostro?

Diane Bourne wypuściła z ręki skórzaną torebkę i otworzyła usta, jakby zamierzała krzyknąć.

– No, no, spokojnie – uprzedziła Angie. Przykucnęła na kuchennej podłodze i pchnęła w stronę lekarki kasetę wideo, którą znaleźliśmy w jej sypialni. Plastikowy prostokąt zatrzymał się u stóp Diane Bourne.

Popatrzyła na kasetę i zamknęła usta.

Angie usadowiła się na blacie szafki i zapaliła papierosa.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale uprawianie seksu z pacjentem jest chyba nieetyczne?

Popatrzyłbym na doktor Bourne, unosząc przy okazji brwi, ale byłem akurat zajęty wyciąganiem brytfanny z piecyka.

– Niech mnie diabli – oznajmił z podziwem Bubba. – Nieźle pachnie.

– Cholera – zakląłem.

– Co jest?

– Pamiętał ktoś o żurawinie?

Angie strzeliła palcami i potrząsnęła głową.

– Jeśli o mnie chodzi, mogę się bez tego obejść – uprzedziłem. – Angie?

– Nigdy nie lubiłam sosu żurawinowego – odparła, nie spuszczając wzroku z Diane Bourne.

– Bubba?

Beknął.

– Nie pasuje do wódy.

Odwróciłem głowę. Diane Bourne zastygła w jadalni nad upuszczoną torebką i kasetą wideo.

– Doktor Bourne? – spytałem, a jej spojrzenie powędrowało w moją stronę. – Jest pani wielbicielką sosu żurawinowego?

Wciągnęła powietrze, długo i przeciągle, a potem odetchnęła z zamkniętymi oczami.

– Co wy tu robicie?

Pokazałem brytfannę.

– Gotujemy.

– Mieszamy – dorzuciła Angie.

– Pijemy – uzupełnił Bubba i wysunął w jej stronę butelkę wódki. – Odrobinkę?

Diane Bourne potrząsnęła zdecydowanie głową i ponownie zamknęła oczy, jakby licząc na to, że znikniemy, gdy otworzy je znowu.

– To włamanie i najście. To przestępstwo.

– W rzeczywistości – wyjaśniłem – samo włamanie to wykroczenie.

– Jednak najście... – uzupełniła Angie. – No, to już kiepsko.

– Kiepsko – zgodził się Bubba i uderzył kilkakrotnie jednym palcem wskazującym w drugi. – Kiepsko, kiepsko, kiepsko.

Postawiłem ptaka na piecyku.

– Ale przynieśliśmy jedzenie.

– I flaszkę.

– Tak – przytaknąłem Bubbie. – Sama flaszka powinna zrównoważyć włamanie i najście.

Diane Bourne popatrzyła na kasetę u swych stóp i podniosła dłoń, by nas uciszyć.

– I co teraz?

Spojrzałem na Bubbę. Ten zerknął skonfundowany na Angie. Angie skierowała wzrok na Diane Bourne. Diane Bourne popatrzyła z kolei na mnie.

– Teraz zjemy – oznajmiłem.

Diane Bourne pomogła mi pokroić indyka i pokazała, gdzie znajdują się miski i talerze. Gdybyśmy zaczęli ich szukać sami, pewnie wywrócilibyśmy mieszkanie do góry nogami.

Nim wszyscy usiedli przy miedzianym stole w jadalni, na twarz Diane Bourne powróciły kolory, ona sama zaś napiła się kieliszek białego wina, którego butelkę przyniosła ze sobą z kuchni.

Bubba zaklepał sobie wcześniej nóżki i skrzydełka, więc pozostali raczyli się białym

mięsem, uprzejmie podawali sobie miski z fasolką i ziemniakami i smarowali bułeczki, wyginając przy tym elegancko mały palec.

– A więc – oznajmiłem, starając się zagłuszyć zgrzyt zębów Bubby, który właśnie odgryzał kawał mięsa wielkości niedużego samochodu. – Słyszałem, pani doktor, że zabrakło w gabinecie asystenta na pół etatu.

Łyknęła wina.

– Niestety – odparła, po czym odgryzła mizerny kawałeczek indyka i znów łyknęła wina.

– Policja z panią rozmawiała? – spytała Angie.

Przytaknęła.

– Rozumiem, że dostali moje nazwisko od was.

– Powiedziała im coś pani?

– Powiedziałam, że Miles był cenionym pracownikiem, ale że niewiele wiedziałam o jego życiu prywatnym.

– Uhm – mruknęła Angie i napiła się piwa, które nalała do jednego z kieliszków do wina. – Wspomniała pani o tym, że Lovell zadzwonił do pani jakąś godzinę przed tym, jak został okaleczony?

Diane Bourne zachowywała kamienny spokój. Uśmiechnęła się, trzymając kieliszek przy ustach, i napiła się odrobinę.

– Nie. Obawiam się, że umknęło mi to z pamięci.

Bubba wylał na talerz galon sosu, dosypał z pół solniczki soli i oznajmił:

– Jesteś pijaczką, siostro.

Twarz Diane Bourne przybrała barwę białej kuli bilardowej.

– Co pan powiedział?

Bubba wskazał widelcem jej butelkę wina.

– Jesteś pijaczką. Łykasz odrobinkę, siostro, ale robisz to cały czas.

– Jestem zdenerwowana.

Bubba posłał jej spojrzenie, jakim zwykle rekin obdarza drugiego rekina.

– Tak, siostro. Jesteś pijaczką. Widzę to w tobie. – Pociągnął ze swojej butelki i popatrzył na mnie. – Zamknij ją w pokoju, stary. Góra po trzydziestu sześciu godzinach będzie wrzeszczeć, żeby dać jej flaszkę. Obciągnęłaby orangutanowi, gdyby miała dostać od niego drinka.

Przyglądałem się Diane Bourne, kiedy Bubba wygłaszał swoją przemowę. Kaseta wideo nie zrobiła na niej wrażenia. To, że wiedzieliśmy o telefonie też nie zrobiło na niej

wrażenia. Nawet nasza obecność tutaj, w jej domu, nie zszokowała jej za bardzo. Lecz słowa Bubby wyraźnie chwyciły ją za gardło, wprawiły w ledwie dostrzegalne drżenie jej palce.

– Nie martw się – dodał Bubba, nie odrywając wzroku od jedzenia. Jego nóż i widelec zawisły nad masą wypełniającą talerz niczym jastrzębie gotowe runąć na ofiarę. – Szanuję kobiety, które lubią wypić. I nie mam nic przeciwko tej nimfo-lesbijskiej akcji, którą sobie nagrałaś.

Bubba znów zabrał się za jedzenie i przez kilka chwil słychać było tylko, jak zgarnia i pochłania.

– Wracając do tej kasety... – przerwałem milczenie.

Diane Bourne oderwała wzrok od Bubby i przełknęła resztę wina. Nalała sobie pół kieliszka i popatrzyła na mnie, gdy już bezczelna duma w jej oczach stłumiła niepokój wywołany słowami Bubby.

– Jesteś na mnie zły, Patrick?

– Nie.

Znowu skubnęła indyka.

– Ale wydawało mi się, że śmierć Karen Nichols stała się dla ciebie początkiem osobistej krucjaty.

Uśmiechnąłem się.

– Klasyczna technika przesłuchiwania, Diane. Brawo.

Spojrzenie pełne niewinności.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Posługiwanie się imieniem badanego. Jak najczęściej. Chodzi o to, żeby uspokoić delikwenta, wprowadzić atmosferę intymności.

– Przepraszam.

– Trudno mi uwierzyć w twoją szczerość.

– No dobrze, może masz rację, ale...

– Pani doktor – zwróciła się do niej Angie – pieprzy się pani na tym filmie zarówno z Karen Nichols, jak i Milesem Lovellem. Zechce nam to pani wyjaśnić?

Diane Bourne odwróciła głowę i wlepiła w Angie swe zimne spojrzenie.

– Podnieciło cię to, Angie?

– Nieszczególnie, Diane.

– Wywołało odrazę?

– Nieszczególnie, Diane.

Bubba podniósł wzrok znad drugiej nogi indyczej.

– Ale mnie stanął jak kołek w płocie, siostro. Miej to na uwadze.

Zignorowała go, choć jej krtań znowu drgnęła nieznacznie.

– No śmiało, Angie, żadnych ukrytych pragnień, żeby poeksperymentować seksualnie z inną kobietą? – spytała.

Angie łyknęła piwa.

– Gdybym miała takie zachcianki, pani doktor, wybrałabym sobie kobietę z lepszym ciałem. Może mnie pani uznać za osobę płytką.

– Zgadza się – wtrącił Bubba. – Przydałoby się trochę więcej ciała na tych twoich gnatach, doktorko.

Diane Bourne znów obrzuciła mnie spojrzeniem, które nie było już takie spokojne i pewne.

– A ty, Patrick? Podobało ci się?

– Dwie dziewczyny i facet?

Przytaknęła.

Wzruszyłem ramionami.

– Kiepskie oświetlenie, prawdę mówiąc. Wolę oglądać pornosa na nieco wyższym poziomie, jeśli mam być szczery.

– Plus włochaty tyłek – przypomniał Bubba.

– Słuszna uwaga. – Uśmiechnąłem się do Diane Bourne. – Lovell miał włochaty tyłek. Nie przepadamy za włochatymi tyłkami. Kto nakręcił to wideo, pani doktor?

Napiła się jeszcze trochę wina. Im bardziej próbowała zagłębić się w naszą psychikę, tym bardziej byliśmy wyszczekani. Gdyby miała do czynienia tylko z jednym z nas, może by jej się udało, ale we trójkę przegadalibyśmy braci Marx, Trzech Amigos i Neila Simona razem wziętych.

– Pani doktor? – drążyłem.

– Kamera była na statywie. Sami kręciliśmy.

Potrząsnąłem głową.

– Przykro mi. Nie przejdzie. Na filmie czterokrotnie zmienia się kąt widzenia, a nie wydaje mi się, by ktoś z waszej trójki wstawał i przesuwał statyw.

– Może...

– Widać też cień – przerwała jej Angie. – Cień mężczyzny, Diane. Na wschodniej ścianie. Podczas gry wstępnej.

Diane Bourne zamknęła usta i sięgnęła po kieliszek.

– Możemy cię załatwić, Diane – powiedziałem. – Wiesz o tym doskonale. Więc nie

rób sobie z nas żartów. Kto kręcił ten film? Blondyn?

Podniosła na chwilę wzrok, by natychmiast spuścić głowę.

– Kto to jest? – spytałem. – Wiemy, że zmasakrował Lovella. Wiemy, że ma ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, waży około osiemdziesięciu kilo, dobrze się ubiera i lubi pogwizdywać, kiedy chodzi. Zlokalizowaliśmy go w Holly Martens Inn, gdzie bywał z Karen Nichols i Milesem Lovellem. Jak tam wrócimy i spytamy, to jestem pewien, że i ciebie opiszą jako kogoś, kto tam bywał. Chcemy wiedzieć, jak się nazywa.

Potrząsnęła głową.

– W twojej sytuacji nie możesz sobie pozwolić na negocjacje, Diane.

Jeszcze jeden ruch głową, jeszcze jeden łyk wina.

– W żadnym wypadku nie będę dyskutowała o tym człowieku.

– Nie masz wyboru.

– Owszem, mam, Patrick. Może niełatwy, ale to zawsze jakiś wybór. I nie zdradzę tego człowieka. Nigdy. A gdyby policja mnie przesłuchiwała, zaprzeczę, że w ogóle istnieje. – Opróżniła drżącą dłonią butelkę, wlewając jej zawartość do kieliszka. – Nie macie pojęcia, do czego jest zdolny ten człowiek.

– Oczywiście, że mamy – zapewniłem. – Znaleźliśmy Lovella.

– Zrobił to pod wpływem chwili – wyjaśniła z gorzkim grymasem. – Szkoda, że nie wiecie, do czego jest zdolny, kiedy ma dużo czasu i może planować.

– Karen Nichols? – spytała Angie. – Do tego był zdolny?

Diane Bourne skrzywiła pogardliwie usta i spojrzała na Angie.

– Karen była słaba. Następnym razem wybierze sobie kogoś silnego. Lubi wyzwania.

Obdarzyła Angie beznamiętnym, ironicznym uśmiechem, który zniknął bez śladu, kiedy Angie dała jej po twarzy.

Kieliszek wina roztrzaskał się o półmisek, a lewy policzek i ucho Diane Bourne pokrył czerwony ślad w kształcie steku.

– Cholera – zauważyłem. – Nic nie zostanie z tej uczty.

– Źle nas oceniasz, suko – powiedziała Angie. – To, że jesteś kobietą, nie daje ci żadnej przewagi. Możemy się za ciebie zabrać.

– I to porządnie – wtrącił Bubba.

Diane Bourne spojrzała na kawałki swojego kieliszka sterczące z talerza, gdzie leżało pokrojone białe mięso. Popatrzyła na wino, które tworzyło małe rozlewiska na jej miedzianym stole. Wskazała kciukiem Bubbę.

– Ten mógłby mnie torturować, nawet zgwałcić. Ale ty nie masz do tego jaj, Patrick.

– Zdumiewające, jak pomaga jajom przechadzka na świeżym powietrzu – odparłem. – Wrócę, jak będzie po wszystkim.

Westchnęła i rozsiadła się wygodnie.

– Nie pozostaje wam nic innego, jak to zrobić. Bo ja nie zdradzę tego człowieka.

– Ze strachu czy z miłości? – spytałem.

– Ze strachu i z miłości. Wzbudza jedno i drugie. Jak każda wartościowa jednostka.

– Jesteś skończona jako psychiatra – oznajmiłem. – Wiesz o tym, prawda?

Potrząsnęła głową.

– Nie sądzę. Ujawnicie komukolwiek tę taśmę, a oskarżę was o włamanie i najście.

Angie wybuchnęła śmiechem. Diane Bourne spojrzała na nią zaskoczona.

– To włamanie i najście. Może nie? – upewniła się.

– Będzie ubaw, jak spróbujesz to wszystko wyjaśnić – oznajmiła Angie, pokazując stół zamaszystym ruchem ręki.

– Panie władzo, oni gotowali! – zawołałem.

– Podlewali indyka! – dodała Angie.

– I jak pani zareagowała, madame?

– Pomogłam kroić mięso – odparła Angie. – I oczywiście pokazałam im, gdzie trzymam talerze.

– Wybrała pani jasne czy ciemne mięso?

Diane Bourne spuściła wzrok i pokręciła głową.

– Ostatnia szansa – uprzedziłem.

Nie podniosła głowy, ale pokręciła nią jeszcze raz.

Odsunąłem się z krzesłem od stołu i pokazałem kasetę.

– Zrobimy kopie i puścimy w obieg, pani doktor. Dostanie ją każdy psychiatra i psycholog, którego nazwisko widnieje w książce telefonicznej.

– I powiadomimy media – dorzuciła Angie.

– Boże, tak – potwierdziłem. – Oszaleją.

Podniosła wzrok. W jej oczach błysnęły łzy, a głos się załamał, kiedy spytała:

– Pozbawicie mnie kariery?

– Pozbawiłaś Karen Nichols życia – powiedziałem. – Oglądałaś tę taśmę? Spojrzałaś jej w oczy, Diane? Nie ma w nich nic prócz nienawiści do samej siebie. Ty to sprawiłaś. Ty, Miles i ten blondyn.

– To był tylko eksperyment – wyjaśniła zdławionym głosem. – Taki pomysł. Nigdy nie pomyślałam, że się zabije.

– Ale on pomyślał – odparłem. – Ten jasnowłosy facet. Prawda?

Przytaknęła.

– Podaj mi jego nazwisko.

Potrząsnęła zdecydowanie głową, rozsiewając łzy po stole. Uniosłem taśmę.

– Jego nazwisko albo twoja reputacja i kariera.

Wciąż kręciła głową, już łagodniej, ale nadal zdecydowanie.

Zabraliśmy z kuchni nasze rzeczy i wyjęliśmy pozostałe butelki piwa z lodówki. Bubba znalazł dwie hermetyczne torby; do jednej wrzucił resztki nadzienia i ziemniaki, do drugiej wsadził to, co zostało z indyka.

– Co ty robisz? – spytałem. – Przecież tam jest szkło.

Spojrzał na mnie jak na człowieka z autyzmem.

– Powyciągam.

Weszliśmy z powrotem do jadalni. Diane Bourne patrzyła na swe odbicie w lśniącej miedzi stołu – łokcie na blacie, dłonie przyciśnięte do czoła.

Kiedy dotarliśmy do przedpokoju, powiedziała:

– Nie chcielibyście mieć z nim do czynienia.

Odwróciłem się i spojrzałem w jej puste oczy. Nagle wydała się dwa razy starsza i wyobraziłem ją sobie w domu opieki za czterdzieści lat, jak samotna spędza swe dni w gorzkich oparach wspomnień.

– Pozwól, że sam o tym zdecyduję – oznajmiłem.

– Zniszczy cię. Albo kogoś, kogo kochasz. Dla zabawy.

– Nazwisko, pani doktor.

Zapaliła papierosa, wypuszczając głośno dym. Potrząsnęła głową, wargi miała zaciśnięte i blade.

Chciałem ruszyć do wyjścia, ale Angie mnie zatrzymała. Znieruchomiała i uniosła palec, wlepiając wzrok w Diane Bourne.

– Jesteś jak lód – oświadczyła. – Prawda?

Blade oczy Diane Bourne podążały za wiązką dymu papierosowego.

– Ten chłodny, wyniosły styl bycia opanowałaś do perfekcji. – Angie położyła dłonie na oparciu krzesła i nachyliła się lekko nad stołem. – Nigdy nie tracisz tej swojej pozy i nigdy nie zdradzasz uczuć.

Diane Bourne znów się zaciągnęła papierosem. Jakbym patrzył na palący posąg. Niczym się nie zdradziła, że zdaje sobie sprawę z naszej obecności.

– Ale raz wypadłaś z roli, prawda? – spytała Angie.

Diane Bourne zamrugała.

Angie spojrzała na mnie.

– W jej gabinecie, pamiętasz? Kiedy po raz pierwszy z nią rozmawialiśmy.

Diane Bourne strzepnęła popiół, ale nie trafiła do popielniczki.

– I to nie było wtedy, kiedy mówiła o Karen – powiedziała Angie. – Ani wtedy, kiedy mówiła o Milesie. Pamiętasz, Diane?

Diane Bourne podniosła wzrok, a jej oczy były zaróżowione, gniewne.

– Tylko wtedy, gdy mówiła o Wesleyu Dawe.

Diane Bourne odchrząknęła nagle.

– Wynoście się, kurwa, z mojego domu.

Angie uśmiechnęła się.

– Wesley Dawe, który zabił swoją małą siostrzyczkę. Który...

– Nie zabił jej – przerwała jej Diane. – Wbijcie to sobie do głowy. Wesleya nie było wtedy przy niej. Ale obwinili go o to. Był...

– To on, prawda? – Angie uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – To jego ochraniasz. To jest ten blondyn na mokradłach. Wesley Dawe.

Nie odezwała się, patrzyła tylko na dym, który dobywał się z jej ust.

– Dlaczego chciał zniszczyć Karen?

Potrząsnęła głową.

– Poznał pan jego nazwisko, panie Kenzie. Nic więcej pan nie zyska. A on już wie, kim jesteście. – Odwróciła głowę, posyłając mi spojrzenie swych bladych, smutnych oczu. – I nie lubi cię, Patrick. Uważa, że się wtrącasz w nieswoje sprawy. Że powinieneś dać sobie spokój, kiedy ustalono, że Karen sama się zabiła. – Wyciągnęła rękę. – Moja kaseta.

– Nie.

Opuściła dłoń.

– Dałam wam to, czego chcieliście.

Angie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wyciągnęłam to z ciebie. To nie to samo.

– Jesteś mistrzem psychiki, więc zajrzyj na chwilę do swojego wnętrza. Co jest dla ciebie ważniejsze – reputacja czy kariera? – spytałem.

– Nie rozumiem...

– Wybieraj – nakazałem ostrym tonem.

Jej szczęka znieruchomiała, jakby osadzona na stalowych bolcach i po chwili Diane wymówiła przez zaciśnięte zęby:

– Moja reputacja.

Skinąłem głową.

– Możesz ją zachować.

Jej szczęki rozluźniły się odrobinę a oczy zdradzały zaskoczenie, kiedy zaciągała się głęboko dymem.

– O co tu chodzi?

– Koniec z twoją karierą.

– Nie możesz zakończyć mojej kariery.

– Nie zamierzam. Ty to zrobisz.

Roześmiała się, ale dość nerwowo.

– Nie przeceniaj się, Kenzie. Nie mam zamiaru...

– Zamkniesz jutro swój gabinet – oświadczyłem. – Przekażesz dane wszystkich pacjentów innym lekarzom i nigdy więcej nie otworzysz praktyki w tym stanie.

Jej „ha!" zabrzmiało głośno, ale było pozbawione przekonania.

– Zrobisz to i zachowasz swoją reputację. Możesz pisać książki, bawić się w jakiś talk show. Ale nigdy więcej nie staniesz oko w oko z pacjentem.

– Albo?

Pokazałem kasetę.

– Albo puścimy to w obieg.

Nie ruszyła się z miejsca. Gdy otwieraliśmy drzwi, Angie uprzedziła:

– Powiedz Wesleyowi, że idziemy po niego.

– On już wie – odparła. – Już wie.

20

Deszcz padał miękko na spalone słońcem ulice, kiedy widziałem się tego popołudnia z Vanessą Moore. Umówiliśmy się w kawiarnianym ogródku w Back Bay. Zadzwoniła do mnie i poprosiła o spotkanie, żeby omówić sprawę Tony'ego Traverny. Vanessa była jego adwokatem; poznaliśmy się, gdy Tony po raz pierwszy zwiał zwolniony za kaucją; występowałem wtedy jako świadek oskarżenia. Vanessa przepytywała mnie w sądzie tak, jak zwykła się kochać – z lodowatym głodem. Zamiast paznokci miała szpony.

Mogłem oczywiście odrzucić zaproszenie Vanessy, ale upłynął już tydzień od pamiętnego wieczoru w kuchni Diane Bourne, a przez ten czas jakbyśmy się cofnęli. Wesley Dawe nie istniał. Nie było go na listach spisu powszechnego, w wydziale komunikacji też nie figurował. Nie był posiadaczem karty kredytowej. Nie miał konta bankowego w mieście Boston czy w stanie Massachusetts; Angie, ogarnięta lekkim zniecierpliwieniem, odkryła, że nikt o takim nazwisku nie egzystował ani w New Hampshire, ani w Maine, ani też w Vermont.

Udaliśmy się do gabinetu Diane Bourne, ale najwidoczniej wzięła sobie naszą radę do serca, bo był zamknięty. Jej dom, co niebawem odkryliśmy, też był pusty. Nie pokazała się tam w ciągu całego tygodnia, a pobieżna penetracja mieszkania ujawniła tylko, że zabrała ze sobą ubrania, które wystarczyłyby na kilka dni; potem musiałaby je uprać albo dokupić nowe.

Państwo Dawe pojechali na ryby. Dosłownie. Dowiedziałem się o tym, udając jednego z pacjentów doktora. Przebywali w swoim domku letniskowym w Cape Breton w Nowej Szkocji.

Odpadła pomoc Angie. Sallis & Salk przydzielił ją do zespołu ochroniarzy strzegących dwadzieścia cztery godziny na dobę grubego handlarza diamentów z Południowej Afryki. Towarzyszyli mu, kiedy robił to, co grubi handlarze, diamentów zazwyczaj robią, gdy zjawiają się w naszym zaścianku.

Bubba był za granicą, gdzie jak zwykle kupował substancje, które mogłyby wysadzić w powietrze całe wybrzeże wschodnie.

Dryfowałem więc bez przydziału, by się tak wyrazić, kiedy ujrzałem Vanesse przy kawiarnianym stoliku pod ogromnym parasolem z napisem Cinzano. Łagodny deszczyk

odbijał się od bruku i spryskiwał jej kostki, nie tykając jednak kutego w żelazie stolika i reszty Vanessy.

– Hej.

Nachyliłem się, by pocałować ją w policzek, a ona przesunęła delikatnie dłonią po moich żebrach, nie uchylając się.

– Cześć.

Patrzyła na mnie z rozbawieniem, zawsze obecnym w jej oczach niczym bliźniacze znamiona, pełna ożywienia, które mówiło dobitnie, że weźmie sobie wszystko, co tylko zechce. Była to jedynie kwestia wyboru.

– Jak leci?

– U mnie w porządku, Patrick. Jesteś przemoczony.

Poklepała serwetkę, żeby osuszyć sobie dłoń.

Przewróciłem oczami i wzniosłem dłonie ku niebu. Deszcz zaczął się nagle, kiedy szedłem od samochodu, jakby z pojedynczej łzy w samotnej chmurze, która płynęła przez zupełnie czyste niebo.

– Ale to nic nie szkodzi – dodała. – Nic tak dobrze nie wygląda na przystojnym mężczyźnie w białej koszuli jak odrobina deszczu.

Parsknąłem śmiechem. Problem z Vanessą polegał na tym, że nawet jeśli wiedziałeś, że się zbliża, ona szła sobie dalej. Wpadała na ciebie, a potem przez ciebie przechodziła. Człowiek się zastanawiał, po co w ogóle próbował ją powstrzymać.

Ustaliliśmy kilka miesięcy wcześniej, że seksualny komponent naszego związku wyczerpał się na dobre, ale tego dnia Vanessa jakby zmieniła zdanie. A kiedy Vanessa zmieniała zdanie, reszta świata musiała się dostosować.

A może próbowała po prostu zetrzeć mnie na proch, pozostawić samego, kiedy już wykonałem pierwszy ruch, żeby mieć wieczorem większy ubaw, niż mógł to jej zapewnić seks. Nigdy się nie wiedziało. I nauczyłem się już dawno temu, że aby grać z nią bez ryzyka, nie należy grać w ogóle.

– Więc – zacząłem – dlaczego uważasz, że mogę ci pomóc w sprawie Tony'ego T?

Posłużyła się palcami, by wziąć z miseczki pełnej owoców kawałek ananasa, wsunąć go sobie do ust i przeżuć na idealną papkę, nim odpowiedziała.

– Opieram obronę na ograniczonej poczytalności klienta – wyjaśniła.

– Co? – zdziwiłem się. – Wysoki sądzie, mój klient to dureń, więc proszę go zwolnić?

Przesunęła nieznacznie czubkiem języka pod górnymi zębami.

– Nie, Patrick. Nie. Miałam na myśli raczej coś w stylu: „Wysoki sądzie, mój klient

uważa, że grozi mu śmierć ze strony członków rosyjskiej organizacji przestępczej, a jego postępowanie wynikało z tej właśnie obawy".

– Rosyjska organizacja przestępcza?

Przytaknęła.

Wybuchnąłem śmiechem.

Ona nie.

– Szczerze się ich boi, Patrick.

– Dlaczego?

– Ostatnim razem obrobił niewłaściwy sejf.

– Należący do tej organizacji?

Przytaknęła.

Próbowałem nadążyć za logiką planowanej przez nią obrony.

– Więc był tak przerażony, że wyjechał z miasta i zawędrował do Maine?

Znów przytaknęła.

– To pomoże, jeśli chodzi o ucieczkę po wpłaceniu kaucji – zauważyłem. – A co z resztą?

– Budowanie sprawy, Patrick. Potrzeba mi jednego – oddalenia zarzutu o ucieczkę, a wtedy zacznę budować wszystko od tego punktu. Rozumiesz? Znowu przekroczył granice stanu. To już kwalifikuje się pod sąd federalny. Jak się uporam z zarzutami federalnymi, pozostanie tylko sprawa stanowa.

– I chcesz, żebym...

Otarła maleńką kropelkę deszczu ze skroni i parsknęła śmiechem tak twardym, że można było wbić weń gwóźdź. Nachyliła się nad stołem.

– Och, Patrick, jest kilka rzeczy, których bym od ciebie chciała, ale w sprawie Anthony'ego Traverny masz tylko zeznać pod przysięgą, że naprawdę bał się tych Rosjan.

– Ale ja o tym nie wiedziałem.

– Może jednak przypomnisz sobie, jaki się wydawał przerażony podczas jazdy powrotnej z Maine.

Nadziała na widelec winogrono i wessała je z jego zębów.

Nie ubrała się tego popołudnia zbyt starannie – miała na sobie prostą czarną spódnicę, ciemnowiśniowy bezrękawnik i czarne sandały. Jej długie kasztanowe włosy były związane w koński ogon, szkła kontaktowe zaś wymieniła na cieniutkie jak płatek okulary w czerwonych oprawkach. Mimo to zmysłowa siła emanująca z jej ciała rzuciłaby mnie wprost na ulicę, gdybym nie był do niej przyzwyczajony.

– Vanessa – powiedziałem.

Nadziała na widelec kolejne winogrono, wsparła łokieć o stół i zastygła z owocem tuż przy ustach, patrząc na mnie ponad ciemną kulką.

– Tak?

– Wiesz, że prokurator okręgowy i tak mnie wezwie.

– No, zasadniczo ucieczka za kaucją to sprawa federalna, więc wezwie cię biuro prokuratora generalnego.

– Doskonale. Ale mnie wezwą.

– Zgadza się.

– A ty i tak spróbujesz postawić na swoim podczas rozprawy.

– Znów się zgadza.

– Więc po co mnie tu dziś zaprosiłaś?

Przyglądała się winogronu, ale go nie tknęła.

– A gdybym cię przekonała, że Tony się bał? To znaczy, był przerażony? I że mu wierzę, kiedy mówi, że wydano na niego wyrok?

– Powiedziałbym, że zaniosłabyś mu kwiatki na grób i spokojnie zajęła się swoimi sprawami.

Uśmiechnęła się.

– Cyniczne, Patrick. Ale wiesz, że to prawda.

– Wiem. Ale wiem także, że to nie jest wystarczający powód, by mnie tu ściągać.

– No dobra, masz rację. – Zawinęła językiem i winogrono zniknęło z widelca. Przeżuła i przełknęła, potem popiła wodą mineralną. – Clarence za tobą tęskni, tak przy okazji.

Clarence to był jej pies, brązowy labrador, którego kupiła pod wpływem kaprysu pół roku wcześniej i którego za cholerę nie umiała wychować, jak to zauważyłem ostatnim razem. Mówiło się: „Siad, Clarence", a Clarence uciekał. Mówiło się: „Do nogi", a on srał na dywan. Dawał się jednak lubić. Może z powodu szczenięcej niewinności w oczach, przemożnej chęci dogadzania swojemu właścicielowi, która wypełniała bez reszty jego brązowe źrenice, nawet kiedy szczał człowiekowi na nogę.

– Co u niego? – spytałem. – Nauczyłaś go czystości?

Vanessa pokazała kciuk i palec wskazujący z maleńką przerwą między nimi.

– Jestem już blisko.

– Zjadł ci jeszcze jakieś buty?

Potrząsnęła głową.

– Trzymam je na górnej półce. Poza tym bardziej go obecnie interesuje bielizna. W

zeszłym tygodniu wyrzygał stanik, który mi się gdzieś zapodział.

– Przynajmniej go zwrócił.

Uśmiechnęła się, nadziała na widelec następny owocowy kąsek.

– Pamiętasz ten poranek na Bermudach? Obudziliśmy się, a na dworze lało?

Skinąłem głową.

– W okno waliły strugi, właściwie ściany wody. Nie było nawet widać morza z pokoju.

Znów przytaknąłem, chcąc, by się pospieszyła.

– I przeleżeliśmy cały dzień w łóżku. Pijąc wino i kołtuniąc prześcieradła – powiedziałem.

– Spaliliśmy je – poprawiła. – Fotel też się połamał.

– Dostałem rachunek – powiedziałem. – Pamiętam, Vanessa.

Oderwała kawałek melona i wsunęła między wargi.

– Teraz pada.

Spojrzałem na niewielkie kałuże zalegające chodnik. Były jak łzy, ich powierzchnia połyskiwała złociście od słońca.

– Przejdzie – powiedziałem.

Znów suchy śmiech z jej strony. Wypiła trochę wody mineralnej i wstała.

– Pójdę do toalety. Odśwież sobie tymczasem pamięć, Patrick. Przypomnij sobie tę butelkę chardonnaya. Mam kilka w domu.

Zniknęła we wnętrzu restauracji, a ja starałem się nie patrzeć w ślad za nią, bo wystarczyłby przelotny widok jej skóry, bym zaczął sobie wyobrażać, co kryje się pod jej ubraniem, przypominać sobie strumyczki białego wina, które rozpływało się na Bermudach po jej tułowiu, gdy położyła się na białym prześcieradle i wylała na siebie pół butelki, a potem spytała, czy nie jestem odrobinę spieczony.

Zresztą i tak patrzyłem, o czym doskonale wiedziała, ale po chwili widok zasłoniła mi postać jakiegoś mężczyzny, który wyszedł z restauracji na patio i położył dłoń na oparciu krzesła Vanessy.

Był wysoki i szczupły, miał kasztanowe włosy. Uśmiechnął się mechanicznie, odsuwając krzesło Vanessy od stołu, jakby zamierzał je zabrać ze sobą do restauracji.

– Co pan robi? – spytałem.

– Zabieram je – odparł.

Rozejrzałem się wokół. Na patio stał z tuzin wolnych krzeseł, w środku jeszcze ze dwadzieścia, na których też nikt nie siedział.

– Jest zajęte – oświadczyłem.

Mężczyzna spojrzał na krzesło.

– Jest zajęte? To miejsce jest zajęte?

– Zajęte – powtórzyłem.

Był dobrze ubrany, miał na sobie jedwabne spodnie w kolorze złamanej bieli, pantofle od Gucciego, czarną kaszmirową kamizelkę, pod spodem biały T-shirt. Na ręku nosił zegarek marki Movado, a jego dłonie wyglądały tak, jakby nigdy nie zetknęły się nawet z odrobiną brudu ani nie parały się jakąkolwiek pracą fizyczną.

– Jest pan pewien? – spytał, wciąż mówiąc do krzesła. – Słyszałem, że jest wolne.

– Nie jest. Widzi pan talerz na stole? Jest zajęte. Może mi pan wierzyć.

Spojrzał na mnie, a w jego niebieskich oczach pojawiło się coś dzikiego, zapłonął jakiś ogień.

– Mogę więc je zabrać? Okej?

Wstałem.

– Nie, nie może pan. Jest zajęte.

Mężczyzna omiótł gestem dłoni patio.

– Jest tu mnóstwo innych. Niech pan weźmie sobie któreś z tych. A ja zabiorę to. Nie zorientuje się.

– To pan weźmie któreś z tamtych – oznajmiłem twardo.

– Ale ja chcę to. – Mówił tonem rozsądku, uważnie, jakby tłumacząc dziecku coś, czego nie było w stanie zrozumieć. – Wezmę je. Okej?

Zrobiłem krok w jego stronę.

– Nie. Nie weźmie pan. Jest zarezerwowane.

– Słyszałem, że nie jest – oznajmił łagodnie.

– To źle pan słyszał.

Znów popatrzył na krzesło, potem skinął głową.

– Skoro pan tak mówi.

Uniósł dłoń w przepraszającym geście, który pasował do jego uśmiechu, i wszedł z powrotem do restauracji, mijając się w przejściu z Vanessą.

Zerknęła przez ramię.

– Twój znajomy?

– Nie.

Dostrzegła małą plamkę wody na swoim krześle.

– Jakim cudem się zamoczyło?

– To długa historia.

Popatrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem i odsunęła krzesło na bok, potem przyciągnęła od najbliższego stolika inne i usiadła na dawnym miejscu.

Zauważyłem, wpatrując się w niewielki tłum gości, że facet zajął miejsce przy barze i uśmiechnął się do mnie, kiedy Vanessa przysunęła do stolika inne krzesło. Jego uśmiech zdawał się mówić: Chyba jednak nie było zajęte. Potem odwrócił się do nas plecami.

W miarę, jak deszcz się nasilał, restauracja wypełniała się gośćmi i wkrótce straciłem faceta przy barze z oczu. Kiedy spojrzałem następnym razem, już go nie było.

Zostałem z Vanessą na zewnątrz, popijając wodę mineralną, podczas gdy ona dziobała swoje owoce. Wreszcie poczułem krople na plecach i karku.

Kiedy usiadła przy stoliku, wróciliśmy do niezobowiązującej pogawędki – rozmawialiśmy o lęku Tony'ego T, o zastępcy prokuratora okręgowego w Middlesex, który trzymał rzekomo na dnie swojej teczki służbowej kulki naftaliny i starannie złożoną bieliznę damską, o tym, jakie to żałosne żyć w mieście, które cieszy się sportową sławą, a które nie jest w stanie utrzymać takich zawodników jak Mo Vaughn czy Curtis Martin.

Lecz pod powierzchnią tej rozmowy słychać było bezustanny szmer naszego wspólnego pragnienia, echo przyboju i strug deszczu na Bermudach, chrapliwego brzmienia naszych głosów w tamtym pokoju, zapach winogron na skórze.

– A więc – odezwała się Vanessa po szczególnie wymownej pauzie w naszej pogawędce – chardonnay i ja czy coś innego?

Miałem ochotę zapłakać z pożądania, ale po chwili zmusiłem się, by wyobrazić sobie to, co nastąpiłoby później – wychodzę z jej mieszkania, zmierzając do samochodu, a w mojej głowie rozbrzmiewa puste echo naszej cielesnej pasji.

– Nie dzisiaj – powiedziałem.

– Propozycja może się już nie powtórzyć.

– Doskonale to rozumiem.

Westchnęła i podała przez ramię swoją kartę kredytową, kiedy na patio pojawiła się kelnerka.

– Znalazłeś sobie kogoś, Patrick? – spytała, gdy dziewczyna zniknęła w restauracji.

Milczałem.

– Dobrą, pozbawioną wymagań kobietę z porządnej rodziny, która nigdy nie narobi ci kłopotu? Która będzie ci gotowała, sprzątała, śmiała się z twoich dowcipów i nigdy nie spojrzy na innego mężczyznę?

– Jasne – odparłem. – Zgadza się.

– Och. – mruknęła. Pojawiła się kelnerka z kartą kredytową i rachunkiem. Vanessa

podpisała go i wręczyła jej kopię ruchem nadgarstka, który sam w sobie wyglądał jak gest odprawienia. – Jedno mnie tylko ciekawi, Patrick.

Oparłem się chęci, by umknąć przed działaniem jej cielesnej siły.

– Powiedz łaskawie.

– Czy ta twoja kobieta robi te wszystkie nieprzyzwoite rzeczy? Wiesz, to, co robiliśmy...

– Vanessa.

– Hm?

– Nie ma żadnej kobiety. Po prostu nie jestem zainteresowany.

Położyła sobie dłoń na piersi.

– Mną?

Przytaknąłem.

– Naprawdę? – Wysunęła dłoń na deszcz, złapała kilka kropel i wtarła je sobie w szyję, odchylając do tyłu głowę. – Niech to usłyszę.

– Właśnie usłyszałaś.

– Całe zdanie.

Opuściła brodę, poddając mnie bezlitośnie sile swego spojrzenia.

Przesunąłem się na krześle, starając się jakoś wybrnąć z tej sytuacji. W końcu powiedziałem, beznamiętnie i chłodno:

– Nie jestem tobą zainteresowany, Vanessa.

Samotność drugiej osoby może wywołać szok, kiedy ujawni się nagle, bez osłonek.

Dojmująca świadomość odtrącenia skrzywiła rysy Vanessy, a ja poczułem chłód jej pięknego mieszkania, ból wywołany jego pustką o trzeciej nad ranem, kiedy kochanek już sobie poszedł. Na stole jadalnym leżą książki prawnicze i notatki, ona zaś trzyma pióro w dłoni, podczas gdy z gzymsu kominka, niczym duchy niespełnionego życia, spoglądają na nią zdjęcia znacznie młodszej Vanessy. Mogłem niemal dostrzec, jak w jej piersi zapala się iskierka głodu, nieseksualnego. Głodu, który mówił o innych pragnieniach.

W tej chwili jej rysy wydały się kościste, piękno twarzy zniknęło; miałem wrażenie, że osunęła się na kolana pod ciężarem deszczu.

– Pieprzę cię, Patrick – oznajmiła z uśmiechem. Kąciki jej ust drgnęły. – Okej?

– Okej – odparłem.

– Po prostu... – Wstała, dłoń miała zaciśniętą na pasku torebki. – Po prostu... pieprzę cię.

Wyszła z restauracji, a ja zostałem sam. Obróciłem się na krześle i patrzyłem, jak idzie

przez mżawkę, z torebką obijającą się o biodro, krokiem odartym z wszelkiego wdzięku.

Dlaczego to zawsze musi być takie paskudne? – zastanawiałem się w duchu.

Zadzwoniła moja komórka. Wyjąłem ją z górnej kieszeni i otarłem z wilgoci, tracąc z oczu Vanesse, która zniknęła w tłumie.

– Halo.

– Halo – odezwał się głos tamtego mężczyzny. – Krzesło jest już wolne?

21

Obróciłem się na swoim miejscu, zaglądając do restauracji i szukając wzrokiem faceta o kasztanowych włosach. Nie dostrzegłem go przy żadnym stoliku. Nie siedział też, przy barze, o ile mogłem się zorientować.

– Kto mówi? – spytałem.

– Cóż za wzruszająca scena rozstania, Pat. Przez chwilę byłem pewien, że chluśnie ci drinkiem w twarz.

Znał moje imię.

Ponownie się rozejrzałem, szukając wzrokiem kogoś z telefonem komórkowym.

– Masz rację – odparłem. – Krzesło jest wolne. Przyjdź i weź je sobie.

Jego głos miał to samo ciche, monotonne brzmienie jak wtedy, gdy rozmawiał ze mną na patio.

– Ma niewiarygodne usta, ta prawniczka. Niewiarygodne. Nie sądzę, żeby to były implanty. A ty?

– Tak – powiedziałem, rozglądając się po przeciwnej stronie ulicy. – Są ładne. Przyjdź po krzesło.

– I ona cię prosi, Pat – ona prosi ciebie – żebyś wsunął jej kutasa między te wargi, a ty mówisz „nie”? Co z tobą, gejem jesteś?

– Pewnie – odparłem. – Przyjdź i poznęcaj się nade mną. Użyj krzesła.

Wpatrywałem się przez zasłonę deszczu w okna po drugiej stronie ulicy.

– W dodatku zapłaciła rachunek – oznajmił. Jego monotonny głos przypominał szept w ciemnym pokoju. – Zapłaciła rachunek, chciała ci obciągnąć, wygląda na sześć, siedem milionów dolców – sztuczne cycki, fakt, ale niezłe, poza tym nikt nie jest doskonały – a ty uparcie mówisz „nie”. Chylę przed tobą czoła, przyjacielu. Silniejszy z ciebie facet niż ze mnie.

Jakiś mężczyzna w czapce bejsbolowej i z parasolem nad głową zmierzał w moją stronę przez mgiełkę deszczu, przy uchu miał komórkę. Szedł krokiem swobodnym i pewnym.

– Rany – odezwał się głos. – Założę się, że lubi sobie pokrzyczeć. Cały czas, „O

Boże!” albo „Mocniej, mocniej!”.

Milczałem. Mężczyzna w czapce bejsbolowej wciąż był zbyt daleko, bym mógł widzieć jego twarz, ale zbliżał się coraz bardziej.

– Mogę być z tobą szczery, Pat? Taka dupa trafia się naprawdę rzadko. Gdybym był na twoim miejscu – wiem, nie jestem, ale gdybym był – czułbym się zobowiązany wrócić do tego mieszkania w Exeter i, będę z tobą szczery, Pat, tak bym ją zerżnął, że krew by jej spływała po udach.

Poczułem za uchem strużkę zimnej wilgoci, która nie miała nic wspólnego z deszczem.

– Naprawdę? – spytałem.

Mężczyzna w czapce bejsbolowej zbliżył się na tyle, bym mógł widzieć, jak poruszają mu się usta.

Facet po drugiej stronie milczał, ale słyszałem w tle zgrzyt biegów jakiejś ciężarówki, bębnienie deszczu o maskę wozu.

– ... i nie mogę tego zrobić, Melvin, jeśli połowę mojej forsy trzymasz za granicą – usłyszałem, kiedy facet w czapce bejsbolowej mnie mijał. Mogłem się przekonać, że jest przynajmniej dwa razy starszy od mężczyzny z patio.

Wstałem i popatrzyłem wzdłuż ulicy.

– Pat – odezwał się facet w telefonie.

– Tak?

– Twoje życie stanie się... – urwał, a ja usłyszałem, jak oddycha.

– Jakie? – spytałem.

Cmoknął.

– Interesujące.

Potem się rozłączył.

Przeskoczyłem przez kutą w żelazie balustradę, która oddzielała patio od chodnika; deszcz padał mi na głowę i na pierś, kiedy tak stałem przez chwilę; ludzie mnie omijali, czasem ktoś potrącił w ramię. Uświadomiłem sobie w końcu, że nic mi to nie da. Ten facet mógł być wszędzie. Mógł nawet dzwonić z sąsiedniego okręgu. Ciężarówka, która zmieniała ze zgrzytem biegi w tle, nie znajdowała się nigdzie w pobliżu, w przeciwnym razie bym ją słyszał gdzieś obok.

Znajdował się jednak dostatecznie blisko, by wiedzieć, kiedy Vanessa mnie opuściła i zadzwonić w ciągu minuty, która upłynęła od tamtej chwili.

A więc nie przebywał w innym okręgu. Był tutaj, w Back Bay. Ale i tak teren

poszukiwań był rozległy.

Znów zacząłem spacerować, starając się uchwycić jego sylwetkę, choćby przelotnie. Wystukałem numer Vanessy, a gdy się odezwała, powiedziałem:

– Nie rozłączaj się.

– Okej.

I rozłączyła się.

Zacisnąłem zęby i wcisnąłem redial.

– Vanessa, posłuchaj przez chwilę, proszę cię. Ktoś ci właśnie groził.

– Co?

– Pamiętasz tego faceta na patio? Myślałaś, że to mój znajomy.

– Tak... – odparła wolno; gdzieś w tle zaskowyczał Clarence.

– Zadzwonił do mnie zaraz po twoim odejściu. To ktoś obcy, Vanessa, ale znał moje imię i twój zawód, dał mi też do zrozumienia, że wie, gdzie mieszkasz.

Usłyszałem ten jej chichot wywołany martini.

– Niech zgadnę – musisz tu przyjechać, żeby mnie pilnować? Jezu, Patrick, po co nam takie gierki. Masz ochotę mnie przelecieć, to trzeba było tak powiedzieć w knajpie.

– Nie, Vanessa. Chcę, żebyś na jakiś czas przeprowadziła się do hotelu. Od razu. Przyślij mi rachunek do biura.

Zamiast chichotu rozległ się pogardliwy śmiech.

– Bo jakiś świr wie, gdzie mieszkam?

– Ten facet to nie jest jakiś świr.

Skręciłem w Hereford, ruszyłem w stronę Commonwealth Avenue. Deszcz zelżał, ale wilgotna mgła zgęstniała, zamieniając powietrze w ciepłą zupę.

– Patrick, jestem adwokatem. Zaczekaj... Clarence, leżeć! Leżeć, i to już! Przepraszam – zwróciła się do mnie. – O czym mówiłam? Ach, tak. Wiesz, ilu gwałcicieli, małych socjopatów czy zwykłych wariatów mi groziło, kiedy nie zdołałam uratować ich przed odsiadką?

– Tym razem może być inaczej.

– Wiem od znajomego klawisza w Cedar Junction, że Karl Kroft – którego nie wybroniłam od zarzutu morderstwa pierwszego stopnia i gwałtu z przyzwoleniem – sporządził czarną listę w celi. Jestem na niej. Dosłownie. I zanim...

– Vanessa.

– ...i zanim mu ją zabrali, Patrick, i umieścili drogiego Karla pod całodobową obserwacją, mój przyjaciel klawisz zdążył zobaczyć tę listę. Powiedział, że moje nazwisko

znajdowało się na samym początku. Wyprzedziłam ekszonę Karla, którą raz już próbował zabić piłą.

Otarłem grubą warstwę wilgoci z oczu. Żałowałem, że nie mam kapelusza.

– Vanessa, posłuchaj chwilę. Myślę, że to...

– Mieszkam w budynku z całodobową ochroną i dwoma portierami, Patrick. Widziałeś, jak trudno dostać się do środka. Mam sześć zamków przy drzwiach wejściowych i nawet gdyby ktoś zdołał dostać się do moich okien na czternastym piętrze, są nie do sforsowania. Mam gaz łzawiący, Patrick. Mam paralizator. A gdyby to nie pomogło, mam prawdziwą broń. Załadowaną, zawsze w zasięgu ręki.

– Posłuchaj. Ten facet, którego znaleźli w zeszłym tygodniu na mokradłach z odciętymi dłońmi i językiem... to był...

Podniosła głos.

– Jak ktoś zdoła się przez to wszystko przebić, to mnie dorwie, cholera. Na pewno już próbowali.

– Rozumiem, ale...

– Pa, złotko. Powodzenia z tym świrem.

Rozłączyła się, a ja zacisnąłem w pięści telefon, zagłębiając się w pasaż Commonwealth Avenue – długi na półtora kilometra pas zieleni i hebanowców, małych ławeczek i wysokich posągów – biegnący środkiem alei, między wschodnią i zachodnią nitką jezdni.

Warren Martens powiedział, że przyjaciel Milesa Lovella ubierał się jak zamożny luzak. Że miał w sobie coś, co przywodziło na myśl władzę albo przynajmniej kompleks władzy.

Opis pasował w znacznym stopniu do tego faceta na patio.

Wesley Dawe, pomyślałem. Mógł to być Wesley? Wprawdzie był blondynem, ale wzrost i waga z grubsza się zgadzały, a ufarbowanie włosów nie nastręcza szczególnych problemów.

Mój samochód stał cztery przecznice dalej, przy Commonwealth. Deszcz, choć był niezbyt silny, to jednak padał nieustępliwie, a wilgotna para mogła zmienić się w prawdziwą mgłę. Doszedłem do wniosku, że kimkolwiek był ten facet, chciał mnie zdenerwować, dać do zrozumienia, że mnie zna. Zrobił to sam, z własnej woli, albo nasłany przez kogoś. Ja go nie znałem i fakt ten stanowił moją słabość, jemu zaś nadawał pozory wszechwładzy.

Bywałem już niepokojony przez zawodowców – mafiosów, gliniarzy, gwałcicieli, w jednym przypadku nawet przez autentycznych zawodowych zabójców – więc dni, kiedy

bezcielesny głos w słuchawce telefonu mógł mnie przestraszyć i przyprawić o suchość ust, dawno już minęły. Kazał mi się jednak zastanawiać i być może o to właśnie chodziło.

Odezwała się moja komórka. Przystanąłem pod rozłożystą koroną drzewa. Zadzwonił po raz drugi. Żadnych lęków ani suchych ust. Tylko nieznacznie przyspieszony puls. Odebrałem w trakcie trzeciego sygnału.

– Halo.

– Cześć, kolego. Gdzie jesteś?

Angie. Mój puls zwolnił.

– Commonwealth Avenue, idę do samochodu. A ty?

– Przed biurowcem na Jeweler's Exchange.

– Masz ubaw z handlarzem diamentów?

– O, tak. Jest super. Kiedy się do mnie nie dowala, opowiada swoim ochroniarzom dowcipy rasistowskie.

– Niektóre dziewczyny mają szczęście.

– Tak. Pomyślałam sobie, że sprawdzę, co u ciebie. Chciałam ci coś powiedzieć, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to było.

– To świetnie.

– Nie, nie, mam to na końcu języka, ale... I tak muszę kończyć, właśnie wychodzi. Oddzwonię, jak sobie przypomnę.

– Super.

– Okej. McGarrett jest na zewnątrz.

Rozłączyła się.

Wyszedłem spod drzewa i zdążyłem zrobić cztery kroki, kiedy widocznie sobie przypomniała, bo moja komórka ponownie zadzwoniła.

– Już sobie przypomniałaś? – spytałem.

– Cześć, Pat – usłyszałem kasztanowowłosego faceta. – Lubisz deszcz?

W mojej piersi pojawiło się nagle drugie serce i zaczęło gwałtownie uderzać.

– Uwielbiam. A ty?

– Zawsze go lubiłem. Pozwól, że spytam – rozmawiałeś ze swoją partnerką?

Stałem pod ogromnym drzewem po południowej stronie pasażu. Wykluczone, by mógł mnie widzieć od północy. Pozostawał wschód, zachód i południe.

– Nie mam partnerki, Wesley.

Spojrzałem ku południu. Chodnik po drugiej stronie był pusty, jeśli nie liczyć młodej kobiety, którą po śliskim betonie ciągnęły trzy wielkie psy.

– Ha! – zawołał. – Szybko, Pat. Niezły jesteś, kolego. Czy po prostu zgadłeś?

Skierowałem wzrok na wschód, w stronę Clarendon Street. Tylko ludzie przechodzący przez ulicę na zielonym świetle, nikt z komórką przy uchu.

– Jedno i drugie, Wesley. Jedno i drugie.

– No cóż, naprawdę jestem z ciebie dumny, Pat.

Obróciłem się bardzo wolno w prawo i przenikając wzrokiem gęstą zasłonę mgły i mżawki, ujrzałem go.

Stał na południowo-wschodnim rogu Dartmouth i Commonwealth. Zakrył górną część ciała przezroczystą kurtką z kapturem. Kiedy nasze oczy się spotkały, uśmiechnął się szeroko i pomachał.

– Teraz mnie widzisz... – powiedział.

Zszedłem z chodnika i samochody, które właśnie ruszyły spod świateł, przemknęły tuż obok mnie. Jakiś karmann omal nie zahaczył o moje kolano, trąbiąc ogłuszająco i skręcając odrobinę w prawo.

– Oj – powiedział Wesley. – Niewiele brakowało. Ostrożnie, Pat. Uważaj.

Ruszyłem skrajem pasażu w stronę Dartmouth, nie odrywając od Wesleya oczu. Cofnął się odruchowo o kilka kroków.

– Znałem raz faceta, którego potrącił samochód – oznajmił i w tym momencie zniknął za rogiem.

Rzuciłem się biegiem i dotarłem do Dartmouth. Samochody zasnuwały spalinami ulicę, deszcz syczał pod kołami. Wesley stał u wylotu alei, która biegła równolegle do Commonwealth Avenue od strony Ogrodu Publicznego aż do Fens, półtora kilometra dalej na zachód.

– Facet się potknął i zderzak wozu walnął go w głowę, kiedy gość się podnosił. Zrobił mu z płata czołowego jajecznicę.

Światło zmieniło się na żółte, co stanowiło pretekst dla ośmiu kierowców na dwóch pasach jezdni, by przyspieszyć i przemknąć przez skrzyżowanie.

Wesley znowu mi pomachał i zniknął w alejce.

– Zawsze uważaj, Pat. Zawsze.

Rzuciłem się przez ulicę w chwili, gdy jakieś volvo skręciło w prawo, w Commonwealth i przecięło mi drogę. Kobieta za kierownicą potrząsnęła głową, patrząc na mnie znacząco, i jechała dalej.

Dotarłem do chodnika i powiedziałem do słuchawki, biegnąc jednocześnie ku wylotowi alejki:

– Wesley, jesteś tam jeszcze, kolego?

– Nie jestem twoim kolegą – wyszeptał.

– A powiedziałeś, że jesteś.

– Kłamałem, Pat.

Dotarłem do alejki i poślizgnąłem się na mokrym bruku, uderzając ramieniem o przepełniony kontener ze śmieciami. Z jego wnętrza wyleciała w górę przemoczona papierowa torba, a po stalowej krawędzi przemknął szczur, zeskoczył na chodnik i pomknął przed siebie. Rzucił się za nim kot, przyczajony dotąd pod śmietnikiem i oba zwierzaki pokonały dystans do następnej przecznicy w jakieś sześć sekund. Kot wyglądał na dużego i wrednego, ale i szczurowi nic nie brakowało; zastanawiałem się, kto tak naprawdę kontroluje tę gonitwę. Gdybym miał się założyć, postawiłbym po namyśle na szczura.

– Grałeś kiedyś w Bronco Buster? – wyszeptał Wesley.

– Co? – spytałem, spoglądając w górę, na schody pożarowe, których poobijane żelazne stopnie spływały wodą. Żywego ducha.

– Bronco Buster – wyszeptał Wesley. – To gra. Spróbuj się w to zabawić któregoś wieczoru z Vanessą Moore. Trzeba wejść na kobietę od tyłu, jak pies na sukę. Słuchasz mnie?

– Jasne.

Szedłem środkiem alejki, spoglądając przez mgłę i mżawkę na tylne drzwi zamożnych domów jednorodzinnych, niewielkie garaże i zacienione miejsca, gdzie fasady sąsiadujących ze sobą budynków nie tworzyły jednej linii.

– Masz ją więc od tyłu i wsuwasz jej kutasa, żeby siedział mocno i twardo, tak głęboko, jak tylko dasz radę. Jak głęboko byłoby w twoim przypadku. Pat?

– Jestem Irlandczykiem, Wesley. Domyśl się.

– A więc nie za głęboko – odparł, a jego szept stłumiło gardłowe „ha-ha".

Wykręciłem głowę do góry, ku drewnianym balkonom wystającym z domów. Spoglądałem przez szczeliny między szczeblami, szukając czegoś, co przypominałoby kształtem stopy.

– Tak czy owak – mówił dalej – jak już jesteście porządnie złączeni, szepczesz jej do ucha imię innej kobiety, a potem trzymasz się jej jak ujeżdżacz koni, aż dziwka zaczyna szaleć.

Dostrzegłem kilka daszków nad ogródkami, ale były zbyt wysoko, by powiedzieć, czy ktoś tam stoi, poza tym schody pożarowe były trudno dostępne.

– Myślisz, że spodobałaby ci się ta gra, Pat?

Obróciłem się powoli o trzysta sześćdziesiąt stopni, pozwalając oczom odrobinę

odpocząć. Mój wzrok ślizgał się po okolicy, szukając czegoś szczególnego.

– Pytałem, czy podobałaby ci się ta gra, Pat.

– Nie, Wes.

– Kiepsko. Pat?

– Co, Wes?

– Spójrz jeszcze raz na wschód.

Obróciłem się o sto osiemdziesiąt stopni w prawo i ujrzałem go u przeciwległego wylotu alejki – wysoką sylwetkę o rozmazanych przez mgłę konturach, z niewyraźnym zarysem telefonu przy uchu.

– Co powiesz? – spytał. – Zabawmy się.

Ruszyłem w jego stronę biegiem, on z miejsca rzucił się do ucieczki. Usłyszałem tupot i klaskanie jego butów na mokrym betonie, po chwili się rozłączył.

Nim dotarłem do końca alejki przy Clarendon Street, zniknął. Na chodnikach kłębili się kupujący, turyści i uczniowie szkół średnich. Widziałem mężczyzn w płaszczach przeciwdeszczowych i żółtych kurtkach, przemoczonych do suchej nitki robotników budowlanych. Widziałem opary unoszące się z kratek ściekowych i otulające taksówki, które przejeżdżały obok. Widziałem chłopaka na deskorolce, który stracił równowagę przed parkingiem przy Newbury. Lecz ani śladu Wesleya.

Tylko mgła i deszcz, które pozostawił za sobą.

22

Nazajutrz rano po moim deszczowym spotkaniu z Wesleyem odebrałem telefon od Bubby. Powiedział, żebym czekał za pół godziny przed domem, bo jest już w drodze.

– Dokąd jedziemy?

– Spotkać się ze Steviem Zambucą.

Odsunąłem się od małego stolika z telefonem i wziąłem głęboki oddech. Stevie Zambuca? Dlaczego do diabła chciałby się ze mną widzieć? Nigdy nie spotkałem tego człowieka. Zakładałem, że o mnie nie słyszał. Miałem niejaką nadzieję, że tak pozostanie.

– Po co?

– Nie wiem. Zadzwonił do mnie, powiedział, żebym przyjechał do niego i zabrał cię ze sobą.

– Zostałem zaproszony.

– Możesz tak to nazwać, jasne. Zostałeś zaproszony.

Bubba się rozłączył.

Wróciłem do kuchni, usiadłem przy stole i napiłem się kawy, próbując oddychać równo, by stłumić atak paniki. Tak, Stevie Zambuca przerażał mnie, ale nie było w tym nic niezwykłego. Stevie Zambuca przerażał większość ludzi. Stevie Zambuca, „Wyborca" przewodził gangsterom ze wschodniego Bostonu i Revere, którzy między innymi kontrolowali hazard, prostytucję, narkotyki i dziuple samochodowe w North Shore. Stevie był zwany „Wyborcą" nie dlatego, że chodził na wybory i interesował się polityką, ale dlatego, że słynął z pewnej rzeczy – pozwalał swym ofiarom wybierać, jak mają umrzeć. Stevie wchodził do pomieszczenia, gdzie trzech czy czterech jego zbirów trzymało ofiarę na krześle, po czym kładł przed nieszczęśnikiem siekierę albo piłę do metalu i kazał mu wybierać. Siekiera czy piła. Nóż czy miecz. Garota czy młotek. Jeśli ofiara nie była w stanie wybrać, czy też nie uczyniła tego dostatecznie szybko, Stevie, jak powiadano, posługiwał się świdrem, swoją ulubioną bronią. Dlatego gazety czasem nazywały go błędnie „Świdrem", co, jak głosiła plotka, wkurzało pewnego gangstera z Somerville imieniem Frankie DiFalco, który miał naprawdę dużego fiuta.

Zastanawiałem się przez ułamek sekundy, czy ochroniarz Cody'ego Falka, Leonard,

mógł mieć z tym jakiś związek. Jak by nie było, zidentyfikowałem go jako faceta z North Shore. Ale to było w chwili paniki. Jeśli Leonard był dostatecznie mocny, żeby załatwić mi wizytę u Steviego Zambuki, to nie musiałby się najmować do roboty dla Cody'ego Falka.

To wszystko nie miało sensu. Bubba obracał się w kręgach mafijnych. Ja nie.

Więc dlaczego Stevie Zambuca chciał mnie widzieć? Co zrobiłem? I jak mogłem to odkręcić? Szybko. Naprawdę szybko. Być może do wczoraj.

Stevie Zambuca mieszkał w małym, niezbyt atrakcyjnym, dwupoziomowym domu w stylu rancho, który przycupnął na końcu ślepej uliczki, na samym szczycie wzgórza z widokiem na trasę 1 i lotnisko Logana we wschodnim Bostonie. Facet mógł stamtąd dosięgnąć wzrokiem nawet portu, choć wątpię, czy często spoglądał w tamtym kierunku. Stevie chciał widzieć przede wszystkim lotnisko; połowa jego zysków pochodziła z tego właśnie źródła – ze związków zawodowych tragarzy i transportowców, a także z towarów, które spadały z ciężarówek i samolotów, by wylądować w jego łapach.

Dom miał nadziemny basen i ogrodzenie z siatki wokół małego podwórka od frontu. To z tyłu było nieco większe, a z ziemi, co jakieś trzy metry, wystawały lampy naftowe, rzucające światło w niebieski od mgły, letni poranek, który z powodu niskiej temperatury kojarzył się raczej z październikiem niż sierpniem.

– To jego sobotni lunch – poinformował mnie Bubba, kiedy wysiedliśmy z jego samochodu i ruszyliśmy w stronę domu. – Wydaje go co tydzień.

– Lunch mafiosa – oznajmiłem. – Jakie to urocze.

– Mimozy są w porządku – powiedział Bubba. – Ale trzymaj się z dala od canoli, bo w przeciwnym razie przez resztę dnia twój najlepszy przyjaciel będzie twoją pieprzoną deską klozetową.

Drzwi otworzyła nam piętnastoletnia dziewczyna. Na ramiona spływała jej kaskada czarnych włosów z pomarańczowymi pasemkami; jej twarz była maską piętnastoletniej apatii spod znaku „pieprzyć wszystko" i tłumionego gniewu, z którym nie bardzo wiedziała, co począć.

Po chwili rozpoznała Bubbę i na jej bladych wargach pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Pan Rogowski. Cześć.

– Cześć, Josephine. Fajne pasemka.

Dotknęła nerwowo włosów.

– Pomarańczowe. Podobają się panu?

– Super – pochwalił Bubba.

Josephine spuściła wzrok na swoje kolana i wykrzywiła lekko nogi w kostkach, kołysząc się nieznacznie w drzwiach.

– Mój tata ich nienawidzi.

– Hej, jak to tata – zauważył Bubba.

Josephine wsunęła sobie bezwiednie kosmyk włosów do ust, kołysząc się dalej pod natrętnym spojrzeniem Bubby i jego szerokim uśmiechem.

Bubba jako symbol seksu! Dopiero teraz to zauważyłem.

– Tata w domu? – spytał.

– Z tyłu? – odparła Josephine, jakby pytając Bubbę, czy to w porządku.

– Znajdziemy go. – Bubba pocałował ją w policzek. – Jak tam mama?

– Siedzi mi na tyłku – wyjaśniła dziewczyna. – Cały czas.

– Jak to mama – skomentował Bubba. – Fajnie mieć piętnaście lat, hę?

Josephine podniosła na niego wzrok i przez chwilę się bałem, że złapie go za twarz i pocałuje jedną z jego przerośniętych warg.

Ona jednak zakręciła się na palcach niczym tancerka, rzuciła: „Muszę lecieć" i wybiegła z pokoju.

– Dziwny dzieciak – oznajmił Bubba.

– Durzy się w tobie.

– Odpierdziel się.

– Pewnie, że się durzy, idioto. Ślepy jesteś?

– Odpierdziel się, albo cię zabiję.

– Och – powiedziałem uspokajająco. – W takim razie mniejsza z tym.

– Już lepiej – skomentował Bubba, przeciskając się przez tłum zalegający kuchnię.

– Ale jednak się durzy.

– Już nie żyjesz.

– Zabij mnie później.

– Jeśli jeszcze coś z ciebie zostanie, jak już Stevie z tobą skończy.

– Dzięki – odparłem. – Potrafisz człowieka wkurzyć.

W małym domu panował tłok. Gdziekolwiek spojrzeć, widziało się albo mafiosa, albo żonę mafiosa, albo dziecko mafiosa. Był to tłum facetów w dresach z gniecionego weluru i bluzach sportowych od Championa, tłum kobiet w czarnych elastycznych spodniach i krzykliwych żółto-czarnych, liliowo-czarnych albo srebrno-białych bluzkach. Dzieciaki nosiły w większości stroje sportowe drużyn zawodowych, im jaskrawsze tym lepsze, wszystko luźne, workowate i ujednolicone; barwy klubowe ustępowały identycznym swetrom

i spodniom dresowym.

Nigdy chyba nie byłem w tak brzydkim wnętrzu. Z kuchni prowadziły do salonu białe marmurowe schody, salon zaś wyłożono tak kosmatym dywanem, że trudno było w nim dostrzec czyjekolwiek buty. Jego splot był przetykany migoczącymi prążkami o perłowej barwie. Kanapy i fotele wyścielano białą skórą a stolik do kawy, dostawki i kredens lśniły metaliczną czernią. Ściany do połowy wysokości pokryto plastikiem imitującym skałę, wyżej zaś tapetą z czerwonego jedwabiu. Barek, w oprawie lustrzanych szybek i oświetlony stupięćdziesięciowatowymi żarówkami, wbudowano w przeciwległy narożnik tej jedwabno-skalnej ściany i pomalowano na czarno, pod kolor kredensu. Pośród zawieszonych na ścianach zdjęć Steviego i jego rodziny właściciele domu umieścili fotografie ulubionych Włochów – Johna Travolty jako Tony'ego Manero, Ala Pacino jako Michaela Corleone, Franka Sinatry, Dina, Sophie Loren, Vince'a Lombardiego, a także, co było raczej niezrozumiałe, Elvisa. Przypuszczam, że z tymi ciemnymi włosami i wątpliwym gustem odzieżowym, King pełnił rolę honorowego gangstera, faceta, który wykona robotę i będzie siedział cicho, a po wszystkim przyrządzi ci smakowitego sandwicza z kiełbaską i papryką.

Bubba uścisnął mnóstwo dłoni, ucałował kilka policzków, nie przystanął jednak, by pogadać, nikt też jakoś nie przejawiał chęci, by wciągnąć go w rozmowę. Nawet w pokoju pełnym włamywaczy, kasiarzy, bukmacherów i zabójców Bubba emanował energią elektryczną, nieomylną aurą grozy i pewnej odmienności. Mężczyźni na jego widok uśmiechali się półgębkiem i z pewnym drżeniem, „zrekonstruowane" zaś twarze kobiet zdradzały dziwną mieszaninę strachu i podniecenia.

Kiedy zbliżaliśmy się do końca salonu, jakaś pani o tlenionych włosach i ciele prosto z solarium wyrzuciła przed siebie ramiona i wrzasnęła:

– Aaach, Bubba!

Uniósł ją z podłogi, porywając w objęcia, a ona dała mu w policzek całusa równie głośnego jak jej słowa powitania.

Postawił ją ostrożnie na włochatym dywanie i spytał:

– Mira, jak leci, złotko?

– Świetnie, olbrzymie!

Odchyliła się i wsparła łokieć o dłoń, zaciągając się białym papierosem, który był tak długi, że mogłaby nim dziobnąć kogoś stojącego w kuchni, gdyby odwróciła się bez ostrzeżenia. Miała na sobie jasnoniebieską bluzkę pod kolor odpowiednio niebieskich spodni, na nogach niebieskie szpilki z odkrytymi palcami na dziesięciocentymetrowym obcasie. Jej twarz i ciało uosabiały cud współczesnej medycyny – mikroskopijne zakładki w miejscach,

gdzie linia szczęki stykała się z uszami, wystający tyłek i piersi, których mogłaby jej pozazdrościć osiemnastolatka, dłonie porcelanowokremowe jak u lalki.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała. – Widziałeś Josephine?

Bubba odpowiedział na to pytanie:

– Tak, otworzyła nam drzwi. Wygląda wspaniale.

– Jest jak zadra w tyłku – zauważyła Mira i roześmiała się zza chmury dymu. – Stevie chce ją posłać do klasztoru.

– Siostra Josephine? – spytał Bubba, unosząc brew.

Rechot Miry niemal spustoszył salon.

– Ale byłby widok. Ha, ha!

Spojrzała na mnie niespodziewanie i jej niebieskie oczy zmatowiały podejrzliwością.

– Mira – zwrócił się do niej Bubba – to mój przyjaciel Patrick, Stevie ma do niego interes.

Mira podała mi gładką dłoń.

– Mira Zambuca. Miło cię poznać, Pat.

Nienawidzę, jak mnie nazywają Pat, ale postanowiłem o tym nie wspominać.

– Pani Zambuca – odparłem. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Mira nie wyglądała na specjalnie zadowoloną, mając w salonie bladolicego Irlandczyka, ale obdarzyła mnie chłodnym uśmiechem, który mówił, że zniesie moją obecność, dopóki się będę trzymał z dala od rodzinnych sreber.

– Stevie jest przy grillu. – Skinęła głową w stronę dymu, który kłębił się przy oszklonych drzwiach, prowadzących na tyły domu. – Przyrządza te cielęce i wieprzowe kiełbaski, które wszyscy tak uwielbiają.

Zwłaszcza na lunch, pomyślałem.

– Dzięki, złotko – powiedział Bubba. – Wyglądasz super, tak na marginesie.

– Och, dzięki, kotku. Ale z ciebie numer!

Odwróciła się od nas i niemal podpaliła swoim papierosem osiem kilo włosów innej kobiety, na szczęście tamta się zorientowała i uchyliła w ostatniej chwili.

Razem z Bubbą przepchnęliśmy się przez tłum i wyszliśmy na tyły domu. Potem zamknęliśmy za sobą drzwi, oganiając się od dymu, którego kłęby spowijały taras.

Tutaj przebywali wyłącznie mężczyźni, a z radia ustawionego na balustradzie dobiegał głos Springsteena, jeszcze jednego honorowego gangstera. Większość facetów przewyższała pod względem tuszy tych w środku domu i nawet teraz napychała sobie usta cheeseburgerami i hot-dogami wielkości cegieł, grubymi od papryki, cebuli i dodatków.

Przy grillu krzątał się niski facet. Czarna jak smoła plereza dodawała mu jakieś sześć centymetrów wzrostu. Był ubrany w dżinsy, białe adidasy i T-shirt ozdobiony na plecach napisem „Najwspanialszy tata na świecie". Z przodu osłonięty był fartuchem w biało-czerwoną kratę i manipulował stalową łopatką nad podwójnym grillem, zapełnionym po brzegi kiełbaskami, hamburgerami, marynowanymi piersiami kurczaka, hot-dogami, czerwoną i zieloną papryką, cebulą i niewielkim wzgórkiem czosnku w folii.

– Hej, Charlie – zawołał. – Lubisz, jak burger jest czarny, no nie?

– Czarny jak Michael Jordan – odkrzyknęła góra mięsa, a kilku mężczyzn wybuchnęło śmiechem.

– Faktycznie czarny – przyznał niski facet. Skinął głową i wziął z popielniczki obok grilla cygaro, po czym wsadził je sobie w usta.

– Stevie – odezwał się Bubba.

Niski facet odwrócił się i uśmiechnął, nie wyjmując cygara spomiędzy warg.

– Hej, Rogowski! Słuchajcie, Polaczek się zjawił!

Rozległy się wołania „Bubba!", „Rogowski!" i „Zabójca!", kilku mężczyzn poklepało go po szerokich plecach albo uścisnęło mu dłoń, nikt jednak nie dostrzegał mojej obecności, ponieważ nie zrobił tego Stevie. Jakbym nie istniał – dopóki nie oznajmi, że jest inaczej.

– Ta sprawa w zeszłym tygodniu – zwrócił się Stevie Zambuca do Bubby. – Miałeś jakieś problemy?

– Nie.

– Facet gadał bzdury? Napsuł ci pewnie krwi.

– Nie – powtórzył Bubba.

– Słyszałem, że ten biznesmen w Norfolk chce ci narobić kłopotów

– Też tak słyszałem – powiedział Bubba.

– Dać ci kogoś do tej roboty?

– Nie, dzięki – odparł Bubba.

– Na pewno? Przynajmniej tyle moglibyśmy zrobić.

– Dzięki – powtórzył Bubba. – Dam sobie radę.

Stevie Zambuca podniósł wzrok znad grilla i uśmiechnął się.

– Nigdy o nic nie prosisz, Rogowski. Ludzi to peszy.

– A ciebie, Stevie?

– Mnie? – Pokręcił głową. – Nie. Stara szkoła. Ci pieprzeni faceci mogliby się czegoś od nas nauczyć. Ja i ty, Rogowski, właściwie tylko my dwaj przetrwaliśmy, a nie jesteśmy jeszcze tacy starzy. Reszta tych pieprzonych gości? – Zerknął przez ramię na tuczną farmę,

która rozłożyła się na tarasie. – Liczą na kontrakty filmowe, podsuwają agentom pomysły na książki.

Bubba spojrzał na rozmówcę, nie przejawiając najmniejszego zainteresowania.

– Słyszałem, że z Freddym niedobrze.

Gruby Freddy Conastantine kierował miejscową mafią, ale mówiło się, że nie potrwa to już długo. Facet chętny na jego miejsce smażył na naszych oczach kiełbaski.

Stevie przytaknął.

– Wycięli mu całą prostatę. Powiadają, że za chwilę przyjdzie kolej na przewód pokarmowy.

– Kiepsko – oświadczył Bubba.

Stevie wzruszył ramionami.

– Natura, no nie? Żyje się, umiera, ludzie płaczą, a potem myślą, gdzie by tu pójść się nażreć. – Przerzucił łopatką pięć hamburgerów na talerz wielkości tarczy gladiatora, dołożył z pół tuzina hot-dogów i kilka kawałków kurczaka. Wysunął talerz za siebie. – Zabierać to, pieprzone grubasy.

Bubba odchylił się i wsadził dłonie do kieszeni spodni, kiedy jeden z tłuściochów wziął talerz od Steviego i zaniósł na stół z przyprawami.

Stevie przykrył grill. Położył łopatkę na tacy i zaciągnął się cygarem.

– Bubba, idź pogadaj z chłopakami, weź sobie coś do jedzenia. Ja i twój przyjaciel pospacerujemy sobie.

Bubba wzruszył ramionami i został tam, gdzie stał.

Stevie Zambuca wyciągnął rękę.

– Kenzie, tak? Chodź ze mną.

Zeszliśmy z niewielkiego tarasu na podwórze, minęliśmy białe stoliki i pracujące spryskiwacze ogrodowe i znaleźliśmy się w małym ogródku otoczonym ceglanym murem i porośniętym chorowitymi żonkilami i krokusami.

Obok ogrodu stała drewniana bujana kanapa, umocowana na stalowych palikach i drągu, który kiedyś podtrzymywał sznur do bielizny. Stevie Zambuca zajął miejsce po prawej stronie i poklepał deski obok siebie.

– Siadaj, Kenzie.

Usiadłem.

Stevie oparł się wygodnie i zaciągnął głęboko cygarem, po czym wypuścił z ust dym, unosząc stopy z ziemi. Trzymał je przez chwilę ponad trawą, jakby zafascynowany bielą swych adidasów.

– Znasz Rogowskiego... ile to już czasu? Całe życie?

– Tak – odparłem.

– Zawsze był stuknięty?

Zerknąłem na Bubbę, który podszedł do stołu z dodatkami i przyrządził sobie hamburgera.

– Zawsze słuchał tylko siebie – wyjaśniłem.

Stevie Zambuca przytaknął.

– Znam te wszystkie opowieści – oznajmił. – Żył na ulicy od ósmego roku życia czy coś koło tego, a ty i twoi kumple go karmiliście, takie tam historyjki. Potem Morty Schwartz, stary żydowski bukmacher, zaopiekował się nim i wychowywał do swojej śmierci.

Przytaknąłem.

– Mówi się, że obchodzą go tylko psy, wnuczka Vincenta Patriso, duch Morty'ego Schwartza i ty.

Patrzyłem, jak Bubba siada z dala od pozostałych i pochłania swojego hamburgera.

– To prawda? – spytał Stevie Zambuca.

– Chyba tak – odparłem.

Klepnął mnie w kolano.

– Pamiętasz Jacka Rouse'a?

Jack Rouse był szefem irlandzkiej mafii, dopóki nie zniknął kilka lat temu.

– Pewnie.

– Wydał na ciebie wyrok, zanim się rozpłynął. Wiesz, dlaczego to nie przeszło?

Potrząsnąłem głową.

Stevie Zambuca wskazał brodą taras.

– Rogowski. Wszedł do pokoju, gdzie grali w karty. Było tam pełno bosów. Powiedział, że jak coś ci się stanie, to wyjdzie na ulice uzbrojony i rąbnie każdego żołnierza, jakiego spotka, dopóki ktoś inny go nie zabije.

Bubba skończył swojego hamburgera i udał się z papierowym talerzykiem po następnego. Mężczyźni obok stołu odsunęli się i zostawili go samego. Bubba zawsze był samotny. Wynikało to z jego wyboru, ale stanowiło także pewną cenę za to, że tak bardzo różnił się od reszty swego gatunku.

– Lojalność – oznajmił Stevie Zambuca. – Próbuję wpoić to moim ludziom, ale nie potrafię. Są lojalni tylko tak, jak grube są ich portfele. Widzisz, nie można nauczyć lojalności. Nie można jej wpoić. To tak, jakby uczyć kogoś miłości. Nie da rady. Albo masz to w sercu, albo nie. Przyłapali cię kiedykolwiek, jak zanosiłeś mu jedzenie?

– Rodzice?

– Tak.

– Pewnie.

– Dostałeś w tyłek?

– Jasne – odparłem. – Kilka razy.

– Ale nadal kradłeś z rodzinnego stołu, prawda?

– Tak.

– Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak po prostu robiliśmy. Jak to dzieciaki.

– Widzisz, o tym właśnie mówię. To lojalność. To miłość, Kenzie. Nie można nikomu jej wpoić. A także – dodał, przeciągając się z głośnym westchnieniem – nie można jej odebrać.

Czekałem. Byłem przekonany, że dochodzimy do sedna sprawy.

– Nie można jej odebrać – powtórzył Stevie Zambuca. Odchylił się i otoczył mnie ramieniem. – Jeden facet wykonuje dla nas pewną robotę. Coś w rodzaju prywatnego kontraktu, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Nie jest zatrudniony przez organizację na stałe, ale czasem coś dla nas robi. Nadążasz?

– Chyba tak.

– Widzisz, ten facet jest dla mnie ważny. Nie wiesz nawet, jak bardzo.

Pyknął kilka razy z cygara, wciąż otaczając mnie ramieniem, i spojrzał na swoje małe podwórze.

– Prześladujesz tego gościa – oznajmił w końcu. – Irytujesz go. A to z kolei irytuje mnie.

– Wesley – powiedziałem.

– Jego pieprzone nazwisko? Nie ma znaczenia. Wiesz, o kim mówię. I powiadam ci, dasz sobie spokój. Od razu. Jeśli zechce podejść do ciebie i nasikać ci na głowę, to nie śmiesz nawet sięgnąć po ręcznik. Powiesz tylko: „Dziękuję” i zaczekasz, czy nie chowa dla ciebie w zanadrzu czegoś jeszcze.

– Ten facet – powiedziałem – zniszczył życie...

– Zamknij się, kurwa – przerwał mi łagodnie i zacisnął palce na moim ramieniu. – Gówno mnie obchodzisz ty i twoje problemy. Tu liczą się tylko moje. Jesteś upierdliwy. Ja nie proszę cię, żebyś sobie odpuścił. Ja ci każę. Przypatrz się dobrze swojemu kumplowi.

Bubba znowu usiadł i wgryzł się w hamburgera.

– To cenny gość. Brakowałoby mi takiego faceta. Wiesz, co będzie, jeśli usłyszę, że niepokoisz naszego niezależnego kontrahenta? Że prowadzisz jakieś dochodzenie? Wymieniasz jego nazwisko w rozmowach? Niech tylko usłyszę o czymś takim, a rozwalę twojego kumpla. Odetnę mu jego pieprzoną głowę i wyślę ci pocztą. A potem zabiję ciebie, Kenzie. – Klepnął mnie kilka razy w ramię. – Rozumiemy się?

– Rozumiemy się – odparłem.

Cofnął rękę, zaciągnął się cygarem, nachylił wsparty łokciami o kolana.

– To świetnie. Jak skończy swojego hamburgera, zabierzesz swoją irlandzką dupę z mojego domu. – Wstał i ruszył w stronę werandy. – I wytrzyj buty o matę, zanim wejdziesz do środka. Ten pieprzony dywan w salonie cholernie ciężko doczyścić.

23

Bubba ledwo potrafi pisać i czytać. Jego podstawowe umiejętności w tym zakresie pozwalają mu rozszyfrować instrukcję użycia broni i inne proste teksty natury technicznej, o ile dołączono do nich schemat. Jest w stanie przeczytać wycinki prasowe na swój temat, ale zabiera mu to pół godziny, poza tym pojawiają się problemy, jeśli jakieś słowa mają bardziej złożoną pisownię. Nie potrafi uchwycić skomplikowanej dynamiki jakichkolwiek stosunków międzyludzkich, wie o polityce tak mało, że nie dalej jak w zeszłym roku musiałem mu tłumaczyć różnicę między Izbą Reprezentantów a Senatem, a jego ignorancja, jeśli chodzi o aktualne wydarzenia jest tak absolutna, że nie pojmuje nawet, o co chodziło w aferze rozporkowej Clintona.

Ale nie jest głupi.

Są tacy, którzy założyli, z fatalnym dla siebie skutkiem, że jednak jest głupi, niezliczeni zaś gliniarze i prokuratorzy zdołali w wyniku połączonych wysiłków wsadzić go do więzienia tylko dwa razy, w obu przypadkach za naruszenie przepisów dotyczących broni, tak drobnych w porównaniu z tym, co naprawdę przeskrobał, że wyroki przypominały bardziej wakacje niż prawdziwą odsiadkę.

Bubba przemierzył świat wzdłuż i wszerz i wie, w której wiosce dawnego bloku wschodniego, zapomnianej przez Boga i ludzi, można dostać najlepszą wódkę, jak znaleźć czysty burdel w zachodniej Afryce i gdzie kupić cheeseburgera w Laosie. Siedząc w swoim dwupiętrowym magazynie, który nazywa domem, Bubba odtworzył z pamięci kilka znanych sobie miast, budując ich miniaturowe repliki. Raz sprawdziłem jego wersję Bejrutu z mapą i znalazłem na modelu Bubby maleńką uliczkę, którą kartografowie przeoczyli.

Lecz inteligencja Bubby uwidacznia się najpełniej i najbardziej niepokojąco w jego umiejętności czytania ludzkich odruchów, choć mogłoby się zdawać, że ich w ogóle nie dostrzega. Bubba potrafi wywęszyć gliniarza w cywilu z odległości dwóch kilometrów, umie dostrzec kłamstwo w drgnieniu powieki, a jego zdolność wyczuwania zasadzki jest tak legendarna, że rywale już dawno temu dali sobie spokój i pozwolili mu wykroić dla siebie kawałek tortu.

Bubba, jak mi powiedział Morty Schwartz krótko przed swą śmiercią, był

zwierzęciem. Morty uważał to za komplement. Bubba odznaczał się niezawodnym refleksem, niezachwianym instynktem i pierwotną umiejętnością skupienia się, a żadna z tych cech nie była choćby w drobnym stopniu zmącona przez sumienie. Jeśli Bubba kiedykolwiek miał wyrzuty sumienia czy poczucie winy, to pozostawił je w Polsce wraz z mową ojczystą, kiedy skończył pięć lat.

– No to co powiedział Stevie? – spytał Bubba, kiedy przejeżdżaliśmy przez Maverick Square, kierując się w stronę tunelu.

Musiałem zachować ostrożność. Gdyby Bubba nabrał podejrzeń, że Stevie wykorzystuje jego osobę przeciwko mnie, zabiłby drania i połowę jego gangu, a konsekwencje byłyby opłakane.

– Nic specjalnego.

Bubba pokiwał głową.

– Wezwał cię do siebie, żeby pogadać?

– Coś w tym rodzaju.

– Pewnie – mruknął Bubba.

Odchrząknąłem.

– Powiedział mi, że Wesley Dawe jest nietykalny. Mam się trzymać z daleka.

Bubba opuścił szybę, kiedy podjechaliśmy do bramek przy Sumner Tunnel.

– Ile może być wart dla Steviego Zambuki jakiś porąbany japiszon?

– Najwidoczniej sporo.

Bubba zdołał wcisnąć swojego hummera między budki, wręczył strażakowi trzy dolce i zasunął szybę, włączając się w osiem strumieni wozów, które próbowały wjechać na dwa pasy autostrady.

– Niby dlaczego? – spytał, manewrując tym swoim dziwadłem podwójnej szerokości w samochodowym gąszczu, jakby się posługiwał nożykiem do listów.

Wzruszyłem ramionami, kiedy wjechaliśmy do tunelu.

– Wesley już udowodnił, że ma dostęp do dokumentacji jednego psychiatry. Może ma dostęp i do innych.

– No i...?

– No i ten dostęp może mu zapewniać prywatne informacje na temat sędziów, gliniarzy, kontrahentów, kogokolwiek.

– Więc co zrobisz? – spytał Bubba.

– Wycofam się – odparłem.

Jego twarz była skąpana w chorobliwym świetle lamp tunelowych, kiedy odwrócił

głowę i spojrzał na mnie.

– Ty?

– Tak – powiedziałem. – Nie jestem głupi.

– Uhm – mruknął Bubba cicho i znów spojrzał przed siebie.

– Chwilowo sobie odpuszczę – dodałem, nienawidząc się za tę nutę desperacji w głosie. – Wykombinuję, jak podejść Wesleya od innej strony.

– Nie można go podejść od innej strony – oświadczył Bubba. – Albo załatwisz tego gościa, albo nie. Jak go załatwisz, Stevie domyśli się, że to ty, choćbyś nie wiem jak zacierał ślady.

– Więc co, mówisz, że powinienem zabrać się za Wesleya i resztę swego życia zawierzyć Steviemu Zambuce?

– Mogę z nim pogadać – powiedział Bubba. – Przekonać go.

– Nie.

– Nie?

– Owszem, nie. Pogadasz z nim, tak? A załóżmy, że nie zmieni zdania. W jakiej się sytuacji znajdziesz? Będziesz prosił faceta o coś, czego ci nie da.

– To rozwalę mu tyłek.

– I co potem? Stukniesz mafiosa, a wszyscy powiedzą „Nie ma problemu”?

Bubba wzruszył ramionami, kiedy wynurzyliśmy się z tunelu, by wjechać na North End.

– Nie wybiegam tak daleko myślą.

– A ja tak.

Ponownie wzruszył ramionami, tym razem bardziej zdecydowanie.

– Więc się wycofujesz?

– Tak. W porządku?

– Jasne – odparł, jakby nieobecny myślami. – Jasne, stary. Nieważne.

Nie patrzył na mnie, kiedy wysiadałem z wozu. Wlepiał spojrzenie w drogę, kiwając nieznacznie głową w rytm warkotu silnika.

Wysiadłem z hummera, a Bubba rzucił, nie odrywając wzroku od jezdni:

– Może powinieneś się wycofać.

– Z czego?

– Z tego biznesu.

– Niby dlaczego?

– Strach zabija, człowieku. Zamknij drzwi, dobra?

Zatrzasnąłem drzwi, a potem patrzyłem, jak odjeżdża. Kiedy dotarł do świateł, zahamował nagle i po chwili jego hummer pędził z powrotem w moją stronę na wstecznym biegu. Spojrzałem w głąb ulicy i zobaczyłem czerwonego forda escorta, który jechał po tym samym pasie co Bubba. Kobieta za kierownicą podniosła wzrok, ujrzała hummera gnającego tyłem wprost na nią. Skręciła gwałtownie na lewy pas, wcisnęła klakson i wyminęła Bubbę z pełnym oburzenia trąbieniem, wystawiając oczywiście do góry środkowy palec, tak że przez chwilę żadna z jej dłoni nie spoczywała na kierownicy.

Bubba, wyskakując z wozu, posłał równie pogardliwy gest w ślad za escortem, po czym walnął pięścią w maskę.

– To ja!

– Co?

– To ja! – ryknął z wściekłością. – Ten gnój posłużył się mną, tak?

– Nie, on...

– Nie może grozić Angie, bo ona ma powiązania. Więc wybrał mnie.

– Bubba, Stevie mnie zagroził. Mnie. Okej?

Odrzucił do tyłu głowę i wrzasnął w kierunku nieba:

– Gówno prawda! – Opuścił brodę i obszedł samochód, a ja przez moment byłem pewien, że mnie walnie.

– Ty! – wycelował palec w moją twarz. – Nie wycofasz się. Nigdy tego nie robiłeś i dlatego mój drugi pieprzony fach to pilnowanie twojego tyłka.

– Bubba...

– I nic mnie nie obchodzi! – Zawył.

Zza rogu wyłoniła się grupka dzieci, a widząc Bubbę w ataku prawdziwego szału, ruszyła zgodnie na drugą stronę ulicy.

– Nigdy więcej mnie, kurwa, nie okłamuj – uprzedził Bubba. – Nigdy. Jeśli ty albo ona mnie okłamujecie, to mnie to cholernie boli. Mam wtedy ochotę kogoś uszkodzić. Kogokolwiek! – Walnął się tak mocno w pierś, że gdyby należała do kogoś innego, mostek roztrzaskałby się jak kawałek porcelany. – Stevie mi groził, tak?

– A jeśli tak, to co?

Bubba zamachał w powietrzu swoimi potężnymi ramionami, a z ust trysnęła mu ślina.

– Zabiję go, kurwa. Wypruję z niego jelito grube i powieszę go na nim. Będę mu ściskał pieprzoną głowę, aż...

– Nie – powiedziałem. – Nie rozumiesz?

– Czego nie rozumiem?

– Na tym właśnie polega problem. Tego dokładnie chce Wesley. To nie była groźba od Steviego, to była groźba od Wesleya. Tak działa ten pojebaniec.

Bubba schylił się, wziął głęboki oddech. Wyglądał jak wielki kawał granitu, który budzi się z wolna do życia.

– Nie chwytam – oświadczył w końcu.

– Mogę się założyć o jedno – powiedziałem, starannie dobierając słowa. – Wesley wie, że Angie ma powiązania, wie, że może się do mnie dobrać tylko przez ciebie. Mówię ci, to on podsunął Steviemu ten pomysł, żeby ci zagrozić. Skapował, że w najgorszym przypadku się o tym dowiesz, dostaniesz szału i doprowadzisz do tego, że nas wszystkich rąbną.

– Hmm – mruknął cicho. – Ten facet jest bystry.

Obok nas zatrzymał się radiowóz i policjant na miejscu pasażera opuścił szybę.

– Wszystko w porządku, panowie?

Wyglądał jakby znajomo.

– Świetnie – odparłem.

– Hej, ty, wielki.

Bubba odwrócił głowę i z grymasem na twarzy wlepił w policjanta wzrok.

– Ty jesteś Bubba Rogowski, co?

Bubba spojrzał w głąb ulicy.

– Zabiłeś kogoś ostatnio, Bubba?

– Tak jakby parę godzin temu, panie władzo.

Policjant parsknął śmiechem.

– To twój hummer?

Bubba przytaknął.

– Zaparkuj przy krawężniku, bo dostaniesz mandat.

– Dobra – odparł Bubba i odwrócił się do mnie.

– Natychmiast, Rogowski – powiedział policjant.

Bubba uśmiechnął się do mnie ironicznie i potrząsnął głową. Potem obszedł radiowóz i wsiadł do swojego hummera, podczas gdy policjanci przypatrywali się temu z szerokimi, pełnymi zadowolenia uśmiechami. Bubba podjechał do przodu i znalazł jakieś sto metrów dalej dostatecznie dużo miejsca, by się wpasować.

– Wiesz, że twój kumpel to kanalia? – spytał mnie policjant.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak nie będziesz uważał, to też cię wezmą za kanalię.

Teraz rozpoznałem tego gliniarza. Mike Gourgouras, domniemany rekieter Steviego Zambuki. Stevie go tu przysłał, żeby się upewnić, że jego polecenie zostało przyjęte do wiadomości.

– Może byś tak rozważył, czy nie opłaca ci się odsunąć trochę od takiego gościa.

– Okej. – Podniosłem dłoń, uśmiechnąłem się. – Dobra rada.

Gourgouras zmrużył swoje małe, ciemne oczka.

– Jaja sobie robisz?

– Nie, sir.

Posłał mi uśmiech.

– Uważaj pan, z kim przestajesz, panie Kenzie.

Szyba po jego stronie podjechała do góry z cichym warkotem i radiowóz ruszył ulicą. Kogut na jego dachu rozbłysnął na chwilę, kiedy mijali Bubbę zmierzającego w moją stronę, po czym radiowóz skręcił na rogu.

– Chłopaki Steviego – oznajmił Bubba.

– Zauważyłeś?

– Tak.

– Uspokoiłeś się?

– Już lepiej. – Wzruszył ramionami.

– Dobra – powiedziałem. – Jak pozbędziemy się Steviego?

– Angie.

– Może jej się to nie spodobać – powątpiewał.

– Nie ma wyboru.

– Skąd wiesz?

– Jakby nas zabrakło, masz pojęcie, jakie nudne byłoby jej życie? Cholera, człowieku, uschłaby i umarła.

Miał niewątpliwie rację.

Zadzwoniłem do Sallisa & Salka i dowiedziałem się, że Angie już tam nie pracuje.

– Dlaczego? – spytałem sekretarkę.

– Miał miejsce pewien incydent, o ile mi wiadomo.

– Jaki incydent?

– Niestety, nie wolno mi o tym rozmawiać.

– W takim razie mogłaby mi pani powiedzieć, czy sama zrezygnowała, czy też została zwolniona?

– Niestety, nie mogę.

– Rany. Niewiele mi może pani powiedzieć, co?

– Mogę powiedzieć, że ta rozmowa dobiegła końca – odparła i odłożyła słuchawkę.

Zadzwoniłem na numer domowy Angie, ale połączyłem się tylko z jej sekretarką. Mogła jednak być u siebie. Wyłącza sygnał bardzo często, kiedy ma dość ludzi.

– Incydent? – spytał Bubba, kiedy ruszyliśmy w stronę South End. – Tak jak incydent międzynarodowy?

Wzruszyłem ramionami.

– W przypadku Angie bym tego nie wykluczał.

– Rany – oznajmił z podziwem Bubba. – Byłoby super.

Zastaliśmy ją w domu, tak jak się spodziewałem. Właśnie sprzątała, czyszcząc drewniane podłogi mleczkiem. Tak głośno puszczała „Horses" Patti Smith, że musieliśmy wrzeszczeć do niej przez otwarte okno, bo nie słyszała dzwonka.

Ściszyła muzykę, wpuściła nas i powiedziała:

– Nie właźcie na podłogę w salonie, bo wam skopię tyłki.

Ruszyliśmy za nią do kuchni i Bubba spytał:

– Incydent?

– Nic poważnego – wyjaśniła Angie. – I tak miałam już dość tej roboty. Wykorzystują kobiety jako dekorację, uważają, że wyglądamy nieźle w kostiumach od Ann Taylor, z bronią pod spodem.

– Incydent? – drążyłem.

Dała upust frustracji, przeklinając cicho, i otworzyła lodówkę.

– Handlarz diamentów uszczypnął mnie w tyłek. Okej?

Rzuciła mi puszkę coli, drugą podała Bubbie, swoją postawiła na blacie szafki i oparła się o zmywarkę.

– Trafił do szpitala? – zainteresowałem się.

Uniosła brwi, podnosząc puszkę do ust.

– W zasadzie nie musiał tam jechać, beksa. Przyłożyłam mu tylko z bekhendu. Takie klepnięcie. Palcami. – Pokazała wierzch dłoni. – Skąd mogłam wiedzieć, że to hemofilik?

– Dostał w nos? – spytał Bubba.

Przytaknęła.

– Raz.

– Sprawa sądowa?

Parsknęła.

– Niech spróbuje. Poszłam do swojej lekarki. Zrobiła mi zdjęcie siniaka.

– Sfotografowała ci tyłek? – zainteresował się Bubba.

– Owszem, Ruprecht.

– Cholera, też bym to zrobił.

– Ja też – dorzuciłem.

– Dzięki, chłopcy. Mam teraz wpaść w zachwyt?

– Chcemy, żebyś zadzwoniła do dziadka Vincenta – rzucił nagle Bubba.

Angie niemal wypuściła puszkę z ręki. – Naćpałeś się czy jak?

– Nie – wyjaśniłem. – Na nieszczęście mówimy poważnie.

– Dlaczego?

Opowiedzieliśmy jej.

– Jakim cudem udało się wam tak długo przeżyć? – spytała, kiedy skończyliśmy.

– To tajemnica – odparłem.

– Stevie Zambuca – powiedziała w zamyśleniu. – Mały zabójca. Wciąż nosi te sterczące włosy?

Bubba przytaknął. Angie łyknęła coli.

– Chodzi na koturnach.

– Że co? – nie zrozumiał Bubba.

– Podwyższony obcas. W jego butach. Robi je sobie na zamówienie u pewnego szewca w Lynn.

Dziadek Angie, Vincent Patriso, przewodził niegdyś (według niektórych robił to nadal) mafii na północ od Delaware. Zawsze zaliczał się do spokojniejszych gości, nigdy nie trafił do gazet, nigdy nikt go w prasie nie nazwał „Donem". Był właścicielem piekarni i kilku sklepów z odzieżą na Staten Island, które sprzedał parę lat temu, by dzielić swój czas między nowy dom w Enfield w New Jersey i drugi, na Florydzie. Tak więc Angie orientowała się w składzie bostońskiej mafii całkiem nieźle – mogła na dobrą sprawę powiedzieć o tych facetach więcej niż ich kapowie.

Angie usadowiła się na blacie szafki kuchennej, dopiła colę, podciągnęła nogę i wsparła brodę na kolanie.

– Mam zadzwonić do dziadka – oświadczyła w końcu.

– Nie prosilibyśmy cię o to – zapewnił Bubba. – Ale Patrick jest naprawdę zestrachany.

– Pewnie, zwal wszystko na mnie.

– Płakał przez całą drogę – wyjaśnił Bubba. – Mazał się jak dzieciak. „Nie chcę

umierać. Nie chcę umierać". To cholernie wkurzające.

Angie przekręciła głowę, tak że teraz opierała się o kolano policzkiem i uśmiechnęła się do niego. Zamknęła na chwilę oczy.

Bubba spojrzał na mnie. Wzruszyłem ramionami. On wzruszył ramionami.

Angie uniosła głowę i spuściła nogę. Jęknęła. Przesunęła palcami po skroniach. Znów jęknęła.

– Przez te wszystkie lata, kiedy byłam żoną Phila, a on mnie tłukł, ani razu nie zadzwoniłam do dziadka. Nieraz mieliśmy stracha, ty i ja – spojrzała na mnie – a ja nigdy nie zadzwoniłam do dziadka. Nawet wtedy... – podwinęła bluzeczkę i odsłoniła ściągniętą bliznę po kuli, która przeszła jej przez jelito cienkie – ...nie zadzwoniłam.

– Jasne – przytaknął Bubba. – Ale teraz to nie żarty.

Wyrzuciła pustą puszkę po coli. Potem spojrzała na mnie.

– Stevie był poważny?

– Niczym plaga – odparłem. – Zabije nas obu. – Wskazałem kciukiem Bubbę. – Zacznie od niego.

Bubba chrząknął.

Angie przyglądała się nam przez dłuższą chwilę. Jej twarz stopniowo łagodniała.

– No cóż, straciłam robotę. Co oznacza, że niedługo nie będzie mnie już stać na to mieszkanie. Nie utrzymam chłopaka, a zwierząt nie lubię. Więc pozostaliście mi chyba tylko wy dwaj, kretyni.

– Przymknij się – poprosił Bubba. – Nie mogę już tego słuchać.

Zsunęła się z szafki.

– No dobra, który mnie podrzuci do bezpiecznego telefonu?

Skorzystała z aparatu w Park Plaza Hotel, a ja dałem jej mnóstwo swobody; spacerowałem sobie po marmurowych posadzkach i podziwiałem stare windy z mosiężnymi drzwiami i mosiężnymi popielniczkami po bokach, pragnąc, by powrócił czas, kiedy nosiło się fedory, wychylało szklankę whisky na lunch, zapalało drewniane zapałki o paznokieć kciuka i nazywało się przestępców bandziorami.

Dokąd odszedłeś, Burcie Lancaster, i dlaczego zabrałeś ze sobą cały ten ekstraszyk?

Angie odwiesiła słuchawkę i ruszyła w moją stronę – była całkowicie nie na miejscu pośród tego mosiężnego wyposażenia, czerwonych dywanów, marmurowych podłóg i ludzi w ubraniach jedwabnych, lnianych, bawełnianych – w tym swoim spranym białym topie, szarych szortach i klapkach Nike, bez makijażu, pachnąca mleczkiem do czyszczenia podłóg.

Lecz nie potrzebowałem nic więcej prócz tego jej specyficznego uśmiechu, by uznać, że nigdy nie widziałem nikogo równie olśniewającego.

– Wygląda na to, że przeżyjesz – oznajmiła. – Powiedział, żeby dać mu weekend. Do tego czasu odsunie Steviego na bok.

– Ile cię to będzie kosztować?

Wzruszyła ramionami, kierując się do wyjścia.

– Muszę mu przyrządzić kurczaka na ostro, jak będzie następnym razem tędy przejeżdżał. Aha, jeszcze jedno, mam się upewnić, że Luca Brasi śpi z rybami na dnie oceanu.

– Za każdym razem myślisz, że masz już z nimi spokój – zauważyłem.

– Wciągają mnie z powrotem.

24

W poniedziałek zabraliśmy się ostro do roboty. Angie zamierzała spędzić ten dzień, kontaktując się ze swoim przyjacielem w urzędzie skarbowym w Pittsburghu. Chciała sprawdzić, czy uda jej się zdobyć jakieś informacje podatkowe o Wesleyu Dawe, dotyczące okresu przed jego zniknięciem, Bubba zaś obiecał, że spróbuje tego samego ze znajomym facetem w dziale dochodów w Massachusetts, choć o ile sobie przypominał, coś się z tym gościem stało, nie mógł jednak powiedzieć co dokładnie.

Posłużyłem się komputerem w biurze, by przejrzeć w Internecie książki telefoniczne i inne bazy danych, jakie mi tylko przyszły do głowy. Wpisywałem bezustannie nazwisko Wesley a Dawe i za każdym razem pojawiało się to samo. Nic, nic, nic.

Angie czekała na informacje od swojego przyjaciela w skarbówce całe popołudnie, a Bubba nie zadzwonił ani razu, żeby mnie poinformować o swoich postępach. W końcu, mając dość tego zastoju, pojechałem do śródmieścia, żeby sprawdzić w archiwum państwowym, czego się mogę dowiedzieć o Naomi Dawe.

Nie znalazłem nic ciekawego ani w dokumentacji dotyczącej narodzin, ani zgonu, ale spisałem sobie wszystko w notatniku, który wsunąłem do tylnej kieszeni, wychodząc z ratusza.

Kiedy znalazłem się na tyłach City Hall Plaza, u moich boków wyrosło dwóch mięśniaków, obu łysiejących i obu w ciemnych okularach i cienkich hawajskich koszulach wypuszczonych na dżinsy.

– Udamy się na mały spacerek – oznajmił ten po prawej.

– Świetnie – odparłem. – Jak pójdziemy do parku, kupicie mi loda?

– Niezły komik z niego – zauważył ten z lewej.

– No – przyznał ten z prawej. – Pieprzony Jay Leno.

Ruszyliśmy przez plac w stronę Cambridge Street, przed nami zerwało się do lotu stadko gołębi. Słyszałem, jak obaj faceci dyszą lekko; widać było, że taki spacer nie należy zwykle do ich rozkładu dnia.

Było gorąco, ale na moim czole pojawił się pot nieco zimniejszy od normalnego, kiedy zobaczyłem ciemnoróżowego lincolna, parkującego przy Cambridge obok innego wozu. Tego

samego lincolna widziałem w sobotę na podjeździe domu Steviego Zambuki.

– Stevie ma ochotę na pogawędkę – powiedziałem. – Jak miło.

– Zauważyłeś, że faceta zawodzi dowcip? – spytał ten z prawej.

– Może to przestaje być dla niego zabawne – skomentował ten drugi, po czym zaskakująco płynnym i szybkim ruchem jak na faceta takich rozmiarów wsunął mi dłoń pod koszulę i wyciągnął moją broń.

– Nie martw się – uprzedził. – Przechowam to w bezpiecznym miejscu.

Kiedy podeszliśmy do lincolna, z tyłu wysiadł jakiś chudy młody facet i przytrzymał mi drzwi.

Mógłbym się opierać, ale wtedy oni przestrzeliliby mi kolana i wcisnęli do wozu. Nawet w biały dzień.

Postanowiłem zachowywać się z godnością.

Wsiadłem do samochodu i usadowiłem się obok Steviego Zambuki, tamci zaś zamknęli za mną drzwi.

Przednie fotele były puste. Najwidoczniej moi umięśnieni operatorzy pełnili też rolę kierowców.

Stevie Zambuca zwrócił się do mnie: – Wiesz, co się pewnego dnia przytrafi temu staremu facetowi? Umrze. Ma już... ile, osiemdziesiąt cztery lata?

Przytaknąłem.

– Więc wykorkuje pewnego dnia. Polecę samolotem na jego pogrzeb, złożę wyrazy szacunku, a potem wrócę do miasta i cię załatwię, Kenzie. Przygotuj się na ten dzień, bo ja to zrobię na pewno.

– Okej.

– Okej? – Uśmiechnął się. – Myślisz, że jesteś taki kurewsko opanowany, co?

Nie odezwałem się.

– Pewno, że nie jesteś. Ale chwilowo pójdę na współpracę. – Rzucił mi na kolana brązową papierową torbę. – Jest tam osiem kawałków. Ten facet zapłacił mi dziesięć, żebym cię odstraszył.

– Więc robisz z nim interesy?

– Nie. To była pojedyncza robota. Dziesięć tysięcy za to, żeby utrzymać cię z dala od niego. Nigdy nie widziałem faceta, aż do piątku wieczorem. Podszedł do jednego z moich ludzi, zaczął z nim gadać.

– Powiedział ci, żebyś zagroził Bubbie? I w ten sposób mnie załatwił?

Stevie pogładził się po brodzie.

– Prawdę mówiąc, tak. Wie o tobie dużo, Kenzie. Bardzo dużo. I nie lubi cię. Cholernie, kurwa. Cholernie.

– Wiesz o nim cokolwiek? Gdzie mieszka, pracuje, tego typu rzeczy?

Stevie potrząsnął głową.

– Nie. Poręczył za niego jeden znajomy facet z Kansas City. Słyszał, że jest godny zaufania.

– Z Kansas City?

Stevie spojrzał mi w oczy.

– Kansas City. Dlaczego cię to tak dziwi?

Wzruszyłem ramionami.

– Jakoś mi nie pasuje.

– Aha. Nieważne. Jak się z nim spotkasz, oddaj mu osiem kawałków i powiedz, że dwa sobie zatrzymałem. Za doznane przykrości.

– Skąd wiesz, że się z nim spotkam?

– Jest na ciebie naprawdę napalony, Kenzie. Ma fiuta twardego jak diament. Wciąż powtarzał, że „się wtrąciłeś". Vincent Patriso może powstrzymać mnie, ale nie tego faceta. On chce, żebyś był martwy.

– Nie. On chce, żebym ja tego chciał.

Stevie parsknął śmiechem.

– Może i masz rację. Wiesz co? Jest bystry, nieźle gada, ale gdzieś w środku, przy całej tej inteligencji, kryje się jakaś choroba, Kenzie. Osobiście uważam, że ma niezłego zajoba, a wokół tego zajoba fruwają mniejsze zajobki. – Roześmiał się i położył mi dłoń na kolanie. – A ty go wkurzyłeś. Niezłe, co? – Nacisnął guzik na konsoli przy swoich drzwiach i zamki odblokowały się automatycznie. – Do zobaczenia, Kenzie.

– Do zobaczenia, Stevie.

Otworzyłem drzwi i zamrugałem pod wpływem oślepiającego blasku słońca.

– Tak, zobaczysz mnie – potwierdził Stevie, kiedy wysiadłem z wozu. – Po pogrzebie starego faceta. W zbliżeniu. I w technikolorze.

Jeden z mięśniaków wręczył mi moją broń.

– Ostrożnie, komiku. Nie odstrzel sobie stopy.

Komórka odezwała się, kiedy szedłem z powrotem przez City Hall Plaza w stronę wielopoziomowego parkingu, gdzie zostawiłem swój wóz.

Wiedziałem, że to on, jeszcze nim zdążyłem powiedzieć „Halo?".

– Pat, przyjacielu. Jak się masz?

– Nieźle, Wes. A ty?

– Doskonale. Wiesz co, Pat?

– Tak, Wes?

– Jak dotrzesz do parkingu, wejdź na dach, dobra?

– Spotkamy się, Wes?

– Przynieś kopertę, którą dał ci Don Guido.

– Ależ oczywiście.

– Nie marnuj naszego czasu na kontaktowanie się z policją, okej, Pat? Nic mnie nie powstrzyma.

Rozłączył się.

Dopiero gdy znalazłem się w ciemnym garażu, niewidoczny dla kogokolwiek w środku albo na dachu, zadzwoniłem do Angie.

– Jak szybko dasz radę przejechać przez Haymarket?

– Jadąc po swojemu?

– Więc pięć minut – domyśliłem się. – Będę na dachu garażu przy New Sudbury. Wiesz, gdzie to jest?

– Owszem.

Rozejrzałem się wkoło.

– Muszę mieć zdjęcie tego faceta, Angie.

– Na dachu? Jak mam to zrobić? Wszystkie sąsiednie budynki są niższe.

Wypatrzyłem jeden, który był wyższy.

– Zabytkowa kamienica na końcu Friend Street. Wejdź na dach.

– Jak?

– Nie wiem. Nie widzę obok tej pieprzonej trasy szybkiego ruchu żadnego budynku, skąd można by zrobić zdjęcie.

– Okej, okej. Jadę.

Rozłączyła się, a ja ruszyłem schodami, by pokonać osiem pięter. Klatka schodowa była ciemna, wilgotna i cuchnęła uryną.

Wychylał się, wsparty o murek, spoglądając na City Hall Plaza, Franeuil Hall i strzeliste centrum finansowe u zbiegu Congress i State. Przez chwilę odczuwałem pokusę, by podbiec do niego, unieść mu nogi i zepchnąć go w dół, żeby sprawdzić, czy wydałby z siebie jakiś dźwięk, spadając bezwładnie i waląc o ulicę osiem pięter niżej. Przy odrobinie szczęścia uznano by to za samobójstwo, a jego dusza, gdyby ją miał, udławiłaby się w drodze do piekła

ironią tej sytuacji.

Odwrócił się do mnie, kiedy stanąłem w odległości jakichś piętnastu metrów. Twarz wykrzywił mu uśmiech.

– Kusi, co?

– To znaczy?

– Myśl, żeby zrzucić mnie z dachu?

– Trochę.

– Ale policja szybko by ustaliła, że ostatni raz łączyłem się ze swojego telefonu komórkowego z twoim. Określiłaby źródło sygnału metodą triangulacyjną i zlokalizowałaby cię w okolicy City Hall, gdzie przebywałeś jakieś sześć albo siedem minut przed moją śmiercią.

– Byłoby nieciekawie. Fakt – przyznałem i wyjąłem broń zza paska spodni. – Na kolana, Wes.

– Och, daj spokój.

– Dłonie za głowę, palce splecione.

Wybuchnął śmiechem.

– Bo co? Zastrzelisz mnie?

Dzieliły mnie od niego teraz jakieś trzy metry.

– Nie. Ale rozwalę ci rewolwerem nos. Rodzona matka cię nie pozna. Chciałbyś?

Skrzywił się, spojrzał na swoje płócienne spodnie i na brudną powierzchnię dachu.

– A gdybym trzymał ręce w górze, a ty byś mnie obszukał? Żebym nie musiał klękać?

– Pewnie – odparłem. – Dlaczego nie?

Kopnąłem go w zgięcie pod lewym kolanem. Osunął się na ziemię.

– Pożałujesz tego – rzucił, patrząc na mnie, szkarłatny na twarzy.

– Oho! – mruknąłem. – Wesley się gniewa.

– Nie masz pojęcia.

– Hej, psycholu, zakładaj pieprzone dłonie za głowę.

Zrobił, jak mu kazałem.

– Spleć palce.

Zrobił, jak mu kazałem.

Przesunąłem dłońmi po jego piersi, pod połami czarnej jedwabnej koszuli, którą wypuścił na wierzch. Wzdłuż pasa, krocza i kostek u nóg. Nosił w środku lata czarne rękawiczki golfowe, zbyt obcisłe i małe, by mogły skrywać pod spodem choćby brzytwę, więc nie kazałem mu ich zdejmować.

– Wiesz, na czym polega ironia? – spytał, kiedy go obszukiwałem. – Choć twoja dłoń przesuwa się po moim ciele, nie możesz mnie dotknąć, Pat.

– Miles Lovell – powiedziałem. – David Wetterau.

– Możesz udowodnić, że byłem w obu miejscach?

Nie mogłem. Sukinsyn.

– Twoja siostra przyrodnia – dorzuciłem.

– Popełniła samobójstwo, o ile się orientuję.

– Mogę udowodnić, że byłeś w Holly Martens Inn.

– Gdzie zapewniałem pomoc i utrzymanie swej cierpiącej na kliniczną depresję siostrze? O tym mówisz?

Przestałem go rewidować i odsunąłem się. Miał rację. Był nietykalny.

Spojrzał na mnie przez ramię.

– Och – mruknął. – Skończyłeś?

Rozplótł dłonie za głową i wstał, potem zaczął otrzepywać ciemne krążki brudu na kolanach – roztopioną w słońcu smołę, która pozostawiła niezatarty ślad na materiale.

– Przyślę ci rachunek – oznajmił.

– Zrób to.

Oparł się o murek i zaczął mi się z uwagą przyglądać, a ja znów poczułem tę przemożną chęć, by go zepchnąć z dachu. Tylko po to, żeby usłyszeć jego krzyk.

Stojąc po raz pierwszy tak blisko niego, uświadomiłem sobie tę niewymuszoną kombinację siły i okrucieństwa, którą się okrywał jak płaszczem zarzuconym na ramiona. Jego twarz stanowiła dziwne połączenie mocno zaznaczonych kątów i jakby dojrzałości owocu – twarda linia szczęki pod mięsistymi czerwonymi wargami, gumowata miękkość skóry o barwie kości słoniowej, zakłócona wystającymi kośćmi policzkowymi i łukami brwiowymi. Jego włosy znów miały jasny odcień i w połączeniu z tymi mięsistymi wargami i oczami na wskroś błękitnymi, intensywnymi i podstępnymi, nadawały twarzy wygląd zdecydowanie aryjski.

Kiedy tak mu się przyglądałem, on ze swej strony obserwował mnie, przechylając głowę nieznacznie w prawo i mrużąc swe niebieskie oczy. Kąciki wydatnych ust krzywiły się w uśmiechu samozadowolenia.

– Ta twoja partnerka to niezła babka – zauważył. – Ją też pieprzysz?

Miałem wrażenie, że chce, bym zrzucił go z dachu.

– Założę się, że tak – oznajmił i zerknął przez ramię na miasto w dole. – Posuwasz Vanesse Moore – którą, tak na marginesie, widziałem kilka dni temu w sądzie, jest niezła – i

posuwasz swoją małą, gorącą partnerkę. I Bóg wie kogo jeszcze. Niezły z ciebie zawodnik, Pat.

Odwrócił głowę w moją stronę, a ja schowałem broń do kabury na plecach. Bałem się, że jej użyję.

– Wes.

– Tak, Pat?

– Nie nazywaj mnie Pat.

– Och. – Skinął głową. – Natrafiłem na czuły punkt. To nieodmiennie ciekawe. Wiesz, jeśli chodzi o ludzi, nigdy nie wiadomo, na czym polega ich słabość, dopóki ich odrobinę nie szturchniesz.

– To nie słabość, to preferencja.

– Pewnie. – Błysnęły mu oczy. – Powtarzaj to sobie, Pat... hmm... przepraszam, Patrick.

Parsknąłem odruchowo śmiechem. Facet nie dawał za wygraną.

Przeleciał nad nami helikopter jednej ze stacji telewizyjnych, a potem zrobił łuk nad autostradą, podczas gdy na trasach dojazdowych po mojej lewej stronie zaczął narastać ścisk, typowy dla godzin szczytu.

– Naprawdę nienawidzę kobiet – oświadczył beznamiętnie Wesley, śledząc helikopter wzrokiem. – Jako gatunek, z intelektualnego punktu widzenia, uważam je za... – wzruszył ramionami – ...za głupie. Ale fizycznie – uśmiechnął się, przewrócił oczami – Chryste, mam ochotę klęknąć, kiedy przechodzi obok jakaś naprawdę superbabka. Ciekawy paradoks, nie sądzisz?

– Nie – odparłem. – Jesteś mizoginistą, Wesley.

Zachichotał.

– Jak Cody Falk? – Cmoknął językiem. – Nie namówiłbyś mnie na gwałt. To bez polotu.

– Wolisz drążyć ludzi, aż pozostają z nich tylko skorupy, czy tak?

Uniósł brew.

– Jak siostrę przyrodnią – ciągnąłem. – Wydrążyłeś ją do cna, tak aby swoje przerażenie mogła wyrazić tylko w jeden sposób – seksualnie.

Uniósł brew jeszcze wyżej.

– Żartujesz? Uwielbiała to. Chryste, Pat – czy jak ci tam, kurwa, na imię – czy właśnie nie o to chodzi w seksie? O zapomnienie. I daruj sobie tę retorykę o duchowej jedności i akcie miłosnym. Seks to pieprzenie. Seks to powrót do naszego najbardziej animalistycznego stanu.

Jaskiniowca. Pierwotnego człowieka. Przedpotopowego. Siorbiemy, drapiemy się, gryziemy i jęczymy jak zwierzęta. Wszelkie narkotyki, baty, łańcuchy i wariacje, jakimi próbujemy to wzbogacić, są tylko dodatkowym środkiem, który ma na celu zintensyfikowanie – nie, osiągnięcie – tego samego. Zapomnienia. Regresywnego stanu, który nas cofnie o wieki i dokona naszej deewolucji. To właśnie pieprzenie, Pat. Zapomnienie.

Klasnąłem w dłonie.

– Wspaniała przemowa.

Skłonił się.

– Podobała ci się?

– Przećwiczyłeś to sobie?

– Pracowałem nad nią przez lata, fakt.

– Rzecz w tym, Wes...

– Co za „rzecz", Pat? Powiedz mi.

– Nie można wyjaśnić istoty poezji komputerowi. Możesz go nauczyć rymu i metrum, ale nie pojmie piękna. Niuansów. Esencji. Nie rozumiesz, na czym polega uprawianie miłości. A to wcale nie oznacza, że wyższy stan – poza samym fizycznym pieprzeniem – nie istnieje.

– Czy to właśnie chcesz osiągnąć z Vanessą Moore? Wyższy stan seksualny? Duchowość nieodłączną od aktu miłosnego?

– Nie – odparłem. – Jesteśmy tylko partnerami od łóżka.

Parsknął śmiechem.

– Czułeś kiedykolwiek miłość, Pat? Do kobiety?

– Pewnie.

– Osiągnąłeś kiedykolwiek ten stan duchowy, o którym mówisz?

– Tak.

Skinął głową.

– I gdzie jest teraz ta kobieta? A może było ich więcej niż jedna? Gdzie są teraz? Jeśli to było takie wspaniałe, takie kurewsko duchowe, to dlaczego nie jesteś z którąś z nich, tylko gadasz w tej chwili ze mną albo od czasu do czasu wsadzasz Vanessie Moore?

Nie znalazłem na to odpowiedzi. W każdym razie nie takiej, której mógłbym udzielić Wesleyowi.

Trudno było z tym jednak dyskutować. Jeśli miłość umiera, jeśli związek zaczyna się psuć, jeśli akt miłosny staje się na powrót wyłącznie uprawianiem seksu, to czy w ogóle była to kiedykolwiek miłość? Czy też coś, na co dajemy się nabrać, by zdystansować się od zwierząt?

– Kiedy załatwiłem własną siostrę przyrodnią, doznała oczyszczenia. Był to dobrowolny, konsensualny seks, Pat, zapewniam cię. I podobał się jej. Tym samym znalazła swoją własną esencję, prawdziwą jaźń. – Odwrócił się do mnie plecami, spojrzał w niebo, kiedy helikopter zatoczył szeroki łuk nad Broadway Bridge i skierował się znów w naszą stronę. – Dzięki konfrontacji ze swą prawdziwą jaźnią wszelkie złudzenia, którymi się dotąd żywiła, załamały się. I ona się załamała. To ją zniszczyło. Mogłoby ją to zbudować, gdyby była dostatecznie silna, dostatecznie odważna, ale ją to zniszczyło.

Odwrócił się do mnie.

– Albo ty ją zniszczyłeś – sprostowałem. – Niektórzy by powiedzieli, że Karen została zniszczona przez ciebie, Wes.

Wzruszył ramionami.

– Wszyscy dochodzimy czasem do punktu, w którym się załamujemy albo odbudowujemy. Karen osiągnęła ten swój punkt.

– Z twoją pomocą.

– Możliwe. Ale gdyby zaczęła od tego momentu budować, to skąd wiesz, że nie byłaby szczęśliwsza? A w którym momencie ty byś się załamał, Pat? Zastanawiałeś się kiedykolwiek, jakie składniki twej obecnej wersji szczęścia zaryzykowałbyś, nim zostałbyś zredukowany do cząstki samego siebie? Jakie składniki, hę? Rodzina? Partner? Samochód? Przyjaciele? Dom? Ile czasu by upłynęło, nim stałbyś się nagi jak niemowlę? Odarty z wszelkich upiększeń? A wtedy – wtedy, Pat – kim byś był? Co byś robił?

– Zanim bym cię zabił czy potem?

– Dlaczego miałbyś mnie zabijać?

Wyciągnąłem ręce, przysunąłem się do niego.

– Cholera, nie wiem, Wes. Zabierasz wszystko niektórym ludziom, więc uważają, że i tak nie mają nic do stracenia.

– Pewnie, Pat, pewnie. – Położył sobie dłoń na piersi. – Ale nie wydaje ci się, że zabezpieczyłbym się na taką ewentualność?

– Na przykład zaangażowałbyś Steviego Zambukę, żeby odsunąć mnie na bok.

Spuścił wzrok i spojrzał na torbę w mojej dłoni.

– Przypuszczam, że nie mogę już liczyć na usługi Steviego?

Cisnąłem mu torbę pod nogi.

– Mniej więcej. Tak na marginesie, wziął sobie dwa tysiące w ramach rekompensaty. Ach, ci gangsterzy. Wiesz, o co mi chodzi?

Pokręcił głową.

– Patrick, Patrick, rozumiesz chyba, że mówiłem tylko hipotetycznie. Nie żywię do ciebie niechęci.

– Świetnie. Szkoda, że ze swej strony nie mogę powiedzieć tego samego, Wes.

Pochylał z wolna głowę, aż dotknął brodą piersi.

– Uwierz mi, Patrick. Nie powinieneś grać ze mną w szachy.

Trzepnąłem go palcami prawej dłoni w brodę.

Kiedy podniósł głowę, beztroskie okrucieństwo w jego oczach ustąpiło miejsca nieskrywanej wściekłości.

– Ależ tak, Wes, powinienem.

– Coś ci powiem – weź te pieniądze, Pat. – Zęby miał zaciśnięte, twarz nagle spotniałą. – Weź je i zapomnij o mnie. Nie mam ochoty cię teraz załatwiać.

– Ale ja mam ochotę załatwić ciebie, Wes. Cholerną ochotę.

Roześmiał się.

– Weź te pieniądze, przyjacielu.

Zawtórowałem mu śmiechem.

– Myślałem, że możesz mnie zniszczyć, kolego. Co się stało?

Jego niebieskie oczy znów zapłonęły wrogością.

– Mogę, Pat. To w tej chwili tylko kwestia czasu.

– Kwestia czasu? Wes, przyjacielu, mam go mnóstwo. Przygotowałem grunt dla ciebie.

Wesley zacisnął szczęki, zasznurował usta i przytaknął kilka razy.

– Okej – powiedział. – Okej.

Zerknąłem w lewo, dostrzegłem hondę z uniesioną maską, parkującą na autostradzie, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej i nieco ponad nami. Miała włączone światła awaryjne, inne samochody trąbiły, kilku kierowców wysunęło środkowy palec, podczas gdy Angie trzymała głowę pod maską, grzebiąc niby w jakichś przewodach, i robiła nam zdjęcia z aparatu postawionego na pokrywie filtra oleju.

Wesley podniósł głowę i wyciągnął dłoń w rękawiczce. W jego oczach błysnęła niekłamana chęć mordu.

– Wojna? – spytał.

Uścisnąłem mu dłoń w rękawiczce.

– Wojna – odparłem. – Możesz być pewien.

25

No to gdzie zaparkowałeś, Wes? – spytałem, kiedy zeszliśmy z dachu i skierowaliśmy się klatką schodową w dół.

– Nie w garażu, Pat. Ty zostawiłeś wóz na szóstym, piętrze, jak mi się zdaje.

Dotarliśmy na podest szóstej kondygnacji. Wesley odsunął się ode mnie na kilka kroków. Oparłem się o drzwi.

– Twoje piętro – oznajmił.

– Tak.

– Myślisz, żeby jeszcze się ze mną pokręcić?

– Owszem, przyszło mi to do głowy, Wes.

Przytaknął, potarł brodę, a część jego ciała poruszyła się w gwałtownym, oślepiającym wybuchu szybkości. Jeden z jego mokasynów zetknął się z moją szczęką i cisnął mnie do wnętrza garażu.

Dźwignąłem się na nogi między dwoma samochodami, sięgnąłem po broń, wyciągnąłem ją z kabury i skierowałem w jego stronę, kiedy znów dopadł mnie z szybkością eksplozji. Wydawało się, jakbym dostał z sześć ciosów i sześć kopniaków w ciągu czterech sekund, a mój pistolet poleciał po podłodze i zniknął pod jednym z samochodów.

– Obszukałeś mnie na dachu, bo ci na to pozwoliłem, Pat.

Osunąłem się, a on kopnął mnie w brzuch.

– Wciąż żyjesz, bo ci na to pozwalam. Zresztą nie wiem – może zmienię zdanie.

Zadał następny cios. Dostrzegłem kątem oka, że jego kostka skręca się, a stopa odrywa od ziemi. Dostałem po żebrach i chwyciłem go za nogę.

Usłyszałem, jak z dołu nadjeżdża samochód, widocznie kierowca szukał miejsca na wyższych kondygnacjach; obluzowany tłumik terkotał głośno i Wesley też go usłyszał.

Kopnął mnie w klatkę piersiową drugą nogą, a ja puściłem jego kostkę.

Strumień światła omiótł ścianę przy podjeździe.

– Do zobaczenia, Pat.

Jego kroki załomotały na stalowych stopniach klatki schodowej. Spróbowałem się podnieść, ale moje ciało postanowiło przekręcić się na bok i leżeć na plecach, kiedy

nadjeżdżający wóz stanął obok z piskiem hamulców.

– Jezu – rzuciła kobieta, wyskakując od strony pasażera. – O Boże!

Zza kierownicy wysiadł facet i położył dłoń na dachu.

– Wszystko w porządku, kolego?

Uniosłem palec wskazujący, widząc coraz bliżej stopy tej kobiety

– Jedną chwilę, dobrze?

Wyciągnąłem telefon komórkowy i wystukałem numer Angie.

– Tak? – spytała.

– Powinien lada chwila wyjść z garażu. Widzisz go?

– Co? Nie. Zaczekaj. Jest.

W dali rozległ się klakson.

– Widzisz gdzieś obok niego czarnego mustanga?

– Uhm. Idzie w jego stronę.

– Zapisz numer rejestracyjny, Angie.

– Okej. Kończę.

Odłożyłem komórkę i spojrzałem na parę, która stała nade mną. Oboje mieli na sobie identyczne czarne T-shirty fanów Metalliki.

– Metallica gra dziś we Fleet Center? – spytałem.

– Uhm, tak.

– Myślałem, że się rozpadli.

– Nie. – Odwrócona do góry nogami twarz mężczyzny zbladła, jakbym przepowiedział nadejście jednego z proroctw apokalipsy. – Nie, nie, nie.

Schowałem komórkę do kieszeni spodni i uniosłem obie dłonie.

– Pomożecie mi?

Przestąpili przeze mnie i zajęli pozycje po bokach, chwytając mnie pod ręce.

– Ostrożnie – poprosiłem.

Postawili mnie na nogi; garaż zakołysał się kilka razy, światła rozmazały. Dotknąłem żeber, potem górnej części klatki piersiowej i ramion, wreszcie szczęki. Nie wyczułem złamań. Wszystko mnie jednak bolało. I to cholernie.

– Chce pan, żebyśmy wezwali ochronę? – spytał facet.

Oparłem się o zaparkowany samochód, sprawdzając po kolei językiem zęby.

– Nie, nie trzeba. Ale lepiej się odsuńcie.

– Dlaczego?

– Bo będę rzygał. Zdecydowanie.

Poruszyli się niemal tak szybko jak Wesley.

– Pozwól, że spytam wprost – powiedział Bubba, przecierając mi czoło watą z alkoholem. – Oberwałeś od faceta, który jest takim chudziną?

– Uhm – wydusiłem z siebie; na mojej opuchniętej szczęce spoczywała torba z lodem wielkości futbolówki.

– No, nie wiem – zwrócił się Bubba do Angie. – Możemy z nim jeszcze współpracować?

Angie oderwała wzrok od zdjęć Wesleya, które wywołała na poczekaniu. Bubba obmacał mnie w poszukiwaniu złamań i skręceń, obandażował moje posiniaczone biodra, zdezynfekował rany i obtarcia od podłogi garażu i sygnetu na prawej dłoni Wesleya. Mówcie co chcecie o inteligencji Bubby czy jej braku, ale kawał z niego medyka polowego. Dysponuje też doskonałymi lekami.

Angie uśmiechnęła się.

– Z każdym dniem zyskujesz na wiarygodności.

– Phi – prychnąłem. – Ładne włosy.

Dotknęła odruchowo skroni i skrzywiła się.

Zadzwoniła komórka. Angie wzięła ją do ręki.

– Hej, Devin – powiedziała po kilku sekundach. – Hę? – Spojrzała na mnie. – Jego szczęka wygląda jak różowy grejpfrut, ale poza tym nic mu chyba nie dolega. Hę? Pewnie. – Odsunęła telefon od ucha. – Devin pyta, kiedy to stałeś się taką łajzą?

– Facet znał pieprzone kung-fu – rzuciłem przez zaciśnięte zęby. – Dżudo i jakieś cholerne wschodnie techniki. Lot w powietrzu, z kopa w głowę i takie tam gówno.

Przewróciła oczami.

– Co mówisz? – rzuciła do słuchawki. – Aha, dobra. – Zwracając się do mnie, spytała: – Devin chce, wiedzieć, dlaczego go nie zastrzeliłeś?

– Dobre pytanie – zauważył Bubba.

– Próbowałem – odparłem z naciskiem.

– Próbował – wyjaśniła Devinowi. Słuchała przez chwilę, przytaknęła i zwróciła się do mnie: – Wiesz, co masz zrobić następnym razem? Próbować skuteczniej.

Zdobyłem się na gorzki uśmiech.

– Rozważy twoją radę – oznajmiła Devinowi. – A te tablice? – Słuchała przez chwilę. – Okej, dzięki. Tak, zróbmy to szybko. Okej. Cześć.

Rozłączyła się.

– Tablice rejestracyjne skradziono zeszłej nocy z jakiegoś mercury'ego cougara.

– Zeszłej nocy – powtórzyłem.

Przytaknęła.

– Zdaje mi się, że nasz Wesley uwzględnia zawczasu wszystkie ewentualności.

– I potrafi skakać jak baletnica! – zauważył Bubba.

Odchyliłem się na krześle i dałem im znak ręką, że mogą sobie używać do woli.

– Miejmy to za sobą. Wszystkie dowcipy. Walcie.

– Żartujesz? – zdziwiła się Angie. – Nie ma mowy.

– Miesiące – rozmarzył się Bubba. – Przez miesiące będziemy się z ciebie nabijać.

Jak się okazało, przyjaciel Bubby ze stanowego biura podatkowego został poprzedniego roku oskarżony o wielokrotne oszustwa, więc ten kontakt spalił na panewce, lecz Angie w końcu doczekała się telefonu od swojego znajomego ze skarbówki. Zaczęła bazgrać, słuchając go i powtarzając raz za razem: „Uhm, uhm", podczas gdy ja zajmowałem się swoją spuchniętą szczęką a Bubba wsypywał pieprz cayenne do naboi z wydrążonym czubkiem.

– Przestań – powiedziałem.

– Co? Nudzę się.

– Ostatnio ciągle się nudzisz.

– Spójrz na towarzystwo, w jakim się obracam.

Angie podniosła wzrok znad stołu, odkładając telefon, i uśmiechnęła się do mnie.

– Mamy go.

– Wesleya?

Przytaknęła.

– Płacił podatki od 1984 do 89, kiedy zniknął.

– Super.

– To nie wszystko. Zgadnij, gdzie pracował.

– Nie mam pojęcia.

Bubba dosypał trochę pieprzu do stalowej koszulki.

– W szpitalach.

Angie cisnęła w niego długopisem i trafiła w głowę.

– Znów mi włazisz w paradę.

– Udało mi się zgadnąć. Okej, będę siedział cicho.

Zmarszczył czoło, potarł sobie głowę i zajął się swoimi nabojami.

– Szpitale psychiatryczne? – spytałem.

Angie przytaknęła.

– Między innymi. Jedno lato przepracował w McLean. Rok w Brigham and Women's. Rok w Mass General. Pół roku w Beth Israel. Najwidoczniej nie był zbyt dobrym pracownikiem, ale ojciec załatwiał mu kolejne posady.

– W jakich działach?

Bubba podniósł głowę, otworzył usta, uchwycił groźne spojrzenie Angie i bezzwłocznie spuścił wzrok.

– Administracja – wyjaśniła Angie. – Potem archiwum.

Usiadłem przy stole i zajrzałem do notatek z urzędu miejskiego.

– Gdzie pracował w 89?

Angie zerknęła do swoich.

– Brigham and Women's. Archiwum.

Skinąłem głową i pokazałem im swoje zapiski.

– Naomi Dawe – przeczytałem. – Urodzona w Brigham and Women's, 11 grudnia 1985. Zmarła w Brigham and Women's, 17 listopada 1989.

Odłożyłem notatki i wstałem, ruszając w stronę kuchni.

– Dokąd idziesz?

– Zadzwonić.

– Do kogo?

– Do starej przyjaciółki – odparłem.

– My pracujemy – odezwał się Bubba – a jemu w głowie tylko jedno.

Spotkałem się z Grace Cole na Francis Street w Brookline, w samym sercu Longwood, pod jej szpitalem. Deszcz ustał; ruszyliśmy wzdłuż Francis, potem przeszliśmy przez Brookline Avenue, kierując się w stronę rzeki.

– Wyglądasz... nie najlepiej. – Przekrzywiła głowę, przyglądając się mojej szczęce. – Wciąż masz tę samą robotę, jak się domyślam.

– Ty za to wyglądasz wspaniale – zauważyłem.

Uśmiechnęła się.

– Niepoprawny flirciarz.

– Jestem tylko szczery. Jak tam Mae?

Mae to była córka Grace. Trzy lata wcześniej, z mojego powodu, musiały dostać ochronę od FBI, co niemal przekreśliło staż medyczny Grace i praktycznie zakończyło nasz związek. Mae miała wtedy cztery lata. Była mądra, ładna i lubiła oglądać ze mną braci Marx.

Ilekroć o niej myślałem, coś mnie chwytało za gardło.

– W porządku. Jest w drugiej klasie i dobrze sobie radzi. Lubi matematykę, nie znosi chłopców. Widziałam cię ostatnio w telewizji, kiedy zabili tych ludzi niedaleko Quincy Quarries. Stałeś w tłumie.

– Uhm.

Wierzby płaczące wzdłuż nadbrzeżnej ścieżki ociekały wodą, rzeka zaś wyglądała po monotonnym deszczu jak chromowana wstęga.

– Wciąż zadajesz się z niebezpiecznymi ludźmi? – spytała Grace, wskazując moją szczękę i zadrapania na czole.

– Ja? Skąd. Upadłem pod prysznicem.

– Prosto w brodzik pełen kamieni?

Uśmiechnąłem się, potrząsając głową.

Odsunęliśmy się, by przepuścić parę biegaczy; ich nogi pracowały rytmicznie, policzki się nadymały raz po raz; rozsiewali wokół siebie atmosferę wściekłej zawziętości.

Nasze łokcie zetknęły się ze sobą, kiedy zeszliśmy ze ścieżki. Grace rzuciła:

– Dostałam pracę w Huston. Wyjeżdżam za dwa tygodnie.

– Huston – powiedziałem.

– Byłeś tam kiedykolwiek?

Skinąłem głową.

– Duże miasto. Gorące. Przemysłowe.

– Przoduje w technologii medycznej – dodała Grace.

– Gratulacje – mruknąłem. – Mówię poważnie.

Grace zagryzła dolną wargę, spojrzała na samochody, które mijały nas pospiesznie, sunąc po śliskich jezdniach.

– Chciałam zadzwonić z tysiąc razy. Niewiele brakowało.

– Co cię powstrzymywało?

Wzruszyła nieznacznie ramionami, nie odrywając wzroku od asfaltu.

– Chyba to twoje zdjęcie w wiadomościach. Obok tych trupów w kamieniołomach.

Spojrzałem, za jej przykładem, w stronę ulicy, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Masz kogoś? – spytała.

– Niezupełnie.

Spojrzała mi w oczy z uśmiechem.

– Ale liczysz na to?

– Owszem, liczę – przyznałem. – A ty?

Popatrzyła na budynek szpitala.

– Kolega po fachu. Nie wiem, jak na to wpłynie ta przeprowadzka do Houston. Zdumiewające, ile trzeba się namęczyć.

– To znaczy?

Wysunęła dłoń w stronę jezdni, potem ją opuściła.

– Och, wiesz, kariera, utrzymanie związku, przewidywanie wyborów, jakich będzie musiał człowiek dokonywać. A potem, pewnego dnia, wszystko decyduje się samo, rozumiesz? I nie masz czego wybierać. Czy chcesz, czy nie, to twoje życie.

Grace w Houston. Grace nieobecna. Nie rozmawiałem z nią prawie od trzech lat, ale świadomość, że jest gdzieś niedaleko, była w pewnym sensie uspokajająca. Za miesiąc już miało jej tu nie być. Zastanawiałem się, czy odczuję ten brak jak niewielką wyrwę w pejzażu miasta.

Grace sięgnęła do torebki.

– Mam to, o co prosiłeś. Nie znalazłam nic podejrzanego. Dziewczynka się utopiła. Płyn w płucach nie różnił się składem od wody ze stawu. Czas zgonu typowy dla dziecka w tym wieku, które wpadło do lodowatej wody.

– Umarła w domu?

Potrząsnęła głową.

– Na sali operacyjnej. Ojciec reanimował ją na miejscu, przywrócił pracę serca. Ale było za późno.

– Znasz go?

– Christophera Dawe? – Potrząsnęła głową. – Tylko ze słyszenia.

– I co o nim mówią?

– Genialny chirurg, dziwny człowiek. – Podała mi szarą teczkę, spojrzała w stronę rzeki, potem przeniosła wzrok na ulicę. – No dobrze, w porządku... Posłuchaj, ja... muszę iść. Cieszę się, że cię zobaczyłam.

– Odprowadzę cię.

Położyła mi dłoń na piersi.

– Byłabym wdzięczna, gdybyś tego nie robił.

Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem żal, a może jakby lęk z powodu niepewnej przyszłości, albo świadomość, że wyrósł między nami mur.

– Kochaliśmy się, prawda? – spytała.

– Tak, na pewno.

– To niedobrze, co?

Stałem nad rzeką i patrzyłem, jak zbliża się do przejścia dla pieszych w tych swoich niebieskich drelichowych spodniach i krótkim białym kitlu, a jej jasnopopielate włosy błyszczą od wilgoci, która wciąż unosiła się w powietrzu.

Kochałem Angie. Pewnie zawsze ją kochałem. Jednak jakąś cząstką serca wciąż kochałem Grace Cole. Mój duch nadal krążył pośród dni, kiedy to dzieliliśmy łóżko i rozmawialiśmy o przyszłości. Ale już nie było tego dawnego uczucia i dawnych nas. Wszystko to zostało zamknięte w pudełku, jak stare fotografie i listy, których więcej nie będzie się oglądało.

Kiedy zniknęła w tłumie medyków, między budynkami szpitalnymi, uświadomiłem sobie, że się z nią zgadzam. To niedobrze, że się kochaliśmy. Cholerna szkoda.

Kiedy wróciłem do mieszkania, Bubba zdążył już poukładać swoje naboje w białych pojemnikach obok krzesła. Teraz siedział z Angie przy stole w jadalni nad planszą stratego. Popijali przy tym wódkę i słuchali Muddy Watersa na moim sprzęcie.

Bubba jest kiepski, jeśli chodzi o gry. Wpada w złość i na koniec rzuca człowiekowi planszę na kolana, ale w stratego trudno go pobić. To pewnie przez te wszystkie bomby. Ustawia je w najmniej spodziewanych miejscach i dokonuje samobójczych wypadów swoimi zwiadowcami, idąc na pewną śmierć z radością, którą promieniuje jego dziecięca twarz.

Czekałem, aż Bubba zdobędzie flagę Angie i przeglądałem dokumenty Naomi Dawe – przyjęcie matki do szpitala, świadectwo urodzenia i zgonu. Nie znalazłem niczego podejrzanego.

– Ha! – wrzasnął Bubba. – Wygrałem.

Angie zamiotła ręką po planszy, zrzucając piony na podłogę.

– Człowieku, ona nie umie przegrywać.

– Jestem tylko ambitna – sprostowała Angie i schyliła się, by pozbierać figury. – To różnica.

Bubba przewrócił oczami i spojrzał na dokumenty, które rozłożyłem po swojej stronie stołu. Wstał z krzesła, przeciągnął się i zerknął mi przez ramię.

– Co to jest?

– Dokumentacja szpitalna – wyjaśniłem. – Przyjęcie matki, kiedy przyjechała do szpitala urodzić. Narodziny córki. Zgon córki.

Spojrzał na formularze.

– Nie mają sensu.

– Wręcz przeciwnie. Którego słowa tu nie rozumiesz?

Trzepnął mnie po głowie.

– Jakim cudem ma dwie grupy krwi?

Angie podniosła na nas wzrok.

– Co?

Bubba wskazał świadectwo urodzenia Naomi, a potem jej świadectwo zgonu.

– Na tamtym jest zero minus.

Spojrzałem na świadectwo zgonu.

– A na tym Rh B plus.

Angie obeszła stół.

– O czym wy mówicie?

Pokazaliśmy jej.

– Co to u diabła może znaczyć? – spytałem.

Bubba parsknął pogardliwie.

– Znaczy tylko jedno. Dzieciak, który urodził się w tym dniu – dźgnął palcem świadectwo urodzenia – to nie ten sam dzieciak, który umarł – dźgnął świadectwo zgonu – w tym dniu. Rany, ale wolno czasem myślicie, ludzie.

26

To ona – powiedziałem, dostrzegając Siobhan na ulicy, przy której mieszkali Dawe. Szła ze spuszczoną głową, przygarbiona, jakby spodziewając się gradu.

– Cześć – rzuciłem, kiedy zrównała się z porsche.

– Cześć.

Jej beznamiętne spojrzenie mówiło, że nie jest szczególnie zaskoczona moim widokiem.

– Chcemy się zobaczyć z państwem Dawe.

– Doktor wspominał o sądowym zakazie zbliżania się do jego osoby.

– Tak tylko mówi. Nie zrobiłem nic złego.

– A jednak – powiedziała.

– A jednak. Rozumiem, że są w Nowej Szkocji. Potrzebny mi adres.

– Dlaczego miałabym panu pomóc?

– Bo on cię traktuje wyłącznie jak służącą.

– Jestem służącą.

– To twój zawód – sprostowałem. – Nie to, czym jesteś.

Przytaknęła jakby samej sobie, spojrzała na Angie.

– Jest pani jego partnerką?

Angie wyciągnęła do niej rękę, przedstawiła się. Siobhan uścisnęła jej dłoń i powiedziała:

– Są tutaj. W domu.

– Nie wyjechali?

– Wyjechali. – Spojrzała przez ramię na dom. – Już wrócili. Proponuję, żeby pana partnerka, która jest taka ładna, zadzwoniła do drzwi, a pan się schowa, panie Kenzie.

– Dzięki – rzuciłem.

– Nie ma za co. Tylko, do kurwy nędzy, niech pan ich nie pozabija. Potrzebuję tej roboty.

Spuściła głowę, przygarbiła się i ruszyła przed siebie.

– Twarda dziewucha – zauważyła Angie.

– Ma gadane.

– „Do kurwy nędzy” – powtórzyła Angie z uśmiechem. Zaparkowaliśmy nieco dalej, cofnęliśmy się pod dom państwa Dawe i ruszyliśmy pospiesznie ścieżką prowadzącą do drzwi, mając nadzieję, że nikt nie widzi nas z okna, bo nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko pójść na całego i liczyć na to, że nie zauważą mnie ze środka, nie zaryglują drzwi i nie wezwą policji z Weston.

Doszliśmy do drzwi wejściowych, a ja schowałem się po prawej stronie. Angie nacisnęła dzwonek.

Trwało to mniej więcej minutę, ale w końcu drzwi się otworzyły i usłyszałem, jak Christopher Dawe pyta:

– Tak?

– Doktor Dawe? – upewniła się Angie.

– W czym mogę pomóc, proszę pani?

– Nazywam się Angela Gennaro. Przyszłam porozmawiać o pańskiej córce.

– O Karen? Dobry Boże, jest pani z prasy? Ta tragedia wydarzyła się już ponad...

– O Naomi – przerwała mu Angie. – Nie o Karen. Wyszedłem z ukrycia i spojrzałem mu w oczy. Otworzył usta, twarz mu zbielała. Uniósł drżącą dłoń do swojej koziej bródki.

– Hej – powiedziałem. – Pamięta mnie pan?

Christopher Dawe zaprowadził nas na zabudowaną werandę na tyłach domu, z widokiem na jego kosztowny basen, kosztowny trawnik i mały krążek stawu, widoczny między drzewami niewielkiego zagajnika. Skrzywił się, gdy usiedliśmy naprzeciwko niego. Zakrył dłonią oczy i zaczął się nam przyglądać przez szpary między palcami. Kiedy się odezwał, odniosłem wrażenie, że nie spał od tygodnia:

– Moja żona jest w klubie. Ile chcecie?

– Mnóstwo – odparłem. – Ile pan ma?

– A więc jesteście w zmowie z Wesleyem.

Angie potrząsnęła głową.

– Przeciwko niemu. Zdecydowanie.

Wskazała moją spuchniętą szczękę.

Christopher Dawe odsunął dłoń sprzed oczu:

– Wesley to panu zrobił?

Przytaknąłem.

– Wesley – powtórzył w zamyśleniu.

– Najwidoczniej zna sztukę walki.

Przyglądał się mojej twarzy.

– Jak właściwie to panu zrobił, panie Kenzie?

– Jeśli chodzi o szczękę, to dostałem stopą, z półobrotu. Nie jestem pewien. Poruszał się bardzo szybko. Potem zabrał się za mnie jak David Carradine w tych swoich filmach i zdrowo mi dołożył.

– Mój syn nie zna karate.

– Kiedy widział go pan ostatni raz? – spytała Angie.

– Dziesięć lat temu.

– Załóżmy, że przez ten czas się nauczył. Wracając do Naomi...

Przerwał mi ruchem dłoni.

– Chwileczkę. Proszę mi powiedzieć, jak się porusza.

– Jak się porusza?

Rozłożył ręce.

– Tak, jak się porusza. Jak chodzi, na przykład.

– Zwinnym krokiem – odparła Angie. – Można powiedzieć, że niemal płynie.

Christopher Dawe otworzył usta, a potem zakrył je dłonią, wyraźnie zdumiony.

– O co chodzi? – spytała Angie.

– Mój syn urodził się z jedną nogą krótszą o całe sześć centymetrów – oznajmił Christopher Dawe. – Ma charakterystyczny krok, ale na pewno pozbawiony płynności.

Angie sięgnęła do torebki, wyjęła zdjęcie, które zrobiła mi i Wesleyowi na dachu. Podała je doktorowi.

– To jest Wesley Dawe.

Doktor Dawe spojrzał na fotografię, a potem położył ją na stoliku do kawy, który stał między nami.

– Ten człowiek nie jest moim synem – oznajmił.

Staw, w którym utonęła Naomi Dawe, widziany od strony werandy między drzewami małego zagajnika, przypominał niebieską kałużę. Był płytki i wydawał się wysuszony przez upał, jakby mógł zniknąć na naszych oczach, wessany z powrotem do ziemi i zastąpiony czarnym błotem. Sprawiał wrażenie zbyt nieistotnego śladu natury, by cieszyć się życiem.

Odwróciłem się od okna, spojrzałem na zdjęcie leżące na stoliku do kawy.

– Więc kim jest ten facet?

– Nie mam pojęcia.

Postukałem palcem wskazującym w fotografię.

– Jest pan pewien?

– Mówimy o moim synu – przypomniał Christopher Dawe.

– Upłynęło dziesięć lat.

– Ale chodzi o mojego syna – oznajmił z naciskiem. – Nie ma praktycznie żadnego podbieństwa. Może odrobinę w kształcie brody, ale to wszystko.

Machnąłem zrezygnowany ręką, podszedłem do przeszklonej ściany, spojrzałem na falujące odbicie domu w basenie.

– Jak długo pana szantażuje?

– Od pięciu lat.

– Ale nie ma go już od dziesięciu.

– Przez pierwsze pięć lat korzystał z funduszu powierniczego – wyjaśnił doktor. – Kiedy pieniądze się skończyły, skontaktował się ze mną.

– Jak?

– Telefonicznie.

– Rozpoznał pan jego głos?

Wzruszył ramionami.

– Mówił szeptem. Ale wspominał o rzeczach – historie z dzieciństwa – które mógł znać tylko Wesley. Kazał mi przesyłać pocztą dziesięć tysięcy w gotówce co dwa tygodnie. Adresy, na które przekazywałem pieniądze, zmieniały się często – czasem były to skrytki pocztowe, innym razem hotele, czasem normalne adresy domowe. Różne miasta, różne dzielnice, różne stany.

– Zauważył pan jakąś regularność? – spytałem.

– Tylko w przypadku pieniędzy. Przez cztery lata dziesięć tysięcy co dwa tygodnie, poza tym skrytki pocztowe, gdzie miałem zostawiać przesyłki, zawsze znajdowały się gdzieś w Back Bay. To wszystko.

– Powiedział pan, że nic się nie zmieniało przez cztery lata – zauważyła Angie. – Co stało się w ciągu ostatniego roku?

– Powiedział, że chce połowę – odparł chrapliwie.

– Połowę pańskiego majątku?

Przytaknął.

– Ile by to było, doktorze?

– Nie widzę potrzeby ujawniania panu wartości mojego majątku, panie Kenzie.

– Niech pan posłucha, doktorze, dysponuję dokumentacją szpitalną, która dowodzi w sposób jasny, że dziewczynka, która utopiła się w pańskim stawie, nie była tym samym

dzieckiem, które urodziła pańska żona. Powie mi pan wszystko, co chcę wiedzieć.

Westchnął.

– Sześć milionów siedemset tysięcy, z grubsza. Majątek, który zapoczątkował dziewięćdziesiąt sześć lat temu mój ojciec, kiedy przyjechał na to wybrzeże i...

Machnąłem lekceważąco ręką. Guzik mnie obchodziła historia jego rodziny i towarzysząca jej legenda.

– Ta suma nie obejmuje nieruchomości?

Skinął głową.

– Sześć przecinek siedem miliona w obligacjach, dokumentach zbywalnych, bonach skarbowych i rezerwach gotówkowych.

– I Wesley, czy też człowiek podszywający się pod niego, pośrednik, kimkolwiek do diabła jest, zażądał połowy.

– Tak. Obiecał, że nigdy więcej nie będzie nas już niepokoił.

– Uwierzył mu pan?

– Nie. W jego przekonaniu jednak nie miałem innego wyboru, jak tylko się zgodzić. Na nieszczęście, jak się okazało, odmówiłem. Pomyślałem sobie, że jest jedno proste wyjście. – Westchnął. – Oboje tak pomyśleliśmy. Ja i moja żona. Postanowiliśmy zmusić Wesleya do odkrycia kart. Tak, panie Kenzie, panno Gennaro. Postanowiliśmy nic mu nie płacić, ani centa. Gdyby postanowił pójść na policję, mógłby to zrobić, a i tak by nic nie dostał. Tak czy inaczej, mieliśmy już dość tajenia prawdy. I dość płacenia.

– Jak zareagował Wesley? – spytała Angie.

– Roześmiał się – odparł Christopher Dawe. – Powiedział, cytuję: „Pieniądze to nie jedyne dobro, z jakiego mogę was obedrzeć". – Potrząsnął głową. – Myślałem, że chodzi mu o ten dom albo o domek letniskowy, o jakieś antyki czy dzieła sztuki, jakie posiadamy. Ale chodziło o coś więcej.

– Karen – powiedziała Angie.

Christopher Dawe przytaknął znużony.

– Karen – wyszeptał. – Niczego nie podejrzewaliśmy niemal do samego końca. Była zawsze... – urwał, podnosząc rękę, jakby szukał właściwego słowa.

– Słaba? – spytałem.

– Słaba – potwierdził. – A potem w jej życiu nastąpił gwałtowny kryzys. To, co się stało z Davidem, było wynikiem nieszczęśliwego wypadku i sądziliśmy, że nie mogła tego po prostu znieść. Jej załamanie budziło we mnie nienawiść. Pogardzałem nią za to. Im bardziej się pogrążała, tym większą pogardę odczuwałem.

– A kiedy przyszła do pana po pomoc?

– Była pod wpływem narkotyków. Zachowywała się jak dziwka. Ona... – Uniósł dłoń do czoła. – Skąd mogliśmy wiedzieć, że stoi za tym Wesley? Jakim cudem mogliśmy zakładać, że ktoś chce świadomie doprowadzić drugą osobę do obłędu? Własną siostrę? Skąd mogliśmy wiedzieć?

Zasłonił dłońmi twarz i znów spojrzał na mnie przez rozsunięte palce.

– Naomi – odezwała się Angie. – Dzieci zamienione w szpitalu. Tuż po porodzie.

Skinął głową.

– Dlaczego?

Opuścił dłonie.

– Miała wadę serca zwaną *truncus arteriosis.* Takiego schorzenia nikt by nie wykrył na sali porodowej, ale była moją córką, zbadałem ją dokładnie. Stwierdziłem szmery w sercu i przeprowadziłem dodatkowe badania. W tamtym czasie *truncus arteriosis* było uważane za schorzenie nieoperacyjne. Nawet teraz jest często śmiertelne.

– A więc zamienił pan swoje dziecko na lepszy model – domyśliła się Angie.

– Nie podjąłem tej decyzji bez zastanowienia – wyznał, patrząc na nas szeroko otwartymi oczami. – Byłem rozdarty. Naprawdę. Ale kiedy już przyszło mi to do głowy... Nie macie dzieci. Widzę to. Nie wiecie, co znaczy wychowywać dziecko, nawet zdrowe, nie mówiąc już o nieuleczalnie chorym. Matka, naturalna matka tego dziecka, które wziąłem, miała krwotok podczas porodu. Zmarła w karetce. Dziecko nie miało krewnych. Jakby Bóg mi mówił – wręcz wskazywał – co powinienem zrobić. Więc to zrobiłem.

– Jak? – spytałem.

Uśmiechnął się niepewnie.

– Byłby pan zdumiony, dowiedziawszy się, jakie to było proste. Jestem znanym kardiologiem, panie Kenzie, cieszę się międzynarodową sławą. Żadna pielęgniarka ani stażysta nie ma prawa kwestionować mojej obecności na oddziale noworodków, zwłaszcza gdy moja żona właśnie rodzi. – Wzruszył ramionami. – Zamieniłem karty.

– I zmienił pan dane w komputerze – dodałem.

Przytaknął.

– Ale zapomniałem o formularzu przyjęcia.

– No i... – Angie urwała, drżąc lekko, jakby pod skórą przebiegł jej dreszcz oburzenia, i zaciskając pięść na kolanie – ...kiedy już pańskie rodzone dziecko zostało zaadoptowane, jak pan myśli, co czuli rodzice, kiedy zmarło?

– Przeżyło – powiedział cicho. Spod jego dłoni spłynęły po twarzy łzy. –

Zaadoptowała je rodzina z Brookline. Dziewczynka ma na imię... – zająknął się – Alexandra. Skończyła trzynaście lat i, o ile wiem, jest pod opieką specjalisty z Beth Israel. Ten lekarz dokonuje cudów, bo Alexandra pływa, gra w siatkówkę, biega, jeździ na rowerze. – Łzy płynęły teraz strumieniem, ale nadal bezgłośnie, jak deszcz z letniej chmury. – Nie załamał się pod nią lód na stawie i nie utonęła. Rozumiecie? Nie utonęła. Żyje.

Uniósł brodę i uśmiechnął się pogodnie. Usta miał mokre od łez.

– To ironia, panie Kenzie, panno Gennaro. To monstrualna ironia, nie sądzicie?

Angie potrząsnęła głową.

– Z całym szacunkiem, doktorze Dawe, ale dostrzegam w tym raczej sprawiedliwość.

Przytaknął z goryczą, potem otarł łzy z twarzy. Wstał.

Spojrzeliśmy na niego. W końcu i my podnieśliśmy się z miejsc.

Zaprowadził nas z powrotem do przedpokoju i tak jak za pierwszym razem, kiedy tu byłem, zatrzymaliśmy się przy tej kapliczce, którą oboje wznieśli dla swojej córki. Tym razem jednak Christopher Dawe zauważył jej istnienie. Odwrócił się ku ścianie, wsunął dłonie w kieszenie spodni i patrzył na zdjęcia, po kolei, poruszając przy tym nieznacznie głową.

Przyjrzałem się fotografiom, na których widniał Wesley i uświadomiłem sobie, że pomijając wzrost i jasne włosy, nie przypominał człowieka, którego brałem za niego. Młody Wesley na tych zdjęciach miał małe oczy, słabo zaznaczone usta, nieco zapadniętą twarz, jakby przytłoczoną ciężarem geniuszu i psychozy.

– Dwa dni przed śmiercią – odezwał się Christopher Dawe – Naomi weszła do kuchni i spytała mnie, co robią lekarze. Powiedziałem, że leczymy chorych ludzi. Spytała, dlaczego ludzie chorują. Czy Bóg karze ich za to, że są źli? Powiedziałem, że nie. „Więc dlaczego?", chciała koniecznie wiedzieć. – Spojrzał na nas przez ramię z nieznacznym grymasem. – Nie znalazłem odpowiedzi. Jakbym się zaciął. Uśmiechałem się jak idiota, nawet wtedy, gdy wybiegła z kuchni, bo matka ją zawołała. – Znowu zwrócił się w stronę zdjęć, na których widać było małą, ciemnowłosą dziewczynkę. – Zastanawiam się, czy właśnie o tym myślała, kiedy jej płuca wypełniały się wodą – że zrobiła coś złego i że Bóg ją karze.

Wciągnął głośno powietrze przez nozdrza, a jego ramiona znieruchomiały na chwilę.

– Ten człowiek rzadko teraz telefonuje. Zazwyczaj pisze. A kiedy już dzwoni, mówi szeptem. Może to nie jest mój syn.

– Może – przyznałem.

– Nie zapłacę mu ani centa. Uprzedziłem go o tym. I powiedziałem, że nie istnieje nic, czym mógłby mi grozić.

– Jak zareagował?

– Odłożył słuchawkę. – Doktor Dawe odwrócił się od zdjęć. – Podejrzewam, że wkrótce zacznie prześladować Carrie.

– I co pan wtedy zrobi?

Wzruszył ramionami.

– Nie stracę ducha. Przekonam się, ile mamy naprawdę siły. Widzicie, nawet jeśli mu zapłacę, i tak nas zniszczy. Chyba się tym upaja, tą mocą, jaką zdaje się posiadać. Myślę, że to zrobi, bez względu na to, czy przyniesie mu to korzyść finansową, czy nie. Ten człowiek – kimkolwiek jest, moim synem, przyjacielem mojego syna, jego porywaczem, kimkolwiek – uważa to za cel swego życia. – Obdarzył nas martwym, bezradnym uśmiechem. – I naprawdę kocha tę swoją misję.

27

Informacje o Wesleyu czy o człowieku, który nazywał siebie Wesleyem, były jak sam Wesley: pojawiały się w nagłych przebłyskach i w mgnieniu oka znikały. Przez trzy dni siedzieliśmy w moim biurze i w mieszkaniu, starając się ustalić na podstawie notatek, zdjęć i przeprowadzonych rozmów choćby w przybliżeniu tożsamość tego człowieka. Wykorzystując kontakty w wydziale komunikacji, komendzie policji bostońskiej, a nawet moją znajomość z agentami FBI i osobami zatrudnionymi w departamencie sprawiedliwości, z którymi kiedyś pracowałem, umieściliśmy zdjęcia Wesleya w komputerach sprzęgniętych ze wszystkimi placówkami wymiaru sprawiedliwości, nie wyłączając Interpolu. Efekt był zerowy.

„Kimkolwiek jest ten facet – powiedział mi Neal Ryerson z departamentu sprawiedliwości – siedzi cicho jak mysz pod miotłą".

Za pośrednictwem Ryersona zdobyliśmy także listę właścicieli wszystkich kabrioletów mustang shelby GT-500 rocznik 68, jakie się jeszcze zachowały w USA. Trzy były zarejestrowane w Massachusetts. Jeden na kobietę, dwa na mężczyzn. Udając dziennikarkę magazynu motoryzacyjnego, Angie odwiedziła wszystkich troje w ich domach. Żadna z tych osób nie była Wesleyem.

Cholera, nawet Wesley nie był Wesleyem.

Zastanawiałem się nad tym, co powiedział mi Stevie Zambuca – że za Wesleya poręczył ktoś z Kansas City, ale według naszej listy nikt w tym mieście nie był posiadaczem mustanga shelby z 68.

– Co jest w tym najdziwniejsze? – spytała Angie w piątek rano, przesuwając dłonią nad stosami papierów, które zalegały na moim stole w jadalni. – W tych wszystkich materiałach? Co najbardziej rzuca się w oczy?

– Nie wiem – wyznałem. – Wszystko?

Angie skrzywiła się i łyknęła kawy. Wzięła do ręki sporządzoną przez państwa Dawe listę z adresami, pod które przekazywali dwa razy w miesiącu gotówkę.

– To mnie wkurza – wyznała.

– Okej. – Mnie też to wkurzało.

– Zamiast szukać Wesleya, może powinniśmy pójść tropem tych pieniędzy? – spytała.

– Świetnie. Ale mogę się założyć, że nic to nie da. Znajdziemy jakieś wielkie kamienice, gdzie akurat nikogo nie było w domu, o czym Wesley dobrze wiedział. Listonosz miał zostawiać paczkę na ganku, a jak tylko odchodził, Wesley się pojawiał i ją zabierał.

– Możliwe – przyznała. – Ale jeśli jest tam adres kogoś, kto znał Wesleya czy wiedział, kim ten facet u licha jest?

– Więc warto się tym zająć. Masz rację.

Położyła przed sobą listę.

– Większość to adresy lokalne. Raz Brookline, dwukrotnie Newton, raz Norwell, Swampscott, Manchester-by-the-Sea...

Zadzwonił telefon. Odebrałem.

– Halo?

– Patrick – usłyszałem głos Vanessy Moore.

– Co się stało, Vanessa?

Angie, zaciekawiona, podniosła wzrok znad listy.

– Miałeś chyba rację – powiedziała Vanessa.

– To znaczy?

– Jeśli chodzi o tego faceta z restauracji.

– Co się dzieje?

– Myślę, że chce mnie skrzywdzić.

Miała złamany nos, lewe oko otaczał ziemistobrązowy siniak, nieco niżej przebiegało pasemko głębokiej czerni. Włosy były w nieładzie, końcówki rozszczepione i poskręcane, a zdrowe oko podkrążone i tak ciemne jak siniak. Jej zazwyczaj kremowa skóra miała szary odcień i sprawiała wrażenie zmatowiałej. Vanessa paliła jednego papierosa za drugim, choć kiedyś mi wyznała, że skończyła z tym pięć lat temu i że w ogóle jej do papierosów nie ciągnie.

– Jaki dziś dzień? – spytała. – Piątek?

– Tak.

– Tydzień – oznajmiła. – Moje życie rozpadło się w jeden tydzień.

– Co się stało z twoją twarzą, Vanessa?

Zwróciła ją w moją stronę, kiedy szliśmy obok siebie.

– Ładna, co? – Potrząsnęła głową i splątane włosy opadły jej na czoło. – Ani razu go nie widziałam. Tego faceta, który to zrobił. Ani razu. – Pociągnęła za smycz, którą trzymała w dłoni. – Chodź, Clarence. Nie zostawaj w tyle.

Byliśmy w Cambridge, spacerując wzdłuż brzegów rzeki Charles. Dwa razy w tygodniu Vanessa wykładała prawo w Radcliffe. Chodziłem z nią, kiedy zaproponowano jej tę pracę i początkowo byłem zaskoczony, że się zgodziła. Pensja, jaką dostawała na uczelni, nie mogła nawet pokryć jej rocznego rachunku za pralnię, poza tym miała już dostatecznie dużo obowiązków. Ona jednak skorzystała skwapliwie z tej oferty. Ta pedagogiczna zabawa na pół etatu jakby podkreślała w niej coś, czego sama nie umiała sprecyzować. Poza tym musiała zabierać ze sobą na zajęcia Clarence'a, co traktowano jako ekscentryczność genialnego umysłu.

Wyszedłszy z uniwersytetu, ruszyliśmy w dół Brattle, w stronę rzeki, żeby pies pobiegał sobie po trawie. Vanessa nie odzywała się przez dłuższy czas. Była zajęta paleniem.

Kiedy skierowaliśmy się na zachód ścieżką dla biegaczy, zaczęła w końcu mówić. Szliśmy powoli, ponieważ Clarence wciąż się zatrzymywał, żeby powąchać każde drzewo, wziąć do pyska każdą ułamaną gałąź, polizać każdy leżący na ziemi kubek po kawie czy puszkę. Wiewiórki, widząc, że jest na smyczy, zaczęły się z nim drażnić; podchodziły blisko, co było dla nich niezwykłe, i przysiągłbym, że jedna się uśmiechnęła, kiedy pies rzucił się w jej stronę i poczuł na szyi gwałtowne szarpnięcie obroży. Wylądował na trawie i zakrył sobie łapami oczy, jakby poniżony tą sytuacją.

Teraz jednak zostawiliśmy wiewiórki z tyłu, a pies po prostu się guzdrał, przeżuwając trawę jak cielak. Vanessa miała tego serdecznie dosyć.

– Clarence – warknęła. – Do nogi!

Clarence spojrzał na nią wzrokiem, w którym malowało się głębokie zrozumienie, po czym ruszył w przeciwną stronę.

Vanessa ścisnęła smycz w dłoni, gotowa szarpnąć tak mocno, że chyba urwałaby durnemu biedakowi łeb.

– Clarence – powiedziałem stanowczym, normalnym tonem, jakim Bubba zwracał się setki razy do swoich psów, a potem zagwizdałem. – Do nogi, stary. Przestań się opieprzać.

Clarence przybiegł do nas truchtem, by po chwili wysforować się przed Vanesse, dotrzymując nam kroku. Jego mały tyłek kołysał się jak u paryskiej dziwki w dniu święta narodowego Francji.

– Jakim cudem zaczął cię słuchać? – spytała Vanessa.

– Słyszy napięcie w twoim głosie. To go denerwuje.

– A co, dziwisz się, że jestem spięta? On jest tylko psem, niby dlaczego ma być spięty? Dlatego, że się nie zdrzemnął?

Położyłem dłoń na jej karku, masując delikatnie palcami mięśnie i ścięgna. Miała szyję

sztywną i twardą jak pień drzewa.

Vanessa odetchnęła przeciągle.

– Dzięki.

Pomasowałem ją jeszcze trochę i poczułem, jak się rozluźnia.

– Jeszcze?

– Tak długo, jak możesz.

– Załatwione.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Byłbyś dobrym przyjacielem, Patrick. Prawda?

– Jestem twoim przyjacielem – zapewniłem ją, nie do końca przekonany, czy rzeczywiście tak jest, ale czasem wystarczy coś powiedzieć, by zasiać ziarenko, dzięki któremu to coś staje się prawdą.

– To dobrze – odparła. – Potrzebuję przyjaciela.

– Więc jak było? Ten facet cię uderzył?

Znów poczułem twardość kamieni w jej karku.

– Wchodziłam właśnie do kawiarni. Najwyraźniej czekał w środku. Drzwi miały przyciemnioną szybę. On mnie widział, ja jego nie. Kiedy sięgnęłam do klamki, pchnął mi drzwi prosto w twarz. Potem przeskoczył przeze mnie, kiedy leżałam na chodniku, i odszedł.

– Świadkowie?

– Tak, w kawiarni. Dwóch ludzi zapamiętało, że widzieli wysokiego, szczupłego faceta w czapce bejsbolowej i okularach słonecznych. Ray-Bans. Nie potrafili określić jego wieku, ale obaj zauważyli, jakie nosił okulary. Stał przy drzwiach i oglądał jakąś reklamówkę.

– Zapamiętali coś jeszcze?

– Tak. Miał na dłoniach rękawiczki samochodowe. Czarne. Środek lata, facet nosi rękawiczki i nikomu się to nie wydaje podejrzane. Jezu.

Przystanęła, żeby zapalić trzeciego papierosa w ciągu tej przechadzki. Clarence potraktował to jako sygnał, że wolno mu zejść ze ścieżki i powąchać kupę pozostawioną przez innego czworonoga. Powodem, dla którego nigdy nie miałem psa, jest zapewne ten barwny aspekt ich osobowości. Gdyby dać Clarence'owi jeszcze pół minuty, spróbowałby to zeżreć.

Strzeliłem palcami. Spojrzał na mnie tym swoim nieco zagubionym, pełnym winy wzrokiem, który według mnie jest najbardziej charakterystyczną cechą jego gatunku.

– Zostaw to – powiedziałem tonem, jaki podsłuchałem u Bubby.

Clarence obrócił ze smutkiem łeb i odszedł od kupy. Ruszyliśmy wszyscy dalej.

Był to jeszcze jeden pozbawiony wyrazu sierpniowy dzień, wilgotny i parny, ale nieszczególnie gorący. Słońce kryło się gdzieś za szarymi chmurami, a temperatura oscylowała wokół dwudziestu stopni Celsjusza. Zdawało się, że rowerzyści, biegacze, deskorolkowcy i chodziarze przemykają obok nas przez dżunglę cienkiej, przezroczystej pajęczyny.

Co jakiś czas napotykaliśmy na swojej drodze małe tunele. Długie na niespełna dwadzieścia metrów i szerokie na jakieś pięć, biegły pod kładkami, które prowadziły z Soldiers Field Road na Storrow Drive. W środku trzeba było się schylać. Miałem wrażenie, że jestem w wesołym miasteczku. Czułem się wielki i było mi trochę głupio.

– Ukradziono mi samochód – powiedziała Vanessa.

– Kiedy?

– W niedzielę wieczorem. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to dopiero tydzień. Chcesz posłuchać, co się wydarzyło między poniedziałkiem a czwartkiem?

– Bardzo.

– W poniedziałek wieczorem – zaczęła – ktoś zdołał przekraść się przez system ochrony w budynku i przekręcił główny wyłącznik prądu w piwnicy. Przez jakieś dziesięć minut nie było elektryczności. Nic poważnego, chyba że masz w domu budzik elektroniczny, który nie dzwoni rano i spóźniasz się godzinę i piętnaście minut na pieprzoną rozprawę, która dotyczy morderstwa.

Z jej ust dobyło się ciche westchnienie; stłumiła je i otarła oczy wierzchem dłoni.

– We wtorek wieczorem wróciłam do domu i odsłuchałam kilka pornograficznych nagrań ze swojej sekretarki.

– Przypuszczam, że był to głos jakiegoś faceta.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Ten, kto dzwonił, przystawił słuchawkę do telewizora, gdzie leciały filmy pornograficzne. Jęki i teksty typu: „Weź to, dziwko” i „Spuść mi się na twarz”, takie tam brednie. – Rzuciła papierosa w mokry piasek obok ścieżki. – W normalnej sytuacji bym się nie przejęła, ale teraz zaczęło mnie ściskać ze strachu. Tych porno-wiadomości było łącznie dwadzieścia.

– Dwadzieścia – powtórzyłem.

– Tak. Dwadzieścia różnych nagrań z filmów pornograficznych. W środę ktoś ukradł mi portfel z torebki, kiedy jadłam lunch na dziedzińcu Sądu Federalnego. – Poklepała torebkę przewieszoną przez ramię. – Mam tu w tej chwili tylko gotówkę i kilka kart kredytowych, które zostawiłam na szczęście w domu, bo wypychały mi portfel.

Clarence, znajdujący się akurat po mojej lewej ręce, znieruchomiał nagle, podniósł łeb i przekrzywił na bok.

Vanessa zatrzymała się, zbyt znużona, by go pociągnąć. Ja też przystanąłem.

– Ktoś próbował wykorzystać te skradzione karty, zanim się zorientowałaś, że ich nie masz?

Przytaknęła.

– W sklepie myśliwsko-wędkarskim w Peabody. Jakiś mężczyzna – pieprzony sprzedawca pamiętał, że to był facet, ale nie zauważył, że posługuje się kartą należącą do kobiety – kupił kilka zwojów liny i nóż myśliwski.

W odległości jakichś stu pięćdziesięciu metrów z tunelu wypadło trzech młodych chłopców na rolkach; nisko pochyleni, wprawnie pracowali nogami. Ich ręce poruszały się rytmicznie. Odniosłem wrażenie, że opowiadają sobie jakieś bzdury, śmiejąc się i podpuszczając jeden drugiego.

– We czwartek – ciągnęła Vanessa – dostałam drzwiami. Musiałam wrócić do sądu z workiem lodu na nosie i poprosić o odroczenie sprawy do poniedziałku.

Worek lodu, pomyślałem i dotknąłem ostrożnie szczęki. Wesley powinien opatentować swój wynalazek.

– Dziś rano zaczęli dzwonić do mnie ludzie, którzy nie otrzymali listów, choć je wysłałam – dodała.

Clarence zawarczał cicho, łeb miał wciąż przekrzywiony na bok, ciało spięte jak jedna wielka sprężyna.

– Co powiedziałaś? – spytałem, odrywając wzrok od psa i wpatrując się intensywnie w Vanesse. Poczułem dreszcz, wywołany nagłym obrazem brakującego ogniwa, którego tak szukaliśmy z Angie.

– Mówiłam, że moja korespondencja nie zawsze docierała do adresatów. Nic wielkiego, ale nałożyło się na to wszystko.

Usunęliśmy się ze ścieżki, kiedy zbliżyli się do nas rolkarze; ich rolki szurały z głośnym sykiem o asfalt, a ja nie spuszczałem oka z Vanessy i jednocześnie z psa, który lubił bez ostrzeżenia rzucić się w pogoń za czymkolwiek, co poruszało się szybciej od niego.

– Twoja korespondencja nie docierała do adresatów – powtórzyłem.

Clarence szczeknął, ale nie na rolkarzy; jego nos był uniesiony i skierowany ku wylotowi tunelu.

– Tak.

– Skąd ją wysyłałaś?

– Wrzucałam do skrzynki pocztowej przed moim domem.

– Back Bay – oświadczyłem. Byłem zdumiony, że dopiero teraz to zauważyłem.

Dwóch chłopaków minęło nas w pędzie, a po sekundzie dostrzegłem uniesiony łokieć trzeciego. Złapałem Vanesse, przyciągnąłem gwałtownie do siebie i zobaczyłem w tym momencie wyszczerzone w uśmiechu zęby szczeniaka, który opuścił łokieć i chwycił za pasek torebki na ramieniu Vanessy.

Szybkość tego gnojka, siła szarpnięcia, fakt, że przyciągnąłem w pośpiechu Vanesse do siebie – wszystko to spowodowało, że skłębiliśmy się, wywijając w powietrzu kończynami na granicy równowagi. Kiedy chłopak zerwał Vanessie torebkę z ramienia, odruchowo próbowała ją złapać. Napastnik szarpnął i wykręcił jej ramię, a ja podstawiłem mu nogę – działo się to w niespełna sekundę, nim Vanessa, pociągnięta gwałtownie, wpadła na mnie i przewróciła mnie na plecy.

Rolki chłopaka uniosły się nad ziemią i przeleciały obok moich wyciągniętych rąk, Vanessa zaś puściła smycz, walnęła biodrem o asfalt, a brzuchem nadziała się na moje kolano. Usłyszałem, jak gwałtownie traci oddech, jak powietrze dobywające się z jej płuc tłumi krzyk bólu wywołanego kontuzją biodra; chłopak zerknął przez ramię, lądując na ziemi. Wybuchnął śmiechem.

Vanessa stoczyła się ze mnie na trawę.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

– Brak mi tchu – wydusiła z siebie.

– Zatkało cię od uderzenia – powiedziałem. – Zostań tutaj. Zaraz wracam.

Przytaknęła, spazmatycznie łapiąc ustami powietrze, a ja ruszyłem w pogoń za chłopakiem.

Zrównał się z pozostałymi; nim rzuciłem się za nimi, mieli nade mną przewagę dwudziestu metrów. Kiedy pokonałem dziesięć, zdążyli zwiększyć dystans o pięć. Biegłem ile sił w nogach, ale choć jestem bardzo szybki, odległość między nami zaczęła się powiększać, kiedy wjechali na prosty odcinek, bez zakrętów i tuneli.

Pochyliłem się w biegu, zgarnąłem z ziemi kamień i zrobiłem jeszcze cztery kroki, celując w plecy chłopaka, który trzymał torebkę Vanessy. Rzuciłem bokiem, wkładając w zamach całą siłę ciała i odrywając stopy od gruntu, niczym zawodnik bejsbola.

Kamień trafił rolkarza w górną część pleców, między łopatkami. Chłopak zgiął się wpół, jakby dostał w żołądek. Jego chude ciało przechyliło się gwałtownie w lewo, a jedna rolka zjechała z asfaltu. Zakręcił ramionami gwałtownego młynka, wywijając torebką Vanessy w lewej dłoni, a potem całkowicie stracił równowagę. Poleciał do przodu, głową na

asfalt, zbyt późno wysuwając przed siebie ręce; torebka pofrunęła gdzieś w bok i spadła na trawę po jego lewej stronie, a on przekoziołkował trzykrotnie na twardym podłożu.

Jego kumple zerknęli, zaskoczeni, przez ramię i przyspieszyli. Dotarli do zakrętu i zniknęli w chwili, gdy dopadłem pechowego złodzieja.

Pomimo ochraniaczy na łokciach i kolanach, wyglądał jak osobnik wyrzucony z samolotu. Ręce, nogi i broda były zdarte do żywego i wyglądały jak różowa masa zadrapań i kontuzji. Przekręcił się na plecy, a ja zobaczyłem z ulgą, że jest starszy, niż mi się początkowo wydawało – miał co najmniej dwadzieścia lat.

Podniosłem torebkę, a facet rzucił:

– Cały krwawię, kurwa.

Zauważyłem na trawie puderniczkę, komplet kluczy i pudełko altoidu, ale poza tym zawartość torebki wydawała się nietknięta. Banknoty w srebrzystej portmonetce i karty kredytowe spięte gumką spoczywały na dnie, obok papierosów, zapalniczki i kosmetyczki.

– Krwawisz? – zwróciłem się do niego. – To fatalnie.

Próbował się podnieść, potem zrezygnował i zwalił się z powrotem na ziemię.

Odezwała się moja komórka.

– To pewnie on – wydusił chłopak, sapiąc z wysiłku.

Wszędzie wokół wilgoć jak diabli, a mój kręgosłup zamienił się w suchy lód.

– Co?

– Facet, który dał nam sto dolców, żebyśmy was obrobili. Powiedział, że będzie dzwonił.

Chłopak zamknął oczy i syknął z bólu.

Wyjąłem komórkę z przedniej kieszeni dżinsów i spojrzałem ku zakrętowi, gdzie zostawiłem Vanesse. Pieprzyć chłopaka, pomyślałem. I tak nie będzie w stanie mi nic powiedzieć.

Ruszyłem biegiem, przykładając komórkę do ucha.

– Wesley.

Usłyszałem jakieś parskanie i wilgotne przeżuwanie, a w tle odbijał się echem głos Wesleya, jakby zza zamkniętych drzwi: „Dobry piesek. O, właśnie tak, stary. Dobre psisko. Tak. Mniam, mniam. Zajadaj, kolego".

– Wesley.

– Nie karmią cię w domu? – dobiegł z oddali głos Wesleya i żarłoczne przeżuwanie Clarence'a.

Dotarłem do zakrętu i zobaczyłem Vanesse, która podnosiła się z ziemi, obrócona

plecami do wylotu tunelu znajdującego się jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej. Dostrzegłem tam ciemną sylwetkę psa i wysokiego człowieka, który się nad nim pochylał, trzymając mu dłoń pod pyskiem.

– Wesley! – wrzasnąłem.

Człowiek w tunelu wyprostował plecy, Vanessa obróciła się na pięcie i spojrzała w jego stronę, kiedy w słuchawce odezwał się głos Wesleya.

– Uwielbiam gwizdki dla psów, Pat. Ludzkie ucho nie wychwyci tego pieprzonego dźwięku, ale kudłacze za nim przepadają.

– Wesley, posłuchaj...

– Nigdy nie wiadomo, z jakiego powodu babka pęknie jak cholerne jajko, Pat. Cała radocha w tym, żeby próbować.

Przerwano połączenie, a człowiek z tunelu zniknął w jego głębi.

Podszedłem do Vanessy i spojrzałem na jej przerażoną twarz.

– Zostań tu. Słyszysz?

Próbowała mnie dogonić.

– Patrick? – rzuciła, potem złapała się za biodro i skrzywiła z bólu.

– Zostań! – wrzasnąłem i zarejestrowałem nutę desperacji we własnym głosie, kiedy biegłem przed siebie, obrócony torsem w jej stronę.

– Nie. Co ty...

– Nie ruszaj się nawet na krok, do cholery!

Rzuciłem torebkę, której zawartość rozsypała się pod nogami Vanessy. Skoczyła w stronę, gdzie upadła jej portmonetka. Schyliła się po nią, a ja ruszyłem jeszcze szybszym biegiem w kierunku tunelu.

Zwolniłem jednak u wylotu; poczułem, jak coś mi narasta w piersi, podchodzi do gardła, więźnie w przełyku, paląc niczym ogień – zanim jeszcze ujrzałem psa.

Clarence wynurzył się chwiejnym krokiem z ciemności, a w jego smutnych zwykle oczach malowało się zagubienie i lęk.

– Tutaj, mały – powiedziałem miękko i osunąłem się na kolana. Po chwili ogień, który wypalał mi gardło, dotarł do moich oczu.

Pies zrobił jeszcze cztery kroki na niepewnych nogach i przysiadł na zadzie. Popatrzył na mnie spod opadających powiek. Wydawało się, że chce mnie o coś spytać.

– Hej – wyszeptałem. – Hej, stary. Okej, okej.

Z trudem się powstrzymałem, by nie odwrócić wzroku od tego pełnego zdumienia bólu na jego obliczu, od tego uporczywego pytania.

Pochylił z wolna łeb i zwymiotował strumieniem niczym niezmąconej czerni.

– O Jezu – usłyszałem swój chrapliwy szept.

Podpełzłem do niego i gdy dotknąłem jego głowy, poczułem w niej ogień, żar gorączki. Przekręcił się i teraz leżał na boku, dysząc. Położyłem się obok niego, a on spojrzał na mnie, gdy głaskałem delikatnie jego drżący brzuch i rozpalony łeb.

– Hej – wyszeptałem, kiedy błysnął białkami oczu. – Hej, nie jesteś sam, Clarence. Okej? Nie jesteś sam.

Otworzył szeroko pysk, jakby miał za chwilę ziewnąć i całym jego ciałem, od tylnych nóg do łba, wstrząsnął rozdzierający dreszcz.

– Niech to szlag – powiedziałem, kiedy umarł. – Niech to szlag.

28

Chcę go spalić żywcem – powiedziałem do Angie przez telefon komórkowy. – Przestrzelę temu kutasowi kolana.

– Uspokój się.

Siedziałem w poczekalni gabinetu weterynaryjnego. Vanessa uparła się, żeby zabrać tam Clarence'a. Wniosłem bezwładne ciało psa i położyłem na metalowym stole. Potem dostrzegłem w oczach Vanessy niemą prośbę, bym wyszedł, więc udałem się do poczekalni.

– Chcę odciąć mu głowę i nasikać do szyi.

– Gadasz teraz jak Bubba.

– Czuję się jak Bubba. Chcę, żeby ten facet był martwy, Angie. Chcę, żeby zniknął. Chcę, żeby to się natychmiast skończyło.

– Więc pomyśl – odparła z naciskiem. – Przestań zgrywać macho. Pomyśl. Gdzie teraz jest? Jak go znaleźć? Sprawdziłam adresy na liście. Nie ma go...

– Jest listonoszem – przerwałem jej.

– Co?

– Jest listonoszem – powtórzyłem. – Tu, w tym mieście. W Back Bay.

– Ty nie żartujesz – zauważyła.

– Nie. Wetterau mieszkał w Back Bay. Karen zawsze siedziała u niego w domu, tak mówiła jej współlokatorka, do siebie jechała tylko po rzeczy i pocztę.

– Więc sądzisz, że wysyłała listy... – domyśliła się Angie.

– Od Davida. Z Back Bay. Doktor Dawe zostawiał pieniądze w skrzynkach pocztowych w Back Bay. Nie ma znaczenia, pod jakie adresy były wysyłane, ponieważ facet je przejmował, nim gdziekolwiek dotarły. Vanessa też mieszka w Back Bay. Nagle jej listy przestają docierać do adresatów. Przypisywaliśmy temu sukinsynowi nadprzyrodzone zdolności. Nie biega po świecie, żeby w ostatniej chwili przechwycić czyjeś listy. On je kradnie w miejscu nadania.

– Cholerny listonosz – oświadczyła Angie.

Drzwi prowadzące do gabinetu otworzyły się i zobaczyłem Vanesse, która stała oparta o framugę i słuchała czegoś, co mówił weterynarz.

– Muszę lecieć – rzuciłem Angie. – Do zobaczenia.

Vanessa weszła do poczekalni. Jej posiniaczona twarz była pozbawiona wyrazu, a krok sztywny.

– Strychnina – wyjaśniła, gdy się do niej zbliżyłem. – W między żebra. Uważają, że tak właśnie zabił mojego psa.

Położyłem nieśmiało dłoń na jej ramieniu, ale strząsnęła ją.

– Strychnina – powtórzyła i ruszyła w stronę wyjścia. – Otruł mojego psa na śmierć.

– Jestem już blisko – powiedziałem, kiedy stanęliśmy na chodniku. – Dopadnę go.

Stanęła na kamiennych schodach i popatrzyła na mnie z widmowym uśmiechem – pustym i ulotnym.

– To doskonale, Patrick – odparła ironicznym tonem. – Nie mam już nic, co mógłby mi zabrać. Wspomnij mu o tym, jak sobie następnym razem utniecie pogawędkę, dobra? Nie mam już nic.

– Listonosz – oznajmił Bubba.

– Pomyśl – powiedziałem. – Uważaliśmy, że jest niemal wszechmocny, ale w rzeczywistości jego działania są ograniczone.

Dysponował tylko dokumentacją, do której miał dostęp przez Diane Bourne i Milesa Lovella i korespondencją ludzi, którzy mieszkali w Back Bay. Grzebał w listach Karen i Vanessy i pilnował, żeby przesyłki z pieniędzmi trafiały do skrzynek w Back Bay. A to oznacza, że jest albo zatrudniony na poczcie głównej w sortowni – w takim wypadku musiałby przekopywać się co noc przez kilkaset tysięcy przesyłek, żeby znaleźć tę właściwą – albo...

– Jest listonoszem w tym rejonie – dokończył Bubba.

Potrząsnąłem głową.

– Nie. Musiałby przeglądać korespondencję w miejscu publicznym. Odpada.

– Jest pracownikiem poczty, który opróżnia skrzynki – podsunęła Angie.

Skinąłem głową.

– Jeździ furgonetką, opróżnia niebieskie skrzynki, napełnia zielone. Tak, to nasz chłopak.

– Nienawidzę listonoszy – wyznał Bubba.

– Dlatego oni nienawidzą twoich psów – zauważyła Angie.

– Może najwyższy czas nauczyć psy nienawiści do listonoszy – powiedziałem.

Bubba ciągle nie mógł uwierzyć.

– Otruł psa?

Przytaknąłem.

– Widziałem, jak umierają ludzie, a jednak to mnie ruszyło – wyznałem.

– Ludzie nie kochają tak jak psy. Cholera. A psy? – spytał. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby mówił tak miękkim głosem. – Wiedzą tylko, że mają cię kochać, jak je dobrze traktujesz.

Angie poklepała go po dłoni, a on uśmiechnął się do niej tym swoim ciepłym, rozbrajającym uśmiechem. Potem popatrzył na mnie, a jego uśmiech zamienił się w złośliwy grymas; Bubba zachichotał.

– Rany. Na ile sposobów, bezlitosny człowieku, wydymamy Wesleya?

Podniósł dłoń. Przybiłem mu piątkę.

– Na kilka tysięcy – odparłem. – Na początek.

Można długo patrzeć na jedną z najpiękniejszych ulic w kraju, ale jeśli patrzy się za długo, zaczyna wyglądać paskudnie. Angie i ja siedzieliśmy od dwóch godzin na Beacon Street, między Exeter i Fairfield – skrzynki pocztowe znajdowały się na prawo od nas, w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów – i w tym czasie nie miałem nic innego do roboty, jak tylko podziwiać grafitowoszare frontony kamienic i czarne, kute w żelazie balustradki pod białymi oknami mansardowymi. Nacieszyłem się ostrym letnim zapachem bujnej roślinności i dorodnymi kroplami deszczu, które ściekały spomiędzy konarów drzew i stukały o chodnik niczym monety. Mogłem wyliczyć, ile domów ma ogródki na dachach, a ile tylko kwietniki na parapetach, orientowałem się także, w których mieszkają biznesmeni i biznesmenki, tenisiści, biegacze, właściciele psów i artyści, którzy wypadali na ulicę w poplamionych farbą koszulach, by powrócić dziesięć minut później z torbą wypełnioną pędzlami z sobolego włosia.

Niestety, po około dwudziestu minutach przestało mnie to bawić.

Minął nas listonosz w uniformie przeciwdeszczowym; pękata torba obijała mu się o udo. Angie powiedziała:

– Do diabła z czekaniem. Wysiądźmy i spytajmy go.

– Jasne – rzuciłem. – Na pewno nie wspomni Wesleyowi, że pytali o niego jacyś ludzie.

Listonosz wspiął się na śliskie schody, stawiając ostrożnie kroki, stanął na podeście i przekręcił zamaszystym ruchem torbę, po czym zaczął w niej grzebać.

– Nie ma na imię Wesley – przypomniała Angie.

– To jedyne imię, jakie w tej chwili mamy – oznajmiłem. – Wiesz, jak nienawidzę

wszelkich zmian.

Angie zabębniła palcami o deskę rozdzielczą, rzuciła: „Cholera, a ja nienawidzę czekania” i wystawiła głowę przez okno, podstawiając twarz pod krople deszczu.

Widok jej lekko przekrzywionych nóg i talii w połączeniu z łukiem pleców, kiedy tak się wychylała, przypomniał mi jej obraz z czasów, gdy byliśmy jeszcze kochankami i samochód wydawał się cztery razy mniejszy. Odwróciłem głowę i znów spojrzałem przez przednią szybę na mokrą ulicę.

Angie wsunęła z powrotem głowę do samochodu i rozsiadła się wygodnie.

– Kiedy to ostatni raz mieliśmy słoneczny dzień? – spytała.

– W lipcu – odparłem.

– Myślisz, że to przez huragan El Nino?

– Globalne ocieplenie.

– Oznaki przesunięcia czap lodowych na biegunie – podsunęła.

– Początki potopu biblijnego. Szykuj arkę.

– Gdybyś był Noem i Bóg cię ostrzegł, co byś ze sobą zabrał?

– Na wspomnianą arkę?

– Si.

– Magnetowid i wszystkie moje filmy z braćmi Marx. Nie wytrzymałbym też długo bez kompaktów Stonesów i Nirvany.

– To arka – przypomniała z naciskiem. – Skąd zamierzasz czerpać zasilanie na końcu świata?

– A przenośne generatory?

Pokręciła głową.

– Cholera – powiedziałem. – Nie wiem, czy chciałbym wtedy żyć.

– Ale ludzie – ciągnęła znużonym tonem. – Kogo byś zabrał?

– Ach, ludzie – zrozumiałem. – Trzeba było wyrażać się jaśniej. Oprócz kaset z braćmi Marx i kompaktami? Takich, którzy wiedzą, jak się bawić.

– Rozumie się samo przez się.

– Zastanówmy się – powiedziałem. – Chris Rock, żeby mnie rozśmieszał. Shirley Manson, żeby śpiewał...

– Nie Jagger?

Potrząsnąłem zdecydowanie głową.

– Nie ma mowy. Zbyt przystojny. Nie miałbym przy nim szans u dziewcząt.

– Ach, byłyby też dziewczęta?

– Bezwarunkowo – odparłem.

– A ty byłbyś jedynym facetem?

– Mam się dzielić? – zmarszczyłem brwi.

– Mężczyźni – oznajmiła wymownie, potrząsając głową.

– Co? To moja arka. Ja zbudowałem ten cholerny statek.

– Znam twoje umiejętności stolarskie. Ta łajba nie wypłynęłaby nawet z portu. – Parsknęła śmiechem, obróciła się w fotelu. – A co ze mną? Co z Bubbą, Devinem, Oscarem, Richiem i Sherilynn? Chcesz nas zostawić na pastwę potopu, podczas gdy sam będziesz się zabawiał w Robinsona Crusoe z laluniami?

Odwróciłem się i uchwyciłem złośliwy błysk radości w jej oku. Oto siedzieliśmy na śmiertelnie nudnej czujce, prowadząc jedną z naszych bardziej niedorzecznych rozmów i nagle robota znów zaczęła sprawiać nam frajdę.

– Nie wiedziałem, że chcesz się wybrać w ten rejs – powiedziałem.

– Mam się utopić?

– A więc – zacząłem i przesunąłem się w fotelu, unosząc jedną nogę, żeby nasze kolana się stykały. – Powiadasz, że gdybym był ostatnim facetem na tej planecie...

Wybuchnęła śmiechem.

– Wciąż nie miałbyś u mnie szans.

Nie odsunęła się jednak, kiedy wypowiadała te słowa. Pochyliła głowę jeszcze odrobinę.

Poczułem to nagle w piersiach, zimny wir powietrza, który z każdym obrotem rozluźniał wszystko, co wydawało się zaciśnięte i bolesne od chwili, gdy Angie wyszła z mojego mieszkania, trzymając w ręku ostatnią walizkę.

Wesołość zniknęła z jej oczu, pojawiło się coś cieplejszego, ale nieokreślonego, wciąż pełnego wątpliwości.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Za co?

– Za to, co się stało zeszłego roku w lecie. Za tamtego dzieciaka.

Nie odwróciła wzroku.

– Już sama nie wiem, czy miałam wtedy rację.

– Dlaczego?

– Może nikt nie ma prawa odgrywać Boga. Spójrz na rodziców Naomi.

Uśmiechnąłem się.

– Co jest takie zabawne?

– Widzisz... – Ująłem palce jej prawej dłoni, a ona zamrugała zdziwiona, ale nie cofnęła ręki. – Widzisz, przez ostatnich dziewięć miesięcy patrzyłem na to wszystko jakby twoimi oczyma. Może to była wyjątkowa sytuacja. Może powinniśmy tę małą tam zostawić. Miała pięć lat i była szczęśliwa.

Angie wzruszyła ramionami, ścisnęła moją dłoń.

– Nigdy się nie dowiemy, prawda?

– Chodzi ci o Amandę McCready?

– Chodzi mi o wszystko. Czasem się zastanawiam... jak będziemy już starzy i siwi na skroniach, to czy pogodzimy się z tym, co robiliśmy, z tymi wszystkimi wyborami, czy też spojrzymy wstecz i poczujemy niedosyt?

Siedziałem nieruchomo, nie odrywając od niej wzroku, czekając, aż dostrzeże odpowiedzi, których szukała w mojej twarzy.

Przechyliła nieznacznie głowę, a jej wargi rozchyliły się odrobinę.

Nagle za strugami deszczu po mojej lewej stronie przesunął się biały furgon pocztowy, zjechał na bok przed naszym nosem, włączył światła awaryjne i zaparkował na drugiego przy skrzynkach pocztowych pięćdziesiąt metrów dalej.

Angie odsunęła się ode mnie, a ja wychyliłem się do przodu.

Z prawej strony wozu wyskoczył mężczyzna w czystej kurtce przeciwdeszczowej z kapturem, zarzuconej na niebiesko-biały uniform pracownika poczty. Trzymał w ręku białe plastikowe pudło, przykryte niedbale foliową torbą na śmieci, która miała chronić jego zawartość przed deszczem. Mężczyzna podszedł do skrzynek, postawił pojemnik na chodniku i otworzył kluczem zieloną skrytkę.

Twarz maskował mu kaptur i smugi deszczu, ale gdy przekładał korespondencję z plastikowego pojemnika do skrzynki, byłem w stanie dostrzec jego wargi – grube, czerwone, okrutne.

– To on – powiedziałem.

– Jesteś pewien?

Skinąłem głową.

– W stu procentach. To Wesley.

– Albo artysta zwany niegdyś Wesleyem, jak lubię go nazywać.

– Dlatego potrzebujesz opieki psychiatrycznej.

Kiedy obserwowaliśmy, jak napełnia przesyłkami zieloną skrzynkę, ze schodów kamienicy zbiegł listonosz i zawołał coś do niego. Zbliżył się do skrzynek i zaczęli rozmawiać, potem unieśli głowy, spoglądając w niebo i wybuchając śmiechem.

Gadali jeszcze przez minutę, wreszcie Wesley pomachał listonoszowi, wsiadł czym prędzej do furgonetki i odjechał.

Otworzyłem drzwi po swojej stronie – Angie, zaskoczona, zdążyła tylko zawołać „Hej!" – i już biegłem po chodniku z uniesioną dłonią, krzycząc: „Zaczekaj! Zaczekaj!", podczas gdy wóz Wesleya dotarł do zielonych świateł przy Fairfield i jechał dalej, kierując się na zewnętrzny pas ruchu, by skręcić w Gloucester.

Listonosz popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek, kiedy dobiegłem do niego.

– Uciekł panu autobus, kolego?

Zgiąłem się wpół, jakby zabrakło mi tchu.

– Nie, ten furgon.

Wyciągnął do mnie rękę.

– Wezmę to.

– Słucham?

– Pańską przesyłkę. Chciał pan coś wysłać, tak?

– Hę? Nie. – Potrząsnąłem głową, a potem wskazałem w kierunku Beacon, kiedy Wesley skręcał w Gloucester. – Zobaczyłem, jak rozmawiacie. To chyba mój kumpel. Nie widziałem go od dziesięciu lat.

– Scott?

Scott.

– Tak – odparłem. – Scottie Simon!

Klasnąłem w dłonie, jakby niezmiernie uradowany.

Listonosz potrząsnął głową.

– Przykro mi, kolego.

– Co?

– To nie był pański kumpel.

– Jak to? – zdziwiłem się. – To był Scott Simon, bez dwóch zdań. Poznałbym go wszędzie.

Listonosz chrząknął znacząco.

– Bez obrazy, proszę pana, ale być może przydałyby się okulary. Ten facet nazywa się Scott Pearse, poza tym nikt na niego nie mówi Scottie.

– Cholera – rzuciłem, siląc się na ton przygnębienia, choć wewnątrz czułem się jak naelektryzowany.

Scott Pearse.

Mam cię, Scott. Do diabła, mam cię.

Chciałeś grać? No cóż, zabawa w chowanego dobiegła końca. Niech się zacznie ta prawdziwa gra, pojebańcu.

29

Przez cały tydzień siedziałem Scottowi Pearse'owi na karku – podążałem za nim do pracy każdego ranka, podążałem za nim do domu każdego wieczoru. Angie pilnowała go, kiedy spałem, więc zostawiałem faceta, kiedy wsiadał do swojego wozu w garażu przy A Street, żeby przyczepić się do niego znowu, gdy opuszczał główny budynek poczty przy Fort Point Channel po zdaniu przesyłek, które zebrał tego dnia. Jego rutynowa praca, przynajmniej w tym tygodniu, była irytująco nieszkodliwa.

Rano wyjeżdżał z A Street furgonem załadowanym po brzegi dużymi paczkami. Dostarczał je do zielonych skrzynek na terenie Back Bay, skąd były odbierane przez pieszych listonoszy i dostarczane pod właściwe adresy. Po lunchu, jak utrzymywała Angie, znowu ruszał w trasę, tym razem pustym furgonem, który napełniał systematycznie zawartością niebieskich skrzynek. Potem zawoził przesyłki do sortowni i kończył robotę.

Każdego wieczoru wypijał z kumplem po fachu jedną szkocką w Celtic Arms przy Otis Street. Wychodził nieodmiennie po jednym drinku, bez względu na to, ilu ludzi próbowało zatrzymać go przy stoliku i zawsze zostawiał na blacie dziesięć dolców – rachunek plus napiwek.

Potem szedł wzdłuż Summer Street, następnie wzdłuż Atlantic, na północ. Dochodził do Congress i skręcał w prawo. Pięć minut później był już na swoim poddaszu przy Sleeper Street. Siedział do jedenastej trzydzieści, kiedy to gasił światło.

Z trudem się przestawiłem, żeby myśleć o nim jako o Scottcie, a nie Wesleyu. Imię Wesley jakoś do niego pasowało – było arystokratyczne, wyniosłe, zimne. Scott wydawał się nieco bezbarwny, za bardzo kojarzył się z klasą średnią. Wesley to było imię faceta, którego pamiętało się ze studiów – takiego, co to jest kapitanem drużyny golfowej i nie lubi obecności czarnoskórych na przyjęciach. Scott to był facet, który nosił podkoszulki z obciętymi rękawami, organizował dziewczyny i rzygał na tylnym siedzeniu twojego samochodu.

Ale po pewnym czasie, kiedy obserwowałem go, jak zachowywał się w sposób znacznie bardziej pasujący do Scotta niż do Wesleya – oglądał w samotności telewizję, czytał w miękkim skórzanym fotelu pod regulowaną lampą na środku swojego poddasza, wyjmował z lodówki mrożone potrawy i podgrzewał w mikrofalówce, a potem zjadał przy barku, który

otaczał łukiem jego kuchnię – w końcu przychyliłem się do koncepcji Scotta. Scott Ponury. Scott Dupek. Scott Przewidywalny.

Śledząc go pierwszej nocy, znalazłem schody pożarowe prowadzące na dach budynku po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko jego domu. Strych Scotta znajdował się na trzecim piętrze, dwie kondygnacje poniżej mojego punktu obserwacyjnego, a on nie zaprzątał sobie głowy zasłanianiem wysokich do sufitu okien mansardowych, z wyjątkiem tych w sypialni i łazience. Miałem więc niczym niezakłócony widok na jego przestronny salon, kuchnię i aneks jadalny. A także na oprawione czarno-białe fotografie na ścianach. Były to chłodne zdjęcia nagich drzew i skutych lodem rzek, wijących się pod młynami wodnymi, ogromnego wysypiska śmieci z wieżą Eiffla w tle, Wenecji w grudniu, spłukanej deszczem Pragi ciemną nocą. Oglądając je po kolei przez lornetkę, nabrałem pewności, że zrobił je sam Scott Pears. Wszystkie odznaczały się znakomitą kompozycją, jakimś bezstronnym, cynicznym pięknem i były bez wyjątku zimne jak śmierć.

Ani razu, kiedy go obserwowałem, nie zrobił nic niezwykłego i już to samo w sobie wydało się dziwaczne. Może, siedząc w łazience, dzwonił do Diane Bourne czy innych wspólników, wybierał kolejną ofiarę albo planował następny atak na Vanesse Moore lub kogoś, kto nie był mi obojętny. Może przetrzymywał u siebie jakiegoś nieszczęśnika, przykutego łańcuchem do nogi łóżka. Może, kiedy sądziłem, że poszedł już spać, on siedział pogrążony w lekturze prywatnej dokumentacji psychiatrycznej czy skradzionej korespondencji. Może. Ale nie wtedy, kiedy go obserwowałem.

Angie mówiła to samo w odniesieniu do jego postępowania w ciągu dnia. Pearse nigdy nie przesiadywał w swojej furgonetce na tyle długo, by mieć czas na przejrzenie jakiejkolwiek korespondencji, którą zebrał w drugiej połowie swojej zmiany. „Postępuje jak robot, ściśle według instrukcji", oświadczyła Angie.

Na szczęście nie odnosiło się to do nas, a zatem Angie zdobyła numer telefonu Pearse'a, włamując się do skrzynki na listy przy Sleeper Street i sprawdzając jego rachunek telefoniczny – ironia tej sytuacji budziła naszą niekłamaną radość.

Poza tym nic. Fasada, za którą się krył, zaczynała sprawiać wrażenie nieprzeniknionej.

Nie było mowy o dostępie do jego poddasza. Założenie podsłuchu nie wchodziło w grę. Każdego wieczoru, wracając do domu, Scott wyłączał alarm zainstalowany w drzwiach wejściowych. W górnych narożnikach mieszkania znajdowały się kamery, które, jak podejrzewałem, były uruchamiane przez czujniki ruchu. Nawet gdybyśmy zdołali ominąć te zabezpieczenia, Scott Pearse – o czym byłem przekonany – skrywał jakieś niespodzianki, których nie byłem w stanie dostrzec, skomplikowane plany awaryjne na wszelki wypadek.

Kiedy tak siedziałem co noc na dachu i walczyłem z sennością, obserwując, jak uparcie nic nie robi, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem o nas nie wie. Czy nie jest świadomy, że odkryliśmy jego tożsamość. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale w końcu wystarczyło, żeby znajomy listonosz, na którego wpadłem, wspomniał mu mimochodem o mnie. „Hej, Scott, jeden facet myślał, że jesteś jego kumplem z dawnych lat, ale wyprowadziłem go z błędu".

Pewnej nocy Scott Pearse podszedł ze szklanką w dłoni do okna. Łyknął whisky. Spojrzał w dół, na ulicę. Potem uniósł głowę i skierował wzrok prosto w moją stronę. Ale to nie na mnie patrzył. W pokoju skąpanym w świetle lamp na szynach pod sufitem, mając przed sobą ciemną noc niczym kamienny mur, który zasłania widok, mógł dostrzec jedynie własne odbicie. Musiał być nim jednak zafascynowany, ponieważ spoglądał w moim kierunku bardzo długo. Potem uniósł szklankę, jakby w geście toastu. I uśmiechnął się.

Przeprowadziliśmy Vanesse nocą, zwożąc ją windą towarową, wyprowadzając przejściem służbowym przez tylne drzwi i alejką za budynkiem, gdzie czekała już furgonetka Bubby. Vanessa, w przeciwieństwie do większości kobiet, które kiedykolwiek weszły do jego samochodu albo znalazły się w jego towarzystwie, nie zamrugała zdumiona, nie zaczęła oddychać spazmatycznie, ani też nie zwiała, gdzie pieprz rośnie. Usiadła na ławeczce między siedzeniem kierowcy a tylnymi drzwiami i zapaliła papierosa.

– Ruprecht Rogowski – oznajmiła. – Zgadza się?

Bubba stłumił ziewnięcie dłonią zwiniętą w pięść.

– Nikt nie mówi mi Ruprecht.

Podniosła rękę w przepraszającym geście, kiedy Angie wyprowadziła furgonetkę z alejki.

– Mój błąd. Bubba, tak?

Bubba przytaknął.

– Jaki masz w tym udział, Bubba?

– Facet zabił psa. Lubię psy. – Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – Pozwól, że cię spytam: – masz coś przeciwko temu, żeby spędzić trochę czasu z niedorozwiniętym umysłowo facetem, który odznacza się, jak to mówią, „tendencjami antyspołecznymi"?

Uśmiechnęła się i spytała:

– Wiesz, z czego się utrzymuję?

– Pewnie – odparł Bubba. – Wyciągnęłaś z więzienia mojego kumpla. Nelsona Ferrarę.

– Co u niego?

– Po staremu.

Prawdę mówiąc, dokładnie w tej chwili Nelson zajmował moje miejsce na dachu naprzeciwko mieszkania Scotta Pearse'a. Wrócił właśnie z Atlantic City, gdzie zakochał się w barmance, która darzyła go uczuciem, dopóki się nie spłukał. Teraz znów był w mieście, gotów zrobić cokolwiek za niewielką gotówkę, by móc wrócić do swojej barmanki i znów się spłukać.

– Wciąż się zakochuje w każdej kobiecie, którą spotka? – spytała Vanessa.

– Na ogół. – Bubba potarł brodę. – Niech będzie jasność, siostro. Układ jest taki; przywieram do ciebie jak rzep do psiego ogona.

– Jak rzep – powtórzyła Vanessa. – Czarujące.

– Będziesz spała u mnie – oznajmił Bubba. – Jadła ze mną, piła ze mną, będę też siedział z tobą w sądzie. Dopóki pocztowiec nie trafi za kratki, nie spuszczam cię z oka. Przywyknij do tego.

– Nie mogę się doczekać – wyznała Vanessa, potem poruszyła się na ławce. – Patrick?

Odwróciłem się w swoim fotelu i spojrzałem na nią.

– Tak?

– Postanowiłeś nie bawić się w mojego ochroniarza?

– Byliśmy kiedyś związani. To oznacza, że jestem emocjonalnie zaangażowany. Stanowię najgorszego z możliwych kandydatów do tej roboty.

Spojrzała na kark Angie, która skręcała właśnie w Storrow Drive.

– Zaangażowany – powtórzyła. – Jasne.

– Scott Pearse – oznajmił Devin następnego wieczoru, kiedy siedzieliśmy w Nash's Pub przy Dorchester Avenue – urodził się na Filipinach w rodzinie wojskowego, który stacjonował w Subic Bay. Spędził dzieciństwo w różnych miejscach na całym świecie. – Otworzył notatnik, przewertował kilka kartek, aż znalazł odpowiednią stronę. – Niemcy Zachodnie, Arabia Saudyjska, Korea Północna, Kuba, Alaska, Georgia, wreszcie Kansas.

– Kansas? – spytała Angie. – Nie Missouri?

– Kansas – potwierdził Devin.

Jego partner, Oscar Lee, powiedział:

– Słuchaj, siostro, słuchaj.

Angie popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek, pokręciła głową.

Oscar wzruszył ramionami, wziął z popielniczki swoje cygaro i ponownie zapalił.

– Ojciec był pułkownikiem – ciągnął Devin. – Pułkownik Ryan Pearse z wywiadu wojskowego, przydział objęty tajemnicą. – Spojrzał na Oscara. – Mamy jednak w wojsku

przyjaciół.

Oscar popatrzył na mnie i wskazał cygarem swojego partnera.

– Zauważyłeś, że ten biały chłopak mówi zawsze „my", kiedy wspomina o mnie i moich źródłach?

– To kwestia rasistowska – zapewnił nas Devin.

Oscar strzepnął trochę popiołu ze swojego cygara.

– Pułkownik Pearse działał w OP.

– To znaczy? – spytała Angie.

– Operacje Psychologiczne – wyjaśnił Oscar. – Facet dostaje forsę za to, że obmyśla nowe metody tortur, stosowania dezinformacji, ogólnie rzecz biorąc za to, że robi komuś mętlik we łbie.

– Scott był jego jedynym synem? – zainteresowałem się.

– Zgadłeś – odparł Devin. – Matka rozwiodła się z ojcem, kiedy chłopak miał osiem lat, i przeprowadziła się na jakieś parszywe osiedle komunalne w Lawrance. Ojciec dostał zakaz kontaktów z synem. Zaciągnęła go kilka razy do sądu i zaczęła się zabawa. Twierdziła, że facet stosował wobec niej terror psychologiczny, że mieszał jej w głowie, wmawiając wszystkim, że jest stuknięta. Ale nie miała dowodów. Zakaz kontaktów z synem ostatecznie uchylono i stary otrzymał prawo widywania się dwa razy w miesiącu z chłopakiem, który pewnego dnia, po powrocie ze szkoły, a miał wtedy jedenaście lat, znalazł mamusię z podciętymi żyłami na kanapie w salonie.

– Samobójstwo – domyśliła się Angie.

– Zgadza się – przytaknął Oscar. – Chłopak zamieszkał z ojcem na terenie bazy wojskowej, wstąpił do sił specjalnych w wieku osiemnastu lat, dostał HZ po...

– Co dostał?

– Honorowe zwolnienie z wojska – wyjaśnił Oscar. – Po tym, jak wziął udział w pięciominutowym konflikcie panamskim pod koniec 89. I to właśnie mnie zastanowiło.

– Dlaczego?

– No cóż, ci faceci z oddziałów specjalnych to żołnierze w pełni zawodowi. Nie służą parę lat, żeby potem pójść do cywila, jak dzieje się to w regularnych jednostkach. Trafiają do wywiadu w Langley albo do Pentagonu. Nie wspominając już o tym, że Pearse powinien cieszyć się po Panamie pozycją uprzywilejowaną: przeszedł najprawdziwszy chrzest bojowy na polu walki. Tacy zaliczają się do wybranych, rozumiecie?

– Ale? – wtrąciła Angie.

– Ale się nie zaliczał – odparł Oscar. – Więc zadzwoniłem do kolejnego z moich

kumpli – rzucił szybkie spojrzenie Devinowi – a on pogrzebał trochę i okazało się, że wasz chłopak, Pearse, podpadł.

– Za co?

– Oddział porucznika Pearse'a, pod jego bezpośrednim dowództwem, uderzył w niewłaściwy cel. Niewiele brakowało, żeby facet trafił pod sąd wojenny, bo to on wydał rozkaz. Ale znał kogoś wpływowego z wyższego dowództwa, bo razem ze swoim oddziałem wykręcił się od odpowiedzialności. Dostali wojskowy odpowiednik odprawy i odeszli z honorowym zwolnieniem, ale koniec z Pentagonem i Langley.

– Co to był za cel? – spytała Angie.

– Mieli uderzyć na budynek, gdzie przebywali rzekomo członkowie tajnej policji Noriegi. Zamiast tego zaatakowali punkt dwa domy dalej.

– I?

– Rozpieprzyli burdel o szóstej nad ranem. Załatwili wszystkich wewnątrz. Dwóch facetów, obaj Panamczycy, i pięć prostytutek. Potem, jak wieść niesie, wasz chłopak przeszedł się po pokoju i poprzebijał bagnetem wszystkie kobiety, zanim podpalili ten przybytek. To tylko plotka, zastrzegam, ale mój informator przypomina sobie, że o tym słyszał.

– I armia nigdy nie postawiła go w stan oskarżenia? – spytała Angie.

Oscar spojrzał na nią, jakby była pijana.

– To była Panama. Nie pamiętasz? Zabili dziewięć razy więcej cywilów niż wojskowych. Wszystko po to, żeby złapać byłego handlarza narkotyków, powiązanego niegdyś z CIA, podczas administracji prezydenta, który kiedyś kierował CIA. Cała ta inwazja śmierdziała z daleka i bez tych potknięć. Zasada walki jest prosta – są na miejscu fotografowie i przedstawiciele prasy? Nawarzyłeś piwa, to je wypij. Ale jeśli nie, a zdarzyło ci się rąbnąć jakiegoś faceta, kilku facetów czy całą wioskę? – Wzruszył ramionami. – Nic się nie dzieje. Puszczasz wszystko z dymem i spieprzasz ile sił w nogach.

– Pięć kobiet – powiedziała zamyślona Angie.

– Och, nie zabił ich wszystkich sam – zastrzegł Oscar. – Cały oddział tam wszedł i opróżnił po magazynku. Dziewięciu gości, którzy walą dziesięć pocisków na sekundę.

– Nie, nie zabił ich wszystkich – przyznała Angie. – Upewnił się tylko, że wszystkie nie żyją.

– Bagnetem – dodałem.

– No tak – powiedział Devin i zapalił papierosa. – Gdyby na świecie żyli tylko porządni ludzie, stracilibyśmy pracę. Tak czy inaczej, Scott Pearse zwalnia się z wojska,

wraca do Stanów, mieszka dwa lata ze starym, który jest już na emeryturze, potem tata umiera na atak serca, a w kilka miesięcy później Scott wygrywa na loterii.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że wygrywa na loterii stanowej Kansasu.

– Bzdura.

Potrząsnął głową, unosząc rękę.

– Przysięgam na własną matkę. Trafił szóstkę, a pula wynosiła milion dwieście tysięcy. Te same numery skreśliło jeszcze osiem osób. Zgarnął więc wygraną, która po potrąceniu podatku wyniosła osiemdziesiąt osiem kawałków i kupił od dealera starych wozów czarnego mustanga shelby GT-500 z 68., po czym latem 92. pojawił się w Bostonie i zdał egzamin na pocztowca. Od tej pory, o ile nam wiadomo, jest przykładnym obywatelem.

Oscar spojrzał na swój pusty kufel i szklankę od whisky i zwrócił się do Devina:

– Jeszcze po jednym?

Devin przytaknął z wigorem.

– Oni stawiają.

– No tak!

Oscar przywołał skinieniem ręki barmana i zatoczył palcem kółko nad stolikiem, co miało znaczyć jeszcze jedną kolejkę.

Barman przytaknął z zadowoleniem. Był oczywiście w siódmym niebie. Kiedy ja stawiałem, Oscar i Devin pili alkohol wyłącznie z górnej półki. I pochłaniali go jak wodę. I zamawiali coraz więcej. Coraz więcej.

Nim dostałem rachunek, zacząłem się zastanawiać, kto bardziej skorzysta na naszym spotkaniu. I czy rachunek nie przekroczy limitu na mojej karcie. I dlaczego nie mogę mieć normalnych przyjaciół, którzy piją herbatę.

– Chcecie wiedzieć, jak poczta Stanów Zjednoczonych radzi sobie z kilkoma przesyłkami, które nie docierają do adresata? – spytała nas Vanessa Moore.

– Zamieniamy się w słuch – oznajmiła Angie.

Siedzieliśmy na piętrze magazynu Bubby, który służy mu za pomieszczenie mieszkalne. Podłoga od frontu jest w jednej trzeciej zaminowana, ponieważ... no cóż, ponieważ Bubba jest cholernie stuknięty, zdołał jednak jakimś cudem zdezaktywować ładunki na czas pobytu Vanessy.

Vanessa popijała kawę przy barze, który zaczyna się przy bilardzie elektronicznym, a kończy przy koszu do koszykówki. Wyszła właśnie spod prysznica i włosy wciąż miała

mokre. Miała na sobie czarną jedwabną bluzkę, którą wysunęła zza paska postrzępionych dżinsów. Była boso i ściskała w palcach srebrny naszyjnik, kołysząc się leniwie na swoim stołku.

– Poczta zaczyna rozpatrywanie skargi od oświadczenia, że korespondencja czasem się gubi. Jakbyśmy nie wiedzieli. Kiedy wspomniałam, że wysłałam jedenaście listów na jedenaście różnych adresów i żaden nie doszedł, poradzili mi, żebym skontaktowała się z biurem inspektora okręgowego, uprzedzając lojalnie, że niewiele wskóram. W biurze inspektora powiedzieli, że wyślą urzędnika, który przepyta moich sąsiadów i sprawdzi, czy nie maczali w tym palców. Ja na to: „Sama wrzucam korespondencję do skrzynki". Na co oni, że gdybym dostarczyła im listę adresatów, wysłaliby kogoś, kto przepytałby ludzi w miejscach, gdzie miały dotrzeć przesyłki.

– Chyba żartujesz – powiedziała Angie.

Vanessa uniosła tylko brwi i pokręciła głową.

– To jak z Kafki. Kiedy spytałam: „Dlaczego nie sprawdzicie listonosza albo kierowcy wozu pocztowego na tej trasie?", oni odpowiedzieli: „Jak już się upewnimy, że nikt inny nie był w to zaangażowany...", a ja na to: „Więc kiedy ginie korespondencja, podejrzenie pada na wszystkich z wyjątkiem osoby, która mają dostarczyć?".

– Powiedz im, co od nich wtedy usłyszałaś – wtrącił Bubba, wchodząc do kuchni gdzieś z głębi swego mieszkania.

Uśmiechnęła się do niego, potem znów na nas spojrzała.

– Usłyszałam: „A więc dostarczy nam pani listę swoich sąsiadów?".

Bubba podszedł do lodówki, otworzył zamrażarkę i wyjął butelkę wódki. Zauważyłem, że ma mokre włosy na karku.

– Pieprzona poczta – oświadczyła Vanessa, dopijając kawę. – I jeszcze się zastanawiają, dlaczego wszyscy przechodzą na e-mail, pocztę kurierską i opłaty przez komputer.

– No tak, ale za znaczek płacisz tylko trzydzieści trzy centy – zauważyła Angie.

Vanessa odwróciła się na stołku, kiedy Bubba zbliżył się z butelką wódki.

– Masz szkło na półce przy kolanach – poinformował ją.

Vanessa spuściła wzrok i zaczęła szukać pod barem.

Bubba zobaczył, jak jej wilgotne włosy opadają na bok, kiedy się schyliła i zastygł z butelką wódki w uniesionej dłoni. Potem spojrzał na mnie. Potem na bar. Postawił butelkę na kontuarze, obok czterech kieliszków, które wyjęła Vanessa.

Spojrzałem na Angie. Obserwowała ich z lekko rozchylonymi ustami i narastającym

zdumieniem w oczach.

– Myślę sobie, żeby stuknąć tego dupka – oznajmił Bubba, kiedy Vanessa rozlała schłodzony trunek do kieliszków.

– Coś ty powiedział? – spytałem.

– Nic z tego – zapewniła mnie Vanessa. – Już o tym rozmawialiśmy.

– Naprawdę? – zdziwił się Bubba, przechylił kieliszek i odstawił go z powrotem na bar, a Vanessa napełniła go ponownie.

– Owszem – odparła z namysłem. – Jeśli jestem świadoma, że może zostać popełnione przestępstwo, mam obowiązek powiadomić o tym policję.

– A, tak – Bubba walnął drugi kieliszek wódki. – Zapomniałem o tym.

– Bądź grzecznym chłopcem – poprosiła Vanessa.

– Uhm, okej.

Angie popatrzyła na mnie spod zmrużonych powiek. Niewiele brakowało, żebym zeskoczył ze stołka i wybiegł z wrzaskiem z kuchni.

– Zostaniecie na kolacji? – spytała Vanessa.

Angie wstała niezręcznie i zrzuciła przypadkiem torebkę na podłogę.

– Nie, nie. My już... jedliśmy. Więc...

Podniosłem się z miejsca.

– Więc będziemy, tak... uhm.

– Iść? – spytała Vanessa.

– Zgadza się. – Angie chwyciła torebkę. – Idziemy. Właśnie.

– Nie wypiliście wódki – zauważył Bubba.

– Wypijcie za nas – zaproponowałem, podczas gdy Angie pięcioma czy sześcioma susami dopadła drzwi.

– Super – rzucił Bubba i walnął kolejną lufę.

– Masz limonki? – spytała go Vanessa. – Jestem w nastroju na tequille.

– Mogę kilka skombinować.

Dotarłem do drzwi i spojrzałem przez ramię na tę dwójkę. Potężna sylwetka Bubby była pochylona, kiedy wyciągał ramię w stronę lodówki, a prężne ciało Vanessy zdawało się zwijać ku niemu ze stołka niczym wstęga dymu.

– Cześć – rzuciła, nie odrywając oczu od Bubby.

– Tak, tak – odparłem. – Cześć.

A potem wyniosłem się stamtąd w cholerę.

Angie zaczęła się śmiać, gdy tylko wyszliśmy na ulicę. Był to niepowstrzymany

chichot, niemal pijacki rechot. Zgięta wpół, przecisnęła się przez dziurę w ogrodzeniu na plac zabaw. Opanowała się, oparła plecami o drabinki i spojrzała w górę, gdzie widać było grube szyby w oknach Bubby. Wytarła oczy i westchnęła, tłumiąc resztki śmiechu.

– Jezu. Twoja pani adwokat i Bubba. Mój Boże. Teraz już wszystko rozumiem.

Oparłem się obok niej o stalowe szczeble.

– Nie jest żadna moja.

– Już nie – przyznała. – Tego możesz być pewien. Po Bubbie będzie stracona dla normalnych mężczyzn.

– Bubba to prawie niemowa, Angie.

– Fakt. Ale ma dużego, Patrick. – Wyszczerzyła w uśmiechu zęby. – Naprawdę dużego.

– Wiadomość z pierwszej ręki?

– Akurat. – Roześmiała się.

– Więc skąd wiesz?

– Mężczyźni potrafią określić rozmiar biustu u kobiety, nawet jeśli ma na sobie trzy swetry i płaszcz. Myślisz, że z nami jest inaczej?

– Aha – mruknąłem, wciąż tkwiąc myślami przy barku w kuchni, gdzie Vanessa kołysała się leniwie na taborecie, a Bubba patrzył, jak jej włosy zsuwają się z ramion.

– Bubba i Vanessa – oznajmiła Angie. – Razem na drzewie.

– Jezu. Skończ już, dobra?

Oparła głowę o drabinki i obróciła się w moją stronę.

– Zazdrosny?

– Nie.

– Ani trochę?

– Ani odrobinę.

– Kłamca.

Przekręciłem głowę w prawo i nasze nosy niemal się zetknęły. Nie odzywaliśmy się przez chwilę, opieraliśmy się po prostu o drabinki, przyciskając policzki do szczebli, czując miękki dotyk nocy na skórze, wpatrzeni w siebie. Gdzieś daleko za Angie, na ciemnej płaszczyźnie nieba, wschodził księżyc w pełni.

– Nienawidzisz moich włosów? – spytała szeptem Angie.

– Nie. Chodzi tylko o to, że są...

– Krótkie? – dokończyła z uśmiechem.

– Tak. Ale kocham cię nie z powodu twoich włosów.

Obróciła się nieznacznie, wsuwając ramiona w otwory między szczeblami.

– Dlaczego mnie kochasz?

Parsknąłem rozbawiony.

– Mam ci wyliczyć powody?

Nie odpowiedziała, przyglądała mi się tylko.

– Kocham cię, Angie, ponieważ... nie wiem. Ponieważ zawsze cię kochałem. Ponieważ mnie bawisz. Ogromnie. Ponieważ...

– Co?

Wykręciłem ramię między szczeblami, tak jak ona, i położyłem dłoń na jej biodrze.

– Ponieważ od chwili, gdy odeszłaś, śni mi się, że leżysz nocą obok mnie. Budzę się i wciąż czuję twój zapach, ale nadal jestem w półśnie, tyle że nie zdaję sobie z tego sprawy, więc wyciągam do ciebie rękę. Sięgam dłonią do twojej poduszki, a ciebie tam nie ma. I leżę tak o piątej rano, kiedy ptaki budzą się na dworze, a ciebie nie ma i twój zapach właśnie znika. Znika i nie ma... – odchrząknąłem – ...nie ma nic prócz mnie. I białej pościeli. Biała pościel i te pieprzone ptaki, i to boli, i mogę tylko zamknąć oczy i leżeć tak, modląc się, żebym już dłużej nie czuł się jak umierający facet.

Jej twarz pozostała nieruchoma, ale w oczach pojawił się blask, niczym cieniutka szklana warstwa.

– To nie fair – powiedziała, ocierając oczy wierzchem dłoni.

– Nic nie jest fair – odparłem. – Mówisz, że nam nie wychodzi?

Uniosła dłoń.

– A czy coś w ogóle wychodzi, Angie? – spytałem.

Opuściła brodę na piersi i nie poruszyła się przez bardzo długą chwilę. Wreszcie wyszeptała:

– Nic.

– Wiem – wyznałem, a mój głos był chrapliwy. Parsknęła śmiechem przez łzy i znów otarła twarz.

– Ja też nienawidzę piątej nad ranem, Patrick. – uniosła głowę i uśmiechnęła się drżącymi wargami. – Tak bardzo nienawidzę.

– Naprawdę?

– Tak. Wiesz, ten facet, z którym spałam...

– Trey.

– W twoich ustach brzmi to jak nieprzyzwoite słowo.

– Co z nim?

– Mogłam uprawiać z nim seks, ale nie chciałam, żeby mnie potem tulił. Wiesz? Kiedy się przekręcałam na bok, a ty wsuwałeś mi jedno ramię pod szyję, a drugim obejmowałeś na piersiach... nie mogę znieść, by ktokolwiek inny to robił.

Byłem w stanie powiedzieć tylko: „To dobrze".

– Tęsknię za tobą – wyszeptała.

– Tęsknię za tobą.

– Wymagam dużo cierpliwości – powiedziała. – Mam zmienne nastroje. Łatwo wpadam w złość. Nienawidzę robić prania. Nie lubię gotować.

– Tak – przyznałem. – Wszystko to prawda.

– Hej – zawołała. – Z tobą też łatwo nie jest.

– Ale gotuję – przypomniałem.

Wyciągnęła rękę i przesunęła dłonią po moim niezmiennym zaroście – nieco gęstszym niż cień, rzadszym niż broda – który utrzymywałem na twarzy od trzech lat, by ukryć blizny, jakie pozostawiła brzytwa Gerry'ego Glynna.

Przesuwała leniwie kciukiem po mojej szczecinie, dotykając delikatnie zniszczonej, cienkiej skóry pod spodem. Nie są to może szczególnie duże blizny, ale są, a ja jestem próżny.

– Mogę to zgolić dziś wieczorem? – spytała.

– Powiedziałaś kiedyś, że wyglądam z tym interesująco.

Uśmiechnęła się.

– Owszem, ale jakoś to do ciebie nie pasuje.

Zacząłem się zastanawiać nad jej słowami. Trzy lata z ochronnym zarostem na twarzy. Trzy lata ukrywania obrażeń, jakich doznałem podczas najgorszej nocy w życiu. Trzy lata chowania przed światem swych potknięć i wstydu.

– Chcesz mnie ogolić? – spytałem w końcu.

Nachyliła się i dotknęła ustami moich warg.

– Między innymi.

30

Angie obudziła mnie o piątej rano, poczułem jej ciepłe dłonie na swoich świeżo ogolonych policzkach, jej język, który otwierał mi usta. Po chwili odsunęła nogami pościel, przywierając do mnie całym ciałem.

– Słyszysz ptaki? – spytała.

– Nie – wymruczałem.

– Ja też nie.

Potem leżeliśmy w pokoju, który napełniał się z wolna światłem poranka, ona obrócona do mnie plecami, ja wtulony w jej ciało.

– Wie, że go obserwujemy – powiedziałem.

– Scott Pearse – przytaknęła. – Tak, też mam takie wrażenie. Cały tydzień za nim łażę, a on ani razu nie zatrzymał się choćby na kawę. Jeśli przegląda czyjąś korespondencję, nie robi tego w tym czasie. – Obróciła się w moich ramionach, zwinny ruch jej ciała odczułem jak uderzenie błyskawicy we krwi. – Jest cwany. Chce nas przeczekać.

Zdjąłem jej z rzęs jakiś zagubiony włosek.

– Twój? – spytała.

– Mój. – Strzepnąłem go z łóżka. – Powiedział; że czas jest istotny. Dlatego spotkał się ze mną na dachu i próbował mnie przekupić albo odstraszyć. Bo się spieszy.

– Masz rację – przyznała Angie. – Ale można założyć, że było tak wtedy, gdy obowiązywał, według niego, układ z państwem Dawe. A teraz, kiedy układ jest już nieważny, dlaczego...

– Kto powiedział, że jest nieważny?

– Christopher Dawe. Chryste, ten facet wykończył im córkę. Nie zapłacą mu po czymś takim. Nie może już wywierać na nich nacisku.

– Ale nawet Christopher Dawe uważał, że wróci. Że się dobierze do Carrie, by ją zniszczyć, tak jak zrobił to z Karen.

– Ale gdzie tu korzyść?

– Nie chodzi nawet o korzyść – powiedziałem. – Myślę, że Christopher Dawe miał

rację. To w przypadku Pearse'a kwestia zasad. Pieniądze, które od nich wymuszał? Już uważa je za własne. Nie popuści.

Angie przesunęła wierzchem dłoni po moim brzuchu i piersi.

– Ale jak chce się dobrać do Carrie Dawe? Wątpię, czy chodziłaby do tej samej terapeutki, co Karen, nawet gdyby się leczyła. Więc Pearse nie mógłby tym razem wykorzystać Diane Bourne. Dawe nie mieszkają w mieście, więc nie może grzebać w ich korespondencji.

Wsparłem się na łokciach.

– Standardowe działanie Pearse'a polega na infiltracji za pomocą jednego psychiatry i jednego rejonu pocztowego. Okej. Ale to prosta, zawsze dostępna metoda, taki guzik, który można bez trudu wcisnąć. Jego stary był zawodowcem od grzebania w mózgach. A on służył w oddziałach specjalnych.

– Więc?

– Więc myślę, że jest zawsze przygotowany. Co więcej, sądzę, że jest zawsze gotów improwizować. I nieodmiennie wykorzystuje informacje na czyjś temat. Na tym opiera się wszystko, czym jest i co robi. Wie dostatecznie dużo, by zapłacić właściwym ludziom za informacje na nasz temat. Dowiedział się, że Bubba jest mi bliski i wykorzystał to. Odkrył, że jesteś dzięki swojemu dziadkowi nietykalna i gdy nie zdołał dobrać się do mnie przez Bubbę, zaatakował Vanesse. Nie jest wszechmocny, ale naprawdę cwany.

– Racja. I tego, co wie o doktorze i jego żonie, dowiedział się od Wesleya.

– Jasne, ale to nieaktualne. Nawet jeśli Wesley jest gdzieś w pobliżu i wspomaga Pearse'a finansowo, kto wie – jego informacje są sprzed dziesięciu lat.

– To prawda.

– Pearse potrzebowałby kogoś, kto zna dobrze Christophera i Carrie i jest na bieżąco. Na przykład bliskiego współpracownika doktora. Najlepszej przyjaciółki jego żony. Albo...

Spojrzałem na nią, a ona wsparła się na łokciach i wtedy powiedzieliśmy jednocześnie:

– Służącej.

Siobhan Mulrooney weszła na parking obok kolejki dojazdowej w Weston o szóstej wieczorem. Na ramieniu niosła torbę podróżną, szła szybko ze spuszczoną głową. Przechodząc obok hondy Angie, zobaczyła mnie – siedziałem na masce wozu – i przyspieszyła kroku.

– Hej, Siobhan. – Ścisnąłem brodę między kciukiem i palcem wskazującym. – Co myślisz o moim wyglądzie?

Spojrzała na mnie przez ramię i przystanęła.

– Nie poznałam pana, panie Kenzie. – Wskazała jasnoróżowe ślady na mojej brodzie. – Ma pan blizny.

– Owszem. – Zsunąłem się z maski wozu. – Jeden facet mi je zrobił parę lat temu.

– Za co, u diabła? – spytała. Jej ramiona drgnęły nieznacznie, kiedy się do niej zbliżyłem, jakby obie strony jej ciała chciały uciec jednocześnie w przeciwnych kierunkach.

– Zorientowałem się, że facet nie jest tym, za kogo się podaje. Wkurzył się.

– Próbował pana zabić, tak?

– Tak. Ją też.

Wskazałem Angie, która stała za jej plecami przy schodach prowadzących na stację.

Siobhan obejrzała się, potem znów popatrzyła na mnie.

– Powiedziałabym w takim razie, że to paskudny facet.

– Skąd pochodzisz, Siobhan?

– Z Irlandii, oczywiście.

– Północnej, tak?

Przytaknęła.

– Siedlisko niepokoju – oświadczyłem ironicznie, przybierając irlandzki akcent.

Spuściła głowę, kiedy do niej podszedłem.

– Niech się pan z tego nie śmieje, panie Kenzie.

– Straciłaś kogoś z rodziny, prawda?

Podniosła na mnie wzrok, a jej małe oczy zrobiły się jeszcze mniejsze i pociemniały z gniewu.

– Owszem, straciłam. Całe pokolenia.

Uśmiechnąłem się.

– Ja też. Praprapradziadek ze strony ojca, jak mi się wydaje, został rozstrzelany w Donegal w 1798, kiedy Francuzi zostawili nas na lodzie. Potem dziadek ze strony matki... znaleźli go w jego własnej stodole z przestrzelonymi kolanami, podciętym gardłem i uciętym do połowy językiem.

– Więc był zdrajcą, tak? – upewniła się Siobhan, a jej drobna twarz jakby się skurczyła w wyrazie zaciętości, przypominając zaciśniętą pięść.

– Kapuś – odparłem. – Owszem. Albo załatwili go oranżyści, żeby tak wyglądało. Wiesz, jak to jest podczas takiej wojny, czasem ludzie umierają, nie wiadomo dlaczego, dopóki nie spotkasz się z nimi po drugiej stronie. Innym razem ludzie umierają bez konkretnego powodu, bo burzy się krew, bo im większy chaos, tym łatwiej się wykręcić

sianem. Słyszałem, że od czasu rozejmu ludziom całkowicie odbiło. Biegają jak stuknięci i rozwalają sobie łby w odwecie. Wiesz, Siobhan, że w Południowej Afryce zginęło więcej ludzi po zniesieniu apartheidu, niż kiedy obowiązywał? To samo w Jugosławii po upadku komunizmu. Faszyzm jest odrażający, ale trzyma ludzi w ryzach. Jak tylko trafia go szlag, to myślisz, że odzywa się zła krew, którą ludzie w sobie nosili? Bzdura. Ludzie zabijają się z powodów, których nawet nie pamiętają.

– Próbuje mi pan coś powiedzieć, panie Kenzie?

Potrząsnąłem głową.

– Za dużo gadam, Siobhan. No dobra, powiedz mi, dlaczego opuściłaś kraj rodzinny?

Przekrzywiła głowę.

– Lubi pan biedę, panie Kenzie? Lubi pan oddawać władzom ponad połowę swoich zarobków? Lubi pan paskudną pogodę i bezustanne zimno?

– Nie powiem, żebym lubił. – Wzruszyłem ramionami. – Chodzi o to, że w wielu przypadkach ludzie wyjeżdżają z Irlandii Północnej i nie mogą wrócić, bo za dużo osób tam czeka, żeby dać im w łeb, jak tylko zejdą na ląd. A jak jest z tobą?

– Czy ktoś tam czeka, żeby mnie załatwić?

– Tak.

– Nie – zapewniła, patrząc w ziemię i kręcąc głową, jakby tym gestem pragnęła mocniej uzasadnić swoje przekonanie. – Nie. Nie mnie.

– Posłuchaj, Siobhan, możesz nam powiedzieć, kiedy Pearse zamierza dobrać się do państwa Dawe? I jak chce to zrobić?

Odsunęła się ode mnie powoli, na jej drobnej twarzy błąkał się dziwny półuśmiech.

– O nie, panie Kenzie. Miłego dnia.

– Nie spytałaś nawet, kto to jest Pearse – zauważyłem.

– Kto to jest Pearse? Zadowolony?

Odwróciła się i ruszyła w stronę schodów, kołysząc podróżną torbą na ramieniu.

Angie odsunęła się na bok, kiedy Siobhan dotarła do pogrążonej w mroku kondygnacji i zaczęła wchodzić na górę.

Czekałem, aż dotrze na podest w połowie schodów.

– Jak u ciebie z zieloną kartą, Siobhan?

Przystanęła, po prostu znieruchomiała obrócona do nas plecami.

– Załatwiłaś sobie jakoś przedłużenie wizy? Wiesz, słyszałem, że urząd imigracyjny zamierza się ostro zabrać za Irlandczyków. Zwłaszcza w tym mieście. Trochę to wkurzające, bo kto będzie malował domy, jak odeślą wszystkich do kraju?

Odchrząknęła głośno, wciąż obrócona do nas plecami.

– Nie zrobicie tego.

– Zrobimy – zapewniła ją Angie.

– Nie możecie.

– Możemy – powiedziałem. – Pomóż nam, Siobhan.

Odwróciła się i spojrzała na mnie z góry.

– A jeśli nie?

– Zadzwonię do mojego przyjaciela z urzędu imigracyjnego, Siobhan, i będziesz obchodziła pieprzone święto pracy w Belfaście.

31

Ma teczkę na każdego – oznajmiła Siobhan. – Na mnie, na pana, panie Kenzie, i na panią, panno Gennaro.

– Co jest w tych teczkach? – spytała Angie.

– Codzienne zajęcia. Słabości. – Odegnała dłonią dym z papierosa. – Och, znacznie więcej. Wszelkie fakty z biografii, jakie tylko udało mu się zdobyć. – Wskazała papierosem Angie. – Był cholernie zadowolony, kiedy dowiedział się o śmierci pani męża. Sądził, że panią ma.

– Że mnie ma?

– Że znalazł sposób, by panią złamać, panno Gennaro. Każdy skrywa coś, o czym nie lubi myśleć, prawda? Potem odkrył, że ma pani krewnych, którzy się liczą, czy tak?

Angie przytaknęła.

– Niech pani dziękuje Bogu, że tego dnia nie znalazła się pani blisko Scotta Pearse'a, może być pani pewna.

– Naprawdę mi go żal – rzuciłem. – Pozwól, że cię spytam o jedno... dlaczego rozmawiałaś ze mną, kiedy pierwszy raz przyszedłem do ich domu?

– Żeby skierować pana na niewłaściwy trop, panie Kenzie.

– Napuściłaś mnie na Cody'ego Falka.

Przytaknęła.

– I co, Pearse sądził, że zabiję Cody'ego i zakończę sprawę?

– Wydawało się to prawdopodobne, nie sądzi pan?

Popatrzyła na swój kubek kawy.

– Czy Diane Bourne to jego jedyne źródło dokumentacji psychiatrycznej? – spytałem.

Siobhan zaprzeczyła.

– Ma swojego człowieka w archiwum szpitala McLeana w Belmont. Wie pan, ilu pacjentów przewija się tam w ciągu roku, panie Kenzie?

McLean był jednym z największych szpitali psychiatrycznych w tym stanie. Przyjmował pacjentów leczących się dobrowolnie, jak i skierowanych na badania przymusowo, dysponował oddziałami otwartymi i zamkniętymi, specjalizował się we

wszystkim, począwszy od narkomanii i alkoholizmu, a skończywszy na syndromie znużenia i schizofrenii paranoidalnej o tendencjach morderczych. McLean liczył ponad trzysta łóżek i przyjmował rocznie średnio trzy tysiące pacjentów.

Siobhan odchyliła się i przesunęła gestem pełnym znużenia po krótko przyciętych włosach. Opuściliśmy stację w Weston i ruszając prosto w godziny szczytu, wydostaliśmy się z tłoku na drogach w Waltham. Zajechaliśmy pod motel przy Main Street. O wpół do szóstej wieczorem siedziało tu zaledwie kilku gości i gdy dostaliśmy dzbanek kawy zwykłej i dzbanek bezkofeinowej, gburowata kelnerka z ulgą pozostawiła nas swemu losowi.

– Jak Pearse zdobywa sobie ludzi? – spytała Angie.

Siobhan uśmiechnęła się ironicznie.

– Ma w sobie niezwykły magnetyzm, prawda?

Angie wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie widziałam tego faceta z bliska.

– Więc niech pani uwierzy na słowo – doradziła Siobhan. – Ten człowiek zagląda ludziom prosto w duszę.

Starałem się nie okazywać powątpiewania.

– Zaprzyjaźnia się z tobą – ciągnęła Siobhan. – Potem cię uwodzi. Poznaje twoje słabości, wszystko to, do czego człowiek nie chce się sam przed sobą przyznać. Wtedy już panuje nad tobą. A ty robisz, czego zażąda, albo cię niszczy.

– Dlaczego Karen? – spytałem. – To znaczy wiem, że chciał dać nauczkę państwu Dawe, ale nawet w przypadku Pearse'a wydaje mi się to zbyt okrutne.

Siobhan podniosła swój kubek z kawą, ale się nie napiła.

– Nie rozumiecie?

Potrząsnęliśmy zgodnie głowami.

– Zaczynam tracić do was szacunek, słowo daję.

– Rany – mruknąłem. – Naprawdę mnie zabolało.

– Dostęp, panie Kenzie. Chodzi o dostęp do ludzi.

– Wiemy, Siobhan. A niby dlaczego przyszliśmy do ciebie?

Potrząsnęła głową.

– Mam ograniczenia – o czym mogę wam powiedzieć? Fragment rozmowy, rzut oka na rachunek bankowy? Scott nienawidzi ograniczeń.

– A więc – zwróciła się do niej Angie, zapalając papierosa – Scott chce zdobyć połowę majątku doktora... – Dostrzegła w twarzy Siobhan coś, co kazało jej urwać w pół zdania. – Nie. To byłoby za mało, prawda Siobhan? On chce wszystkiego.

Siobhan przytaknęła prawie niedostrzegalnie.

– Więc zniszczył Karen, bo była spadkobierczynią.

Znów nieznaczny ruch głową.

Angie zaciągnęła się papierosem, zatopiona w myślach.

– Ale czekaj, przez podszywanie się pod Wesleya nic więcej by nie osiągnął. Nawet jeśli państwo Dawe umrą, a okoliczności ich śmierci nie wzbudzą podejrzeń, to przecież nikt nie uwierzy, że pozostawili majątek synowi, którego nie widzieli od dziesięciu lat. A nawet gdyby – podkreślam gdyby – to zrobili, wcielenie Pearse'a w Wesleya ma swoje granice. Taka rzecz nie przejdzie z prawnikami.

Siobhan przyglądała się jej uważnie.

– Ale – ciągnęła Angie, mówiąc teraz bardzo wolno – jeśli zniszczy Christophera Dawe, nadal nic nie zyskuje.

Siobhan wzięła zapałki Angie, żeby zapalić własnego papierosa.

– Chyba że zyska dostęp do... Carrie Dawe – dokończyła Angie.

To imię, które tak nagle pojawiło się w jej ustach, padło ciężko niczym kamień.

– Otóż to – oznajmiła Angie. – Czyż nie? On i Carrie siedzą w tym razem?

Siobhan strzepnęła popiół do popielniczki.

– Nie. Była pani przez chwilę blisko, panno Gennaro.

– Więc...?

– Carrie zna go jako Timothy McGoldricka – wyjaśniła Siobhan. – Są kochankami od półtora roku. Nie ma pojęcia, że to ten sam człowiek, który zniszczył Karen i który teraz chce zniszczyć jej męża.

– Cholera – rzuciłem wściekle. – Mieliśmy ze sobą jego zdjęcie, a jej nie było w domu.

Angie walnęła ze złością obcasem w podłogę.

– Trzeba było pojechać do tego jej przeklętego klubu.

Maleńkie oczy Siobhan zrobiły się duże i okrągłe.

– Macie jego zdjęcia?

Przytaknąłem.

– Kilka.

– Och, chyba mu się to nie spodoba. Absolutnie.

Zadrżałem i pogroziłem jej palcem.

– No, no.

Zmarszczyła czoło.

– Nie ma pan pojęcia, jakie rozmiary może przybrać jego wściekłość, panie Kenzie.

Nachyliłem się nad stołem.

– Powiem ci coś, Siobhan. Mam gdzieś jego wściekłość. I ten jego magnetyzm. Gówno mnie obchodzi, czy potrafi zaglądać w dusze tobie i mnie i czy ma prywatny numer do samego Boga. Jest psycholem? Tak. Jest pieprzonym draniem z Sił Specjalnych, który umie dołożyć tak, że głowa spada z karku? I dobrze. Zniszczył kobietę, która nigdy nie chciała od życia niczego więcej prócz tego, by być szczęśliwą i jeździć pieprzoną toyotą camry. Dla zabawy zrobił z człowieka roślinę. Drugiemu odciął dłonie i język. I otruł psa, którego przypadkowo lubiłem. I to bardzo. Chcesz zobaczyć, jak wygląda prawdziwa wściekłość?

Siobhan wsparła ramiona i głowę o czerwony skaj boksu, w którym siedzieliśmy. Zerknęła nerwowo na Angie.

Angie uśmiechnęła się do niej.

– Trochę to potrwa, ale jak już Kenzie się rozkręci, to wiesz co, kochana? – Potrząsnęła głową. – Zabieraj dzieciaki i wiej z miasta, bo ulice eksplodują.

Siobhan spojrzała na mnie.

– Jest bardziej cwany od pana – szepnęła.

Pokręciłem głową.

– Ma przewagę, jaką jest dostęp do źródeł informacji. Ale i ja mam teraz dostęp. Siedzę w jego życiu – powiedziałem. – Będę w nim siedział do samego końca.

Spojrzała z powątpiewaniem.

– Nie macie pojęcia, przeciwko czemu...

Spuściła oczy, potrząsnęła głową.

– O czym nie mamy pojęcia? – spytała Angie.

Siobhan podniosła wzrok, jej głowa znieruchomiała.

– Nie macie pojęcia, w co się tak naprawdę wpakowaliście.

– Więc nam powiedz.

– O nie, dzięki. – Schowała papierosy do torebki. – Powiedziałam wam wszystko, co musiałam. Wierzę, że nie doniesiecie na mnie waszemu przyjacielowi z urzędu imigracyjnego. I życzę wam jak najlepiej, ale nie sądzę, by mogło wam to pomóc.

Wstała i zarzuciła sobie torbę na ramię.

– Dlaczego Pearse musiał być taki bezlitosny wobec Karen? – spytałem.

Spojrzała na mnie z góry.

– Właśnie panu powiedziałam. Była jedyną spadkobierczynią.

– Rozumiem. Ale dlaczego nie poprzestał na tym wypadku Davida? Dlaczego ją

niszczył kawałek po kawałku?

– To jego metoda.

– To nie metoda, to wstręt. Dlaczego tak bardzo jej nienawidził?

Uniosła dłonie, najwidoczniej wyczerpana.

– Wcale nie. Ledwie ją znał, zanim Miles mu ją przedstawił na trzy miesiące przed jej śmiercią.

– Więc po co jej to wszystko robił?

Opuściła dłonie na uda.

– Mówiłam. Tak postępuje.

– To nie tłumaczy wszystkiego.

– Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Kłamiesz – oświadczyłem. – Mnóstwo rzeczy tu się nie zgadza, Siobhan.

Wzniosła oczy do nieba, westchnęła zniecierpliwiona.

– No cóż, to typowe dla nas, przestępców, prawda, panie Kenzie? Bywamy niegodni zaufania.

Odwróciła się w stronę drzwi.

– Dokąd jedziesz? – spytałem.

– Mam przyjaciółkę w Canton. Zatrzymam się u niej na trochę.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie jedziesz prosto do Pearse'a?

Uśmiechnęła się zmęczona.

– Jak nie przyjechałam dziś wieczór kolejką do Bostonu, od razu się zorientowali, że się do mnie dobraliście. Jestem teraz słabym ogniwem, prawda? A Pearse nie lubi słabych ogniw. – Schyliła się po swoją torbę podróżną i podniosła ją z podłogi. – Bez obawy. Nikt nie wie o tej przyjaciółce w Canton prócz was dwojga. Będę miała co najmniej tydzień, nim ktokolwiek zacznie mnie szukać, a do tej pory wszyscy się pozabijacie, podejrzewam. – Jej małe oczy błysnęły. – Życzę miłego dnia. Tym razem na dobre.

Zbliżyła się do drzwi, Angie zaś rzuciła za nią:

– Siobhan.

– Tak? – spytała z dłonią na klamce.

– Gdzie jest prawdziwy Wesley?

– Nie wiem – odparła, nie patrząc na nas.

– Domyśl się.

– Nie żyje – powiedziała. Wciąż nie patrzyła nam w oczy.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Dożył kresu swej użyteczności, prawda? To dotyczy nas wszystkich, jeśli chodzi o Scotta. Prędzej czy później – rzuciła.

Otworzyła drzwi i wyszła na parking. Potem ruszyła w stronę przystanku autobusowego przy Main. Nie odwróciła się, tylko potrząsała uparcie głową, jakby jednocześnie rozgoryczona i rozbawiona z powodu tego wszystkiego, co ją tu przywiodło.

– Użyła liczby mnogiej – powiedziała Angie. – Zauważyłeś? „Od razu się zorientowali, że się do mnie dobraliście".

– Zauważyłem.

Twarz Carrie Dawe zapadła się w sobie, jakby rozcięta na pół.

Nie wybuchnęła płaczem. Nie krzyczała ani się nie darła, patrząc na fotografię Pearse'a, którą położyliśmy przed nią na stoliku do kawy. Tylko jej oblicze się skurczyło, a oddech stał się nagle płytki.

Christopher Dawe był w szpitalu i wydawało się, że wielki, pusty dom jest chłodny i nawiedzony.

– Zna go pani jako Timothy McGoldricka – oznajmiła Angie. – Zgadza się?

Carrie Dawe przytaknęła.

– Z czego żyje?

– Jest... – Przełknęła, oderwała wzrok od zdjęcia i skuliła się na kanapie. – Powiedział, że jest pilotem linii TWA. Cholera, poznaliśmy się na lotnisku. Widziałam jego dokumenty, rozkład lotów. Pochodził z Chicago. Wszystko się zgadzało. Miał akcent środkowego zachodu.

– Chce go pani zabić – powiedziałem.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, potem opuściła głowę.

– Oczywiście, że tak – nie ustępowałem. – Trzyma pani w domu broń?

Przyciskała brodę do piersi.

– Trzyma pani w domu broń? – powtórzyłem.

– Nie – odparła cicho.

– Ale ma pani do niej dostęp – domyśliłem się.

Skinęła głową.

– Kupiliśmy domek w New Hampshire – powiedziała. – Jeździmy tam na narty. Są tam dwie sztuki.

– Jakiego rodzaju?

– Słucham?

– Chodzi o broń, pani Dawe. Jakiego rodzaju?

– Pistolet i strzelba. Christopher czasem poluje późną jesienią.

Angie położyła dłoń na ręku Carrie Dawe.

– Jeśli go zabijecie i tak wygra.

Carrie Dawe roześmiała się.

– Jakim cudem?

– Będziecie zniszczeni. Pani mąż będzie zniszczony. Mogę się założyć, że większość waszego majątku pochłonie obrona w sądzie.

Roześmiała się ponownie, ale tym razem po jej policzkach popłynęły łzy.

– Więc co robić?

– Przed laty postanowił zniszczyć tę rodzinę – odparła cicho Angie, ściskając mocniej dłoń Carrie. – Niech mu pani nie pozwoli wygrać. Pani Dawe, proszę na mnie spojrzeć.

Carrie odwróciła ku niej głowę, połykając dwie łzy, które spłynęły jednocześnie w kąciki jej ust.

– Straciłam męża – wyznała Angie. – Tak jak pani straciła pierwszego. W dramatycznych okolicznościach. Miała pani drugą szansę i, niestety, spieprzyła ją pani.

Carrie Dawe parsknęła śmiechem, w którym słychać było nutkę szoku.

– Ale wciąż ma pani cień tej szansy – ciągnęła Angie. – Może pani jeszcze wszystko naprawić. Drugą szansę zmienić w trzecią. Niech mu pani nie pozwoli sobie tego odebrać.

Przez dobre dwie minuty nikt się nie odzywał. Przyglądałem się obu kobietom, które trzymały się za ręce i patrzyły twardo na siebie, słuchałem tykania zegara na gzymsie ciemnego kominka.

– Chcecie go zniszczyć – domyśliła się Carrie Dawe.

– Tak – przyznała Angie.

– Naprawdę zniszczyć – dodała Carrie.

– Pogrzebać go – powiedziała Angie.

Carrie Dawe przytaknęła. Przesunęła się na kanapie i nachyliła ku Angie, kładąc dłoń na jej ręku.

– Jak mogę wam pomóc? – spytała.

Kiedy jechaliśmy w stronę Sleeper Street, by zwolnić Nelsona Ferrare'a z posterunku na dachu, odezwałem się:

– Siedzimy mu na tyłku od tygodnia. Jakie są jego słabe punkty?

– Kobiety – odparła Angie. – Jego nienawiść wydaje się taka patologiczna...

– Nie – przerwałem jej. – Nie o to mi chodzi. O nic tak głębokiego. Jakie są jego słabe punkty w tej chwili? Pęknięcia w zbroi?

– Fakt, że Carrie Dawe wie, że on i Timothy McGoldrick to jedna osoba.

Przytaknąłem.

– Skaza numer jeden.

– Co jeszcze? – spytała.

– Nie zasłania okien.

– Okej.

– Jeździłaś za nim w ciągu dnia. Znalazłaś coś?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie bardzo. Czekaj. Mam coś.

– Mianowicie?

– Zostawia silnik na chodzie.

– W furgonetce, kiedy robi postoje?

Skinęła głową z uśmiechem.

– I kluczyki w stacyjce.

Spojrzałem na drogę, kiedy zbliżaliśmy się do końca Mass Pike i skręciłem z pasa północnego na zjazd południowy.

– Co robisz? – spytała Angie.

– Najpierw wstąpimy do Bubby.

Nachyliła się, wpatrzona w pasmo żółtych świateł u góry tunelu.

– Masz jakiś plan, prawda?

– Mam.

– Dobry?

– Odrobinę niedopracowany – odparłem. – Wymaga poprawek. Ale skuteczny, jak sądzę.

– Niech będzie niedopracowany – zauważyła – ale czy jest wredny?

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Można tak powiedzieć.

– To dobrze – oświadczyła.

Bubba otworzył nam drzwi przepasany ręcznikiem, z miną pozbawioną cienia gościnności.

Tors Bubby, od pasa do wierzchołka mostka, stanowi ciemny masyw pokryty

różowymi bliznami w kształcie ogona homara i nieco mniejszych czerwonych pasm długości i szerokości dziecięcego palca, które znaczą skórę niczym ślimaki. Ogony krabów to oparzenia; ślimaki to ślady po odłamkach. Bubba dorobił się takiej klaty w Bejrucie, gdzie stacjonował w bazie marines, akurat tego dnia, gdy zamachowiec samobójca staranował wozem ciężarowym bramę koszar, a wartownicy na służbie nie mogli go zastrzelić, bo dostali do swoich automatów ślepaki. Bubba spędził osiem miesięcy w libańskim szpitalu, nim dostał medal i zwolnienie ze służby. Sprzedał odznaczenie i zniknął na kolejnych osiem miesięcy, powracając do Bostonu pod koniec 1985 z kontaktami w nielegalnym handlu bronią (których nawiązanie kosztowało wcześniej życie wielu ludzi), z klatką piersiową niczym kartograficzny obraz Uralu, milczeniem na temat owej nocy, kiedy dokonano zamachu i głęboką pogardą wobec strachu, co przyprawiało otaczających go ludzi o jeszcze większą nerwowość niż przed jego wyjazdem do Bejrutu.

– Co jest? – spytał.

– Nam też miło cię widzieć. Wpuść nas.

– Po co?

– Potrzebujemy sprzętu.

– Jakiego sprzętu?

– Nielegalnego sprzętu.

– Bez jaj.

– Bubba – zwróciła się do niego Angie. – Zdążyliśmy się już zorientować, że pogrywasz z panną Moore, więc wyluzuj. Wpuść nas.

Bubba zmarszczył czoło, co sprawiło, że jego dolna warga wysunęła się do przodu. Odsunął się na bok, a my weszliśmy do jego magazynu, gdzie zastaliśmy Vanesse Moore, która miała na sobie jedną z koszulek hokejowych Bubby i nic więcej. Leżała na czerwonym tapczanie pośrodku pomieszczenia, z kieliszkiem szampana na płaskim jak deska brzuchu, wpatrzona w pięćdziesięciodwucalowy ekran telewizora i oglądała „Dziewięć i pół tygodnia". Zatrzymała film za pomocą pilota, kiedy weszliśmy – Mickey Rourke i Kim Basinger zastygli w trakcie bzykania na murze alejki, podczas gdy przesycony niebieskim światłem kwaśny deszcz znieruchomiał na ich ciałach.

– Hej – rzuciła na nasz widok.

– Hej. Nie przeszkadzaj sobie.

Zgarnęła trochę orzeszków z miseczki na małym stoliku i wsadziła sobie do ust.

– Nie ma obawy.

– Posłuchaj, Nessie – zwrócił się do niej Bubba – muszę z nimi pogadać o interesach.

Angie uchwyciła moje spojrzenie i powiedziała bezgłośnie „Nessie?”.

– Nielegalnych?

Bubba zerknął na mnie przez ramię. Przytaknąłem energicznie.

– Tak – odparł.

– Dobra.

Zaczęła się podnosić z tapczanu.

– Nie, nie – powstrzymał ją Bubba. – Zostań. Pójdziemy do mnie na górę.

– Uhm. To nawet lepiej.

Zaległa z powrotem na tapczanie, nacisnęła pilota i Mickey i Kim znów zaczęli dyszeć i jęczeć w takt kiepskiego, syntezatorowego rocka lat osiemdziesiątych.

– Wiesz, nigdy nie widziałam tego filmu – wyznała Angie, kiedy wspinaliśmy się za Bubbą po schodach na piętro.

– Mickey nie jest tu jeszcze taki odrażający – zauważyłem.

– No i Kim w tych białych skarpetkach – dodał Bubba.

– No i Kim w tych białych skarpetkach – przyznałem.

– Pochwała ze strony dwóch zboczeńców – skomentowała Angie. – Jest się z czego cieszyć.

– Słuchaj – rzucił Bubba, zapalając światło na piętrze, podczas gdy Angie poszła grzebać w skrzyniach, żeby znaleźć dla siebie odpowiednią broń – masz coś przeciwko, żebym, hmm, jak to powiedzieć... posuwał Vanesse?

Ukryłem za dłonią uśmiech i spojrzałem na skrzynię pełną granatów.

– Och, nie, stary. Żaden problem.

– Bo nie miałem, jak to się mówi... stałej...

– Dziewczyny?

– Tak. Od dłuższego czasu.

– Od szkoły średniej – zauważyłem. – Jak ona się nazywała? Stacie Hamner, tak?

Potrząsnął głową.

– Od Czeczenii w 84. Miałem tam kogoś.

– Nie wiedziałem.

Wzruszył ramionami.

– Bo nigdy o tym nie mówiłem, facet.

– No tak, rzeczywiście.

Położył mi dłoń na ramieniu i nachylił się do mnie.

– Więc co? W porządalu?

– Jeszcze jak – zapewniłem. – A Vanessa? Też w porządku?

Przytaknął.

– Powiedziała, że nie miałbyś nic przeciwko.

– Tak?

– Tak. Powiedziała jeszcze, że nigdy wam nie zależało. To była tylko gimnastyka.

– Aha – rzuciłem, kiedy podeszliśmy do Angie. – Gimnastyka.

Angie wyjęła z drewnianej skrzyni karabin i oparła sobie kolbę na biodrze. Lufa sterczała wysoko nad jej głową. Broń była masywna i sprawiała wrażenie ciężkiej i groźnej; trudno było uwierzyć, że Angie jest w stanie ją utrzymać w dłoniach, nie przewracając się na bok.

– Masz celownik do tej dziecinki? – spytała.

– Mam celownik – odparł Bubba. – Co z nabojami?

– Im większe, tym lepsze.

Bubba odwrócił głowę i spojrzał na mnie ze śmiertelną powagą.

– Zabawne. Tak właśnie powiedziała Vanessa.

Siedzieliśmy na dachu vis-a-vis strychu Pearse'a i czekaliśmy na telefon. Nelson, zaintrygowany karabinem, został z nami.

Dokładnie o dziesiątej zadzwonił telefon u Scotta Pearse'a i po chwili zobaczyliśmy, jak idzie przez salon i podnosi słuchawkę czarnego aparatu zainstalowanego na ceglanym filarze pośrodku pokoju. Uśmiechnął się, słysząc głos po drugiej stronie, oparł się leniwie o filar i wsunął sobie słuchawkę między ramię a szyję.

W trakcie rozmowy jego uśmiech przygasał stopniowo, wreszcie na twarzy pojawił mu się odrażający grymas. Wyciągnął dłonie, jakby rozmówca mógł go widzieć, i zaczął mówić szybko do telefonu, schylając się dla większej siły przekonywania.

Potem Carrie musiała się rozłączyć, ponieważ Scott Pearse oderwał gwałtownie słuchawkę od ucha i wpatrywał się w nią przez chwilę, następnie wrzasnął i zaczął raz za razem walić nią o filar, aż w końcu pozostało mu w dłoni tylko kilka kawałków czarnego plastiku i dyndająca na przewodzie membrana.

– Rany – jęknęła Angie. – Mam nadzieję, że ma jeszcze drugi telefon.

Wyciągnąłem z kieszeni komórkę, którą wziąłem z mieszkania Bubby.

– O ile chcecie się założyć, że ten drugi też rozwali, jak już skończę z nim gadać?

Wystukałem numer Scotta Pearse'a. Nim zdążyłem się połączyć, Nelson spytał Angie, wskazując karabin:

– Hej, chcesz, żebym czynił honory?

– Dlaczego?

– Cholerny odrzut rozwali ci ramię. – Wysunął kciuk w moją stronę. – Dlaczego on nie może tego zrobić?

– Ma gówniane oko.

– Przy tym celowniku?

– Mówię, że ma gówniane oko – powtórzyła Angie.

Nelson sięgnął po broń.

– Sprawisz mi przyjemność – przekonywał.

Angie przyjrzała się kolbie, potem zerknęła na swoje ramię, w końcu przytaknęła. Podała mu karabin i wyjaśniła, o co nam chodzi.

Nelson wzruszył ramionami.

– Okey. Ale dlaczego go po prostu nie zabijemy?

– Bo po pierwsze nie jesteśmy mordercami – odparła Angie.

– A po drugie? – zainteresował się Nelson.

– Byłoby to zbyt przyjemne – powiedziałem.

Wcisnąłem przycisk wybierania w swojej komórce i usłyszałem po drugiej stronie sygnał telefonu Pearse'a.

Opierał się czołem o filar. Kiedy usłyszał dzwonek telefonu, uniósł powoli głowę i obrócił się, jakby niepewny tego, co słyszy. Potem zbliżył się do barku biegnącego wokół kuchni i wziął z blatu komórkę.

– Halo?

– Scottie – powiedziałem. – Co słychać?

– Zastanawiałem się, ile czasu jeszcze upłynie, nim zadzwonisz, Pat.

– Nie jesteś zaskoczony?

– Że odkryłeś moją tożsamość? Spodziewałem się tego, Pat. Obserwujesz mnie w tej chwili?

– Możliwe.

Parsknął śmiechem.

– Wyczułem to. Nie powiem, żebym zauważył cokolwiek – jesteś niezły, fakt – ale mniej więcej przez ostatni tydzień miałem wrażenie, że patrzą na mnie czyjeś oczy.

– No cóż, intuicyjny z ciebie facet, Scott.

– Nie wiesz nawet, jak bardzo.

– To właśnie intuicja ci podpowiedziała, żeby zadźgać bagnetem pięć kobiet w

Panamie?

Przeszedł do salonu, głowę miał spuszczoną, drapał się palcem wskazującym po szyi. Skrzywił usta w kpiącym uśmiechu.

– No – westchnął głośno do słuchawki. – Z nawiązką odrobiłeś pracę domową, Pat. Bardzo dobrze.

Ironiczny grymas zniknął z jego twarzy, ale drapanie jakby się nasiliło.

– A więc, Pat, jaki masz plan, kolego?

– Nie jestem twoim kolegą – przypomniałem.

– Ojej! Mój błąd. Więc jaki masz plan, dupku?

Roześmiałem się.

– Zaczynasz się irytować, Scott?

Podniósł dłoń do czoła i zaczesał włosy do tyłu. Spojrzał w stronę wypełnionych ciemnością okien. Dotknął czubkiem buta kawałka czarnego plastiku na podłodze.

– Mogę cię przeczekać – oznajmił. – W końcu się zmęczysz. Długo będziesz mnie jeszcze obserwował, jak nic nie robię?

– Tak mówi moja partnerka.

– Ma rację.

– Pozwalam sobie mieć odmienne zdanie, Scottie.

– Naprawdę?

– Jasne. Jak długo możesz czekać? Teraz, kiedy Carrie Dawe wie, kim jest pilot Tim McGoldrick? Kiedy wie, że ty to ten sam facet, który zniszczył życie jej córki?

Scott milczał, ale dobiegł mnie dziwny, cichy, syczący dźwięk, jaki wydaje czajnik, nim woda zacznie się w nim gotować.

– Powiesz mi to, Scottie? – spytałem. – Jestem po prostu ciekaw.

Scott Pearse odwrócił się nagle od ceglanego filaru i ruszył sztywnym krokiem po jasnej, błyszczącej podłodze. Podszedł do wysokiego okna i popatrzył na swoje odbicie, a potem podniósł wzrok i spojrzał w stronę, gdzie mógł dojrzeć jedynie niewyraźny zarys krawędzi dachu, na którym siedzieliśmy.

– Twoja siostra mieszka w Seattle, kurwa. Z mężem i swoimi...

– ...dziećmi, owszem, Scott. Właśnie wybrali się na wakacje – wyjaśniłem. – Pokrywam koszty. Wysłałem im bilety w zeszły poniedziałek, gnojku. Wyjechali dziś rano.

– Kiedyś wrócą.

Spojrzał dokładnie w naszym kierunku, a ja mogłem dostrzec nabrzmiałe żyły na jego szyi.

– Do tej pory, Scottie, będzie już po sprawie.

– Nie tak łatwo mnie poruszyć, Pat.

– Wręcz przeciwnie, Scottie. Facet, który dobija bagnetem umierające kobiety, to facet, który dostaje świra. Więc przygotuj się, Scott, bo ci się to niedługo przytrafi.

Scott Pearse wpatrywał się nieugięcie w szybę swojego okna. Potem rzucił:

– Posłuchaj...

Rozłączyłem się.

Spojrzał na telefon w dłoni, niezmiernie zdumiony, że dwoje ludzi tej samej nocy śmiało przerwać z nim rozmowę.

Skinąłem Nelsonowi głową.

Scott Pearse ścisnął słuchawkę obiema rękami i uniósł ją nad głowę, lecz w tym momencie okno obok niego eksplodowało, gdy Nelson wpakował w nie cztery kule.

Pearse rzucił się do tyłu, na podłogę, a telefon wyleciał mu z dłoni.

Nelson przesunął broń i strzelił ponownie, trzy razy. Okno, przed którym chwilę wcześniej stał Scott, eksplodowało do wewnątrz kaskadą odłamków, jak bryła lodu uderzona młotem.

Pearse przetoczył się gwałtownie na lewy bok i dźwignął do pozycji kucznej.

– Uważaj, żebyś go nie zahaczył – ostrzegłem Nelsona.

Nelson przytaknął i strzelił kilka razy w podłogę, parę centymetrów za stopami Scotta, który czmychał spłoszony, po czym rzucił się do przodu jak kot i skoczył szczupakiem przez bar do kuchni.

Nelson spojrzał na mnie.

Angie oderwała wzrok od policyjnego skanera Bubby, kiedy alarm zainstalowany w mieszkaniu Scotta Pearse'a rozdarł ciszę letniej nocy.

– Mamy jakieś dwie i pół minuty.

Klepnąłem Nelsona w ramię.

– Ile bałaganu możesz narobić w minutę?

Nelson się uśmiechnął.

– Od groma, koleś.

– Wal.

Nelson rozprawił się najpierw z pozostałymi oknami, potem zabrał się za oświetlenie. Wisząca nad barem lampa Tiffany'ego z witrażowym kloszem przez ułamek sekundy wyglądała jak paczka landrynek owocowych trafiona petardą. Halogeny na szynach w kuchni i salonie rozpadły się na strzępy białego plastiku i bladego szkła. Kamery wideo

eksplodowały niebieską i czerwoną fontanną iskier. Nelson zamienił podłogę w morze drzazg, kanapy i wąskie, skórzane leżanki w masę białego śmiecia i wywalił tyle dziur w lodówce, że jedzenie zdążyłoby się popsuć, nim policja spisałaby raport.

– Minuta! – wrzasnęła Angie, przekrzykując huk broni. – Zwijamy się.

Nelson zerknął przez ramię na połyskujący stos mosiężnych łusek.

– Kto ładował amunicję?

– Bubba.

Nelson sapnął uspokojony.

– Jest czysta.

Ruszyliśmy biegiem przez dach, potem zsunęliśmy się na dół zanurzonymi w ciemności schodami pożarowymi. Nelson rzucił mi karabin, wskoczył do swojego chevroleta camaro i wyjechał bez jednego słowa z alejki.

Wleźliśmy do jeepa. Słyszałem odległe wycie syren policyjnych, które rozbrzmiewało wzdłuż Congress Street, od strony molo na drugim końcu nabrzeża.

Wyjechałem na pełnym gazie z alejki i skręciłem z piskiem opon w Congress, przeciąłem port i znalazłem się w mieście. Nie zwalniając, skręciłem na żółtym świetle w prawo, w Atlantic Avenue i zwolniłem, zjeżdżając na lewy pas, potem zawróciłem, ruszając w kierunku południowym. Kiedy dotarłem do trasy szybkiego ruchu, czułem, jak moje serce odzyskuje swój normalny rytm.

Wziąłem do ręki komórkę od Bubby, gdy skręcałem na trasę i nacisnąłem redial.

„Co?", które padło z ust Scotta Pearse'a, brzmiało chrapliwie, syreny w tle umilkły raptownie – radiowozy zajechały pod jego dom.

– Posłuchaj, co ci powiem, Scott. Po pierwsze to telefon sklonowany. Możesz sobie namierzać sygnał, gówno ci to da. Po drugie – wskażesz mnie palcem za to, że ci urządziłem mieszkanie, ja wskażę ciebie za to, że wyciągałeś forsę od doktora i jego żony. Jasne?

– Zabiję cię.

– Super. Wiesz, Scott, to była dopiero rozgrzewka. Chcesz wiedzieć, co szykujemy na jutro?

– Gadaj – rzucił.

– Nie – odparłem. – Poczekasz, zobaczysz. Okej?

– Nie możesz tego zrobić. Nie mnie. Nie mnie! – Jego głos wzniósł się ponad donośne walenie do drzwi wejściowych. – Nie możesz mi tego, kurwa, zrobić!

– Dopiero zacząłem, Scott. Wiesz, jaki to czas?

– Co?

– Czas oglądania się przez ramię, Scottie. Miłej nocy.

Policja dobijała się do jego drzwi, a ja się rozłączałem.

32

Następnego ranka, kiedy Scott Pearse wkładał korespondencję do skrzynki na rogu Marlboro i Clarendon, Bubba wskoczył do jego furgonetki i odjechał.

Pearse się nawet nie zorientował, dopóki Bubba nie skręcił w Clarendon. Zanim rzucił swoją pocztową torbę i ruszył w pościg, jego furgonetka skręcała już w Commonwealth, a Bubba wciskał pedał gazu.

Angie zatrzymała hondę przy skrzynkach pocztowych, wyskoczyłem na chodnik, nie zamykając za sobą drzwi, chwyciłem brezentowy wór z przesyłkami i wgramoliłem się z powrotem do wozu.

Pearse wciąż stał plecami do nas na rogu Clarendon i Commonwealth, kiedy odjeżdżaliśmy.

– Nim dzień dobiegnie końca, jak myślisz, co zrobi? – spytała Angie, kiedy skręcaliśmy w Berklee, ruszając ku Storrow Drive.

– Liczę na coś irracjonalnego.

– Irracjonalne może oznaczać krwawe.

Odwróciłem się na fotelu i rzuciłem worek z listami na tylną kanapę.

– Facet udowodnił, że jak ma czas na myślenie, to i tak załatwia sprawę krwawo. Chcę w takim razie wykluczyć myślenie. Chcę, żeby zareagował.

– A więc kolej na jego samochód? – spytała Angie.

– Hmm...

– Wiem, Patrick, to klasyk. Rozumiem twoje wątpliwości.

– To szczególny klasyk – odparłem z naciskiem. – Prawdopodobnie najbardziej niesamowity wóz, jaki kiedykolwiek wyprodukowano w Stanach.

Położyła mi dłoń na kolanie.

– Powiedziałeś, że będziemy wredni.

Westchnąłem i spojrzałem przez szybę na samochody jadące wzdłuż Storrow Drive. Ani jeden, nawet z tych nieprzyzwoicie drogich, nie umywał się do forda shelby rocznik 68.

– Okej – zgodziłem się. – Bądźmy wredni.

Parkował go w garażu przy A Street w Southie, około półtora kilometra od swojego mieszkania na poddaszu. Nelson widział, jak Scott wyprowadza go pewnej nocy, bez konkretnego powodu. Zdjął dach na nabrzeżu, zrobił rundkę wokół portu i zaprowadził swojego rumaka z powrotem do stajni. Znam wielu podobnych facetów, takich, co to odwiedzają swoje wozy w garażu, jak czworonożnych ulubieńców w hotelu dla zwierząt, a potem, kierowani nielogicznym współczuciem wobec osamotnionego stworzenia, zdejmują z wozu pokrowiec i robią kółko wokół domu.

Prawdę powiedziawszy, jestem jednym z nich. Angie mówiła zawsze, że z tego wyrosnę. Ostatnio stwierdziła jednak, że wyzbyła się już jakiejkolwiek nadziei.

Odebraliśmy kwit w budce, wjechaliśmy dwie kondygnacje wyżej i zaparkowaliśmy obok forda shelby, który nawet pod grubym brezentowym przykryciem miał ten jedyny w swoim rodzaju kształt. Angie poklepała mnie po plecach dla dodania otuchy i ruszyła schodami w dół, na parter, by zająć głowę pracownikowi garażu mapą miasta, turystyczną bezradnością i czarną siatkową koszulką, która nie sięgała paska spodni.

Zdjąłem pokrowiec z wozu i niemal westchnąłem z podziwu. Mustang shelby GT-500 jest tym dla amerykańskiego przemysłu samochodowego, czym Szekspir dla literatury, a sztuka braci Marx dla komedii – innymi słowy, wszystko, co było przedtem, wydaje się z perspektywy czasu tylko bladą zapowiedzią, a nic, co nastąpiło później, nigdy nie dorównało perfekcji osiągniętej w tym jednym krótkim rozbłysku.

Kolana ugięły się pode mną z pożądania. Wczołgałem się pod samochód, przesunąłem dłonią pod podwoziem, między blokiem silnika a przegrodą ogniotrwałą, i macałem przez dobre trzy minuty, nim znalazłem czujnik alarmu. Wyrwałem go, wysunąłem się spod wozu i za pomocą wytrychu otworzyłem drzwi po stronie kierowcy. Wsadziłem rękę do środka i szarpnąłem za dźwignię otwierającą maskę, potem obszedłem wóz i niemal w transie wlepiłem wzrok w napis Cobra na pokrywie filtru i zbiornika oleju, wyczuwając sprężoną, nieomylną moc, którą emanował lśniący silnik 428.

Pod maską pachniało czystością, jakby silnik, chłodnica, wał napędowy i kolektor wydechowy dopiero co zeszły z taśmy. Mustang pachniał jak wóz, o który dba się obsesyjnie. Scott Pearse, bez względu na uczucia, jakie żywił wobec rodzaju ludzkiego, kochał swój samochód.

– Przepraszam – powiedziałem do silnika.

Potem poszedłem do wozu Angie, by wyjąć z bagażnika cukier, syrop czekoladowy i ryż.

Kiedy już umieściliśmy w skrzynce pocztowej w naszej części miasta zawartość torby Pearse'a, wróciliśmy do biura. Zadzwoniłem do Devina i poprosiłem o wszelkie informacje na temat Timothy McGoldricka, on zaś w ramach rewanżu wyciągnął ode mnie moje dwa bilety na październikowy mecz – Patriots kontra Jets.

– Daj spokój – tłumaczyłem. – Czekałem na ten mecz trzynaście lat. Nie pozbawiaj mnie tej przyjemności.

– Jak się pisze to nazwisko?

– Dev, ten mecz jest w poniedziałek wieczorem.

– „Mac" czy tylko „Mc"?

– To drugie – odparłem. – Ty draniu.

– Ty, dowiedziałem się dziś rano, że ktoś rozpieprzył w drobny mak poddasze jednego gościa przy Sleeper Street. Nazwisko ofiary jest mi znajome. Wiesz coś o tym?

– Patriots grają z Jets – powiedziałem wolno.

– Stadion Tuna Bowl – zawołał Devin. – Tuna Bowl! Miejsca na koronie?

– Tak.

– Super. Wkrótce się odezwę.

I odłożył słuchawkę.

Rozsiadłem się w swoim fotelu i oparłem obcasy o parapet okna.

Angie uśmiechnęła się do mnie zza swego biurka. Stary, czarno-biały telewizor za jej plecami, stojący na szafce z dokumentami, był włączony, nadawali jakiś teleturniej. Ludzie klaskali, od czasu do czasu kilku podrywało się z miejsc i siadało, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Głos wysiadł już dawno temu, ale lubimy włączać odbiornik, kiedy pracujemy w mojej wieży. Działa na nas uspokajająco.

– Nie zarobimy na tej sprawie – zauważyła.

– Nie bardzo.

– Właśnie zniszczyłeś samochód, którego przez całe życie pragnąłeś dotknąć.

– Uhm.

– A potem oddałeś bilety na najważniejszy mecz roku.

– Tak jakby – przytaknąłem.

– Rozpłaczesz się?

– Staram się za wszelką cenę tego nie zrobić.

– Bo prawdziwi mężczyźni nie płaczą?

Pokręciłem głową.

– Bo jak zacznę, to nie będę w stanie przestać.

Jedliśmy lunch, gdy Angie wydrukowała streszczenie sprawy do chwili obecnej, a milczący telewizor za jej plecami wyświetlał jakąś operę mydlaną, gdzie wszyscy byli bardzo dobrze ubrani i sprawiali wrażenie, jakby dużo wrzeszczeli. Angie zawsze odznaczała się talentem pisarskim, którego mi brakowało, ponieważ dużo czyta w wolnym czasie, podczas gdy ja oglądam stare filmy i gram na komputerze w golfa.

Przedstawiła sprawę, korzystając z moich notatek, które opisywały pierwsze spotkanie z Karen Nichols, podszywanie się Scotta Pearse'a pod Wesleya Dawe, zmasakrowanie Milesa Lovella, zniknięcie Diane Bourne, zamianę dziecka przed czternastu laty i śmierć małej dziewczynki pod lodem, pojawienie się w ich życiu Pearse'a, wreszcie nasz frontalny atak na osobę Scotta, co zostało sformułowane oględnie jako „wykorzystanie znanych nam słabości danego osobnika".

Angie wręczyła mi ostatnią stronę.

– Oto mój problem – stwierdziła.

Pod nagłówkiem „Rokowania" napisała: „Osobnik, jak się zdaje, nie ma już realnych możliwości pozbawienia państwa Dawe pieniędzy. Stracił zdolność skutecznego wywierania nacisku, kiedy C. Dawe zdała sobie sprawę z fałszywej tożsamości T. McGoldricka. Wykorzystanie słabości wspomnianego osobnika, choć emocjonalnie satysfakcjonujące, nie wydaje się przynosić finalnego rozwiązania".

– Finalnego – powiedziałem ironicznie.

– Podoba ci się?

– I Bubba mi zarzuca, że popisuję się swoim wykształceniem.

– A teraz poważnie – oznajmiła, odkładając kawałek indyka na woskowany papier obok podkładki pod myszkę. – Jaki mógłby mieć jeszcze realny powód, by dalej prześladować państwa Dawe? Załatwiliśmy go na dobre. – Spojrzała na zegar wiszący nad jej głową. – Już pewnie go zawiesili albo wywalili za utratę wozu i korespondencji. Mustang jest rozpieprzony. Mieszkanie w ruinie. Nie ma już nic.

– Ma jeszcze jakiś atut w zanadrzu – powiedziałem.

– Jaki?

– Nie wiem. Ale to były wojskowy. Uwielbia gry. Ma jakieś wyjście awaryjne, jakiegoś asa w rękawie. Wiem to.

– Nie zgadzam się z tobą. Myślę, że jest załatwiony.

– Przyjemnie się tego słucha.

Wzruszyła ramionami i odgryzła kawałek kanapki.

– Więc chcesz zamknąć sprawę? – spytałem.

Przytaknęła, przełknęła i pociągnęła łyk coli.

– Jest załatwiony. Myślę, że go ukaraliśmy. Nie przywróciliśmy życia Karen Nichols, ale wstrząsnęliśmy trochę jego światem. Miał w zasięgu ręki kilka milionów, a myśmy zabrali mu je sprzed nosa. Wsadziliśmy mu szpilę. To koniec.

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Trudno było się nie zgodzić z Angie. Państwo Dawe byli już gotowi ponieść konsekwencje zamiany dziecka, jakiej kiedyś dokonali. Carrie Dawe nie zamierzała już dłużej ulegać urokom McGoldricka-Perase'a. Nie wyglądało na to, by Pearse mógł odebrać im pieniądze. Poza tym byłem absolutnie przekonany, że nie spodziewał się naszego ataku, a potrafimy mocno uderzyć, jeśli ktoś nas naprawdę rozwścieczy.

Wcześniej miałem nadzieję, że uda nam się wkurzyć go do tego stopnia, by zrobił coś głupiego. Ale co? Dobrał się do mnie, Angie albo Bubby? Nic by na tym nie zyskał. Wściekły czy nie, rozumiał to. Gdyby zabił Angie, podpisałby na siebie wyrok śmierci. Zabiłby mnie i miałby na karku Bubbę i moją dokumentację sprawy. A jeśli chodzi o Bubbę, Pearse musiał wiedzieć, że równie dobrze mógłby uzbrojony w pistolet na wodę przypuścić atak na wóz pancerny. Może i by mu się udało, ale odniósłby przy okazji poważne obrażenia. I znów, co by przez to osiągnął?

Musiałem się więc zasadniczo zgodzić z Angie. Scott Pearse, jak się wydawało, nie stanowił już dla nikogo zagrożenia.

I to mnie właśnie martwiło. To jest dokładnie ten moment, kiedy uważasz przeciwnika za tak bezbronnego, że to ty, nie on, jesteś narażony na największe niebezpieczeństwo.

– Dwadzieścia cztery godziny – powiedziałem. – Możesz mi tyle dać?

Przewróciła oczami.

– No dobra, Banaczek, ale ani sekundy więcej.

Ukłoniłem się z wdzięcznością. Zadzwonił telefon.

– Halo?

– Atakują! – wrzasnął Devin. – Zaraz zdobędą punkt!

– Używaj sobie – powiedziałem. – Rana wciąż jest świeża.

– Timothy McGoldrick – oznajmił Devin. – Jest ich całe mnóstwo. Ale jeden się wyróżnia – urodzony w 1965, zmarł w 1967. Wystąpił o prawo jazdy w 1994.

– Nie żyje, ale jeździ.

– Niezła sztuczka, co? Mieszka przy Congress Street 116.

Potrząsnąłem głową, zdumiony tupetem tego faceta. Miał poddasze pod numerem 25 przy Sleeper Street i drugie mieszkanie przy Congress. Nie było daleko z jednego do

drugiego, było nawet bardzo blisko, jeśli człowiek sobie uświadomił, że budynek przy Sleeper Street graniczył też z jednej strony z Congress i że oba adresy mieściły się pod jednym dachem.

– Jesteś tam? – spytał Devin.

– Tak.

– Nic nie ma na tego faceta. Jest czysty.

– Tyle, że nie żyje.

– Fakt, to może zainteresować urząd statystyczny.

Odłożył słuchawkę, a ja zadzwoniłem do państwa Dawe.

– Halo? – spytała Carrie Dawe.

– Mówi Patrick Kenzie – powiedziałem. – Czy pani mąż jest w domu?

– Nie.

– To dobrze. Gdzie spotykała się pani z McGoldrickiem, kiedy się widywaliście?

– Dlaczego pan pyta?

– Proszę powiedzieć.

Westchnęła.

– Wynajmował mieszkanie przy Congress.

– Na rogu Congress i Sleeper?

– Tak. Skąd pan...

– Nieważne. Myśli pani jeszcze o tej broni w New Hampshire?

– Myślę o niej nawet w tej chwili.

– Jest zrujnowany – powiedziałem. – Nie może już pani skrzywdzić.

– Już to zrobił, panie Kenzie. I skrzywdził moją córkę. Co mam z tym zrobić? Wybaczyć?

Odłożyła słuchawkę, a ja spojrzałem na Angie.

– Nie ciekawi mnie zbytnio w tej chwili stan emocjonalny Carrie Dawe – stwierdziłem.

– Myślisz, że może go stuknąć?

– Niewykluczone.

– Co chcesz zrobić?

– Zdjąć chwilowo Nelsona z Pearse'a. Niech pilnuje Christophera i Carrie Dawe.

– Ile bierze od ciebie Nelson?

– To nieistotne.

– Gadaj.

– Sto pięćdziesiąt dolców dziennie – powiedziałem.

Jej oczy zrobiły się okrągłe.

– Płacisz mu tysiąc pięćdziesiąt tygodniowo?

Wzruszyłem ramionami.

– Taka jest jego cena.

– Zbankrutujemy.

Podniosłem palec wskazujący.

– Jeszcze jeden dzień.

Rozłożyła ręce.

– Dlaczego?

Na ekranie telewizora za jej plecami przerwano operę mydlaną, by nadać na żywo wiadomości znad brzegu Mystic River.

– Dlatego – mruknąłem i wskazałem ekran.

Odwróciła się i spojrzała na monitor w chwili, gdy płetwonurkowie wyciągali z wody drobne ciało, a kilku znużonych detektywów starało się odsunąć kamerzystów na bok.

– O, cholera – powiedziała tylko Angie.

Popatrzyłem na małą, szarą twarz, kiedy głowa spoczęła na mokrych skałach, potem detektywi zdołali zasłonić obiektywy kamer dłońmi.

Siobhan. Nie musiała się już martwić, że ją odeślą do Irlandii.

Zeszłej nocy, gdy tylko policja minęła samochód Nelsona na nabrzeżu, miał zawrócić i pojechać z powrotem na miejsce, zaparkować kilka przecznic dalej i obserwować dom Pearse'a, by sprawdzić, czy ten nie wybierze się gdzieś po odjeździe funkcjonariuszy.

Dopóki Nelson wykonywał swoją robotę, nie miałem nic przeciwko temu, żeby płacić mu tysiąc tygodniowo. Była to niewygórowana cena za wiedzę dotyczącą posunięć Pearse'a.

Ale zbyt wysoka za spieprzoną robotę.

– Słowo daję, obserwowałem go – zarzekał się Nelson, kiedy zadzwoniłem do niego na komórkę. – Teraz też go obserwuję, stary. Siedzę na nim jak pchła na psie.

– Opowiedz mi, co się działo zeszłej nocy.

– Gliniarze zawieźli go do Meridian Hotel. Wysiadł z radiowozu, wszedł do środka. Gliniarze odjechali. Wyszedł z hotelu, zatrzymał taksówkę i pojechał pod swój dom.

– Wszedł do mieszkania?

– Nie, cholera. Ale wszedł do budynku. Nie wiem dokładnie gdzie.

– Co, w żadnym oknie nie zapaliło się światło?

– Ten cholerny dom to niezłe gmaszysko, człowieku. Z jednej strony Sleeper Street, z drugiej Congress i jeszcze dwie alejki. Jak mam tego wszystkiego pilnować?

– Ale wszedł do środka i pozostał tam?

– Tak. Dopóki nie wyszedł rano do roboty. Wrócił dopiero pół godziny temu. Wyglądał na wkurzonego. Wlazł do budynku i dotąd tam siedzi.

– Udało mu się kogoś zabić zeszłej nocy.

– Bzdura.

– Przykro mi, Nelson, ale musi być z tego domu jakieś wyjście, o którym nie wiemy.

– Gdzie mieszkała ofiara?

– W Canton. Wyciągnęli ją po południu z Mystic.

– Bzdura – powtórzył, tym razem stanowczo. – Patrick, jak gliniarze skończyli z nim zeszłej nocy, była... czekaj... prawie czwarta rano. Poszedł do pracy o siódmej. Jak miał się wymknąć z budynku, żebym tego nie zauważył, dostać się jakoś aż do pieprzonego Canton, załatwić kogoś, przewieźć ciało w okolice pieprzonego North Shore, a potem... co? Wraca do domu, przemyka się obok mnie i szykuje się do pracy? Pogwizduje sobie przy goleniu i sraniu? Jak zdołałby zrobić to wszystko?

– To niemożliwe – przyznałem.

– Masz rację, kurwa, niemożliwe. Mógł w życiu popełnić kupę draństwa, Patrick, ale w ciągu ostatnich dziesięciu godzin nie zrobił nic.

Odłożyłem słuchawkę i znużony przesunąłem wewnętrzną stroną dłoni po oczach.

– Co się stało? – zainteresowała się Angie.

Opowiedziałem jej.

– I Nelson jest pewien? – spytała, kiedy skończyłem.

Przytaknąłem.

– Więc jeśli nie Pearse ją zabił, to kto?

Z trudem się powstrzymałem, by nie walnąć głową o blat biurka.

– Nie mam pojęcia.

– Carrie?

Uniosłem zdziwiony brwi.

– Carrie? Dlaczego?

– Może się zorientowała, że Siobhan pracuje dla Pearse'a.

– Jakim cudem? Nie powiedzieliśmy jej.

– Ale to inteligentna kobieta. Może... – Uniosła dłonie w geście bezradności, potem je opuściła. – Cholera. Nie wiem.

Potrząsnąłem głową.

– Nie widzi mi się to jakoś. Carrie jedzie do Canton, załatwia Siobhan, wiezie ją nad brzeg Mystic i wrzuca ciało do wody? Jak zdołała je unieść? Ta kobieta waży mniej od ciebie. Do diabła, skąd w ogóle pomysł, żeby wlec zwłoki na drugi koniec miasta i tam się ich pozbyć?

– Może nie zabiła jej w Canton? Może zwabiła ją nad rzekę?

– Mogę się zgodzić, że ktoś ją zwabił. Ale Carrie tu po prostu nie pasuje. Nie mówię, że nie mogłaby zabić. Owszem, mogłaby. Ale to wrzucenie ciała do wody nie daje mi spokoju. Jest zbyt chłodne. Zbyt metodyczne.

Angie odchyliła się na krześle, wzięła słuchawkę do ręki i wystukała jakiś numer.

– Hej – rzuciła. – Nie mam biletów na mecz, ale możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie?

Słuchała, kiedy Devin mówił coś po drugiej stronie.

– Nie, nic w tym rodzaju. Chodzi o tę kobietę, którą wyciągnęli właśnie z Mystic. Jaka była przyczyna śmierci? – Przytaknęła. – W tył głowy? Okej. Dlaczego wypłynęła tak szybko? – Znów przytaknęła kilka razy. – Dzięki. Co? Spytam Patricka i ci powiem. – Uśmiechnęła się i popatrzyła na mnie. – Tak, Dev, znów jesteśmy razem. – Zakryła dłonią słuchawkę i zwróciła się do mnie: – Chce wiedzieć, jak długo wytrwamy.

– Przynajmniej do matury – odparłem.

– Przynajmniej do matury. Szczęściara ze mnie, co? – oznajmiła Devinowi. – Pogadamy niebawem.

Odłożyła słuchawkę.

– Siobhan znaleziono z liną wokół talii. Przypuszcza się, że była przywiązana do jakiegoś ciężaru i opadła na dno, gdzie coś przegryzło sznur i wyżarło jej część biodra. Wcale nie miała wypłynąć.

Wstałem, odsuwając energicznie krzesło, podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę.

– Jakikolwiek będzie jego następny ruch, wykona go szybko.

– Ale ustaliliśmy, że nie mógł jej zabić.

– Ale stoi za tym – powiedziałem. – Pojebaniec stoi za wszystkim.

Po wyjściu z biura poszliśmy do mojego mieszkania. Gdy tylko przekroczyliśmy próg salonu, zadzwonił telefon. Tak jak wtedy, tamtego wczesnego ranka przy City Hall Plaza, wiedziałem, że to on, jeszcze zanim podniosłem słuchawkę.

– To było bardzo zabawne – powiedział. – Załatwiłeś, że mnie zawiesili, Patrick. Ha,

ha!

– Przykre, co?

– Zawieszenie?

– Świadomość, że ktoś ci robi koło pióra i że to jeszcze może trochę potrwać.

– Doceniam ironię, żebyś wiedział. Jestem pewien, że któregoś dnia spojrzę na to wszystko i będę się z tego śmiał. I to zdrowo.

– Albo i nie.

– Mniejsza z tym – odparł cicho. – Posłuchaj, powiedzmy, że jesteśmy kwita. Okej? Ty pójdziesz swoją drogą, ja swoją.

– Jasne, Scott – powiedziałem. – Okej.

Nie odzywał się przez minutę.

– Jesteś tam jeszcze? – spytałem.

– Tak. Zaskoczyłeś mnie, Patrick, słowo daję. Mówisz poważnie, czy robisz mnie w konia?

– Mówię poważnie – zapewniłem. – Tracę tylko forsę, a ty nie możesz się już dobrać do pieniędzy państwa Dawe, więc powiedzmy, że jest remis.

– Gdyby tak rzeczywiście było, to po co rozwalałbyś mi mieszkanie, kumplu? Po co kradłbyś mi furgonetkę?

– By się upewnić, że coś zrozumiałeś.

Parsknął śmiechem.

– Udało ci się. Z pewnością. Brawo, sir, brawo. Pozwól, że cię spytam – wylecę w powietrze, jak następnym razem uruchomię silnik w swoim wozie?

Znów się roześmiał, a ja mu zawtórowałem.

– Dlaczego tak myślisz, Scott?

– No – odparł wesoło – dobrałeś się do mojego domu, potem do mojej pracy, więc logicznie rzecz biorąc, teraz kolej na mój samochód.

– Nie wyleci w powietrze, kiedy go uruchomisz, Scott.

– Nie?

– Nie. Ale jestem też pewien, że go więcej nie uruchomisz.

Jego śmiech zagrzmiał ogłuszająco.

– Spieprzyłeś mi samochód?

– Przykro mi cię o tym powiadomić, ale tak.

– O Jezu! – Jego śmiech nasilał się przez chwilę, potem zaczął przygasać i w końcu w słuchawce rozległ się tylko cichy chichot. – Cukier w baku, kwas w silniku? Zgadłem?

– Cukier, owszem. Kwas, nie.

– Więc co, hę? – Niemal usłyszałem, jak zastyga mu uśmiech na twarzy. – Zawsze uważałem cię za pomysłowego gościa.

– Syrop czekoladowy – wyjaśniłem. – I około pół kilograma surowego ryżu.

Zarżał radośnie.

– W silniku?

– Uhm.

– Uruchomiłeś go na chwilę, draniu?

– Pracował, jak wychodziłem z garażu – odparłem. – Dźwięk nie był przyjemny, ale pracował.

– No, no – powiedział z uznaniem. – A więc, Patrick, twierdzisz, że rozwaliłeś mi silnik, który remontowałem przez lata. I... i... zniszczyłeś bale, filtry, w ogóle wszystko z wyjątkiem wnętrza.

– Tak, Scott.

– Mógłbym... – Zachichotał. – Mógłbym cię zabić, kolego. Gołymi rękami.

– Domyślam się. Scott?

– Tak?

– Nie skończyłeś jeszcze z doktorem i Carrie, co?

– Spieprzyłeś mi samochód – powiedział cicho.

– Skończyłeś z nimi?

– Muszę już iść, Patrick.

– Jak wygląda plan awaryjny? – spytałem.

– Jestem gotów wybaczyć zawieszenie w pracy a nawet zniszczenie mojego mieszkania, ale jeśli chodzi o samochód, to muszę się zastanowić. Powiem ci, co zdecydowałem.

– Co na nich masz? – spytałem.

– Nie rozumiem.

– Na Christophera i Carrie Dawe – wyjaśniłem. – Co na nich masz, Scott?

– Ustaliliśmy chyba, że sobie odpuszczamy nawzajem, Patrick. Tak miałem nadzieję zakończyć tę rozmowę – wiedząc, że ty i ja nigdy więcej się nie spotkamy.

– Pod warunkiem, że zostawisz ich w spokoju.

– No dobra, zgoda.

– Ale nie możesz tego zrobić, prawda, Scott?

Wydał ulotne, prawie niesłyszalne westchnienie.

– Sprawiasz wrażenie niepewnego szachisty, Patrick. Mam rację?

– Nie. Po prostu nie zorientowałem się jeszcze, o co chodzi w tej grze.

– Dlaczego?

– Jeden mój przyjaciel powiada, że jestem dobry taktycznie, ale mam jedną wadę – nie widzę całej szachownicy.

– Ha – mruknął Scott Pearse. – Też bym tak powiedział.

Potem się rozłączył.

Spojrzałem na Angie, odkładając słuchawkę.

– Patrick – powiedziała, potrząsając wolno głową.

– Tak?

– Może nie odbieraj przez jakiś czas telefonów.

Postanowiliśmy zostawić Nelsona na warcie pod mieszkaniem Scotta Pearse'a, sami zaś udaliśmy się pod dom państwa Dawe, by obserwować go z bezpiecznej odległości.

Przesiedzieliśmy w wozie do późnego wieczoru, kiedy już dawno pogasły światła w ich oknach, a zapaliły się te na zewnątrz.

Po powrocie położyłem się na łóżku, żeby zaczekać na Angie, która brała prysznic i starałem się zwalczyć sen, ból i napięcie mięśni wywołane przesiadywaniem w ciągu dnia i nocy w samochodzie albo na dachu, a także dręczące poczucie niepokoju, że coś przeoczyłem, że Pearse wyprzedza mnie o kilka ruchów.

Moje powieki opadły, ale uniosłem je gwałtownie, słysząc szum prysznica; wyobraziłem sobie ciało Angie pod strugami wody. Postanowiłem wstać z łóżka i dać sobie spokój z grą wyobraźni, skoro mogłem doświadczyć tego na jawie.

Moje ciało jednak nie drgnęło, a powieki znów opadły. Łóżko zdawało się falować pode mną łagodnie, jakbym leżał na tratwie i płynął po tafli jeziora.

Nie usłyszałem nawet, jak w łazience milknie prysznic. Nie usłyszałem, jak Angie kładzie się do łóżka i gasi światło.

– Tędy – mówi mój syn i bierze mnie za rękę, kiedy wychodzimy z miasta. Clarence biegnie obok nas, dysząc i posapując cicho. Za chwilę wzejdzie słońce – miasto pogrążone jest w głębokim, metalicznym błękicie. Schodzimy z krawężnika, dłoń mojego syna spoczywa w mojej. Świat staje się czerwony i z wolna wypełnia go mgła.

Jesteśmy na mokradłach żurawiny i przez chwilę – świadom przebywania we śnie –

wiem, że to niemożliwe, by zejść po prostu z chodnika w śródmieściu i wylądować w Plymouth, ale w końcu to sen, myślę sobie, a takie rzeczy zdarzają się w snach. Nie mam syna, a jednak jest tutaj i ciągnie mnie za rękę, Clarence jest martwy, a jednak żyje.

Więc podążam dalej. Poranna mgła jest gęsta i biała, Clarence szczeka gdzieś z przodu, zagubiony w mlecznej chmurze, kiedy razem z synem schodzimy z miękkiego brzegu na drewnianą kładkę. Nasze kroki odbijają się echem od desek, gdy idziemy przez kłęby bieli, a ja z każdym krokiem widzę coraz wyraźniejszy zarys szopy.

Clarence znów szczeka, ale zgubiliśmy go we mgle.

– Powinno być głośno – odzywa się mój syn.

– Co?

– Jest duże – mówi. – Cztery dodać dwa, dodać osiem równa się czternaście.

– Tak.

Nasze kroki powinny przybliżać nas do szopy, ale tak nie jest. Szopa wynurza się z mgły dwadzieścia metrów dalej, lecz choć idziemy szybko, odległość się nie zmienia.

– Czternaście jest ciężkie – mówi mój syn. – Jest głośne. Usłyszałbyś. Zwłaszcza tutaj.

– Tak.

– Usłyszałbyś. Dlaczego więc nie słyszysz?

– Nie wiem.

Mój syn podaje mi atlas. Jest otwarty na mapie tej okolicy, kropka mokradeł żurawiny otoczona ze wszystkich stron lasem, z wyjątkiem tej strony, z której tu niegdyś przyjechałem.

Upuszczam atlas, który niknie we mgle. Coś pojmuję, lecz z miejsca zapominam, co to było.

Mój syn mówi:

– Lubię nić dentystyczną. Lubię, jak przesuwa się między zębami.

– To dobrze – odpowiadam, wyczuwając na deskach jakieś drżenie z przodu. Podąża szybko przez mgłę, zbliżając się do nas. – Masz wspaniale zęby.

– Nie może mówić z odciętym językiem – mówi.

– Nie – przyznaję. – Byłoby trudno.

Grzmot narasta. Szopa ginie w oparach białej mgły. Nie widzę desek pod stopami. Nie widzę stóp.

– Powiedziała w liczbie mnogiej.

– Kto?

Potrząsa głową, patrząc na mnie.

– Nie „on”, ale „oni”.

– Zgadza się. Pewnie.

– Mamy nie ma w tej szopie, prawda?

– Nie. Mama jest na to za mądra.

Wpatruję się zmrużonymi oczami w mgłę, która otacza nas coraz bardziej. Chcę zobaczyć, co tak grzmi.

– Czternaście – mówi mój syn, a gdy patrzę na niego z góry, widzę, że na małym ciele chłopca osadzona jest głowa Scotta Pearse'a. Łypie na mnie okiem w oparach mgły. – Czternaście powinno być cholernie głośne, ty głupku.

Grzmot jest teraz blisko, tuż tuż, wpatruję się zmrużonymi oczami w mgłę i widzę ciemny kształt, który unosi się w powietrzu z rozpostartymi ramionami, mknąc w moją stronę przez gęstą jak wata cukrowa biel.

– Jestem mądrzejszy od ciebie – mówi do mnie Scott Pearse-mój syn.

I z mgły wynurza się gwałtownie warcząca twarz z prędkością niemal stu kilometrów na godzinę – warcząca, uśmiechnięta, zdyszana, z obnażonymi zębami.

To twarz Karen Nichols, a potem twarz Angie osadzona na nagim ciele Vanessy Moore, a potem to twarz Siobhan z martwą skórą i martwymi oczami, wreszcie to Clarence, który uderza mnie czterema łapami i przewraca na plecy. Powinienem upaść na deski, ale znikają i spadam w mgłę, zaczynam się w niej dusić.

Usiadłem na łóżku.

– Kładź się spać – wymamrotała Angie z twarzą przyciśniętą do poduszki.

– Pearse nie przyjechał samochodem nad mokradło – powiedziałem.

– Nie przyjechał – powtórzyła do pościeli. – Okej.

– Przyszedł na piechotę – oświadczyłem. – Ze swojego domu.

– Wciąż śnisz – zauważyła.

– Nie. Jestem przytomny.

Uniosła głowę znad poduszki i spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

– Nie możesz z tym poczekać do rana?

– Jasne.

Opadła z powrotem na łóżko i zamknęła oczy.

– Ma dom – powiedziałem cicho do nocnej ciemności. – W Plymouth.

33

Jedziemy do Plymouth, bo twój syn rozmawiał z tobą we śnie? – spytała Angie, kiedy skręciliśmy na trasę, przy rozjeździe w Braintree.

– No, to nie jest mój syn. To znaczy jest nim we śnie, ale w tym śnie Clarence jest żywy, a oboje wiemy, że nie żyje, poza tym nie można zejść z chodnika i znaleźć się w Plymouth, a nawet gdyby można było...

– Dość. – Podniosła dłoń. – Rozumiem. Więc ten dzieciak, który jest twoim synem, ale nim nie jest, bełkocze coś o tym, że cztery dodać dwa, dodać osiem to czternaście i...

– Nie bełkotał – sprostowałem.

– ... i co to niby miało znaczyć?

– Cztery-dwa-osiem – odparłem. – Silnik mustanga shelby.

– O, Jezu – jęknęła. – Znów ten cholerny wóz? To tylko samochód, Patrick. Rozumiesz? Nie może cię pocałować, gotować, przytulić ani podać ci dłoni.

– Tak, siostro Angelo Zazdrosna. Rozumiem to. Silnik cztery-dwa-osiem był najpotężniejszym silnikiem swojego czasu. Nic nie mogło mu dorównać na drodze i...

– Nie pojmuję co...

– ...i robi mnóstwo hałasu, kiedy się go uruchamia. Myślisz, że porsche jest głośne? W porównaniu z cztery-dwa-osiem porsche jest ciche jak mysz.

Uderzyła dłońmi o deskę rozdzielczą wozu.

– Więc?

– Słyszałaś tamtego wieczoru na mokradłach coś, co przypominałoby silnik? Naprawdę duży silnik? Daj spokój.

Spojrzałem na mapę, zanim ruszyliśmy za Lovellem. Tam prowadziła tylko jedna droga. Ta, którą jechaliśmy. Najbliższy trakt od strony Pearse'a ciągnął się przez ponad trzy kilometry przez las.

– Więc przyszedł piechotą.

– Po ciemku?

– Pewnie.

– Po co? – spytałem. – Nie mógł wiedzieć, że będziemy śledzić Lovella aż do tego

miejsca. Dlaczego nie zaparkował po prostu na polanie, tam gdzie się zatrzymaliśmy? A nawet gdyby coś podejrzewał, miał do wyboru drogę w odległości kilometra na wschód. Więc dlaczego poszedł na północ?

– Bo chciał się przejść? Nie wiem.

– Bo tam mieszka.

Oparła się bosymi stopami o deskę i przesunęła dłonią po czole.

– To najgłupsze przeczucie, jakie kiedykolwiek miałeś.

– Pewnie – odparłem. – Ponarzekaj sobie. To pomaga.

– Zdarzały ci się już idiotyczne przeczucia.

– Czym popijesz gorycz porażki? Winem czy piwem?

Wsunęła głowę między kolana.

– Jeśli się mylisz, do diabła z porażką, będzie ci głupio do końca tego tysiąclecia.

– Dzięki Bogu jest już blisko – zauważyłem.

Mapa zajmowała niemal całą wschodnią ścianę w biurze taksatora podatkowego w Plymouth. Urzędnik za kontuarem, nieprzypominający w niczym głupawego, łysawego okularnika, jakiego można by się spodziewać w takim miejscu, był wysoki, dobrze zbudowany, jasnowłosy i sądząc po ukradkowych spojrzeniach rzucanych przez Angie, stanowił typ przystojniaka.

Żigolo, mógłbym przysiąc. Powinno istnieć prawo, które zakazuje takim facetom opuszczania plaży.

Minęło kilka minut, nim zidentyfikowałem na mapie mokradło, gdzie dotarliśmy, idąc za Lovellem. Plymouth jest dosłownie przeżarte mokradłami, porośniętymi żurawiną błotną. Zła wiadomość dla kogoś, kto nie znosi zapachu tych owoców, dobra dla kogoś, kto chce je uprawiać.

Nim znalazłem właściwe mokradło, ze cztery razy przyłapałem żigolaka podatkowego, jak obserwował miejsce, w którym postrzępiony brzeg obciętych dżinsów Angie ukazywał coś więcej niż tylko górną część jej uda.

– Palant – mruknąłem pod nosem.

– Co powiedziałeś? – spytała Angie.

– Powiedziałem: „Popatrz”.

Wskazałem miejsce na mapie. Dokładnie na północ od środkowej części mokradła, według moich obliczeń w odległości mniej więcej pół kilometra, widniało coś, co zaznaczono jako parcela 865.

Angie odwróciła się od mapy i oświadczyła żigolakowi:

– Jesteśmy zainteresowani nabyciem działki osiem sześć pięć. Może nam pan powiedzieć, kto jest jej właścicielem?

Żigolak obdarzył ją uśmiechem, błyskając najbielszymi zębami, jakie widziałem u faceta, jeśli pominąć Davida Hasselhoffa. Nakładki wybielające, pomyślałem. Mogłem się założyć, że drań nosił nakładki.

– Oczywiście. – Jego palce przemknęły po klawiaturze komputera. – Osiem sześć pięć. Zgadza się?

– Jak najbardziej – odparła Angie.

Wlepiłem wzrok w mapę. Działka była samotna. Nie zauważyłem parceli numer osiem sześć sześć ani osiem sześć cztery. Niczego w promieniu co najmniej dwudziestu akrów, może nawet dalej.

– Nawiedzone Miejsce – oznajmił cicho żigolak, nie odrywając oczu od monitora.

– To znaczy?

Podniósł wzrok, uświadamiając sobie poniewczasie, jak się zorientowałem, że niechcący wypowiedział te słowa na głos.

– No cóż... – Posłał nam pełen zakłopotania uśmiech. – Kiedy byliśmy dzieciakami, nazywaliśmy ten teren Nawiedzonym Miejscem. Podpuszczaliśmy się nawzajem, żeby przejść tamtędy.

– Dlaczego?

– To długa historia. – Znów skierował wzrok na klawiaturę. – Nie wiadomo dokładnie...

– Ale...? – spytała Angie, nachylając się nad kontuarem.

Żigolak wzruszył ramionami.

– Słuchajcie, minęło ponad trzydzieści lat. Nie było mnie nawet na świecie.

– Pewnie – wtrąciłem. – Trzydzieści lat.

Nachylił się w naszą stronę, oczy mu błysnęły jak u starego plotkarza, który zamierza zdradzić coś smakowitego i oznajmił przyciszonym głosem:

– W latach pięćdziesiątych funkcjonował tam podobno jakiś wojskowy ośrodek badawczy. Nie był wielki, jak twierdzili moi rodzice, kilka kondygnacji, ale naprawdę tajny.

– Jakie badania tam prowadzono?

– Na ludziach. – Zasłonił pięścią nerwowy śmiech. – Przypuszczalnie na chorych psychicznie i opóźnionych w rozwoju. Rozumiecie, tego się właśnie baliśmy jako dzieci – że krążą tam duchy tych wariatów. – Podniósł ręce i odsunął się od kontuaru. – Może to wszystko była bujda, a rodzicie chcieli po prostu, żebyśmy trzymali się z daleka od tego

mokradła.

Angie obdarzyła go swym najbardziej lubieżnym uśmiechem.

– Ale pan wie swoje, prawda?

Jego skóra o barwie kości słoniowej oblała się rumieńcem.

– No cóż, sprawdziłem to kiedyś.

– I?

– I rzeczywiście, stał tam jakiś budynek do 1964, kiedy go zburzono albo spalono. Ziemia do 1995 była własnością rządu, potem sprzedano ją na licytacji.

– Komu? – spytałem.

Spojrzał na monitor.

– Według dokumentów właścicielem działki osiem sześć pięć jest Bourne. Diane Bourne.

Biblioteka w Plymouth dysponowała mapą lotniczą całego miasta. Była stosunkowo nowa, zdjęcie wykonano zaledwie przed rokiem w bezchmurny dzień. Rozłożyliśmy ją na dużym stole w czytelni i posługując się szkłem powiększającym, które wycyganiliśmy od bibliotekarki, znaleźliśmy po około dziesięciu minutach mokradło, potem przesunęliśmy się o ułamek centymetra w prawo.

– Nic tam nie ma – powiedziała Angie.

Przesuwałem lupę po kawałeczku nad niewyraźną plamą zieleni i brązu. Nie widziałem niczego, co przypominałoby dach.

Uniosłem nieco szkło powiększające i przyjrzałem się całemu obszarowi.

– Patrzymy na właściwe mokradło?

Pod lupą pojawił się palec Angie.

– Tak. Tu jest droga dojazdowa. A to wygląda jak ta szopa. Tu jest las. To tutaj. Kiepski ten twój proroczy sen.

– Właścicielką tej ziemi jest Diane Bourne – przypomniałem. – Chcesz mi powiedzieć, że to nic nie znaczy?

– Mówię ci tylko, że nie ma tu żadnego domu – upierała się.

– Jest – odparłem. – Musi być.

Owady się wkurzały. Był kolejny wilgotny dzień, powierzchnia mokradła parowała gorącem, żurawiny roztaczały ostrą woń i psuły się w upale. Słońce uderzało z góry jak ostrzem brzytwy, a komary, wyczuwając nasze ciała, dostały szału.

Angie waliła się po nogach i szyi tak często, że wkrótce nie mogłem odróżnić, które z czerwonych placków na jej skórze są rezultatem ukąszeń, a które uderzeń dłoni.

Przez chwilę próbowałem stosować sztuczkę z arsenału zen, która polegała na ignorowaniu komarów, krótko mówiąc, starałem się sprawić siłą woli, by moje ciało wydało im się nieatrakcyjne. Jednak po kilkuset ukąszeniach pomyślałem sobie, pieprzyć zen.

Przycupnęliśmy przy linii drzew po wschodniej stronie mokradła i popatrzyliśmy przez lornetkę. Jeśli Scott Pearse z oddziałów specjalnych, ten od masakry w panamskim burdelu, krył się gdzieś w zaroślach, to byłem pewien, że natrafiłbym po drodze na druty rozciągnięte tuż przy ziemi, niewidoczne gołym okiem pułapki i skaczące miny, które podałyby w wątpliwość sens stosowania przeze mnie na stare lata wiagry.

Ze swego miejsca widziałem jednak tylko gęstwinę zarośli, spalone słońcem krzewy jeżyn, uschnięte brzozy, poskręcane sosny i kruszejący mech o fakturze azbestu. Była to brzydka połać ziemi, która cuchnęła i budziła irytację w tym upale.

Spenetrowałem każdy zakątek w zasięgu lornetki, którą Bubba dostał od jednego faceta z navy SEAL i nawet przy całej jej mocy i ostrości obrazu, nie mogłem nigdzie dostrzec domu.

Angie utłukła następnego komara.

– Zaraz umrę.

– Widzisz coś?

– Nic.

– Przyjrzyj się gruntowi.

– Po co?

– Dom może się znajdować pod ziemią.

Angie znowu klepnęła się po ciele.

– Dobra.

Po kolejnych pięciu minutach krew ciekła nam z każdego pora skóry, a my nadal nie widzieliśmy nic z wyjątkiem leśnego poszycia, sosnowych igieł, wiewiórek i mchu.

– Musi gdzieś tam być – upierałem się, kiedy szliśmy z powrotem przez mokradło.

– Nie zamierzam prowadzić tu obserwacji.

– Nie proszę cię o to.

Wsiedliśmy do porsche. Przesunąłem wzrokiem po mokradle i lesie.

– Tu się ukrywa – oznajmiłem z przekonaniem.

– W takim razie powiedziałabym, że robi to bardzo dobrze – zauważyła Angie.

Uruchomiłem silnik, oparłem się łokciem o kierownicę i wlepiłem wzrok w drzewa.

– Zna mnie.

– Co?

Zerknąłem na szopę pośrodku mokradła.

– Pearse. Zna mnie. Potrafi mnie rozgryźć.

– A ty jego – odparła Angie.

– Nie tak dobrze jak on mnie – powiedziałem.

Drzewa zdawały się szeptać. Jęczeć.

Nie zbliżaj się, mówiły. Nie zbliżaj się.

– Wiedział, że w końcu znajdę to miejsce. Może nie tak szybko, jak mi się udało, ale wiedział, że prędzej czy później to się stanie.

– Więc?

– Więc musi wykonać ruch. I to prędko. Cokolwiek planuje, stanie się to niedługo albo już się dzieje.

Wyciągnęła rękę i jej dłoń znalazła się na moich plecach.

– Patrick, nie pozwól, żeby ci zdominował myśli. Jemu o to właśnie chodzi.

Spojrzałem na drzewa, potem na szopę, potem na krwawe i skąpane w oparach mokradło.

– Za późno – powiedziałem.

– Gówniane ksero – oświadczył Bubba. Patrzył na odbitkę fragmentu mapy lotniczej z mokradłem.

– Najlepsze, jakie udało nam się zdobyć.

Potrząsnął głową.

– Jak bym miał taki łeb jak wy, dawno bym już gryzł ziemię w Bejrucie.

– Dlaczego nigdy o tym nie opowiadasz? – spytała Vanessa, siadając obok niego przy barku.

– O czym? – spytał odruchowo, wpatrując się w odbitkę.

– O Bejrucie.

Odwrócił swą wielką głowę i uśmiechnął się do niej.

– Światło zgasło, wszystko wyleciało w powietrze. Na trzy lata straciłem zmysł węchu. No i już. Opowiedziałem ci.

Klepnęła go dłonią po piersi.

– Drań.

Parsknął śmiechem i znów spojrzał na odbitkę.

– Błąd – oznajmił.

– Co?

Wziął do ręki szkło powiększające, które przynieśliśmy i spojrzał na fragment mapy.

– Tutaj.

Angie i ja popatrzyliśmy ponad jego ramieniem przez lupę. Dostrzegłem tylko kępę zieleni, gąszcz sfotografowany z wysokości siedmiuset metrów.

– To zarośla – powiedziałem.

– Jakbym nie wiedział – parsknął Bubba. – Spójrz jeszcze raz.

Spojrzeliśmy.

– I co? – spytała Angie.

– To jest zbyt owalne – wyjaśnił. – Popatrz na górną krawędź. Jest gładka. Jak brzeg tej lupy.

– Więc? – odezwałem się nieśmiało.

– Więc krzaki tak nie rosną, baranie. Krzaki to krzaki, no nie? Dlatego są, hm, krzaczaste.

Spojrzałem na Angie. Ona spojrzała na mnie. Oboje potrząsnęliśmy głowami.

Bubba postukał palcem wskazującym w plamę zarośli na mapie.

– Widzicie? Jest idealnie zakrzywione, jak mój paznokieć. Tego nie zrobiła natura. To zrobił pieprzony człowiek, stary. – Odłożył szkło powiększające. – Chcesz znać moje zdanie? To antena satelitarna.

– Antena satelitarna – powtórzyłem.

Przytaknął i podszedł do lodówki.

– Tak.

– Po co? Żeby ostrzegać przed atakiem z powietrza?

Wyjął z zamrażarki butelkę finlandii.

– Wątpię. Żeby oglądać telewizję, coś mi się zdaje.

– Kto miałby oglądać telewizję?

– Ludzie mieszkający pod ziemią, głupku.

– Aha – zrozumiałem wreszcie.

Trącił Vanesse w ramię butelką wódki.

– A myślałaś, że jest mądrzejszy ode mnie.

– Nie mądrzejszy – sprostowała Vanessa. – Bardziej elokwentny.

Bubba pociągnął z butelki i beknął.

– Elokwencja jest przereklamowana.

Vanessa uśmiechnęła się.

– Naprawdę jesteś mądry, kotku. Wierz mi.

– Nazywa mnie „kotkiem". – Bubba znowu pociągnął z butelki i mrugnął do mnie. – Mówiłeś, że był tam jakiś wojskowy dom dla czubków? Coś mi się zdaje, że pod ziemią zachowała się piwnica. Wielka.

Zadzwonił telefon obok lodówki i Bubba podniósł słuchawkę, wsuwając ją sobie między ramię i szyję. Słuchał w milczeniu przez minutę, potem odłożył słuchawkę.

– Nelson zgubił Pearse'a.

– Co?

Bubba powtórzył.

– Gdzie? – spytałem.

– Rowes Wharf – wyjaśnił. – Tam jest hotel, nie? Pearse wyszedł, stanął na nabrzeżu. Nelson został w środku, rozumiesz, trzymał się na uboczu, stał sobie spokojnie. Pearse odczekał do ostatniej chwili, potem wskoczył na prom.

– Dlaczego Nelson nie pojechał na przystań po drugiej stronie, żeby zaczekać tam na Pearse'a?

– Próbował. – Bubba postukał palcem w zegarek. – Jest piątek, człowieku. Próbowałeś kiedyś o tej porze przejechać przez ten tunel? Jak Nelson dostał się na wschodnią stronę, była za piętnaście szósta. A prom przybił do brzegu dwadzieścia po piątej. Twój facet już zniknął.

Angie zakryła twarz dłońmi i potrząsnęła głową.

– Miałeś rację, Patrick.

– To znaczy?

– Cokolwiek zamierzał zrobić, robi to właśnie teraz.

Piętnaście minut później, po telefonie do Carrie Dawe, byliśmy gotowi do wyjścia. Bubba wyniósł z mieszkania czarną torbę podróżną i rzucił nam pod nogi.

Vanessa, tak drobna w porównaniu z górą mięśni, jaką stanowił Bubba, przysunęła się do niego i położyła mu dłonie na piersi.

– Mam teraz powiedzieć: „Uważaj na siebie"?

Wskazał nas kciukiem.

– Nie wiem. Ich spytaj.

Popatrzyła na nas spod jego ramienia. Oboje przytaknęliśmy.

– Uważaj na siebie – powiedziała.

Bubba wyjął z kieszeni trzydziestkęósemkę i wręczył jej.

– Odbezpieczony. Ktokolwiek wlezie przez te drzwi, rąbnij go. Kilka razy.

Spojrzała na jego pokryte barwami ochronnymi czoło i powieki, na smugi pokrywające skórę policzków.

– Dostanę buzi?

– Przy nich? – zdziwił się Bubba, potrząsając głową. Angie trzepnęła mnie w ramię.

– Patrzymy na drzwi – oświadczyła rozkazującym tonem. Odwróciliśmy się, wlepiając wzrok w metalową powierzchnię, cztery zamki i sztabę z hartowanej stali.

Wciąż nie wiem, czy się wtedy pocałowali, czy nie.

Christopher Dawe był tam, gdzie mówiła żona.

Wyprowadził swojego bentleya z garażu przy Brimmer Street, a my zajechaliśmy mu drogę – Bubba od przodu furgonetką, ja od tyłu porsche.

– Co u diabła robicie? – spytał, opuściwszy szybę, kiedy podszedłem do jego wozu.

– W pańskim bagażniku leży torba – oświadczyłem. – Ile w niej jest?

– Idź do diabła – rzucił. Zadrżała mu dolna warga.

– Doktorze – zwróciłem się do niego, opierając rękę na masce i zaglądając do wnętrza wozu – pańska żona powiedziała nam, że Pearse do pana dzwonił. Ile jest w torbie?

– Niech się pan odsunie od samochodu.

– On pana zabije, doktorze – powiedziałem. – Gdziekolwiek pan jedzie, w cokolwiek się pan pakuje, nie wyjdzie pan z tego żywy.

– Wyjdę – odparł, ale warga zadrżała mu jeszcze silniej, a w oczach pojawiła się niepewność.

– Co on ma na pana? – spytałem. – Proszę mi powiedzieć, doktorze. Niech pan mi pomoże z tym skończyć.

Wlepił we mnie wzrok, siląc się na stanowczość, ale bez rezultatu. Zacisnął zęby na dolnej wardze, a jego wąska twarz jakby się skurczyła; po chwili z oczu popłynęły łzy, a ramionami wstrząsnął szloch.

– Nie mogę... nie mogę... – Jego ramiona unosiły się i opadały raz za razem, jakby płynął przez wzburzoną wodę. Wciągnął powietrze w płuca z głośnym świstem. – Nie zniosę tego dłużej.

Usta zaokrągliły mu się żałośnie, policzki zwiotczały i pokryły się strużkami łez.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Nie musi pan. Proszę mnie obarczyć tym ciężarem. Udźwignę go.

Zacisnął mocno powieki i potrząsnął kilka razy głową. Łzy, niczym krople deszczu, splamiły mu marynarkę.

Ukląkłem obok drzwi wozu.

– Ona patrzy, doktorze – powiedziałem cicho.

– Kto? – spytał. Głos miał zduszony, ale wyraźny.

– Karen – odparłem. – Wierzę, że tak jest. Niech pan mi spojrzy w twarz.

Obrócił sztywno głowę, jakby pchał ją w lewą stronę, potem otworzył zapuchnięte oczy i spojrzał w moje.

– Patrzy. Chcę postępować zgodnie z jej wolą – powiedziałem.

– Prawie jej pan nie znał.

Wytrzymałem jego spojrzenie.

– Nikogo się nie zna.

Otworzył szerzej oczy, lecz niemal natychmiast je przymknął. Przypominały teraz szparki, z których płynęły strumienie gorących, jałowych łez.

– Wesley – powiedział.

– To znaczy? Doktorze? To znaczy?

Uderzył kilkakrotnie dłonią konsolę między fotelami. Uderzył deskę rozdzielczą. Uderzył kierownicę. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął plastikową torebkę. Była starannie zwinięta i miała kształt cygara, kiedy ją wydobył, ale potem uniósł ją, żeby się rozwinęła. Zobaczyłem, co jest wewnątrz i poczułem na karku ukłucie gorąca.

Palec.

– To jego – wyjaśnił Christopher Dawe. – Wesleya. Przysłał mi to dziś po południu. Powiedział... powiedział... powiedział, że jeśli nie przekażę pieniędzy na parking przy trasie numer 3, to następnym razem przyśle mi jego jądro.

– Który parking?

– Tuż przed zjazdem na Marshfield, w kierunku południowym.

Zerknąłem na torebkę.

– Skąd pan wie, że to palec pańskiego syna?

– Bo to mój syn! – krzyknął.

Schyliłem na moment głowę i przełknąłem.

– Tak, rozumiem, ale skąd ta pewność?

Podsunął mi torebkę pod nos.

– Widzi pan? Tę bliznę nad kłykciem?

Spojrzałem. Blizna, niewyraźna, ale jednak blizna. Przecinała linie nad zgięciem palca niczym mała gwiazdka.

– Widzi pan?

– Tak.

– To ślad po śrubokręcie krzyżakowym. Wesley upadł w moim warsztacie, kiedy był młody. Wbił sobie śrubokręt w palec, strzaskał kość. – Doktor Dawe uderzył mnie torebką po twarzy. – Palec mojego syna, panie Kenzie!

Nie cofnąłem głowy, choć powinienem tak odruchowo zrobić. Wytrzymałem dzikie spojrzenie jego oczu, starając się patrzeć chłodno i beznamiętnie.

Po chwili doktor złożył starannie torebkę i schował z powrotem do kieszeni. Pociągnął nosem, otarł łzy z twarzy. Spojrzał przez szybę na furgonetkę Bubby.

– Chcę umrzeć – powiedział.

– On tego właśnie po panu oczekuje – zauważyłem.

– Więc mu się udało.

– Dlaczego nie zadzwoni pan na policję? – spytałem, on zaś zaczął gwałtownie potrząsać głową. – Doktorze? Dlaczego nie? Chce się pan przecież oczyścić z tego, co pan zrobił z Naomi, kiedy była maleńka. Wiemy już, kto za tym stoi. Możemy go przygwoździć.

– Mój syn – odparł tylko, wciąż potrząsając głową.

– Być może już nie żyje – uprzedziłem.

– Jest wszystkim, co mam. Jeśli go stracę tylko dlatego, że zawiadomiłem policję, umrę, panie Kenzie. Nic mnie nie powstrzyma.

Poczułem na głowie pierwsze krople deszczu, kiedy tak klęczałem obok drzwi wozu i patrzyłem na Christophera Dawe. Nie był to jednak odświeżający deszcz. Wydawał się ciepły niczym pot i kleisty. Miałem wrażenie, że brudzi mi włosy.

– Niech pan mi pozwoli go powstrzymać – powiedziałem. – Niech pan da mi tę torbę z bagażnika, a przyprowadzę panu syna żywego.

Oparł się ramieniem o kierownicę i obrócił głowę w moją stronę.

– Dlaczego miałbym powierzać panu pięćset tysięcy dolarów?

– Pięćset tysięcy? – zdziwiłem się. – Tylko tyle zażądał?

Przytaknął.

– To wszystko, co mogłem zdobyć w tak krótkim czasie.

– Nic to panu nie mówi? – spytałem. – Ten pośpiech, to, że jest gotów zadowolić się znacznie mniejszą sumą, niż początkowo żądał? Grunt mu się pali pod nogami, doktorze.

Chce wszystko zakończyć, wycofać się w porę. Pojedzie pan na ten parking i nigdy więcej nie zobaczy pan swojego domu, gabinetu, wnętrza tego wozu. Wesley też umrze.

Odrzucił do tyłu głowę, wlepił wzrok w sufit.

Deszcz padał teraz mocniej, nie kroplami, raczej strużkami, sznureczkami ciepłej wody, która niczym krew płynęła mi pod koszulą.

– Niech pan mi zaufa – powiedziałem.

– Dlaczego? – spytał, nie odrywając spojrzenia od sufitu bentleya.

– Dlatego, że... – urwałem, ocierając krople deszczu z powiek.

Odwrócił ku mnie głowę.

– Dlaczego, panie Kenzie?

– Dlatego, że już zapłacił pan za swoje grzechy – odparłem.

– Słucham?

Zamrugałem. Deszcz zalewał mi oczy.

– Zapłacił pan, doktorze. Zrobił pan straszną rzecz, ale potem to dziecko utonęło pod lodem; najpierw pański syn, później Pearse dręczył pana przez dziesięć lat. Nie wiem, czy to wystarczająca sprawiedliwość w oczach Boga, ale w moich na pewno. Odbył pan już swój wyrok. Przeżył pan już swoje piekło.

Jęknął. Wparł potylicę w zagłówek fotela. Patrzył, jak deszcz spływa kaskadami po szybie samochodu.

– Nigdy dość. Nigdy się nie skończy. Ten ból.

– Nie – przyznałem. – Ale Pearse się skończy. Na pewno.

– Co?

– Skończy się, doktorze.

Patrzył na mnie przez długą chwilę.

Potem przytaknął. Otworzył schowek na rękawiczki, wcisnął guzik i klapa bagażnika uniosła się.

– Niech pan weźmie torbę – powiedział. – Niech pan zapłaci dług. Niech pan zrobi wszystko, co trzeba. Ale niech pan sprowadzi mojego syna do domu, dobrze?

– Oczywiście.

Zacząłem się unosić z klęczek, ale położył mi dłoń na ramieniu.

Nachyliłem się do okna.

– Nie miałem racji.

– Co do czego?

– Co do Karen – odparł.

– Pod jakim względem?

– Nie była słaba. Była dobra.

– Tak, była dobra.

– Może właśnie dlatego umarła.

Nie odpowiedziałem.

– Może tak właśnie Bóg karze złych ludzi – powiedział.

– Co pan ma na myśli, doktorze?

Odchylił głowę na oparcie fotela i zamknął oczy.

– Pozwala im żyć.

34

Christopher Dawe pojechał do domu, do żony. Kazałem mu się spakować i przenieść do hotelu, gdzie miałem go odwiedzić po wszystkim.

– Cokolwiek będzie pan robił – powiedziałem, nim odjechał – niech pan nie odbiera komórki, pagera ani telefonu domowego.

– Nie wiem, czy...

Wyciągnąłem rękę.

– Niech pan je odda.

– Co?

– Komórkę i pager.

– Jestem chirurgiem. Ja...

– Nie interesuje mnie to. Chodzi o życie pańskiego syna, nie kogoś obcego. Telefon i pager, doktorze.

Nie był zachwycony, ale wykonał polecenie. Po chwili zobaczyliśmy, jak odjeżdża.

– Ten parking przydrożny to kiepskie miejsce – oświadczył Bubba, gdy wgramoliłem się do jego furgonetki. – Nie wiadomo, co tam przygotował. Wolę Plymouth.

– Ale ta kryjówka w lesie jest prawdopodobnie o wiele lepiej ufortyfikowana – zauważyła Angie.

Bubba przytaknął.

– Ale da się to przewidzieć. Wiem, gdzie bym pozakładał pułapki, gdybym musiał tam długo siedzieć. A parking? – Potrząsnął głową. – Nie mogę z facetem zaczynać, kiedy improwizuje. To zbyt ryzykowne.

– Więc jedziemy do Plymouth – zadecydowałem.

– Z powrotem na mokradła – dodała Angie.

– Z powrotem na mokradła.

Komórka Christophera Dawe zadzwoniła, gdy tylko zjechaliśmy z autostrady w stronę Plymouth. Odebrałem, kiedy Bubba zahamował przed znakiem stopu i wrzuciłem na luz.

– Spóźnia się pan, doktorze.

– Scottie! – zawołałem.

Milczenie.

Wsunąłem słuchawkę między ramię i szyję i wrzuciłem jedynkę, po czym skręciłem tuż za furgonetką Bubby.

– Patrick – odezwał się w końcu Scott Pearse.

– Jestem jak bronchit, nie sądzisz, Scott? Ilekroć uważasz, że się mnie pozbyłeś, wracam uparcie.

– Dobry dowcip, Pat. Powtórz go doktorowi, kiedy dostanie przesyłkę z aortą syna. Założę się, że go rozbawi.

– Mam twoją forsę, Scott. Chcesz ją?

– Masz moją forsę.

– No.

Bubba zjechał z głównej drogi na dojazdówkę, która biegła skrajem lasu i prowadziła na mokradło.

– Jakie mam pokonać przeszkody, żeby ją dostać, Pat?

– Powiedz do mnie jeszcze raz „Pat", a spalę te pieprzone pieniądze.

– Okej, Patrick. Co mam zrobić?

– Podaj mi numer swojej komórki.

Podał mi, a ja powtórzyłem go Angie, która zapisała numer na bloczku przytwierdzonym za pomocą przyssawki do schowka na rękawiczki.

– Nic się dziś wieczorem nie wydarzy, Scott, więc wracaj do domu.

– Zaczekaj.

– I jeśli spróbujesz się skontaktować z państwem Dawe, nie zobaczysz ani grosza z tych pieniędzy. Jasne?

– Tak, ale...

Rozłączyłem się.

Angie patrzyła, jak furgonetka Bubby wjeżdża na węższą drogę.

– Skąd wiesz, że nie pojedzie do siebie, na Congress Street?

– Bo jeśli gdziekolwiek przetrzymuje Wesleya, to właśnie tutaj. Pearse czuje, że traci kontrolę nad sytuacją. Wróci tu, żeby obejrzeć swój atut, odzyskać przekonanie, że wciąż jest mocny.

– Rany – odparła Angie. – Można by pomyśleć, że w to wierzysz.

– Może nie mam zbyt wiele – wyznałem. – Ale mam nadzieję.

Minęliśmy łąkę, pokonując kolejne pół kilometra, a potem ukryliśmy wozy w zaroślach i ruszyliśmy z powrotem dojazdówką.

Po raz pierwszy od co najmniej dziesięciu lat Bubba nie miał na sobie swojego trencza. Był ubrany cały na czarno. Czarne dżinsy, czarne wojskowe buty, czarny podkoszulek z długimi rękawami, czarne rękawiczki i czarna wełniana czapka. Jadąc do garażu, gdzie mieliśmy spotkać Christophera Dawe, wstąpiliśmy na polecenie Bubby do mojego mieszkania, żeby wziąć także dla siebie czarne ubrania. Przebraliśmy się w lesie, przy samochodach.

Kiedy ruszyliśmy w stronę mokradeł, Bubba powiedział:

– Jak już zlokalizujemy ten dom, przestrzegacie jednej zasady. Bardzo prostej. Trzymacie się dziesięć kroków za mną. – Spojrzał na nas i podniósł do góry palec. – Dokładnie za mną. Gdzie ja idę, wy też idziecie. Jak wylecę w powietrze albo zahaczę nogą o drut, spieprzacie tą samą drogą, którą przyszliście. Nie próbujecie mnie ratować. Jasne?

Takiego Bubby nie widziałem nigdy wcześniej. Wydawało się, że wszelkie ślady psychozy zniknęły bezpowrotnie. W chwili, gdy ulotniło się gdzieś to jego charakterystyczne rozchwianie, głos mu się zmienił, pogłębił nieznacznie. Bubba przestał roztaczać wokół siebie towarzyszącą mu zwykle aurę odmienności i samotności, które zastąpiła absolutna pewność siebie i wyczucie otoczenia.

Uświadomiłem sobie, że jest w swoim żywiole jak nigdy. Był wojownikiem, którego wezwano do bitwy. Wiedział, że jest do niej stworzony.

Kiedy podążaliśmy za nim drogą, zrozumiałem to, co musieli widzieć ludzie w Bejrucie – że gdy dochodziło do walki, bez względu na to, kto dowodził, szło się za Bubbą, słuchało się Bubby, polegało się na Bubbie, który wyprowadzał człowieka z ognia w bezpieczne miejsce.

Był urodzonym sierżantem. John Wayne to przy nim ciota.

Zdjął z pleców worek marynarski i wsadził sobie pod pachę. Rozpiął go, nie zwalniając przy tym kroku, wyciągnął ze środka automat M-16 i spojrzał na nas przez ramię.

– Na pewno nie chcecie wziąć jednego?

Oboje zaprzeczyliśmy zdecydowanym ruchem głowy. M-16. Pewnie oddając z niego pierwszy strzał, złamałbym sobie bark.

– Pistolety wystarczą – zapewniłem.

– Masz zapasowe magazynki?

– Cztery.

Spojrzał na Angie.

– A ty?

Skinęła głową.

– Trzy.

Angie popatrzyła na mnie. Przełknęła z wysiłkiem. Wiedziałem, jak się czuje. Też mi trochę zaschło w ustach.

Przeszliśmy po kładkach i minęliśmy szopę.

– Kiedy znajdziemy ten dom i wejdziemy do środka, to co? – spytał retorycznie Bubba. – Jak się cokolwiek ruszy, macie to rozwalić. Bez pytań. Jak coś nie jest skute łańcuchem, to nie może być zakładnikiem. Jak nie jest zakładnikiem, to nie jest przyjacielem. Jasne?

– Uhm, pewnie – odparłem.

– Angie? – zerknął na nią przez ramię.

– Tak. Jasne.

Bubba przystanął i zaczął się jej przyglądać, dostrzegając bladość twarzy i szeroko otwarte oczy.

– Dasz radę? – spytał cicho.

Przytaknęła kilkakrotnie.

– Bo jak...

– Nie bądź seksistą, Bubba. To nie walka wręcz. Mam tylko celować i strzelać, a robię to lepiej od was.

Bubba popatrzył z kolei na mnie.

– A ty...

– Masz rację – przyznałem. – Wracam do domu.

Uśmiechnął się. Angie też się uśmiechnęła. I ja się uśmiechnąłem. W tej ciszy mokradła i mroku nocy miałem ważenie, że żadne z nas nie uśmiechnie się teraz przez dłuższy czas.

– W porządku – oznajmił Bubba. – Idziemy wszyscy. Pamiętajcie tylko, jedynym grzechem w walce jest wahanie. Więc się kurwa nie wahajcie.

Zatrzymaliśmy się przy linii drzew. Bubba zsunął torbę z ramienia i położył miękko na ziemi. Potem ją rozpiął i wyciągnął trzy kwadratowe przedmioty, które miały z tyłu paski do umocowania na głowie, a z przodu po dwie wystające lunety. Podał nam dwie sztuki.

– Załóżcie to.

Zrobiliśmy, jak kazał i świat stał się zielony. Ciemne zarośla i drzewa przybrały barwę mięty, mech był szmaragdowy, powietrze miało odcień trawy.

– Nie spieszcie się – poradził Bubba. – Przywyknijcie do tego.

Wyciągnął dużą lornetkę na podczerwień i podniósł do oczu, a następnie zaczął przesuwać stopniowo, milimetr po milimetrze, penetrując leśną gęstwinę.

Wszechobecna zieleń wydawała się natarczywa i mdła. Moja czterdziestkapiątka przypominała dotyk gorącego pogrzebacza na krzyżu. Suchość w ustach zaczęła sięgać w głąb gardła, wydawało się, że zatyka mi drogi oddechowe. I, mówiąc szczerze, z tym noktowizorem przyczepionym do twarzy czułem się idiotycznie. Jak Power Ranger.

– Mam – odezwał się Bubba.

– Co?

– Popatrz wzdłuż mojego palca.

Uniósł ramię i wyciągnął rękę, a ja podążyłem wzrokiem we wskazanym kierunku, wpatrując się w świat wodorostów i biegnąc spojrzeniem przez zarośla, jeżyny, pnie drzew, aż w końcu dostrzegłem okna. Dwa. Wychylały się niespodziewanie z ziemi niczym para prostokątnych peryskopów. Były wysokie jedynie na pół metra, ale teraz, kiedy wynurzały się z zieleni, trudno było zrozumieć, jak mogliśmy ich wcześniej nie dostrzec.

– Nie ma mowy, żebyś je zauważył za dnia – powiedział Bubba. – Chyba że słońce odbiłoby się w szybach. Reszta jest pomalowana na zielono, nawet framugi.

– Dzięki za...

Uciszył mnie ruchem ręki i przechylił lekko głowę. Jakieś pół minuty później też to usłyszałem – warkot silnika i chrzęst kół na drodze dojazdowej. Opony wozu ugniatały miękką ziemię od strony północnej. Bubba klepnął każde z nas w plecy, podniósł swój worek marynarski i nisko pochylony, ruszył w lewo, wzdłuż linii drzew. Skoczyliśmy za nim, gdy drzwi samochodu otworzyły się i zamknęły, a potem na ścieżce prowadzącej ku brzegowi mokradła zaszeleściły kroki.

Bubba skrył się wśród drzew, my zaś przycupnęliśmy obok niego.

Zielony Scott Pearse wszedł na kładkę i jego kroki załomotały na deskach. Minął pospiesznie szopę i przeszedł na naszą stronę. Miał już zniknąć w zaroślach, gdy nagle przystanął na brzegu mokradła i znieruchomiał.

Przekręcił z wolna głowę w naszym kierunku i miałem przez jedną nieznośnie długą chwilę wrażenie, że patrzy prosto na mnie. Zgiął się w pasie i zmrużył oczy. Wyciągnął ramiona, jakby chciał tym gestem uciszyć komary we mgle nad mokradłem i odległy plusk owoców wpadających do wody. Przymknął powieki i nasłuchiwał.

Wydawało się, że upłynął miesiąc, zanim otworzył oczy i potrząsnął głową. Rozsunął gałęzie przed sobą i zniknął w gęstwinie.

Odwróciłem się, ale Bubby już nie było obok nas, a nie słyszałem wcześniej, by się poruszył. Znajdował się jakieś dziesięć metrów z przodu, nisko pochylony, wsparty dłońmi na kolanach i obserwował Scotta Pearse'a, gdy ten przedzierał się przez zarośla.

Odwróciłem się w stronę Pearse'a, zobaczyłem, jak przystaje z dziesięć metrów przed oknami i sięga do poszycia. Cofnął ramię i ukazała się klapa. Nachylił się, wsunął do otworu i zamknął klapę nad głową.

Bubba nagle znalazł się z powrotem obok nas.

– Nie wiemy, czy zainstalował detektory ruchu albo ładunki wybuchowe, które uruchamia od środka, ale zakładam, że mamy około minuty. Idźcie za mną. Krok w krok – powiedział z naciskiem.

Wyskoczył ponownie na brzeg niczym najszybszy i najpotężniejszy kot świata, Angie ruszyła dziesięć kroków za nim, a ja pięć za nią.

Bubba skręcił ostro między drzewa, my zrobiliśmy to samo. Nie okazał najmniejszego wahania, podążając bezgłośnie przez teren, który wcześniej pokonał Scott Pearse.

Dotarł do włazu w poszyciu i przywołał nas skinieniem ręki.

Dołączyliśmy do niego i nagle poczułem przemożne pragnienie, by zwolnić, cofnąć się, przyhamować na chwilę. Wszystko działo się szybciej, niż sobie wcześniej wyobrażałem. Porażająco szybko. Za szybko, by odetchnąć.

– Ruszy się, strzelajcie – wyszeptał Bubba i przesunął bezpiecznik automatu na ogień ciągły. – Nie zdejmujcie gogli, dopóki się nie upewnimy, że w środku pali się światło. Jeśli tak, nie traćcie czasu na zdejmowanie ich z głowy, po prostu je zsuńcie, niech wiszą wam na szyi. Gotowi?

– Och... – zacząłem.

– Raz, dwa, trzy – powiedział Bubba.

– Jezu – jęknęła Angie.

– Bez jaj – wyszeptał chrapliwie Bubba. – Albo wchodzimy, albo nie. Natychmiast. Nie ma czasu.

Wyciągnąłem swoją czterdziestkępiątkę z kabury na plecach, odbezpieczyłem. Otarłem dłonie o dżinsy.

– Wchodzimy – rzuciła Angie.

– Wchodzimy – powtórzyłem.

– Na wypadek, gdybyśmy się rozdzielili – powiedział Bubba – do zobaczenia później.

Uśmiechnął się szeroko i sięgnął do klapy włazu.

– Jestem taki szczęśliwy – wyszeptał.

Posłałem Angie szybkie, pełne zdumienia spojrzenie, ona zaś zacisnęła dłonie na swojej trzydziestceósemce, by stłumić ich drżenie, a Bubba podniósł gwałtownym ruchem klapę.

Ujrzeliśmy białe kamienne schody, liczące piętnaście stopni, które opadały stromo w dół, kończąc się pod stalowymi drzwiami.

Bubba przyklęknął u ich szczytu, wycelował ze swojego M-16 i oddał serię w górny i dolny lewy narożnik drzwi. Kule zabębniły o stal i rozbłysły żółtymi iskrami. Hałas był ogłuszający.

Okna nad ziemią zadrżały i zobaczyłem wymierzone w nas lufy. Przypadliśmy do podłoża, a Bubba zeskoczył na dół i kopniakiem wywalił drzwi z roztrzaskanych zawiasów.

Skoczyliśmy w ślad za nim, gdy karabiny w oknie plunęły ogniem i po chwili byliśmy już na dole, mając przed sobą betonowy korytarz długości mniej więcej trzydziestu metrów, z licznymi drzwiami po obu stronach. Był skąpany w świetle, więc opuściłem gogle, które zawisły mi na szyi. Angie zrobiła to samo i przez chwilę staliśmy w miejscu, pełni napięcia i przerażenia, mrugając z powodu ostrego, oślepiającego blasku żarówek.

W drzwiach po prawej stronie, jakieś dziesięć metrów dalej, ukazała się niewysoka kobieta. Zdążyłem zauważyć, że jest chuda i ma ciemne włosy, i że mierzy do nas z trzydziestkiósemki, nim Bubba pociągnął za spust swojego automatu. Jej pierś zniknęła w fontannie czerwieni.

Broń wypadła jej z dłoni i potoczyła się po podłodze, kobieta zaś osunęła się na progu drzwi, martwa, jeszcze nim zdążyła uderzyć ciałem o beton.

– Naprzód – rzucił Bubba i otworzył kopniakiem najbliższe drzwi. Znaleźliśmy się w pustym gabinecie. Bubba mimo wszystko cisnął do środka pojemnik z gazem łzawiącym i zatrzasnął drzwi.

Podeszliśmy do martwej kobiety. Leżała obok sypialni, małej i równie pustej jak gabinet.

Bubba trącił nogą zwłoki.

– Poznajecie ją?

Pokręciłem głową, ale Angie przytaknęła.

– To ta kobieta, która była na zdjęciach z Davidem Wetterau.

Przyjrzałem się jej dokładniej. Głowę miała odwróconą i przekrzywioną na bok, oczy uciekły w głąb czaszki i były puste, krew zachlapała jej brodę, ale Angie się nie myliła.

Bubba podszedł do drzwi po drugiej stronie. Otworzył je kopniakiem i już miał strzelić, kiedy złapałem jego automat.

Na metalowym krześle siedział blady, łysiejący mężczyzna. Lewy nadgarstek miał przywiązany grubym żółtym sznurem do podłokietnika, usta zakneblowane niebieską piłką do squasha. Prawa ręka była wolna, a z przegubu zwieszały się strzępy żółtej liny, jakby zdołał w jakiś sposób się uwolnić, nim wtargnęliśmy do środka. Był mniej więcej w moim wieku i nie miał palca wskazującego u prawej dłoni. U jego stóp leżała taśma izolacyjna, ale nogi z jakiegoś powodu nie były skrępowane.

– Wesley – powiedziałem.

Skinął głową i spojrzał na nas nieprzytomnym, zdumionym i przerażonym wzrokiem.

– Wyciągnijmy go stąd – powiedziałem.

– Nie – sprzeciwił się Bubba. – Sytuacja nie jest jeszcze opanowana. Nie ruszamy go, dopóki nie skończymy.

Spojrzałem na schody. Tylko dziesięć metrów.

– Ale...

– Jesteśmy na widoku – przerwał mi. – Nie kwestionuj do cholery moich rozkazów.

Wesley w akcie rozpaczy uderzył obcasami o podłogę, potrząsając głową, błagając mnie wzrokiem, by go rozwiązać i stamtąd wyciągnąć.

– Cholera – mruknąłem tylko.

Bubba odwrócił się i rzucił okiem na sąsiednie drzwi po prawej stronie.

– Okej – powiedział. – Po kolei. Chcę, Patrick, żebyś...

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się nagle i wszyscy troje obróciliśmy się gwałtownie w tamtą stronę. Ukazała się Diane Bourne, która jakby lewitowała, unosząc do góry ręce i nie dotykając stopami podłogi. Za nią stał Scott Pearse; obejmował ją jedną ręką w pasie, drugą trzymał z tyłu, przyciskając jej pistolet do potylicy.

– Rzućcie broń – rozkazał. – Bo zginie.

– I co z tego, kurwa? – odezwał się Bubba, opierając kolbę M-16 o ramię i mierząc z automatu.

Ciałem Diane Bourne wstrząsały dreszcze.

– Proszę, proszę, proszę.

– Połóżcie broń na podłodze! – wrzasnął Pearse.

– Pearse – powiedziałem. – Daj spokój. Jesteś w potrzasku. To koniec.

– Żadnych negocjacji! – ryknął.

– Masz rację, kurwa, to nie negocjacje – oznajmił Bubba. – Przestrzelę ją na wylot, Pearse. Okej?

– Czekaj!

Głos Pearse'a był roztrzęsiony jak ciało Diane Bourne.

– Ach tak – mruknął Bubba.

W tym momencie Pearse oderwał broń od potylicy Diane Bourne i Bubba znieruchomiał. Pearse wykonał jeszcze jeden ruch ramieniem, które nagle znalazło się ponad barkiem lekarki, a lufa broni była wymierzona wprost w czoło Angie.

– Jeden ruch, panno Gennaro, a pani czaszka zniknie.

Jego głos był teraz pozbawiony śladu niepewności. Ruszył w naszą stronę, wciąż obejmując Diane Bourne w talii i unosząc ją nad podłogą jak tarczę. Cały czas trzymał Angie na muszce.

Angie zastygła w miejscu, trzydziestkęósemkę trzymała przy boku, skierowaną w dół, i wlepiała wzrok w otwór lufy pistoletu Pearse'a.

– Ktoś ma wątpliwości, że to zrobię?

– Kurwa – mruknął pod nosem Bubba.

– Broń na podłogę, ludzie. Natychmiast.

Angie rzuciła swoją. Ja rzuciłem swoją. Bubba nawet nie drgnął. Trzymał Pearse'a na muszce, kiedy ten zbliżył się na odległość siedmiu metrów.

– Rogowski – zwrócił się Pearse do Bubby. – Rzuć broń.

– Nic z tego, Pearse.

Pot przyciemnił włosy na karku Bubby, ale broń w jego ręku nawet nie drgnęła.

– Aha – odparł Pearse. – Okej.

I strzelił.

Pchnąłem Angie barkiem, poczułem, jak pierś przeszyło mi ostrze suchego lodu, tuż poniżej ramienia i runąłem na betonową ścianę, by wylądować na kolanach pośrodku korytarza.

Pearse strzelił ponownie, ale tym razem pocisk odbił się od ściany za moimi plecami.

Zagrzechotał ogłuszająco automat Bubby i Diane Bourne zniknęła w czerwonej mgle, podskakując gwałtownie jak rażona prądem elektrycznym.

Angie, leżąc na brzuchu, podczołgała się do swojej trzydziestkiósemki, a ja poczułem, jak korytarz się zakołysał i nagle uderzyłem plecami o podłogę.

Bubba runął na framugę drzwi, wypuszczając z dłoni M-16 i złapał się za biodro.

Próbowałem wstać, ale nie mogłem.

Bubba błyskawicznie chwycił Angie za włosy i wciągnął ją gwałtownym ruchem do pokoju Wesleya. Słyszałem, jak od betonu wokół mnie odbijają się kule, ale nie byłem w stanie unieść głowy i zobaczyć, skąd nadlatują.

Obróciłem się w lewo, uniosłem wzrok.

Bubba stał w drzwiach pokoju Wesleya i gdy spojrzał na mnie z góry, w jego oczach pojawił się smutek i miękkość, jakich u niego nigdy nie widziałem.

Potem zatrzasnął drzwi, które nas rozdzieliły.

Ogień ustał. W korytarzu zapanowała cisza, słychać było tylko zbliżające się kroki.

Scott Pearse stanął nade mną i uśmiechnął się. Wysunął ze swojej dziewiątki pusty magazynek, który spadł na podłogę obok mojej głowy. Włożył drugi i przeładował. Ubranie, szyję i twarz miał zachlapane krwią Diane Bourne. Pomachał mi.

– Masz dziurę w klatce piersiowej, Pat. Wydaje ci się to zabawne? Bo mnie bardzo.

Próbowałem mówić, ale z moich ust dobył się tylko jakiś ciepły płyn.

– Cholera – rzucił rozczarowany. – Tylko mi tu nie wykorkuj. Chcę, żebyś zobaczył, jak umierają twoi przyjaciele. – Kucnął przy mnie. – Zostawili tu broń. A z tego pokoju nie ma drugiego wyjścia. – Poklepał mnie po policzku. – Jesteś szybki, człowieku. Miałem nadzieję, że zobaczysz, jak ta twoja kurewka dostaje kulkę w głowę, ale szybko się ruszyłeś.

Oczy uciekły mi w drugą stronę, nie z mojej woli, ale dlatego że nagle wydały się osadzone na łożyskach, ślizgając się w gęstej mazi, całkowicie poza moją kontrolą.

Scott Pearse chwycił mnie za brodę i trzepnął w skroń, a oczy znów wskoczyły na swoje miejsce.

– Nie umieraj jeszcze, chłopie. Muszę się dowiedzieć, gdzie jest moja forsa.

Potrząsnąłem z wolna głową. Czułem ciepłe, rwące kłucie z lewej strony klatki piersiowej, tuż pod obojczykiem. Było właściwie gorące i ten żar narastał z każdą chwilą. Zaczęło mnie palić.

– Lubisz żarty, no nie, Pat? – Znów poklepał mnie po policzku. – Ten ci się spodoba. Umrzesz tutaj, ale nim zdechniesz, musisz zrozumieć jedno – nigdy nie widziałeś całej szachownicy. Nawet teraz. Bardzo mnie to bawi. – Parsknął śmiechem. – Pieniądze są w twoim wozie, który stoi gdzieś niedaleko, jak przypuszczam. Znajdę go.

– Nie – zdołałem jakoś wydusić, choć nie byłem pewien, czy z moich ust dobył się jakikolwiek dźwięk.

– Tak – powiedział. – Byłeś zabawny przez jakiś czas, Pat, ale już mi się znudziło. Okej. Muszę zabić twoją dziwkę i tego dużego dziwoląga. Zaraz wracam.

Podniósł się i obrócił w stronę drzwi, a ja wyciągnąłem zdrętwiałą rękę nad podłogą, podczas gdy w mojej piersi eksplodował ból.

Scott Pearse wybuchnął śmiechem.

– Broń leży dobre półtora metra od twoich nóg. Pat. Ale próbuj.

Zazgrzytałem zębami i wrzasnąłem, unosząc głowę i plecy z podłogi, a z dziury w mojej klatce piersiowej wyciekła krew i zalała mi koszulę.

Pearse spojrzał na mnie z ukosa i skierował broń w moją stronę.

– Chcesz iść na pierwszy ogień, Pat. Brawo.

Wpatrywałem się w niego, jakbym chciał, żeby pociągnął za spust.

– Okej – powiedział cicho i odciągnął kurek. – Wykończę cię teraz.

Drzwi za jego plecami otworzyły się nagle. Pearse wykonał gwałtowny obrót i oddał strzał, który wyrwał kawał mięsa z uda Bubby.

Ale Bubba nie zatrzymał się nawet na moment. Chwycił za uzbrojoną dłoń Pearse'a i zacisnął od tyłu ramię na jego piersi.

Pearse wydał z siebie gardłowy wrzask i próbował wyrwać się z uścisku Bubby, ale ten jeszcze mocniej zakleszczył ramię i Pearse zaczął dyszeć, zawodzić piskliwie, widząc, jak jego własna dłoń z pistoletem przesuwa się nieubłaganie ku jego skroni.

Starał się wykręcić głowę, ale Bubba odchylił się i wpakował masywne czoło w potylicę Pearse'a z takim impetem, że zabrzmiało to jak potężne uderzenie kuli bilardowej.

Oczy uciekły Pearse'owi w głąb czaszki.

– Nie – zajęczał. – Nie, nie, nie, nie.

Bubba stęknął z wysiłku. Po jego udzie spływała krew. W tym momencie na korytarz wypełzła na czworakach Angie i chwyciła swoją broń.

Wsparła się na jednym kolanie, odciągnęła kurek przy rewolwerze i wycelowała w pierś Pearse'a.

– Ani się waż, Angie! – wrzasnął Bubba.

Angie zamarła z palcem na spuście.

– Jesteś mój, Scott – wyszeptał chrapliwie Bubba do ucha Pearse'owi. – Tylko mój, chłopczyku.

– Błagam – prosił Pearse. – Zaczekaj! Nie! Daj spokój! Zaczekaj! Błagam!

Bubba znów stęknął, wpakował wylot lufy pistoletu Pearse'a w jego skroń i przykrył swoim palcem jego palec, który spoczywał na spuście.

– Nie!

– Czujesz się przygnębiony i samotny? Masz może myśli samobójcze?

– Nie rób tego! – zawołał Pearse, próbując uderzyć Bubbę w głowę drugą ręką.

– Wiesz co? Zadzwoń na gorącą linię, ale nie do mnie, Pearse, bo mam to w dupie.

Bubba wpakował kolano w kręgosłup Pearse'a, unosząc go z podłogi.

– Błagam! – wrzasnął Pearse, wierzgając w powietrzu. Po jego policzkach spływały

łzy.

– Tak, tak, pewnie – odparł Bubba.

– O Boże!

– Hej, dupku. Pozdrów ode mnie psa, dobra? – rzucił na koniec Bubba, a potem rozwalił Pearse'owi mózg, który wyleciał z drugiej strony czaszki.

35

Leżałem w szpitalu pięć tygodni. Kula weszła mi w pierś tuż pod obojczykiem i wyszła plecami. Straciłem prawie dwa litry krwi, nim przyjechała karetka. Byłem w stanie śpiączki przez cztery dni, a kiedy się ocknąłem, wszędzie miałem jakieś rurki – w piersi, w szyi, w ramieniu, w nosie. Byłem podłączony do respiratora i tak chciało mi się pić, że oddałbym wszystkie oszczędności na koncie za jedną kostkę lodu.

Państwo Dawe musieli mieć jakieś chody, gdyż po miesiącu, jaki upłynął od uwolnienia ich syna, oskarżenie przeciwko Bubbie o nielegalne posiadanie broni po prostu zniknęło. Jasne, zdawał się mówić prokurator, weszliście do bunkra w Plymouth wyposażeni w taką ilość lewej broni, że można by dokonać inwazji niewielkiego kraju, ale uratowaliście bogatego chłopaka. Więc nie ma o czym mówić. Jestem pewien, że prokurator zmieniłby zdanie, gdyby wiedział, że Pearse wyłudzał pieniądze, wiedząc o zamianie dzieci, ale Pearse nie mógł już mówić. My zaś, choć znaliśmy ten sekret, nie zamierzaliśmy o nim wspominać.

Do szpitala przychodził Wesley Dawe. Trzymał mnie za rękę i dziękował ze łzami w oczach, opowiadając, jak to poznał Pearse'a za pośrednictwem Diane Bourne, która była nie tylko jego terapeutką, ale i kochanką. Najpierw sama, potem do spółki z Pearse'em przejęła kontrolę nad jego wrażliwym umysłem poprzez manipulacje, gry psychologiczne i seksualne, odpowiednie stosowanie leków. Przyznał, że jego pomysłem było szantażowanie ojca, ale Diane Bourne i Pearse posunęli się dalej. Sprawa zrobiła się naprawdę groźna, gdy zaczęli myśleć o przejęciu całej fortuny doktora i jego żony.

W połowie 98. zrobili z niego zakładnika. Spędzał czas, przywiązany do krzesła albo do łóżka. Pozwalali mu rozprostować kości, trzymając go na muszce.

Nie odzyskałem jeszcze głosu. Straciłem zdolność mówienia, bo kula odłamała mikroskopijny fragment obojczyka, który wbił mi się w lewe płuco. Kiedy próbowałem przez pierwsze tygodnie coś powiedzieć, dobywało się ze mnie tylko piskliwe świszczenie, przypominające gwizd czajnika z gotującą się wodą albo głos wkurzonego Kaczora Donalda.

Nawet gdybym mógł mówić, wątpię, czy miałbym wiele do powiedzenia Wesleyowi Dawe. Wydał mi się człowiekiem smutnym i słabym; nie byłem w stanie uwolnić się od obrazu nadąsanego chłopca, który narozrabiał – celowo lub nie – tylko dlatego, że miał akurat

napad złego humoru. Jego siostra przyrodnia nie żyła, za co nie mogłem go winić, mówiąc prawdę, ale nie miałem też zamiaru mu wybaczać.

Kiedy przyszedł mnie odwiedzić za drugim razem, udawałem, że śpię, a on wsunął mi pod poduszkę czek od ojca i szepnął przed wyjściem: „Dziękuję. Uratował mnie pan".

Ponieważ byliśmy z Bubbą na jakiś czas uziemieni w szpitalu, skończyło się na tym, że wspólnie zaczęliśmy rehabilitację. Ja miałem osłabione ramię, on stalowe biodro w miejsce kontuzjowanego.

To dziwne uczucie, zawdzięczać komuś życie. Wydaje się to trochę poniżające, człowiek jest jakby winien, ma wrażenie własnej słabości, a wdzięczność jest czasem tak ogromna, że przypomina kowadło zawieszone u serca.

– To jak w Bejrucie – oznajmił Bubba pewnego popołudnia podczas hydromasażu. – Co było, to było. Gadanie o tym nic nie zmieni.

– Może i nie.

– Cholera, chłopie, zrobiłbyś dla mnie to samo.

I wtedy poczułem jakby uspokajającą pewność w piersi, kiedy sobie uświadomiłem, że prawdopodobnie ma rację, choć nie jestem pewien, czy mając jedną kulę w biodrze a drugą w udzie, byłbym zdolny do tego, co jemu się udało, w dodatku z takim facetem jak Pearse.

– Zrobiłeś to dla Angie – powiedział. – Zrobiłbyś i dla mnie.

Przytaknął sam sobie.

– Okej – odparłem. – Masz rację. Nie będę ci więcej dziękował.

– I nie będziesz o tym więcej gadał.

– Super.

– Super – przytaknął.

Potem rozejrzał się wokół, spoglądając na stalowe wanny. Leżałem obok niego, poza tym w sali znajdowało się jeszcze sześć czy siedem osób, wszystkie zanurzone w gorącej, bulgoczącej wodzie.

– Wiesz, co byłoby naprawdę super? – spytał.

Potrząsnąłem głową.

– Trochę zielska. Właśnie teraz. – Uniósł znacząco brwi. – No nie?

– Pewnie.

Trącił łokciem swoją sąsiadkę w wannie po drugiej stronie, nauczycielkę w średnim wieku.

– Wiesz, gdzie tu można skołować trochę trawki, siostro?

Kobieta, którą Bubba zastrzelił, gdy wkroczyliśmy do bunkra, została zidentyfikowana jako Catherine Larve, niegdyś modelka z Kansas City. Pozowała do reklamówek domów towarowych na środkowym zachodzie pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych. Nie miała przeszłości kryminalnej, nie wiadomo też, co robiła od czasu, gdy wyjechała z Kansas City w towarzystwie człowieka, którego jej sąsiedzi uważali za jej chłopaka – przystojnego, jasnowłosego mężczyzny za kierownicą mustanga shelby rocznik 68.

Bubbę wypisano ze szpitala dziesięć dni wcześniej ode mnie. Przyjechała po niego Vanessa, ale przed powrotem do jego domu udali się do schroniska dla zwierząt i wzięli sobie psa.

Te ostatnie dni były najgorsze. Lato umarło, za oknem rozgościła się jesień, a ja mogłem tylko leżeć i słuchać, jak zmiana pór roku odbija się w głosach ludzi na zewnątrz. I zastanawiałem się, jaki głos miałaby Karen Nichols w tej nowej rześkości, gdyby udało jej się przetrwać do chwili, gdy upał się kończy, a liście zaczynają opadać z drzew.

Wspinałem się po schodach do mojego mieszkania powoli, wsparty jedną ręką na ramieniu Angie, w drugiej ściskając piłkę do squasha i ćwicząc mięśnie ramienia, które stopniowo wracało do formy.

Cały lewy bok wydawał się słaby, zapadnięty, jakby krew w tej części ciała nie była odpowiednio gęsta i czasem w nocy odczuwałem po tej stronie zimno.

– Jesteśmy w domu – oznajmiła Angie, kiedy dotarliśmy na moje piętro.

– W domu? – spytałem. – Chodzi ci o twój czy mój dom?

– Nasz – odparła.

Otworzyła drzwi, a ja popatrzyłem w głąb korytarza, który pachniał świeżością i czystością. Poczułem ciepło ciała Angie pod moją zdrową dłonią. Ujrzałem swój rozklekotany fotel, który czekał na mnie w salonie. I wiedziałem, że jeśli Angie mnie nie uprzedziła, w lodówce znajdę dwie butelki piwa.

Życie nie jest takie złe, doszedłem do wniosku. Wszystko, co dobre, kryje się w niepozornych szczegółach. Meble dopasowane do twojej sylwetki. Zimne piwo w upalny dzień. Dojrzała truskawka. Jej usta.

– Dom – powiedziałem.

Jesień była na półmetku, kiedy udało mi się unieść obie ręce nad głową i przeciągnąć, więc pewnego popołudnia wybrałem się na poszukiwanie podartej, wystrzępionej i ulubionej bluzy dresowej, którą trzymałem od czasu szkoły średniej. Cisnąłem ją kiedyś na najwyższą półkę garderoby, gdzie kryła się w cieniu rzucanym przez górną krawędź drzwi. Schowałem ją, ponieważ Angie pałała do niej nienawiścią, mówiąc, że wyglądam w niej jak włóczęga, byłem poza tym pewien, że żywi wobec niej mordercze zamiary. Nauczyłem się już, że nie należy traktować lekceważąco gróźb kobiet pod adresem moich ubrań.

Zanurzyłem dłoń w spłowiałej bawełnie. Westchnąłem zadowolony, wyciągając bluzę, a wtedy spadło mi przy okazji na głowę kilka przedmiotów.

Jednym z nich była kaseta, którą, jak mi się wydawało, gdzieś zgubiłem, pirackie nagranie Muddy Watersa w duecie z Mickiem Jaggerem i Red Devils. Drugim była książka, którą pożyczyła mi Angie, a którą zarzuciłem po pięćdziesięciu stronach i wepchnąłem na półkę w nadziei, że o niej zapomni. Trzecim była rolka taśmy izolacyjnej. Schowałem ją w garderobie poprzedniego lata, kiedy zabezpieczałem postrzępiony przewód elektryczny i byłem zbyt leniwy, żeby zanieść ją do skrzynki z narzędziami.

Podniosłem kasetę, cisnąłem książkę w mrok garderoby i sięgnąłem po taśmę.

Ale nie wziąłem jej do ręki. Usiadłem na podłodze i zacząłem się w nią wpatrywać.

I wreszcie ujrzałem całą szachownicę.

36

Panie Kenzie, jakże się cieszę, że pana widzę – oznajmił Wesley, kiedy znalazłem go nad stawem na tyłach ojcowskiej posesji.

– Pchnął ją pan? – spytałem.

– Co? Kogo?

– Naomi – odparłem.

Szarpnął głową do tyłu i uśmiechnął się niepewnie.

– O czym pan mówi?

– Wbiegła za piłką na lód – powiedziałem. – To oficjalna wersja, prawda? Ale jak piłka się tam znalazła? To pan ją rzucił, Wes?

Znów wykrzywił usta w nieznacznym, dziwnym uśmiechu. Bolesnym i przepełnionym samotnością, jak mi się wydawało. Odwrócił głowę i spojrzał w stronę stawu. Wsunął dłonie do kieszeni spodni i odchylił się lekko, napinając ramiona. Jego drobnym ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

– Naomi rzuciła piłkę – oznajmił cicho. – Nie wiem dlaczego. Szedłem wtedy przed siebie. – Wskazał głową w prawo. – Tam. Zadumany, jak przypuszczam, choć nie pamiętam, o czym akurat myślałem. – Wzruszył ramionami. – Szedłem dalej, a moja siostra rzuciła piłkę, która poleciała w stronę stawu. Może odbiła się przypadkiem od jakiegoś kamienia. Może Naomi sama rzuciła ją na lód, żeby zobaczyć, co się stanie. Nie ma to w tej chwili większego znaczenia. Piłka potoczyła się, a ona ruszyła za nią. Usłyszałem, jak biegnie po lodzie, stało się to nagle, jakby ktoś ni stąd, ni zowąd uruchomił ścieżkę dźwiękową w mojej głowie. W jednej chwili tkwiłem jeszcze jak zwykle w swoim spieprzonym umyśle, a w sekundę później usłyszałem, jak wiewiórka szeleści w zmarzniętej trawie dwadzieścia metrów dalej. Usłyszałem, jak śnieg się topi. Usłyszałem kroki Naomi na lodzie. Odwróciłem się i zdążyłem zobaczyć, jak cienka warstwa pęka pod jej ciężarem. Ten odgłos był taki cichy. – Odwrócił się do mnie, uniósł brwi. – Trudno uwierzyć, prawda? Ale to brzmiało tak, jakby ktoś zmiął w dłoni cynfolię. A ona – uśmiechnął się, ona miała na twarzy wyraz najczystszej radości. Cóż to będzie za przygoda, absolutna nowość! Nie wydała najmniejszego dźwięku. Nie krzyknęła. Po prostu się zapadła. I zniknęła.

Znowu wzruszył ramionami, potem podniósł kamień z ziemi i rzucił wysoko ponad stawem. Patrzyłem, jak leci w rześkim jesiennym powietrzu i wpada z pluskiem do wody na środku sadzawki.

– Nie, nie – powiedział. – Nie zabiłem swojej siostry, panie Kenzie. Po prostu jej nie upilnowałem.

Wsunął dłonie z powrotem do kieszeni i odchylił się na piętach, obdarzając mnie jeszcze raz tym swoim przelotnym, bolesnym uśmiechem.

– Ale obwiniali pana – zauważyłem i spojrzałem za siebie, na werandę, gdzie nad popołudniową herbatą i niedzielną gazetą siedzieli Christopher i Carrie Dawe. – Prawda, Wesley?

Zacisnął usta i skinął opuszczoną głową.

– O, tak. Tak.

Odwrócił się w prawo i ruszył powoli brzegiem stawu, skąpanym w przedwieczornym blasku październikowego dnia. Jego kroki wydawały się niepewne i wtedy sobie uświadomiłem, że jest to spowodowane niezgrabnym ruchem prawego biodra. Zerknąłem na jego buty i zobaczyłem, że podeszwa prawego jest o pięć centymetrów grubsza od lewego. Przypomniałem sobie, jak Christopher Dawe nam mówił, że Wesley urodził się z jedną nogą krótszą.

– Założę się, że nie było to przyjemne – powiedziałem.

– To znaczy?

– Że obwiniali pana o śmierć siostry, choć w gruncie rzeczy nie ponosił pan za nią odpowiedzialności.

Głowę miał spuszczoną, ale drobne usta wykrzywił cierpki uśmiech.

– Ma pan dziwny dar pojmowania rzeczy oczywistych, panie Kenzie.

– Każdy ma jakiś talent, Wes.

– Kiedy miałem trzynaście lat – ciągnął – zwymiotowałem pół litra krwi. Nic mi nie dolegało. Po prostu „nerwy". W wieku piętnastu lat cierpiałem na wrzód żołądka. W wieku osiemnastu wykryto u mnie depresję maniakalną i niegroźną schizofrenię. Wprawiło to mojego ojca w zażenowanie. Poniżyło go. Był przekonany, że jeśli mnie zahartuje – torturując psychicznie i upokarzając – to pewnego dnia zbudzę się silniejszy. – Zaśmiał się cicho. – Ojcowie. A pana łączyły z ojcem poprawne stosunki?

– Nie za bardzo, Wesley.

– Pragnął za wszelką cenę, by spełnił pan jego oczekiwania? Nazywał „bezużytecznym" tak często, że w końcu pan w to uwierzył?

– Trzymał mnie i przypalał żelazkiem.

Wesley przystanął wśród drzew i spojrzał na mnie.

– Mówi pan poważnie?

Przytaknąłem.

– Dwa razy oddał mnie do szpitala i powtarzał co tydzień, że nie nadaję się do niczego. Nie spotkałem w życiu większego drania, Wesley.

– Mój Boże.

– Jednak nie doprowadziłem własnej siostry do śmierci, żeby się na nim odegrać, Wesley.

– Co? – Odrzucił do tyłu głowę, parsknął śmiechem. – Niech pan da spokój.

– Myślę, że było tak. – Odłamałem witkę z jakiejś gałęzi i zacząłem uderzać się nią po udzie, kiedy tak spacerowaliśmy wzdłuż brzegu, a potem ruszyliśmy z powrotem przeciwległą stroną stawu. – Myślę, że twój ojciec winił cię za śmierć Naomi, a ty – wówczas cholerny kłębek nerwów, jak sądzę – byłeś bliski całkowitego załamania, gdy przypadkiem natknąłeś się na dokumentację szpitalną i odkryłeś, że Naomi została zamieniona przy porodzie. I po raz pierwszy w życiu miałeś sposobność odegrać się na ojcu.

Przytaknął. Zerknął na swoją prawą dłoń, na mały kikut, jedyną pozostałość po palcu wskazującym, a potem opuścił rękę.

– Fakt. Ale o tym wie pan już od miesięcy. Więc po co...

– Wiesz, co się wydarzyło dziesięć lat temu? – przerwałem mu. – Byłeś tylko smutnym, niezrównoważonym dziwakiem, który ma szafkę pełną pigułek i poplątany genialny umysł. I wpadłeś na ten prosty pomysł, jak wyciągnąć od taty przyzwoity zasiłek. Ale wtedy pojawił się Pearse.

Przytaknął tym swoim wystudiowanym ruchem głowy, na wpół zamyślonym, na wpół pogardliwym.

– Może. I uległem jego...

– Gówno prawda. To on uległ twojemu wpływowi, Wes. Ty za tym wszystkim stałeś od samego początku – powiedziałem. – Za Pearsem, za Diane Bourne, za śmiercią Karen...

– Powoli, powoli. Chwileczkę – przerwał mi, wyciągając przed siebie ręce.

– Zabiłeś Siobhan. Ty musiałeś to zrobić. Pearse był wtedy pod obserwacją, a żadna z tych kobiet w bunkrze nie zdołałaby podnieść jej ciała.

– Siobhan? – Potrząsnął głową. – Jaką Siobhan?

– Wiedziałeś, że prędzej czy później dotrzemy do tego domu w lesie. Dlatego nas tam ściągnąłeś z pół milionem dolarów. Niby dlaczego Pearse miałby się zadowolić tą sumą? Ale

się zadowolił. Bo ty mu kazałeś. Bo sobie zdałeś sprawę, że prędzej czy później, kiedy wszystko się zacznie pieprzyć i komplikować, od tej całej forsy, która według ciebie ci się należała, tylko jedno jest lepsze – znów być prawowitym spadkobiercą. Ponownie, Wes, przyjąłeś rolę ofiary.

Jego pełen zakłopotania grymas przerodził się w szeroki uśmiech. Przystanął na brzegu stawu i zerknął na werandę domu.

– Naprawdę nie wiem, skąd u pana te teorie, panie Kenzie. Są całkowicie fantastyczne.

– Kiedy weszliśmy do tego pokoju, u twoich stóp leżała taśma izolacyjna, Wesley. To oznacza, że albo ktoś zamierzał ci unieruchomić stopy i zapomniał, co wydaje mi się nieprawdopodobne, albo ty sam – ty, Wesley – usłyszałeś, jak zbliżamy się do drzwi, wsadziłeś sobie w usta piłkę, zacząłeś się zastanawiać, czy nie przewiązać sobie stóp, ale potem się zorientowałeś, że może ci zabraknąć czasu i tylko unieruchomiłeś sobie jeden nadgarstek. Miałeś przywiązany tylko jeden nadgarstek, Wesley. Dlaczego? Bo człowiek nie może sam przywiązać sobie obu do dwóch przeciwległych oparć krzesła.

Studiował z uwagą nasze odbicia w wodzie.

– Skończył pan?

– Pearse powiedział, że nie jestem w stanie dojrzeć całej szachownicy i miał rację. Czasem wolno myślę. Ale teraz widzę ją dokładnie, Wesley. To ty kierowałeś wszystkim od samego początku.

Cisnął kamień w moje odbicie, zmieniając twarz na wodzie w pofalowany obraz.

– Och – westchnął. – W pańskich ustach brzmi to naprawdę makiawelicznie. Ale w życiu nigdy tak nie jest.

– To znaczy jak?

– Tak gładko. – Rzucił następny kamyk do wody. – Opowiem panu pewną historię. Bajkę, jeśli pan woli. – Zebrał garść kamyków i zaczął rzucać, jeden po drugim, na środek stawu. – Zły król oschłego serca, z prześladowanego rodu, żył w pałacu ze swą młodą królową, niedoskonałym synem i niedoskonałą pasierbicą. Było to ponure, zimne miejsce. I wtedy – wtedy, panie Kenzie – król i jego młoda królowa spłodzili trzecie dziecko. Była to niezwykła istota. Prawdziwa piękność. Skradziona, prawdę powiedziawszy, rodzinie wieśniaków, ale poza tym nieskazitelna. Król, królowa, starsza księżniczka, nawet słaby książę – mój Boże, wszyscy oni kochali to dziecko. I przez kilka niezwykłych lat królestwo świeciło wspaniałym blaskiem. Miłość wypełniała każdą komnatę. Grzechy zostały wybaczone, słabości zlekceważone, gniew pogrzebany. Zapanował wiek złoty. – Głos mu zamarł, jego spojrzenie powędrowało ku wodzie, wreszcie wzruszył ramionami. – Pewnego

dnia, podczas spaceru z księciem – który ją kochał, który ją uwielbiał – mała księżniczka pobiegła za duszkiem do groty smoka. I zginęła. Książę obwiniał się z początku, choć było wiadomo, że niewiele mógł zrobić. Ale to nie powstrzymało króla! O, nie. Oskarżał księcia o śmierć córeczki. Tak jak i królowa. Dręczyli go swoim milczeniem, które trwało całymi dniami i któremu towarzyszyły pełne gniewu i złośliwości spojrzenia. Obwiniali go. Było to oczywiste. Do kogo miał się zwrócić książę w swej rozpaczy? No cóż, do swej przyrodniej siostry, oczywiście. Ale ona... ona... odtrąciła go. Też go obwiniała. Och, nie powiedziała tego wprost, lecz na swój błogo bezmyślny sposób – wolny tak od potępienia, jak i od wybaczenia – wbiła mu ostrze znacznie głębiej niż król czy królowa. Księżniczka, pojmuje pan, miała w głowie zabawy i bale. Otoczyła się pancerzem ignorancji i fantazji, by odgrodzić się od śmierci siostry i zostawiła go samego, przybitego stratą, poczuciem winy, fizycznymi ułomnościami, które nie pozwoliły mu dotrzeć wystarczająco szybko do groty smoka.

– No, no, niezła historia – zauważyłem. – Ale nie znoszę dramatów kostiumowych.

Nie zwrócił uwagi na moje słowa.

– Książę błąkał się na wygnaniu przez długi czas, pod koniec którego jego sekretna kochanka, szamanka na ojcowskim dworze, przedstawiła go bandzie rebeliantów, którzy pragnęli obalić króla. Ich plany były pełne skaz. Książę wiedział o tym. Ale przystał do nich, jego zaś krucha psychika zaczęła z wolna zdrowieć. Poczynił plany awaryjne. Wiele, wiele planów awaryjnych. – Rzucił ostatni kamyczek do wody i schylając się po kolejne, spojrzał na mnie. – I książę stał się silny, panie Kenzie. Bardzo silny.

– Na tyle silny, by obciąć sobie samemu palec?

Wesley się uśmiechnął.

– To bajka, panie Kenzie. Po cóż zawracać sobie głowę szczegółami?

– Jak poczuje się książę, gdy ktoś silny zetnie mu głowę, Wesley?

– Wróciłem do domu – odparł. – Tu, gdzie moje miejsce. Dojrzałem. Żyję u boku kochającego ojca i kochającej macochy. Jestem szczęśliwy. A pan jest szczęśliwy, Patrick?

Milczałem.

– Mam nadzieję. Niech pan trzyma się tego szczęścia. To rzadki dar. Może zostać zniweczony w każdej chwili. Gdyby zaczął pan wysuwać niedorzeczne oskarżenia, których nie byłby pan w stanie udowodnić, mogłoby to zaszkodzić pańskiemu szczęściu. Zostałby pan starty na proch w sądzie przez kilku dobrych adwokatów, specjalizujących się w zagadnieniu oszczerstwa.

– Uhm – mruknąłem.

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął się lekko.

– Wracaj do domu, Patrick. Bądź grzecznym chłopcem. Chroń swoją wrażliwość, swych bliskich i gotuj się w każdej chwili na tragedię. – Cisnął jeszcze jeden kamyk w moje odbicie. – Wszystkich nas czasem dotyka.

Spojrzałem na werandę, gdzie Christopher Dawe czytał gazetę, a Carrie Dawe jakąś książkę.

– Dość już zapłacili – powiedziałem. – Nie skrzywdzę ich, żeby dobrać się do ciebie.

– To rozsądne – przyznał. – Słyszałem, że taki właśnie jesteś.

– Pamiętaj tylko o jednym, Wesley.

– Tak?

– Nie będą żyli wiecznie.

– Nie.

– Pomyśl o tym. Tylko oni chronią cię przede mną.

Coś zapaliło się na chwilę w jego twarzy, niedostrzegalny tik, błysk strachu.

Potem zniknęło.

– Trzymaj się z daleka – wyszeptał. – Trzymaj się z daleka, Patrick.

– Prędzej czy później zostaniesz sierotą. – Odwróciłem się od stawu. – Tego dnia skończą się więzy krwi.

Pozostawiłem go tam, gdzie stał i ruszyłem przez wielki trawnik w stronę obszernej werandy.

Był wspaniały jesienny dzień. Drzewa buchały kolorami. Ziemia pachniała jak w czasie żniw.

Słońce jednak zaczęło płowieć, a powietrze – leciutko oziębione, gdy tak prześlizgiwało się między drzewami – niosło ze sobą ledwie wyczuwalną zapowiedź deszczu.